Dariusz Kaczmarek

Kawka na huśtawce



Dariusz Kaczmarek

Kawka na huśtawce

Zelów 2016

Korekta: **Krystyna Mikołajczak**
Skład: **Dariusz Kaczmarek**
Projekt okładki: **Dariusz Kaczmarek**
Tłumaczenie na język rosyjski: **Konrad Lotczyk**

Zdjęcia i dokumenty udostępnili:

Grażyna Angerman, Aleksandra Baczmaga, Maria Banaszkiewicz, Marian Drożdżowski, Zofia Grabarczyk, Janina Graczyk, Andrzej Gryś, Dariusz Kaczmarek, Franciszek i Janina Kluk Karol Niewieczerzał, Barbara Łuczyńska, Marian Ornaf, Helena Pospiszył, Stefan Rogut, Irena Sikorska, Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim

Zdjęcia, na których występują symbole związane z III Rzeszą Niemiecką przedstawione są wyłącznie jako źródło historyczne. Autor nie zachęca do ich wykorzystywania i propagowania.

Wydawca: Dariusz Kaczmarek
ISBN 978-83-939552-1-3

Printed in Poland
Wydanie pierwsze
Zelów 2016
Redakcja techniczna: Dariusz Kaczmarek



WYDAWNICTWO • DRUKARNIA
MARLAND2
Marek Rusak
97 - 425 Zelów, ul. Poznańska 8a
tel.: 505 868 909 e-mail: marland2@tlen.pl

Mateuszowi i Karolowi –
moim Wnukom –
poświęcam.

Wprowadzenie

„Przeszłość może być lekcją dla tych, którzy chcą się uczyć".

Szanowni Państwo!

„Kawka na huśtawce" to powieść historyczno-obyczajowa oparta na wspomnieniach mieszkańców osady Zelów i okolicznych wsi. Przeplatana fikcją literacką opisuje życie tych ludzi w czasie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu.

Opowieść zaczyna się we wrześniu 1939 roku. Właśnie wybuchła wojna. Wielu chwyciło za broń i poszło bronić Ojczyzny. Zostawiając dom i rodziny – poszli w nieznane.

Tak, jak Stanisław Mędrzycki, jeden z bohaterów książki, żołnierz II Rzeczypospolitej i nauczyciel szkoły powszechnej. Czy wróci? A jeśli tak, czy zastanie swoich bliskich żywych i zdrowych? O tym przeczytacie Państwo w pierwszej części, zatytułowanej „Sowiecka niewola".

Część druga i trzecia – „Okupacja" i „Lagry", opisuje trudne wojenne czasy, w których terror, grabieże i śmierć spotkać można niemal na każdym kroku. Jak radzą sobie zwykli ludzie w nowej sytuacji? Czy mają wpływ na to, co dzieje się wokół nich? Jak wygląda życie kolejnych bohaterów powieści – Bartka, Rozalki, Rudego i innych? Czy miłość Marii – narzeczonej Mędrzyckiego przetrwa? Czy wytrzyma próbę czasu? Jak żyć, kiedy podbitym narodem rządzą wprowadzane przez okupanta zakazy, nakazy i

zarządzenia? O tym, i o innych wydarzeniach także poza granicami kraju, w powyższych rozdziałach.

„Nowy ład" to tytuł ostatniej, czwartej części. Skończyła się wojna. Nadeszły wielkie zmiany w całej Europie. Migracje ludności, czas odbudowy zniszczonych miast i wsi. Zaczęły się nowe porządki. Władzę w Polsce objęli ludzie o innym światopoglądzie. Dla wielu ludzi to dobry czas, dla innych – kolejna niewola. Co z tego wyniknie? Pokaże przyszłość.

Drodzy Czytelnicy!

Książka nie jest pamiętnikiem, ani dziennikiem spisywanym na „żywo". Jej treść w dużej mierze powiązana jest z wydarzeniami historycznymi, ale nie można jej traktować jak podręcznika do historii.

Relacje świadków tamtych dni różnią się od siebie. Zawodzi pamięć, spojrzenie na dane wydarzenie jest inne lub oparte tylko na relacji pośredniej.

Starałem się jednak udokumentować poznane fakty i wydarzenia i przekazać je w formie przystępnej dla Czytelnika. Czy mi się to udało? Oceńcie Państwo sami.

Autor

Część pierwsza

Sowiecka niewola

Po nocnym, ulewnym deszczu nastał mglisty i zimny poranek. Słońce ledwie przedzierało się przez gęstą, mleczną zasłonę, a chłód od pól szedł taki, że nawet ptaki siedziały cicho, schowane w gęstych zaroślach, tuląc głowy w piórkach, pod skrzydłami.

Wtem huknęło. Ziemia zadrżała i uniosła się w górę, by po chwili opaść, rozbryzgując się dokoła. W jednej chwili pojedynczy grzmot przeszedł w kawalkadę. Pociski wybuchały jeden po drugim. Raz bliżej, raz dalej – orząc pole spowite mgłą. Żołnierzy siedzących na skraju lasu oślepiało przeraźliwe światło. Błysk za błyskiem, grom za gromem rozwiał mgłę, spowił słoneczną tarczę pyłem, aż stała się brunatno-czerwona.

I nagle rozdarł powietrze krzyk przeraźliwy wydobywający się z tysięcy gardeł. Polacy ruszyli do kontrataku. Gnali przed siebie z bagnetem w dłoni – prosto na wroga.

Nie mieli wyjścia. Siedzieli w kotle. Okrążeni jeszcze poprzedniego dnia...

Próbowali się wydostać i niewiele brakowało, jednak Sowieci sprowadzili posiłki i uzyskali dwu-, może trzykrotną przewagę w ludziach i sprzęcie, a rozmokłe po deszczach drogi nie pozwoliły pozostałości polskiej armii na sprawne przemieszczanie się samochodami i końmi. Zaskoczyli ich, kiedy przedzierali się na Węgry. Okrążyli. Teraz ostrzelali. Atak artylerii spowodował śmierć wielu żołnierzy. Jedynym wyjściem była walka lub kapitulacja.

– Padnij! – padła komenda słyszana tylko przez tych, którzy byli najbliżej dowódcy.

– Kryj się!

Kryli się za każdym pagórkiem i w lejach po bombach. Osłaniali się ciałami poległych kolegów. Strzelali, ale mieli tylko karabiny i CKM-y,[1] niewiele lekkich dział, zbyt mało amunicji.

Tymczasem Sowieci szli tyralierą, strzelając przed siebie na oślep. W tym ogłuszającym huku lecących kul, wybuchających bomb i krzyków konających ludzi nie można było liczyć na nic więcej, jak tylko na opatrzność Bożą i szczęście. Łut szczęścia, że lecąca kula nie trafi w serce, że wybuchający granat nie urwie nogi lub nie rozerwie na strzępy całego ciała, że nie zginę ja, tylko... ktoś idący obok.

Mimo dużej przewagi wroga Polacy nie poddawali się, walczyli zawzięcie, aż wszyscy – i jedni, i drudzy, opadli z sił. Wtedy nastała chwila wytchnienia. Skryli się, gdzie kto mógł. Opatrywali rany, odpoczywali przed następną potyczką.

Młody porucznik wczołgał się do niewielkiego wykopu. Położył się na plecach i zamknął oczy. Dyszał ciężko. Usta miał wyschłe i spękane, twarz i mundur – brudne, umazane szaro-czerwonym błotem. Sięgnął po menażkę i wypił kilka łyków.

Nagle dało się słyszeć cichy, proszący głos:

– Wody.

Obejrzał się. Niedaleko niego, lekko przysypany piachem, leżał polski żołnierz. Wyciągał rękę w jego stronę.

– Wody. Daj wody... – powtórzył wyraźniej.

Oficer zbliżył się do leżącego i podtrzymując mu głowę, przystawił menażkę do ust. Żołnierz zaczął pić łapczywie, lecz po chwili zachłysnął się i musiał odpocząć. Dopiero teraz można było dostrzec głęboką ranę na szyi, z której sączyła się krew.

– Zaraz cię opatrzę – powiedział porucznik. – Nie ruszaj się. Muszę przemyć ranę.

Polał ją wodą. Potem przyłożył bandaż i ucisnął, a drugim owinął go, dość mocno.

[1] *CKM – Ciężki Karabin Maszynowy.*

– Nic więcej nie mogę zrobić – dodał – ale nie zostawię cię. Odpocznę i jak ruszymy, to... – zastanowił się chwilę. – Nie zostawię cię. Bądź pewien. Wszystko będzie dobrze, to niegroźna rana – starał się pocieszyć rannego.

Chory nic nie mówił. Widać było, że traci siły.

– Tylko nie zasypiaj! – potrząsnął go za ramię. – Nie możesz zasnąć.

Mężczyzna otrząsnął się i otworzył szeroko oczy.

– Zawiadom moją rodzinę – starał się odpiąć guzik od munduru i wyciągnąć coś z wewnętrznej kieszeni. – Mam list – wyszeptał.

Po chwili opuścił zemdlałą rękę.

– Zostaw – powiedział oficer. – Zaraz ruszamy.

Powoli wychylił głowę ponad wysoką trawę i rozejrzał się.

– Musisz mi trochę pomóc. Rozumiesz.

Ranny żołnierz skinął głową, zgadzając się na współpracę.

Nagle usłyszeli wystrzał i olbrzymi huk wybuchającego gdzieś niedaleko pocisku. Obaj przylgnęli do ziemi, a piasek zasypał ich ponownie.

– Znowu zaczęli.

– To nic. Idziemy – porucznik próbował go podnieść, ale tylko usiedli.

– Nie dam rady... – wyszeptał żołnierz. – Nawet z tego dołka nie wyjdziemy.

– Co mówisz?

– Mówię, że nie damy rady. Zostaw. Idź sam. Ja i tak nie...

Kolejny pocisk upadł tuż obok, podmuch wybuchu przewrócił ich na ziemię i odrzucił na drugą stronę. Stracili przytomność...

Kiedy po pewnym czasie porucznik otworzył oczy, ujrzał ogorzałe, brudne twarze dwóch nachylających się nad nim radzieckich żołnierzy.

– Jeszczo żywiet?

– Da, żywiet – dobiegło do niego, jak zza ściany.

W głowie mu huczało i przez chwilę nie mógł zorientować się, gdzie jest i co się stało. Dopiero po chwili zrozumiał, że leży na polu bitwy, a nad nim stoi dwóch NKWD-zistów,[2] z których jeden mierzy do niego z karabinu.

– Spakojna, Sasza! Eta pljennyj[3] – powiedział starszy z nich, odsuwając karabin towarzysza na bok.

– Nu, pajdjom!

Pomogli mu wstać i wyprowadzili z wykopu.

– Idi!

Szedł przodem i rozglądał się. Straszny to był widok. Dookoła leżały ciała rannych i martwych żołnierzy. Pokrwawionych, rozdartych przez bomby, jęczących z bólu...

Rannych opatrywano. Zdolnych do marszu prowadzono pod lufami karabinów, uzbrojonych w bagnety. Sowieci zwyciężyli. Przeżył, ale myślał tylko o jednym: „Co ze mną będzie?"

***

Stuk tuk..., stuk tuk..., stuk tuk... – jednostajny, głuchy dźwięk jadącego od wielu godzin pociągu przeszywał uszy, pogłębiając przygnębiający nastrój i zwiększającą się z każdą chwilą niepewność, co do przyszłego losu pasażerów. Każdy obrót żelaznych kół, każde szarpnięcie i każdy gwizd stalowej lokomotywy z wielką, czerwoną gwiazdą z przodu uzmysławiał, że kolejne kilometry dzielą ich od domu, od bliskich, od ukochanej ojczyzny.

Mówili im, że trochę ich potrzymają i wrócą do rodzin. Mówili, że to tylko kilka dni, że sprawdzą ich i wypuszczą. Tymczasem pociąg jechał nie na zachód, lecz na wschód – wciąż dalej i dalej, zmierzając w nieznane.

---

[2] *NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR (Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich).*
[3] *Jeniec.*

W jednym z rogów wagonu, w ogólnym tłoku i ścisku, na walających się gdzieniegdzie resztkach siana i pozostałościach bydlęcych odchodów, siedział młody, niespełna 30-letni mężczyzna.

Młodszy oficer, porucznik Stanisław Mędrzycki, jak wielu innych dostał się do sowieckiej niewoli. Teraz pogrążony w myślach nie widział i nie słyszał tego, co działo się dookoła. Wspominał przejścia kilku ostatnich dni.

Jeszcze zanim trafili do niewoli, dowiedzieli się o zdradzieckiej napaści na wschodniej granicy. To ich przybiło. Nie chcieli wierzyć... Zaskoczenie, konsternacja. Rozrzucane ulotki mówiły o pokojowej misji Armii Czerwonej, ale... Przyjaciel czy wróg?

Wyraźny rozkaz Naczelnego Wodza, Edwarda Śmigłego-Rydza, brzmiał: *„Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry, najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony, albo próby rozbrojenia oddziałów".*



Radzieccy i niemieccy żołnierze – wrzesień 1939 r. (reprint)

Wkrótce przekonali się na własnej skórze. Natarcie wojsk sowieckich nie tylko wiązało się z przejmowaniem terenu, ale także z atakiem samolotów, czołgów i piechoty radzieckiej armii.

Sowieccy żołnierze nieśli ze sobą śmierć i zniszczenie. Ciężkie walki na polach bitew, co rusz potyczki w lasach, w końcu kapitulacja i wstyd, że tylko tyle mogli zrobić...

Tylko nadzieja dodawała im sił. Ta myśl szczęśliwa, której starali się trzymać: „Będzie lepiej, to tylko zły czas, który przeczekają i jeszcze będą walczyć o Polskę, o dom, o rodziny".

Rozmyślania przerwała sprzeczka dwóch żołnierzy.

– Niby gdzie mam się posunąć? Każdemu ciasno!

– Ale daj choć świeżego powietrza zaczerpnąć, stoisz najbliżej luftu.[4]

– I co? – wskazał w kierunku najdalszego kąta wagonu. – Niby tam mam iść i kłapać pyskiem jak ta śnięta ryba, żebyś ty mógł się powietrza nachapać?

W tej chwili inny, starszy od nich stopniem żołnierz, przerwał kłótnię stanowczym:

– Dość, panowie!

To poskutkowało, ale chociaż każdy zdawał sobie sprawę, że to z przemęczenia, głodu i braku snu skaczą sobie do gardła, to jednak w całym wagonie zapadła grobowa cisza.

Mędrzycki opatulił się płaszczem i zamknął oczy. Mimo zmęczenia sen nie przychodził. Za to myśli kłębiły się jedna, za drugą.

Po zaciętej walce i okrążeniu resztek zdezorientowanego oddziału Sowieci krzyczeli do nich już z daleka: „Zdawajtjes', a arużje brasitje sjuda na kuću. Nie bojtjes, my was wsiech oswabadili ad gjermanca. My wsje adin narod. Iditje damoj".[5]

Tych, którzy nie posłuchali, patrole bolszewickich sołdatów[6] wyłapywały pojedynczo i całymi grupami. Poddawali się więc

[4] *Luft – powietrze.*

[5] *Poddajcie się, a broń rzućcie tu na kupę. Nie bójcie się, wyzwoliliśmy Was od Niemców. Wszyscy jesteśmy jednym Narodem. Idźcie do domu.*

[6] *Żołnierzy.*

z cichą nadzieją, że puszczą ich do domów, ale niestety. Mylili się.

Kiedy po wstępnej selekcji szeregowych wypuścili, a pozostali ruszyli pieszo w drogę – zrozumieli, że to jeszcze nie koniec. Gnali ich, a oni szli. Szli przed siebie tak, jak im kazali. Zrezygnowani, zawiedzeni, niepewni swojego losu.

Po drodze miejscowa ludność dawała im wodę, suchy chleb, nawet dynie, i... co, kto miał.

Trafili do obozu przejściowego. Nocami nędzne baraki, w których wcześniej trzymano krowy i świnie, dawały im schronienie przed zimnem i deszczem, ale za dnia siedzieli na ziemi, przed budynkami, za ogrodzeniem z kolczastego drutu.

Nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wystarczyło, że ktoś powiedział: „No, to już po nas, ja ich znam, już miałem z nimi do czynienia, im nie można wierzyć" – i już przychodziły czarne myśli. Po chwili ktoś rzucił: „Przecież Sowieci nas puszczą, no, bo cóż mieliby z nami zrobić? Tyle chłopa. Tyle tysięcy ludzi bez nijakiego majątku. Przecież trzeba nas, choć nędznie, ale wykarmić. Co im po nas? Jak tylko wojna się skończy, a to rychło nastąpi, to nas puszczą – zobaczycie".

Tymczasem znowu szli dwa dni, aż dotarli na stację, gdzie załadowali ich do wagonów i pociąg ruszył w nieznanym kierunku.

Z zamyślenia wyrwał go gwizd lokomotywy i pisk stalowych hamulców. Pociąg zwalniał. Toczył się powoli. Nagle zatrzymał się i usłyszeli szczęk otwieranych zasuw i rozsuwanych drzwi.

Do wewnątrz wtargnęło zimne, orzeźwiające powietrze.

Na stacji oczekiwali na nich kolejni jeńcy. W otoczeniu poganiających ich radzieckich żołnierzy, pchani kolbami karabinów, tłocząc się i przepychając, wsiadali pośpiesznie do przepełnionych wagonów. Z różnych stron dochodziły głośne protesty i pokrzykiwania. Nie wyglądało to dobrze. Nastroje powoli zaczęły się zmieniać. Puszczały nerwy. Odezwała się duma polskiego żołnierza, Polaka, człowieka.

– Bandyci! Tacy jesteście?

Ktoś z wagonu splunął na sołdata, który stał najbliżej drzwi. Ten nie namyślając się uderzył kolbą pierwszego z brzegu jeńca i skierował w jego kierunku karabin zakończony bagnetem.

– Sabaki!!![7] – wycedził przez zęby. – Ja was!!!

Po krótkiej przerwie na załadunek pociąg ruszył dalej. Teraz nie dało się już siedzieć. Stali jeden przy drugim. W mundurach i płaszczach żołnierskich, które jeszcze cztery tygodnie temu lśniły wyszlifowanymi guzikami i orzełkami na czapkach. Brudni i nieogoleni, głodni i upodleni. Różne myśli przychodziły im do głowy, a wśród nich ta najgorsza, którą starali się odrzucać od siebie, kierując myśli w inną stronę, szukając tych bardziej szczęśliwych, biegnących ku domowi.

Nagle ktoś przerwał zalegające wokół odrętwienie.

– Jest tu ktoś z Warszawy?

– Ja z Grochowa – odpowiedział stojący niedaleko mężczyzna, próbując odwrócić się w kierunku warszawiaka.

– A z Łodzi? Jest tu ktoś z Łodzi?

Pytania i odpowiedzi padały ze wszystkich stron. Z początku ciche i niepewne, w końcu głośne, niemal krzykliwe.

– Skąd was wiozą?

– Gdzie dostaliście się do niewoli?

– Mnie wzięli pod Rawą Ruską. Bił się tam ktoś?

– 10. Pułk Piechoty z Łowicza. Jest tu ktoś z Łowicza?

– A z Piotrkowa. Jest ktoś z Piotrkowa? 25. Pułk Piechoty.

Mędrzycki drgnął.

– Ja, ja jestem – uniósł rękę, starając się zlokalizować wzrokiem miejsce, skąd dobiegło pytanie, choć w ogólnym zamieszaniu nie było to łatwe.

Mężczyźni przemieszczali się w różnych kierunkach. Stanisław patrzył na przepychającego się w jego stronę żołnierza.

– Jezus, Maria! Stefek Gardulski – nawet po głosie cię nie poznałem.

---

[7] *Psy.*

Przywitali się, podając sobie ręce.

– Ciasno. Chyba z siedemdziesięciu chłopa.

– Ano, ciasno – odpowiedział Mędrzycki – jest nas tu ze dwa razy więcej, niż normalnie się mieści.

– Długo jedziecie?

– Od wczoraj.

– Dali coś do jedzenia?

– Dostaliśmy tylko czarną kawę.

– No, a wiesz... te rzeczy, to gdzie?

– Tam z przodu. W prawym rogu jest koryto kloaczne.

Gardulski uśmiechnął się z niesmakiem.

– Może mi się nie zachce, zanim dojedziemy? No, bo z głodu to jeszcze nikt się nie zesrał – dodał wesoło.

Nagle spoważniał.

– Kiedy cię wzięli?

Mędrzycki odchrząknął i odetchnął głęboko. Zaczął opowiadać:

– W końcu września, po tym, jak padł rozkaz o złożeniu broni, przedzieraliśmy się na Węgry. Ale sam wiesz – tu Niemcy, tam Sowieci – zupełnie nie wiadomo było, jak iść, żeby się na nich nie nadziać.

– Tak. Wydzierają sobie tę naszą biedną Polskę, jak te głodne psy – wtrącił Stefan.

Staś opowiadał dalej.

– Nieraz już wymykaliśmy się z okrążenia, ale tym razem nie było mocnych. Za dużo ich było na naszą garstkę... Od wczoraj jestem w pociągu. Tylko dokąd jedziemy, tego nie wiem?

– No, a wcześniej, jak się pogubiliśmy? – dopytywał Stefan.

– Straciliśmy was z oczu, kiedy przedzieraliśmy się przez lasy.

– Tak – ponownie mu przerwał. – Wielu z nas pogubiło się w tych ciemnościach. Brak zaopatrzenia, brak łączności... Pewnie u was było tak samo.

– Owszem, ciężko było. Do tego w ciągu dnia ostrzeliwała nas artyleria, więc szliśmy nocami. Przy szosach toczyliśmy ciężkie

walki. Nasz batalion był niemal w rozsypce, ale po drodze dołączali do nas inni... Wreszcie połączyli nas z 36. Dywizją Pancerną, a za Wisłą... wcielili do Armii „Prusy". Później jeszcze bitwa pod Tomaszowem Lubelskim... Ciągłe boje i potyczki spowodowały, że w końcu nie było już komu i czym się bić – i padł ten cholerny, znienawidzony przez żołnierzy rozkaz o złożeniu broni. My jednak walczyliśmy dalej... pod Krasnobrodem i jeszcze w paru innych bitwach, ale drogi były nieprzejezdne, a Sowietów coraz więcej. NKWD-ziści nas okrążyli, biliśmy się, ale było ich zbyt wielu i musieliśmy się poddać. Później pognali nas pieszo do obozu przejściowego, a po kilku dniach na stację, gdzie wsadzili nas do wagonów, a nazajutrz ruszyliśmy. Dalej już wiesz...

– Też tam trafiłem – pod Tomaszów Lubelski. Też się tam biliśmy, ale mimo że dowódca nas zostawił po kapitulacji, to część z nas poszła jeszcze walczyć pod Krasnobród – jak mówisz, a później stoczyliśmy jeszcze drugą bitwę, pod Tomaszowem.

– Tak! – Staś odetchnął głęboko. – Wychodzi na to, że w tych samych bitwach razem wojowaliśmy, a nawet o tym nie wiedzieliśmy.

Stefan przytaknął.

– Tylko, że nas od razu wywieźli ciężarówkami do Włodzimierza Wołyńskiego i niemal w szczerym polu trzymali. Drutem kolczastym teren ogrodzili i z psami pilnowali. Później nas wieźli pociągiem, a teraz tu do was dołączyli. Cholera wie, dlaczego? Powiedz, Stasiu, kto z nas spodziewał się, że będziemy walczyć jednocześnie z Niemcami i z bolszewikami? Z Sowieckimi żołdakami, którzy w nędznych mundurach, a właściwie jakichś szarych wystrzępionych płaszczach, z których zwisają nici..., i w juchtowych[8] butach, czasem nawet dwóch różnych... Też mi armia... z zawieszonymi na sznurkach karabinami o długich bagnetach. Zamiast plecaków mają na plecach worki, do których przytroczone są menażki, a zza cholewy butów wystają im metalowe

[8] *Cienka, miękka skóra bydlęca lub cielęca.*

łyżki. Jedzą byle co, byle jak i byle czym. Przeważnie słone śledzie, po strząśnięciu grubej soli uderzeniem śledzia o cholewę buta. Chodzą po domach, kradną lub żebrają. Słyszałem, jak jeden z mieszkańców spytał bolszewika: „Co to za armia, która nie ma chleba?". Ten mu cicho odpowiedział: „Dieduszka, u nas charaszo, tolka kuszat nićewo".[9] Oprócz jedzenia kradli wszystko, co im w łapy wpadło i jeszcze mówi: „Nie bojsia, nie bojsja. Eta wsjo nasze i wy toże nasze. Eta nje prapadjot".[10]



Linia demarkacyjna.

[9] *Dziadku u nas wszystko dobrze, tylko jeść nie ma co.*
[10] *Nie bójcie się, nie bójcie. To wszystko nasze i wy też nasze. To nie przepadnie.*

Mędrzycki ukrył twarz w dłoniach.

– Stefek. Tyle nieszczęść. Tyle ludzkich istnień. I kraj do szczętu zniszczony. A myśleliśmy, że piersi nasze za mury wystarczą.

Trwali tak dłuższą chwilę pogrążeni w zadumie połączonej z rozpaczą, ale po chwili Stanisław spytał:

– A na początku to mieliście chyba przydział przy Jasnej Górze?

– Tak. Po mobilizacji znalazłem się razem z moim batalionem tuż przy klasztorze częstochowskim. Każdemu z nas, od razu, kojarzyło się to z Kmicicem i „Potopem" Sienkiewicza. Byliśmy dumni, że teraz my będziemy bronić świętego przybytku. Dzień przed wybuchem wojny, w czasie wieczornej mszy na błoniach, przed klasztorem, każdy z nas modlił się o pokój, a już następnego dnia ginęli ludzie. Widocznie tak miało być. Choć wojna to straszna rzecz i lepiej, żeby nigdy jej nie było.



Zdobycie Częstochowy przez Niemców – 3 września 1939 r. (reprint)

Daliśmy z siebie wszystko, żeby nie wpuścić hitlersynów. Jednak historia nie zawsze się powtarza. Tym razem się nie udało, ale da Bóg, to odbierzemy draniom to święte miejsce, bo bandyci nie mają prawa w nim przebywać. Wara im!!!

Stach pomyślał chwilę i odpowiedział:

– Masz rację. Wojna to straszna rzecz, ale naszym obowiązkiem jest bronić Ojczyzny do ostatniej kropli krwi... Choć nie było lekko. Niemcy nacierali na nas czołgami i ostrzeliwali z armat i samolotów, a kiedy zaczęli nas oskrzydlać, dostaliśmy rozkaz, żeby na własną rękę się przedzierać. Przedzieraliśmy się całymi grupami, ale tam też były walki. Przy drodze, koło Lublińca, udało nam się upolować kilku ważnych Niemców, na motocyklu i w samochodzie. Przejęliśmy ważne dokumenty i odesłaliśmy do sztabu. Później były walki pod Janowem i Złotym Stokiem. Okrążenie i znów przedzieranie, bez łączności, bez jedzenia. Już wtedy nie było gdzie się umyć i ogolić, a właściwie to nie było kiedy, bo jak nie bitwa, to marsz. Buty to dopiero po dwóch tygodniach pierwszy raz zdjąłem. Poobcierały mi stopy, aż do krwi, bo przecież nowe były, a teraz, jakby na miarę szyte, tak się ułożyły. Tyle tylko, że nogi jeszcze się nie wygoiły...

– I co będzie, Stasiu? – spytał Stefan, patrząc gdzieś przed siebie.

Nastała chwila ciszy.

– Dobrze będzie. Trzeba mieć nadzieję. A chwile zwątpienia ma każdy. Ja ratuję się przed nimi, myśląc o domu i o mojej narzeczonej.

– Opowiedz mi o niej. Wszystko chcę wiedzieć. Jak ją poznałeś... i w ogóle.

Mędrzycki uśmiechnął się.

– A ty, co taki ciekawy? Wszystkiego to ci nie powiem.

Stefan zrozumiał aluzję.

– No, wiesz przecież, o czym mówię. Wszystko, to nie zawsze znaczy wszystko. Miejcie sobie te wasze tajemnice.

– Jak „wszystko" może znaczyć „nie wszystko" – przekomarzał się Staś.

– Oj, daj już spokój! Opowiadaj – klepnął go po przyjacielsku w ramię.

– Poznałem ją w Piotrkowie w 36. roku, a w 38. roku, wiosną, Marysia… – bo tak ma na imię – wyjaśnił koledze, uśmiechając się lekko, a ten tylko okiem mrugnął i ponownie klepnął go w ramię.

– Mów dalej – dodał.

– A więc… w maju, w ubiegłym roku, wybraliśmy się razem do jej rodziców – do Parzna, i jak w każdą niedzielę poszliśmy do kościoła. Proboszcz tamtejszej parafii – Jan Grodkiewicz wygłosił piękne kazanie, którego tematem była rodzina i miłość wzajemna i to, że wspólnie można się zestarzeć i zawsze liczyć jeden na drugiego… i to mnie natchnęło. Podjąłem w duchu decyzję – „dzisiaj poproszę o jej rękę". Pierścionek nosiłem przy sobie już jakiś czas – tylko okazji czekałem. Pogoda była piękna, więc po mszy poszliśmy na spacer. Szliśmy tak lasami, łąkami – radośni i beztroscy. Żartując i śmiejąc się, trzymaliśmy się za ręce. Boże, jaki to był cudowny czas. Każdy powinien przeżyć w życiu takie chwile. Dla takich chwil warto jest żyć… Doszliśmy nad stawy. Piękne, rybne stawy. Tam usiedliśmy nad wodą, na łące pełnej kwiatów. „Ale tu pięknie" – powiedziała. – Była jak nimfa w zwiewnej sukience, w czerwone maki. Nie czekałem długo, byłem… jak natchniony pod wpływem tej chwili, pod wpływem jej czaru. Szybko zebrałem najbliżej rosnące kwiaty i uklęknąłem przed nią. Śmialiśmy się później, że nawet trochę trawy narwałem. Patrzyła mi prosto w oczy i uśmiechała się, ale serce biło jej mocno, pewnie nie mniej mocno jak moje. Podałem jej bukiet i pierścionek. „Zostaniesz moją żoną?" – spytałem z wielką powagą. Czekałem na odpowiedź, jak na wyrok śmierci – bądź życia. Wzięła kwiaty, wzięła pierścionek, pocałowała mnie deli-

katnie w usta, objęła za szyję i szepnęła do ucha: „Tak. Wszędzie i o każdej porze. Kiedy tylko zechcesz".



Maria Nowotarska i Stanisław Mędrzycki.

Stanisław przymknął oczy i zamyślił się, ale Stefan złapał go oburącz za barki i potrząsnął lekko.

– Wszystko będzie dobrze. Wrócisz do swojej Marysi. Bóg jest miłosierny. Nie pozwoli na to, żeby taka miłość, jak wasza, nie spełniła się. A teraz już odpocznijmy, bo nie wiadomo, co nas jutro czeka.

Rozmowy, jakie toczyły się dookoła, zaczęły powoli przygasać. Tłok, zimno i odór panujący wewnątrz stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Głód i pragnienie także przybierały na sile. Niewielu mogło oddychać świeżym powietrzem, stojąc przy jedynym, zadrutowanym okienku. Niewielu też patrzyło przez szpary pomiędzy deskami na bujne lasy i niewielkie miasteczka, które migały od czasu, do czasu, niczym obrazki w fotoplastykonie.[11] Jednak z czasem krajobraz uległ zmianie. Stał się bardziej ubogi, suchy i niezamieszkały. Całymi godzinami widać

[11] *Automat do prezentacji pojedynczych fotografii.*

było jedynie pustkowia porośnięte wyschniętymi trawami i czasem nędzne zabudowania kolejowych stacji.

Nocą przyszedł mróz i spadł pierwszy śnieg, kryjąc delikatną powłoką zmarzniętą ziemię.

W wagonie było ciemno. Słychać było tylko chrapnie i pochrząkiwania grzejących się bliskością ciał towarzyszy niedoli. Stanisław podciągnął wyżej kołnierz wojskowego płaszcza. Wtulił, jak tylko mógł, głowę w ramiona i zamknął oczy: To nie może potrwać zbyt długo. Ludzie niejedną biedę potrafią przetrzymać. Dam radę. Prawda, Marysiu? – uśmiechnął się na wspomnienie narzeczonej. – Nadejdą lepsze czasy – dodał półszeptem.

Po chwili przeniósł się myślą do jednych z najszczęśliwszych dni w jego życiu. Do czasów tak nieodległych i tak pięknych, że wydawało się, że to bajka, a nie jego życie sprzed zaledwie trzech lat.

– Panie Staszku! Panie Staszku!

Młoda kobieta wybiegła ze sklepu, który znajdował się w domu naprzeciw szkoły.

– Co się stało, pani Owczarkowa?

– Pisanie jakieś listonosz przyniósł – podała list. – Wzięłam, bo ani pana, ani Władzi nie było.

– Dziękuję. Byłem w Piotrkowie. A siostra? Hmmm… nie wiem.

Rozerwał kopertę i zaczął czytać.

Stali pośrodku piaszczystej drogi tuż obok szkoły w Sromutce.

– Mama! Mama! – do kobiety podbiegł dziewięcioletni, ciemnowłosy chłopiec w samych tylko majtkach.

– Iruś, mówiłam ci: idź się myć, czarny jesteś jak nieboskie stworzenie.

– Mamo, są wakacje – chłopak przytulił się do matki, później spojrzał na swojego nauczyciela.

– Dzień dobry, panu.

– Dzień dobry – odpowiedział mu Mędrzycki i nie odrywając wzroku od listu, potargał go przyjaźnie po czuprynie.

Dookoła panowała sielska, wiejska atmosfera lipcowego wieczoru. Zapach pól i łąk mieszał się z żywicznym zapachem pobliskiego lasu. Z pastwisk dobiegało donośne muczenie krów, a z drogi dochodziły odgłosy bawiących się dzieci. Nieco wyżej, co rusz przelatywały swoim szybowym lotem piskliwe jaskółki, łapiąc muchy i muszki dla swoich pociech.

– A co tam? Dobre wieści? – spytała sąsiadka.

– Kurs mam jutro w Piotrkowie.

Kobieta machnęła ręką.

– Ledwie się wakacje zaczęły, a już pana ciągają.

– Taka rola i pora dla nauczyciela. W wakacje kursy i szkolenia, no bo w roku szkolnym, to jak? Idę już. Przepraszam. Muszę się przygotować.

Mędrzycki odszedł, ale szeptał jeszcze do siebie pod nosem.

– Dopiero dzisiaj byłem… No, dopiero co byłem i jutro skoro świt… Chyba z Bełchatowa autobusem pojadę, bo nie zdążę...

Miłe wspomnienia zostały nagle przerwane. Stach poczuł, że ktoś trąca go w ramię. Przed nim stał jeden z jadących z nim żołnierzy.

– Panie poruczniku! Walczył pan we Lwowie? Podobny jest pan do takiego, co mi życie uratował. Na własnych rękach mnie wyniósł z pola bitwy, ale dokładnie go nie widziałem, bo miałem twarz i oczy zakrwawione od rany na głowie.

– Nie, nie – odpowiedział Stach i odchrząknął lekko. – Nie walczyłem we Lwowie.

– To przepraszam. Miałem nadzieję, bo chciałem mu podziękować.

– Nic się nie stało. Nic. Nie trzeba przepraszać.

Żołnierz wycofał się, a on ponownie zamknął oczy. Chciał choć jeszcze przez chwilę poczuć tamte szczęśliwe dni.

– Co to ja...? Aha! Maria – przypomniał sobie, o czym myślał i ponownie przeniósł się w przeszłość.

– Witam cię, Staszku! – powiedział Stefan Mucha, kolega z Inspektoratu Szkolnego w Piotrkowie Trybunalskim.
– Dzień dobry! Ty będziesz prowadził kurs? – spytał zaskoczony Mędrzycki.
– No, ja. Zawsze mi coś wcisną.
W tej chwili porządkowy poprosił zebranych o zajęcie miejsc.
– Chodźmy już. Później porozmawiamy – dodał.
Inspektor przeszedł do biurka stojącego pod tablicą na dużej konferencyjnej sali piotrkowskiego Kuratorium Oświaty, a Stach odwrócił się, zamierzając zająć miejsce wyznaczone dla kursantów, ale zrobił to zbyt gwałtownie i nieopatrznie wszedł prosto na młodą kobietę, stojącą tuż za nim.
– Przepraszam! Bardzo panią przepraszam, ale gapa ze mnie!
Zaskoczony i skonsternowany Stach zaczął gorąco przepraszać i całować po rękach zażenowaną kobietę, która cofając się delikatnie, wyciągała przytrzymywane przez Stasia ręce. Spojrzał jej prosto w twarz. „To anioł. Prawdziwy anioł" – ta myśl spowodowała, że zaniemówił. Kobieta zaczerwieniła się lekko. Kosmyk długich, ciemnych włosów opadł na policzek, co jeszcze bardziej podkreśliło jej subtelną urodę.
Patrzyli tak na siebie przez dłuższą chwilę, która wywarła na nich niezapomniane wrażenie.
– Musimy już siadać – powiedziała cicho. – Już się zaczyna. Halo! Halo! Proszę pana!
Staś stał dalej, patrząc w jej ciemne oczy i nie widział, i nie słyszał nic, co działo się wokół niego.
Machnęła ręką tuż przed jego oczami i uśmiechnęła się.
– Halo! Jest pan tutaj! Siadamy!...



Kurs nauczycielski w Piotrkowie Trybunalskim – 16.07.1936 r.
Na zdjęciu Maria Nowotarska i Stanisław Mędrzycki.

Nagle pociąg szarpnął i zaczął gwałtownie hamować. Stach ocknął się i odzyskał poczucie rzeczywistości. W wagonie powstał zamęt. Podniosły się głosy zaniepokojenia. W końcu skład zatrzymał się i słychać było tylko buchającą z komina lokomotywy parę.
– Coś się stało! – powtarzano, nasłuchując odgłosów dobiegających z zewnątrz.
– Dobrze, że się nie wykoleił – dodawali inni.
Z zewnątrz słyszeli wezwania do zatrzymania się.
– Stoj! Stoj! Budu strieljat'!
Zaraz potem padły strzały. Przez szpary w ścianach wagonów nie było nic widać, ale gdzieś obok usłyszeli:
– Uszli. Tiemno.
– Pagibnut at gałoda ili zamjerznut. Tut samoje biezljudje.[12]
Głosy oddaliły się i po kilku minutach ruszyli dalej.

[12] *Zdechną z głodu lub zamarzną. Tu same pustkowia.*

– Ucieczka! Oby im się udało – powtarzali podekscytowani żołnierze.

– Tak. Przy odrobinie szczęścia uda im się, ale są u Sowietów. I mróz, i ciemno, i bez jedzenia, gdzieś w stepie.

– Dla nich to lepiej – powiedział ktoś stojący pośrodku wagonu. – Nikt ich nie będzie gonił.

– Wszystko zależy od szczęścia – odpowiedział inny – jeśli trafią na sioło,[13] to przeżyją.

Rozmowy trwały do późna, a pociąg toczył się dalej. Sapiąc, co jakiś czas i parskając parą, gnał ciągle na wschód.

Zatrzymali się ponownie dopiero następnego dnia wcześnie rano. Drzwi wagonów rozsunęły się ponownie. Wokół widać było niskie zabudowania jakieś stacji, a dalej parterowe budynki i kamienice większego miasta.

– Wychaditie – padały komendy.

Odrętwiali z zimna i braku ruchu powoli wyskakiwali na peron.

W kilku punktach ustawione były kotły z przygotowaną ciepłą strawą. Jeńcom pozwolono załatwić osobiste potrzeby wzdłuż wagonów, później kazano im ustawić się w kolejkach do gorącej zupy.

Mędrzycki i Gardulski trzymali się razem. Prawie nie rozmawiali. Rozglądali się tylko, jak wszyscy, obserwując, co dzieje się wokół nich.

Cały dworzec obstawiony był sowieckimi patrolami z bronią i psami. Niektórzy żołnierze mieli na głowach zwykłe, niebieskie czapki z daszkiem i czerwonym otokiem, inni charakterystyczne – ze spiczastym zakończeniem i czerwoną gwiazdą, tzw. „budionówki", a na nogach wysokie buty. Dalej, za budynkiem, nieco z tyłu, za zabudowaniami gospodarczymi stali ludzie ubrani po cywilnemu. Przyglądali się z ciekawością temu niecodziennemu wydarzeniu.

[13] *Niewielka osada rolnicza.*

– Siądźmy tu z boku i jedzmy, póki gorące – Gardulski pokazał ruchem głowy w kierunku dworcowego muru.

– Zupa z brukwi – stwierdził już po chwili Stasiek.

– Ważne, że ciepła. Nie takie rzeczy się jadło – odpowiedział mu kolega, wylizując miskę. – Nie taka zła – dodał. – Człowiek, jak głodny, to nawet gówno by zeżarł.

Mędrzycki nie odpowiedział, bo rozległy się komendy do szybkiego powrotu do wagonów, szczekanie psów i poszturchiwania kolbami karabinów.

Kiedy wsiedli i pociąg ruszył, a zabudowania miasta zamieniły się w step, pokryty lekkim śniegiem, Gardulski spojrzał na kolegę. Robiąc poważną minę, zapytał:

– Myślisz, że gdzie nas wiozą?

Stanisław odpowiedział dopiero po bardzo długiej chwili:

– Pomódlmy się, Stefan. Pomódlmy...

Po kilku dniach, które różniły się od siebie chyba tylko tym, że wszyscy byli coraz bardziej zmęczeni i głodni, a niektórzy zaczęli także pokasływać, zatrzymali się na kolejnej stacyjce. Na budynku odrapanego dworca widniał napis: „Starobielsk". Choć pora była jesienna, wokół leżał już śnieg, kryjąc zalegające tu i ówdzie śmieci i nikomu niepotrzebne rupiecie. Tym razem ustawiono ich w kolumny. Otoczono patrolami żołnierzy z ujadającymi wściekle psami, szarpiącymi się na sznurach zamiast smyczy. Po jakimś czasie pochód ruszył w nieładzie po rozmokłym śniegu, kamienistymi ulicami, wzdłuż wynędzniałych, krytych słomą, glinianych chat.

Dookoła biegały wszędobylskie i ciekawe wszystkiego dzieci, a w oknach pojawili się, ostrożnie zerkając zza grubych zasłon, starsi mieszkańcy miasteczka. Z uwagą i współczuciem przyglądali się prowadzonym jeńcom, którzy szli w milczeniu, w większości z opuszczonymi głowami, jakby wstydzili się, że poddają się tak łatwo, że nie stawiają oporu, pozwalając się poniżać i podle traktować.

Mędrzycki rozglądał się dookoła. Patrzył na dzieci, które opatulone szmatami i przyodziane w liche fufajki,[14] w słomiane lub uszyte ze starych szmat walonki,[15] przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy. Ileż można by było dla nich zrobić? Ileż pomóc? Sądząc po wyglądzie nie było im łatwo. Jego dzieciństwo było inne, beztroskie. Doskonale pamięta wesołe zabawy wokół rodzinnego młyna, w którym ojciec ciężko pracował na utrzymanie rodziny. Ale to właśnie dlatego, że ojciec – młynarz Piotr – znany i poważany przez wszystkich, tak ciężko pracował, on mógł pójść do szkół, najpierw tej pierwszej – pospolitej, później dalej…

Lubił szkołę i lubił dużo czytać, a rodzinne wychowanie w duchu patriotycznym wyrobiło w nim poczucie dumy narodowej. Dumy, że jest Polakiem… Jeść też miał co i nie pamięta, żeby kiedyś poważnie chorował, a na świeżym powietrzu i w ciągłym ruchu spędzał niemal całe dnie. Tak więc i do sportu go ciągnęło i do historii. Dobrze im się wiodło, ale praca i posłuch były u nich w domu na pierwszym miejscu…

Matka była przy nim zawsze, kiedy jej potrzebował. Zajmowała się nim i siostrą – i nigdy, ale to nigdy nie narzekała, zawsze była pogodna i uśmiechnięta. Tę rozwagę i opanowanie miał po niej, bo ojciec, choć człowiek o „gołębim sercu", miał porywczy temperament.

Pamięta, jak raz w życiu dostał od niego lanie, dostało mu się rzemieniem po gołym tyłku, a choć nie uronił przy tym ani jednej łzy, to jeszcze przez tydzień tak go piekło, że tylko jednym półdupkiem siadał na stołku. No, ale do dziś dnia zapamiętał, jak ojciec mówi: „Nie wchodź na komórkę, bo dach stary i może nie wytrzymać…" Tak. To, co powie ojciec, powinno być święte, a on jak przyrzekł, że nie wejdzie, to nie powinien był tego robić i już. Słowo człowieka powinno być najwięcej warte. On też tak

[14] *Fufajka (reg.) lub kufajka – ciepła, gruba kurtka.*
[15] *Ciepłe obuwie do połowy łydki, chroniące przed mrozem.*

wychowa swojego syna. Posmutniał. Tylko?… Czy kiedyś będzie go miał? Czy w ogóle będzie miał dzieci?

Wkrótce dotarli do miejsca przeznaczenia. Ujrzeli zniszczone zabudowania dużej cerkwi czy klasztoru, a obok nich drugą z obłamanymi krzyżami i murowane zabudowania poklasztorne oraz wielu, wielu polskich żołnierzy, jeńców – takich, jak oni.

Przez powieszone na słupach głośniki „na okrągło" słychać było propagandowe i kłamliwe treści: o Polsce i Polakach, o polskich ziemiach wschodnich, o niezwyciężonej radzieckiej armii, o tym, że Warszawa nie jest już stolicą Polski, bo Polski już nie ma, bo polski rząd uciekł z kraju, zostawiając naród.

Komunikaty te przeplatane były melodiami Chopina i choć nie było to zamierzonym celem sowieckich propagandzistów, podtrzymywały na duchu, przywoływały wspomnienia ojczyzny.

Natychmiast po przybyciu do obozu rozpoczęło się szczegółowe śledztwo. Wśród ogłuszającego, radiowego hałasu, przy ustawionych stołach zasiedli pisarze i śledczy NKWD.
Przesłuchiwani ustawili się w długie kolejki.

– Imja?[16] – padało krótkie pytanie.

– Wojennogo kłassa i paslednieje naznaczenije?[17] – kontynuowano.
Po wstępnym przeszukaniu osobistym kierowano ich grupami do baraków, do głównego budynku lub nawet do wieloosobowych, lichych namiotów.

Mędrzycki trafił razem z kolegą i grupą oficerów do cerkwi. Tuż za progiem obstąpili ich towarzysze niedoli, którzy przybyli do Starobielska wcześniejszymi transportami.

– Witajcie – rozpoczęły się szczere uściski i powitania.

– Skąd przyjechaliście? Gdzie trafiliście do niewoli? Czy wiecie, co dzieje się w Polsce, bo tu cały czas tylko kłamstwami nas karmią? – zasypywano ich pytaniami.

[16] *Imię i nazwisko.*
[17] *Stopień wojskowy i ostatni przydział.*

Do przodu wyszedł wysoki, szczupły oficer wyróżniający się spośród innych w miarę czystym ubiorem i ciemną bródką.

– Porucznik Kwolek – przedstawił się. – Pełnię obowiązki starszego tej sali. Zaraz dyżurni rozlokują kolegów, dostaniecie swoje prycze. Przekażą wam też najważniejsze informacje dotyczące obozowego życia. Poznacie plan dnia i obowiązki każdego z nas. Musimy tu sami zachować ład i porządek. To ważne. A za najważniejsze uważam utrzymywanie wysokiego morale. Nie możemy dawać ponosić się emocjom i odpowiadać na ich zaczepki. Z drugiej strony nie można dopuszczać do traktowania nas w sposób inny, niż powinno się traktować jeńców. Co prawda Sowieci nie podpisali Konwencji Genewskiej, ale to nie upoważnia ich do postępowania wobec nas w sposób inny, niż to przystoi cywilizowanym narodom. A my, oficerowie, powinniśmy dawać przykład żołnierskiej postawy zarówno Sowietom, jak i niższym rangą kolegom i cywilom. Nie potrwa to długo. Anglia i Francja upomną się o nas. Przecież internowanie tylu żołnierzy, naukowców, duchownych i przedstawicieli wszelkich innych wysoko kwalifikowanych zawodów..., no, po prostu przedstawicieli inteligencji polskiej, ludzi kultury, nauki – znanych nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, nie może pozostać bez echa w cywilizowanej Europie – chrząknął, zatykając sobie pięścią usta i schylił głowę, jakby chciał ukryć narastający w nim żal i rozgoryczenie. – W razie jakichś sporów – dodał zmieniając temat – mamy sąd koleżeński – zasalutował i odszedł, przeciskając się pomiędzy stojącymi za nim żołnierzami.

Następnego dnia, jeszcze przed porannym apelem, do sali wszedł wartownik i wrzasnął na całą salę:

– Dąbczak Władysław. Wy na dapros![18]

Mędrzycki brał się właśnie do golenia.

– Znowu przesłuchanie? – spytał głośno.

---

[18] *Przesłuchanie.*

– Jak co dzień, ale zwykle to nocami przesłuchują – odpowiedział towarzysz niedoli leżący na pryczy obok, który z braku wojskowego płaszcza okryty był kocem.

– O co im chodzi? – spytał Stasiek. – Wczoraj wieczorem to wypytywali mnie o takie głupoty, że.... A straszyli... polskimi panami i wyzyskiem i...

Mężczyzna, który odezwał się wcześniej, usiadł ospale na łóżku.

– I tak już nie poleżę. Zimno jak cholera, a i tak zaraz będzie apel i do kibla nie zdążę – odszedł, nie udzieliwszy odpowiedzi w stronę jedynej, rozwalającej się drewnianej szopki, służącej za latrynę.

– Bolek! – krzyknął za odchodzącym Gardulski. – Czekaj. Też idę.

Mędrzycki nachylił się w stronę siedzącego pryczę niżej Stefka.

– Znasz go?

– Wczoraj, jak byłeś na przesłuchaniu, trochę rozmawialiśmy. Nazywa się jakoś tak... trochę śmiesznie. Chyba Berbeka. Trzy lata młodszy od nas. Późno wrócił i był bardzo zmęczony, to krótko gadaliśmy. Robił przy tej dużej cerkwi, przy przeładunku zboża. Zwożą je tu ciężarówkami i składują. Podobno to zapasy przeznaczone na front.

Mędrzycki jakby nie słyszał. Mówił dalej:

– Jesteśmy dopiero drugi dzień w obozie i już dwa razy mnie przesłuchiwali. A ciebie nie wołają. O co im chodzi? Mają coś do mnie?

Po chwili machnął ręką i dodał:

– Aaa... tam. Tajemnic żadnych ze mnie nie wyciągną, no bo przecież nie znam.

– Nie martw się – odpowiedział kolega. – Przyjdzie i na mnie czas. Biorą po kolei. Wszystkich naraz nie dadzą rady – poklepał Stasia po ramieniu. – Szukają – dodał. – Może ktoś coś wie i liczą na to, że za wyjazd do domu, to się który złamie. Sobaki według siebie sądzą. Myślą, że polscy żołnierze to tacy sami jak oni,

co to tylko rublem machniesz przed nosem, a własną matkę by sprzedał.

Tymczasem wyczytano kolejne nazwisko.

– Mędrzycki Stanisław!

Odwrócili się w stronę dyżurnego wartownika, przerywając rozmowę.

– No, Stasiu. Nie zapomnieli o tobie – Stefan uśmiechnął się smutno.

– Najlepiej mówić, co się wie – dodał starszy o kilka lat od niego mężczyzna przysłuchujący się rozmowie. – Ot, po prostu. Prawdę. Przecież my z rezerwy. Z cywila wzięci. Ja na ten przykład, panie, jestem nauczycielem.

– Ja też – wtrącił Mędrzycki. – Muszę już iść, ale później porozmawiamy.

W niewielkiej, ciasnej, klasztornej celi, znajdującej tuż obok sali głównej, stało małe, stare biurko, za którym siedział oficer w mundurze NKWD i niższy rangą pisarz, także ubrany po wojskowemu. Stanisław stanął tuż za progiem i czekał.

Wtem do pomieszczenia wszedł drugi wartownik.

– Tawariszcz komisar. Pismo – podał list.

Komisarz otworzył kopertę i powoli przeczytał, po czym wstał, włożył czapkę i zwrócił się do pisarza.

– Mnie nada idti. Wy naczinajtie – skierował się do wyjścia.

Pisarz wstał gwałtownie.

– Tawariszcz Michaił Michajłowicz.

– Da? – dowódca odwrócił się niezadowolony, że go zatrzymuje.

– Towariszcz Kirszyn – kontynuował lekko przestraszony podoficer i chciał mówić dalej, ale przełożony spojrzał na niego groźnie i uprzedził go.

– Sagłasna rjeglamjentu, tawariszcz. Sagłasna rjeglamjentu[19] – i wyszedł.

Pisarz westchnął. Spojrzał najpierw w papiery leżące na biurku, później chrząknął i kierując wzrok na Mędrzyckiego, rozpoczął groźnie.

– Waszu Imja.

– Mędrzycki Stanisław – spokojnie odpowiedział pytany. – Już mówiłem wczoraj. Tam jest napisane. W moich papierach.

– Nie umnićajtie, tolka atvjećajtie na waprosy![20] – wrzasnął bolszewik i udawał, że coś czyta.

– Gdje żywjotje w Polsze? – spytał już łagodniej.

– Obecnie mieszkam w szkole na wsi, tam gdzie uczę. Jestem nauczycielem. To taka mała wieś Papieże, koło Szydłowa, niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego. Ale tak właściwie, to miałem angaż tylko do końca sierpnia. Wcześniej przez kilka lat uczyłem w Sromutce – też na wsi – koło Zelowa, w powiecie piotrkowskim, gmina Bujny Szlacheckie.

– Kakije priedmjety wy priepadawali w szkolje?[21]

– Wszystkich. To szkoła powszechna, na wsi. Dzieci jest niewiele, ale lubię uczyć ćwiczeń cielesnych i… – zawahał się chwilę – i lubię też przygotowywać i wystawiać przedstawienia teatralne, takie różne teatrzyki szkolne.

– Ziemjla u was jest? – pytający nagle zmienił temat.

– Jaka ziemia?

– Nu, ja imjeju w widu imuścjestwo kakoje-to?[22]

– Nie, nie mam ziemi ani własnego domu. Mieszkałem, jak już mówiłem, w szkole, razem z siostrą, która mi pomagała. Gotowała, trochę sprzątała, razem dawaliśmy sobie radę, ale teraz wyszła za mąż i mieszka w Zelowie. Niedawno urodziła dziecko.

---

[19] *Zgodnie z regulaminem towarzyszu. Zgodnie z regulaminem.*
[20] *Nie wymądrzajcie się, tylko odpowiadajcie na pytania!*
[21] *Jakich przedmiotów uczyliście w szkole?*
[22] *No, znaczy się majątek wasz, jaki jest?*

– A szto wy możetje skazat' na ściot waszych djetjej, znaćit ućenikow ? Djetjej kułakow wy ućitje?[23]

– U nas na wsi to głównie chłopskie dzieci. Biedne.

– Gałodnyje chadjat?

– No, może i czasem głodne, a czasem i bose. Jak to na wsi. Pisarz przerwał na chwilę i zajrzał do kartek.

– A gigjena, cistata?[24] – pytał dalej.

– Na to kładę specjalny nacisk. W sieni stoi miska i zawsze myją ręce przed wejściem do klasy.

– A adjeżdu w sanitarnyj prapusknik atdajotje?[25]

– Nie...! U nas nie ma odwszalni. Nie ma takiej potrzeby.

– Kak njet u was sanitarnowo prapusknika ? – spojrzał na niego zdziwiony. – Ja nie durak. W djerjewnje njet. A w gorodje?[26] – zerknął do notatek. – Sydłów... Szydłów – poprawił, cedząc przez zęby.

– Nie, tam też nie ma.

– Intieligjencja, sabaća jewo mać![27] – powiedział wyraźnie poirytowany. – Pany! Takaja tut cywilizacja wielikaja, a sanitarnowo prapusknika u nich niet!

W tej chwili wrócił komendant polityczny obozu Kirszyn. NKWD-zista ponownie poderwał się od stolika.

– Tawariszcz... – chciał zameldować, ale komendant uciszył go gestem ręki.

– Uzniki na pierjeklićku[28] – zakomenderował. – Patom my eta dakońcim.

---

[23] *A co wy możecie powiedzieć o waszych dzieciach, uczniach znaczy się? Kułackie dzieci uczycie?*

[24] *A higiena, czystość?*

[25] *A ubrania do odwszalni dajecie?*

[26] *Na wsi nie ma. A w mieście?*

[27] *Inteligencja! Psia jego mać!*

[28] *Więźnia na apel.*



Lejtnant Armii Czerwonej
Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Tuż po apelu jeńcy dostali po kubku wody do picia i podzielono ich na grupy. Następnie skierowano do różnego rodzaju prac na terenie obozu. Jedni zaczęli kopać doły na nieczystości i budować nową latrynę, inni łaźnię, umywalnię i odwszalnię, jeszcze inni zajęli się naprawą, okalającego klasztorny teren, muru.

Krzątaninie więźniów towarzyszyły ryczące przez cały czas głośniki. Około południa zrobiono przerwę. Podano ledwie ciepły obiad, czyli zupę z brukwi. Jak się później okazało, był to jedyny posiłek tego dnia.

Zmrok zapadł szybko, ale pracy nie przerwano. Pracowano do późna przy słabym świetle rozwieszonych na drutach żarówek. W końcu wrócili do swoich kwater. Zmęczeni i brudni, ale też bardzo zmarznięci i głodni. Na szczęście każdy miał między swoimi rzeczami lub ukryte w szafkach resztki jedzenia. Jedni więcej, inni mniej. Komuś została tabliczka czekolady schowana na czarną godzinę, innemu suchary lub czerstwy kawałek chleba, lub pieniądze, za które można było kupić od innych coś do jedzenia.

Rozpoczął się handel wymienny. Za tytoń można było dostać cebulę, a za papierosa nawet cukierki.

Pośrodku sali stał stary piecyk, w którym podtrzymywano ogień, podkładając co jakiś czas drewno i torf. Każdy chciał być jak najbliżej źródła ciepła, ale dyżurni, starannie i z wielką surowością, przestrzegali kolejności i czasu, w którym można było podejść na tyle blisko, żeby rozgrzać skostniałe z zimna ręce.

Mędrzycki usiadł na brzegu łóżka i patrzył na nowego sąsiada, który starannie wkładał pod ubranie resztki gazet i czasopism walających się tu i ówdzie pod pryczami.

– Mówił pan, że jest pan nauczycielem – zagadnął.

– Tak – odpowiedział krótko stary żołnierz.

– Można wiedzieć, gdzie pan uczy?

Mężczyzna przerwał zajęcie, podniósł wzrok i spojrzał smutno na Stasia.

– Już, panie, panie... nie uczę. Zamiast uczyć, tutaj siedzę. Zamiast dzieci rachunków i kaligrafii... tutaj, panie. Tak, panie poruczniku.

Stasiek wskazał ręką miejsce na pryczy obok mężczyzny.

– Można przysiąść.

– Czemu nie. Zmieścimy się, panie kolego.

– Mędrzycki Stanisław – wyciągnął rękę na przywitanie. – Po prostu Stasiek – dodał.

– Feliks Bednarek. Też mów mi po imieniu. To, czego, Stasiu, uczyłeś?

– Wszystkiego po trochu, jak to w wiejskiej szkole. Pięć oddziałów, niemal setka dzieci. Najpierw w jednej szkole, potem w drugiej.

Przerwał chwilę i spojrzał na starszego od niego o kilkanaście lat mężczyznę.

– Dzisiaj już mnie o to wszystko na przesłuchaniu pytali – uśmiechnął się.



Stanisław Mędrzycki z dziećmi. Kolonie w Sromutce.

– Przepraszam, panie, panie. Ja tylko tak, z ciekawości. A oni to o wszystko pytają. Byłem już u nich w niewoli w 21. roku, kiedyśmy pod Hallerem walczyli – Feliks zamyślił się, a po chwili dodał: – Ale krótko. Wymienili nas za swoich. Tych pochodzących z centralnej Polski nie chcieli.

– A u nas był kiedyś Haller – przerwał mu Stanisław. – W 27. Józef Haller był. Tylko, że prywatnie. Znajomy lekarz mi opowiadał, bo mnie jeszcze wtedy tam nie było. Żona generała była bardzo chora i jak to w takich przypadkach się robi, szukali różnych sposobów, żeby co pomogło. Przyjechali więc swoim samochodem do Parzna, niedaleko nas. Tam jest sanktuarium Wandy Malczewskiej, słynącej z uzdrowień i łask wszelkich. Kiedy wracali, mieli wypadek w Bachorzynie na zakręcie, tuż koło Zelowa, z pięć kilometrów od Sromutki, gdzie wcześniej mieszkałem. Wtedy wezwano do nich mojego znajomego – doktora Łuczyńskiego. Na szczęście nie stało się im nic poważnego. Jakieś zadrapania mieli na ciele, jakieś tam sińce, a w samochodzie wygięty błotnik. Po założeniu kilku opatrunków i naprawieniu auta pojechali dalej.

Bednarek ponownie przerwał zajęcie. Utkwił wzrok gdzieś przed siebie i dodał:

– Tak! Panie, panie! Wielki generał. Widziałem go, tak jak tu ciebie widzę.

– Tak blisko?

– Ano, tak blisko. Przypinał mi medal do munduru – dodał z dumą. – Za wojnę polsko-bolszewicką. Tu w obozie jest major Piotr Kiełkowski. Był wtedy moim dowódcą. On dostał Srebrny Krzyż Orderu Virtutti. Jeszcze jako podporucznik.

– No, to swoje już przeszedłeś – powiedział z podziwem Stach.

– Lekko mi w życiu nie było, panie, panie. Ale nie narzekam. A Bóg da, to i to się przeczeka i do domu wrócę, do żony.

Ponownie zabrał się do wypychania bielizny.

– Najlepsza izolacja przed zimnem – dodał. – Spróbuj.

Staszek zaczął zbierać porozrzucane czasopisma i przeglądać ich treść.

– Później będziesz czytał. Teraz upychaj, póki jeszcze masz co.

Siedzieli razem na pryczy, tworząc pod ubraniem dodatkową warstwę, która mogła uratować im życie. Widząc to, Stefan i Bolek poszli za ich przykładem. Mędrzycki oklepał się pod płaszczem, starając się dokładnie rozłożyć warstwy gazet.

– Nie glancuj tak – skrytykował go Bednarek. – Powinny trochę odstawać od ciała. Jak są takie pomiętolone, to jest między nimi trochę powietrza i tworzy to taką ciepłą warstwę. Lepiej powiedz, panie, panie, o co jeszcze pytali.

– O dom, o pracę w szkole, czego uczę i w ogóle.

– Mów im prawdę, jeśli mogę ci radzić. Tylko nie dodawaj nic sam, od siebie. Nic nie mów ponad to, o co cię pytają. Odpowiadaj ściśle i krótko. Abyś przypadkiem czegoś nie chlapnął.

Mężczyzna zastanowił się, jakby wspominał swoje doświadczenia.

– Tak właśnie dzisiaj było! – Stach aż poskoczył na pryczy. – W ostatniej chwili ugryzłem się w język, bo coś mnie tchnęło.

– No? – zaciekawił się Feliks.

– Pytali, czego uczę w szkole i czego uczę dzieci.

– I co?

– No, i już miałem im powiedzieć, że prowadziłem w Sromutce oddział Związku Strzeleckiego, ale pomyślałem sobie, że to z wojskiem związane, a przecież mnie o to nie pytali.

– Iiii!... bardzo dobrze zrobiłeś – Bednarek niemal krzyknął.

Po chwili zauważył swój wybuch i już łagodniej dodał:

– Przepraszam, panie, panie! To emocje, wspomnienia. Skurczybykom nie mówić takich rzeczy, póki naprawdę nie ma wyjścia.

Mędrzycki położył się na swoim posłaniu. Wielopiętrowe prycze stały jedna nad drugą, rozstawione w rzędach w bardzo bliskiej odległości od siebie. Aby sięgnąć sąsiada, wystarczyło wyciągnąć rękę. W niszy, w której mieli swój kąt do spania, stały tylko po dwie na wysokość, ale w wielu miejscach, zwłaszcza pośrodku sali, złożone były z sześciu warstw tak, że aby dostać się na swoją pryczę, ci śpiący pod sufitem musieli wykazywać, jak w cyrku, niezłe zdolności akrobatyczne.

– Pogadajmy jeszcze – poprosił Feliks widząc, że sąsiad szykuje się na spoczynek. – Chociaż chwilę. Może nie będzie tak ssało w żołądku. Opowiadaj, panie, panie. I tak ciężko będzie zasnąć. Ciekawy jestem, bo należałem kiedyś do Strzelców – dodał z rozrzewnieniem.

Stanisław nabrał głęboko powietrza i zaczął opowiadać:

– Do Związku należę od 34. roku. Mam stopień kompanijny. Kurs dla oficerów kończyłem w Spale.

Tu przerwał chwilę, zastanawiając się, o czym mówić dalej. Po chwili uśmiechnął się sam do siebie i kontynuował:

– Najbardziej lubię te ogniki w oczach młodzieży, kiedy idziemy na manewry lub na ostre strzelanie. Ich zapał, ambicję. Ci młodzi chłopcy wargi aż do krwi przygryzają, byleby tylko nie okazać jakiejś swojej słabości. A rygor na obozach panował wojskowy. Jednakowe zasady obowiązywały wszystkich. Jednakowe – bez względu na różnicę wieku czy tężyznę fizyczną.


2b PUŁK PIECHOTY
LEGITYMACJA INSTRUKTORA WF lub PW
Nr 36

Stanisław Mędrzycki – legitymacja.

Nasze „Orlęta" wprawiają się w łucznictwie i strzelectwie z broni małokalibrowej. Poznają zasady musztry i służby wartowniczej. Uczą się terenoznawstwa, udzielania pierwszej pomocy, łączności i sygnalizacji. Na ostatnim obozie w Przygłowiu było 115 dzieci z Piotrkowa i powiatu. W tym od nas – z Szydłowa, z Bujen i ze Sromutki moje orzełki. Z najbiedniejszych, bezrobotnych, małorolnych i robotniczych rodzin. Dla nich jest to jedyna ucieczka od ciężkiej pracy w gospodarstwie. Forma spędzenia czasu. Jedyna możliwość wyjazdu poza miejsce zamieszkania. Byłeś w Strzelcach, to wiesz, że naszym celem jest „zdobytą niezawisłość i całość państwa utrzymać i wzmocnić" oraz postępować zgodnie z tym, co powiedział nasz Marszałek, Józef Piłsudski: „Każdy żołnierz obywatelem, każdy obywatel żołnierzem".

Nagle odezwał się milczący do tej pory Stefan.

– Kończmy na dzisiaj, panowie. Jutro znów czeka nas ciężka praca.



Obóz „Orląt". 1-20 lipca 1938 r. Przygłów k. Sulejowa.

Stanisław odwrócił się na bok. Szmer rozmów dogasał. W końcu zapadła cisza. Tylko czasami słychać było pojedyncze pochrapywania i pokasływania. Dzięki słabemu światłu brudnej żarówki i resztkom ognia z piecyka w sali panował półmrok.

Wtem rozległ się donośny głos.

– Mitera Zygmunt – wrzasnął na całe gardło wartownik.

Było już po północy. Rozpoczęły się przesłuchania. Stach naciągnął kołnierz płaszcza, wtulając weń głowę. „Wyczytają jego nazwisko czy nie? Wyczytają czy nie? Wyczytają czy...?" – przypomniał sobie wyliczanki i wróżby, jakie razem z Marią urządzali dla zabawy.

Mimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. Ożywiły się w nim wspomnienia, przewijały się uporczywie jedno za drugim, plątały i powracały wciąż te same, aż w końcu, po przedsennych majakach, nadszedł, dający ukojenie i chwilę zapomnienia, sen.

Następnego dnia po apelu rozeszli się do wyznaczonych obowiązków. Dzień nie różnił się od poprzedniego. Około południa ustawiła się długa kolejka do kotłów z zupą. Rozpoczęły się

przepychanki. Każdy chciał być pierwszy. Po pierwsze – z głodu, po drugie – żeby strawa nie wystygła, po trzecie – może dla wszystkich nie starczyć. Bolek podszedł do siedzących pod murem kolegów. W metalowej misce niósł polewkę z kawałkiem niedogotowanej brukwi.

– Można, panie poruczniku? – zwrócił się do Mędrzyckiego.

– Siadaj. Musimy trzymać się razem. W końcu jesteśmy towarzyszami niedoli i sąsiadami. Jestem Stasiek – Mędrzycki wyciągnął rękę na przywitanie.

– Bolek. Bolesław Berbeka – odpowiedział i ukucnął obok, a unosząc nieco w górę swój obiad, dodał:

– Długo jeszcze będą nas tym karmić?

– Jedz, bo ci wystygnie – zganił go Feliks.

Bolek zaczął wiosłować łyżką i po chwili z obiadu nie było już ani śladu. Otarł rękawem usta i choć go nie pytali, zaczął opowiadać o sobie.

– Byłem na Podolu w Korpusie Ochrony Pogranicza. Mieliśmy chronić granicy przed agentami i uzbrojonymi oddziałami dywersantów przerzucanych przez sowieckie służby specjalne z terenu ZSRR. A kiedy wybuchła wojna, dostaliśmy rozkaz obrony strażnicy.

Rankiem, 17 września, bolszewicy przekroczyli granicę. Były ich setki, a nas niewielu. Bili z granatników, jakby jabłka wprost z koszyka rzucał. Do tego mieli miotacze ognia. Kiedy budynek wartowni zaczął się palić, kolega Franek wyskoczył przez okno, ale oni już tam byli... Zakłuli go bagnetami... Ja pobiegłem za budynek, a później w pobliskie krzaki i w las. Potem przedostałem się przez rzekę do naszych. Walczyłem jeszcze w kilku bitwach. Ta ostatnia była naszą porażką, ale broniliśmy się zaciekle. Na tyle, że losy walki przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę i już myśleliśmy, że zwyciężyliśmy, bo bolszewicy zaczęli się cofać. Jednak, kiedy ich oficer to zauważył, zaczął do nich strzelać. Szedł za oddziałem i strzelał do nich, do tych, co próbowali się urwać i chociaż byli lekko ranni, leżeli po dziurach

i jęczeli. Podchodził do nich i od razu kulka w łeb. O nic się pytał ani nie sprawdzał... kulka w łeb i już... I jeszcze dostali posiłki. Wtedy przeszli do kontrataku. Było ich ze trzy razy więcej niż naszych, ale zanim nas okrążyli i musieliśmy złożyć broń, zatłukłem kilku, tych skur... – wycedził ze złością przez zęby. – Będę ich zabijał i tępił, ... za Franka... za Maurycego... Nienawidzę ich! – w jego oczach pojawiły się łzy.



Żołnierz Wehrmachtu. Miotacz ognia. (reprint)

Zapadła martwa cisza. Każdy z osobna rozpatrywał w myślach przejścia z ostatnich bitew. Przeżywał od nowa rozpacz i widok śmierci – nieodłącznej towarzyszki wojen. Tej, którą widzieli wokół siebie, nagłej, gwałtownej, i tej, która przychodzi w bólach przeszywających ciało od odniesionych ran, od poszarpanych granatem kończyn, od upływu krwi. Wciąż jeszcze czuli swąd nadpalonych ludzkich szczątków. Zwęglone ciała bydła i koni. Przed oczami mieli ruiny miast i spalone chłopskie chaty. Słyszeli krzyki dzieci, mężczyzn i kobiet daremnie wzywających pomocy, uciekających z bombardowanych, palących się domów i szpitali.

Mężczyzna ponownie otarł łzę w oku. Wysmarkał cieknący nos. Westchnął głęboko, a po chwili dodał, zmieniając temat:

– Aaa! Wiecie, co słyszałem? Wczoraj rozmawialiście o Hallerze. Jest u nas w obozie jego kuzyn, generał Stanisław Haller. Tylko ma oddzielną kwaterę – w jednym z tych domów przy ulicy Wołodarskiego, razem z innymi generałami i pułkownikami.

Nieoczekiwanie do rozmawiających żołnierzy podszedł, wałęsający się po terenie, obozowy Burek.

– Dałbym ci, piesku, ale sam nie mam.

Bolek ostrożnie, z obawy o własną rękę, pogłaskał psa po głowie, lecz ten nie zrobił mu krzywdy, uznał go za towarzysza niedoli. Zajrzał do pustej miski, jeszcze bardziej podkulił ogon i powoli odszedł.

W ciągu następnych dni, kiedy jeńcy byli już u kresu sił, obozowe życie uległo lekkiej poprawie. Posiłki podawano dwa razy dziennie. Rano była kasza z olejem – choć jedna porcja przeznaczona była dla dziesięciu żołnierzy, bo tyle przy jednej misce leżało łyżek, a po południu zupa, na szczęście już nie z samej brukwi, tylko z mięsem i okraszana tłuszczem. Był też chleb razowy lub pytlowy, czasem żytni z domieszką mąki kukurydzianej. Jednorazowo więźniowie dostali cukier i herbatę, a także mydło do prania, mydło toaletowe i zapałki. Otwarto także kantynę, w której można było kupować za pieniądze. Bułka kosztowała 65 kopiejek, a śledź 40-60 kopiejek. Tylko papierosy były marne i bardzo drogie.

Można też było zaopatrzyć się w codzienne moskiewskie pisma i „Głos Radziecki" redagowany w Charkowie w języku polskim, choć niezbyt literackim. Ten ostatni, choć siał nieprawdę i wręcz zionął nienawiścią do wszelkiej klasy wyższej od robotników i chłopów, cieszył się dużą popularnością ze względu na poznane już przez jeńców walory prasy.

Powoli następowało budzenie się z letargu i sromoty spowodowanej niewolą, przegraną wojną, izolacją od rodzin. Powoli znikał z twarzy wyraz upokorzenia i złego nastroju. Przyczyniali się do tego zwłaszcza wyżsi rangą oficerowie i kapłani, którzy

podnosili wszystkich na duchu, organizując obozowe życie materialne i duchowe. Starając się polepszyć panujące warunki na tyle, aby były one znośne i pozwoliły przetrwać trudny czas niewoli.

Sowieci pozwolili na codzienne msze i modły – rano i wieczorem. Każde z wyznań miało swojego przedstawiciela duchowego. Każdy więc mógł pomodlić się we właściwy dla niego sposób. Tworzyły się kółka odczytowe. Organizowano przedstawienia i pogadanki. Dużym powodzeniem cieszyło się kilka obozowych książek. To dawało efekty, pozwalało na łagodzenie sporów i poważniejszych kłótni, których jednak nie brakowało.

Przesłuchania prowadzone były nieustannie. Po kilkukrotnym przesłuchaniu wszystkich rozpoczynano kolejną serię.

Mędrzycki wyjął ołówek i zaznaczył na ścianie obok swojej pryczy kolejny mijający dzień. Rozejrzał się wokół.

– Zaznaczam też, kiedy byłem przesłuchiwany – powiedział do wszystkich, choć wcale go o to nie pytali.

– Teraz pewnie też zaczną ode mnie – dodał.

– Tak, czuj się wyróżniony – uśmiechnął się Stefan – jak zwykle ty pierwszy.

– Ty byłeś trzy razy, a ja już pięć – odezwał się Józek, niedaleki sąsiad.

– Nie martw się i tak cały „cyrk" przelecą – wtrącił ktoś obok.

– Powinieneś się już przyzwyczaić.

– Do czego niby mam się przyzwyczaić! – zirytował się Adam, wysoki, barczysty mężczyzna w cywilnym ubraniu – z zawodu inżynier budowy mostów.

– Co? Może do tego, że muszę spać w zimnie i smrodzie na podłodze? Czy do tego, że muszę chodzić na przesłuchania i odpowiadać na te ich głupie pytania, zamiast być razem ze swoją rodziną? Straszne! – złapał się za głowę – Tobie to już mózg wy-

prali. Czy nie chciałbyś żyć w spokoju? Wrócić do domu i do bliskich?
Oskarżany mężczyzna zdenerwował się także.
– Przecież wiesz, że nie o to mi chodziło!
– Mówię tylko, że to było do przewidzenia.
– To nie mów, bez tego wiemy.
Mędrzycki zaczął ich uspokajać.
– Panowie. Dajcie spokój. Przecież i tak musimy iść i odpowiadać na pytania.
– Tak, tylko ja mam dosyć.
– A ja to niby nie? W podskokach i z uśmiechem tam lecę?
– Wasza kłótnia nic nie zmieni – wtrącił Feliks Bednarek.
– Podajcie sobie ręce na zgodę i już.
Mężczyźni spojrzeli na siebie wzburzeni jeszcze, ale po chwili podali sobie ręce, chociaż do końca dnia już się do siebie nie odezwali i chodzili naburmuszeni.

***

W drugiej połowie października przyszły jeszcze większe mrozy, zwłaszcza nocą temperatura spadała kilkanaście stopni poniżej zera. Rozpalano więc nielegalne ogniska, przy których można było się ogrzać podczas krótkich przerw w pracy. Sowieci przymykali na to oko, ale mimo tego do nowo utworzonej izby chorych trafiało coraz to więcej osób z wysoką gorączką – kaszlących i kichających. Leków prawie nie było, więc obozowi lekarze – także jeńcy, stosowali zwykłe, domowe sposoby na przeziębienie – bańki, gorącą kawę i leżenie w cieple. Warunki higieniczne na szczęście były tam o niebo lepsze, niż te w salach. Można więc było zadbać o chorych w stopniu zadawalającym. Jedynym utrapieniem był nieustanny brak łóżek. Jednak przepełnienie panowało nie tylko w lazarecie, ale w całym obozie.

Berbeka wyszedł z sali tuż po porannej pobudce. Codziennie trzeba było odstać swoje w kolejce do latryny. Jednak tym razem wrócił już po chwili.
– Coś się dzieje. Od strony wsi jadą ciężarówki i więźniarki. Może będą nas wozić do pracy, do kołchozu,[29] jak mówili miejscowi.
Samochody zatrzymały się tuż za drugim ogrodzeniem – stale oświetloną siatką, jaka otaczała dopiero co naprawiony wysoki na dwa metry ceglany mur, zwieńczony kolczastym drutem.
Z najbliższych wież wartowniczych strażnicy skierowali w ich stronę karabiny, a przez głośniki rozległy się nawoływania na poranny apel. Jeńcy ustawili się szybko w wyznaczonych miejscach. Dowódca obozu, kpt. Bieriezkow, wszedł na drewniany podest, a wraz z nim tłumacz.
– Pajedjetie damoj – zaczął.
Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Czy dobrze słyszą? Czy mówił o wyjeździe do domu? Przez tłum przetoczył się szmer radości i uścisków, podawania sobie rąk.
– Spakojna – uciszali ich wartownicy.
Psy, które trzymali na sznurach, zajadle szczekały i podskakiwały, wyrywając się w kierunku jeńców.
– Cicho, cicho – zaczęli się nawzajem uspokajać. Słuchajmy, co powie.
Dowódca mówił dalej, a jego słowa były tłumaczone.
– Wyczytani z imienia i nazwiska niech zabiorą swoje rzeczy i zajmą miejsca w samochodach, które zawiozą was na stację, a potem do waszych rodzin. Ci, dla których nie wystarczy miejsc, ustawią się w kolumny i pójdą za samochodami pieszo. Pamiętajcie jednak, że Armia Czerwona to wasz jedyny przyjaciel, a polscy panowie to wasi wrogowie. Wrogowie ludu pracującego. Wasza burżuazyjna ojczyzna was sprzedała. Zostawili was i

[29] *Kołchoz – Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w ZSRR.*

zwiali, jak te szczury z tonącego okrętu, to Krasnaja Armia[30] was wyzwoliła spod tego jarzma.
Chciał jeszcze coś dodać, ale machnął tylko ręką, poprawił czapkę na głowie i energicznym krokiem odszedł w stronę baraku dowództwa obozu.

Zaczęło się wyczytywanie nazwisk. Już wkrótce zorientowali się, że wyczytują samych szeregowych i część cywilów.

– Nas nie wyczytają. Widzicie, kto wyjeżdża.
Mędrzycki nerwowym ruchem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza notes i ołówek.
– Piszcie swoje adresy. Szybko. Może będziemy mogli, chociaż powiadomić naszych, że żyjemy. Koledzy poszli za jego przykładem.
Nagle podekscytowany Stefan wskazał na wyczytanego przed chwilą szeregowego, idącego w kierunku mieszkalnego baraku.
– On! On jest gdzieś z okolic Łodzi, gdzieś spod Zgierza. Raz z nim rozmawiałem.
Kiedy po chwili żołnierz szedł z plecakiem, kierując się w kierunku obozowej bramy, Stach wycofał się krok po kroku z szeregów i podszedł do niego.
– Jesteś z centralnej Polski? – spytał.
– Ze Rzgowa, koło Łodzi, panie poruczniku.
– To tylko 50 km od moich stron. Weź adresy. Powiadom nasze rodziny. Powiedz, że żyjemy. Wszystko masz napisane.
Żołnierz schował kartki do plecaka.
– Powiadomię. Obiecuję – odszedł w kierunku samochodów.
– Szczęść Boże – dodał szeptem Stach, patrząc za oddalającym się mężczyzną z nadzieją, że misja się powiedzie, ale i z żalem głębokim – do losu, że nie jest na jego miejscu.

[30] *Armia Czerwona.*

Za kilka dni mógłby być w domu z Marią, z rodzicami... Łza zakręciła mu się w oku. Jednak szybko ocknął się i wrócił do szeregu.
Tego dnia obóz opuściło pięćset osób.
– Może po nas jutro przyjadą – z wielkim smutkiem i rozczarowaniem powiedział Bolek Berbeka.

Po wyjeździe tylu jeńców wydawało się, że zrobi się więcej miejsca w salach i będzie można trochę odetchnąć. Jednak miejsce wywiezionych zajęli ci, którzy spali pod gołym niebem lub w namiotach i dopiero teraz zapanował ścisk. Niektórzy, którym brakło miejsc na pryczach, wcisnęli się pod nie i spali na podłodze. Ciasnota i niedogodności z tym związane wprowadziły atmosferę nerwowości i drażliwości nawet w najbardziej, wydawać by się mogło, prostych do rozwiązania sytuacjach. Brak intymności, odpoczynku od bezustannego szmeru rozmów, panujący zaduch spowodowany setkami niedomytych w zimnej wodzie ciał były trudne do wytrzymania. Ciągłe podenerwowanie wprowadzały dokuczliwe wszy, które zadomowiły się w niedopranych ubraniach i we włosach. Odwszalnia nie spełniała swojego zadania z powodu niskiej temperatury, w jakiej poddawano odzież dezynfekcji. Jedzenie znowu się pogorszyło.

***

Nadszedł 11 listopada. Z samego rana por. Kwolek wszedł na barki jednego z kolegów i na głównej ścianie zawiesił wielki, czarny krzyż, który zrobili z zebranych gdzieś desek i pomalowali starą farbą do konserwacji drewna. Wokół nich natychmiast zebrali się zwołani na poranną mszę żołnierze.
Tego dnia wszyscy modlili się za Ojczyznę. Starszy kapelan WP mjr Antoni Aleksandrowicz rozpoczął uroczystą Mszę świętą. Wyznawcy judaizmu modlili się po swojemu w przeciwległym miejscu sali. Następnie wszyscy odśpiewali „Pierwszą

brygadę". Wyrecytowano też – „Śmierć Sowińskiego" i „Noc listopadową". Na zakończenie głośno i wyraźnie z setek gardeł zabrzmiało: „Boże, coś Polskę".

Po takim występie wyraźnie akcentującym miłość do ojczyzny Sowieci zabronili demonstrowania jakichkolwiek uczuć patriotycznych, prowadzenia rozmów o charakterze politycznym i odprawiania nabożeństw. A następnego dnia rozpoczęły się kolejne wywózki żołnierzy, cywilów, a przede wszystkim księży. Wśród wywiezionych był też por. Kwolek. Wszyscy martwili się o ich przyszłość, bo tym razem nie powiedziano im, że jadą do domu.

***

Tuż przed Wigilią przyszły roztopy. Cały obóz tonął w błocie. Buty były przemoczone, a ubrania wilgotne od mgły i siąpiącego nieustannie deszczu. Zaplecze było zapewnione tylko w stopniu podstawowym, więc nie było gdzie ich suszyć.

Pracy było mniej i brano do niej tylko chętnych. Jednak każdy garnął się do niej, bo dzięki niej czas mijał szybciej i nieco weselej. W każdym razie było to lepsze niż marznięcie i gnuśnienie w zawszonych i śmierdzących salach.

Szczególnie Bolek rwał się do roboty i lubił plotki i ploteczki. Nie było dnia, żeby nie przyniósł jakichś nowinek.

– Wiecie, dlaczego przez jakiś czas było dobre żarcie, pełna kantyna i mydło? – spojrzał po twarzach kolegów, wyczekując odpowiedzi, ale kiedy jej nie uzyskał, dodał:

– Była wtedy w obozie jakaś międzynarodowa komisja z Czerwonego Krzyża, żeby sprawdzić, w jakich nas tu trzymają warunkach.

– To ciekawe, żeśmy ich nie widzieli? – powiedział Feliks.

– No, przynajmniej jej oczekiwali, bo taki znajomy, co gotuje w kuchni, mówił.

***

Nastał w końcu oczekiwany przez wielu ludzi na Ziemi czas, w którym szykowano się na nadchodzącą radość i wesele. Dzień poprzedzający dzień Bożego Narodzenia.

– Dzisiaj Wigilia – powiedział Stefan, leżąc na pryczy ze wzrokiem wlepionym w brudną, odrapaną z tynku ścianę.

– Dla jednych Wigilia, a dla innych... – odezwał się Feliks.

– O kim mowa?

– No, jak to? Wczoraj w nocy wywieźli księdza Antoniego Aleksandrowicza, ks. mjr Mariana Potockiego – superintendenta Kościoła Ewangelickiego i Naczelnego Rabina WP mjr Barucha Steinberga. Cały obóz o tym trąbi.

– Może tylko gdzieś indziej ich przenieśli. A może do domu puścili, bo nie chcieli, żeby msze w święta odprawiali.

– I dlatego w nocy ich wywieźli? – odpowiedział z ironią Feliks.

Ale Stefan mówił dalej w pełni przekonany, że nic złego się nie wydarzyło.

– Na pewno ich przenieśli. Przecież to księża i oficerowie. Pewnie, tak jak generałów, gdzieś ich do jakiegoś domu dali.

– W nocy? – powtórzył Feliks bez przekonania, drapiąc się za uchem.

Ziarno niepewności zostało zasiane. Po chwili Stefan dodał, ale już bez zbytniej pewności.

– Żyją. Na pewno żyją.

Poprawił koc na pryczy i szybko wrócił do poprzedniego tematu rozmowy.

– Powtarzam, że dziś Wigilia.

– No, toż wiemy, panie, panie – odpowiedział Feliks. – Tylko lepiej na razie nie myśleć, bo żal tak ściska..., ale po prawdzie to się nie da.

– Jak to nie myśleć, trzeba myśleć, tylko tyle możemy. Oni o nas na pewno myślą.

– Tak – wtrącił Stanisław. – Też tak uważam. Moja Marysia o mnie myśli, a zwłaszcza w taki dzień. Jestem pewien.
Stefan odwrócił się ponownie w kierunku ściany.

– Ciekawe, co robią moi chłopcy? Jakie to dziwne... Oni tam tyle tysięcy kilometrów od nas... Właśnie w tej chwili... Pewnie z mamą choinkę ubierają. Łańcuchy kolorowe wieszają i jabłuszka, a żona i mama przygotowują wieczerzę. U nas to zawsze jest rybka i kapusta z grochem, i jagły.

– A u nas kutia, barszcz i pierogi z farszem grzybowym – wtrącił Bolek. – Takieee pierogi!!! Paluszki lizać. Moja mama robi. Na całym świecie nie znajdziesz lepszych.

– Tak, panie, panie – i kutia – rozrzewnił się Feliks.

– A my? Przy czym będziemy wieczerzać? – zmartwił się Berbeka.

– Pewnie będzie pyszna zupka z brukwi – zadrwił Stefek Gardulski.

Mędrzycki spojrzał na niego spode łba.

– Sami sobie przygotujemy Wigilię – powiedział. – Ale myślę, że wspólnie też będziemy świętować.

– Tak. Zróbmy sobie Wigilię i pasterkę – Bolek zapalił się do przedstawionego pomysłu.

– Ja mam landryny – dodał Stach.

– A ja dam chleb i może uda mi się załatwić trochę pszenicy ze spichlerza, to rozpuścimy cukierki i zrobimy kutię – Bolek podniósł się i zszedł z pryczy gotowy do realizacji zamierzonego planu.

– A ja kupię w kantynie śledzie. Opłatka nie mamy, więc połamiemy się chlebem. Nie musi być wykwintnie, ważna jest tradycja, a najważniejsze – opłatek i kolędy – dodał Feliks.

Tego dnia w całym obozie dało się wyczuć podniosły nastrój zbliżających się świąt. Każdy, kto zgodnie z wyznawaną wiarą i tradycją uważał, że 24 grudnia to jeden z ważniejszych dni w roku, starał się pomóc – mieć swój wkład w przygotowania do

tej uroczystej chwili. Huczało więc wszędzie jak w ulu. „Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia i szybkiego powrotu do domu" życzono sobie na każdym kroku. Znalazła się też choinka – przystrojone gwiazdkami z gazet gałęzie sosny wisiały na ścianie i stały pośrodku sali na stole w wyszperanym gdzieś garncu, wypełnionym piachem. Panowała serdeczna atmosfera zbliżających się dni szczęścia i radości z powodu narodzin Pana. Ale były to tylko pozory, bo serca i myśli jeńców biegły daleko. Z prędkością światła pokonywały ośnieżone stepy i pola, rzeki i lasy, pogorzeliska spalonych wsi i miasteczek – do ojczyzny, do matki, do ojca, do rodzinnego domu, w którym czekano na nich przy wigilijnym stole, z przygotowanym dla nich nakryciem.

Późnym popołudniem Berbeka wpadł przerażony do sali.

– Co to za strzały były? – spytał Stefan.

Bolek odpowiedział mu ledwie dysząc.

– Rano z nimi rozmawiałem.

Usiadł na pryczy zrezygnowany i zmartwiony.

– To przeze mnie! Rozumiesz! – zerwał się krzycząc i gestykulując rękami.

– Przeze mnie – dodał ciszej i ponownie usiadł.

Oparł łokcie na kolanach i trzymał się za głowę.

– Mów! – powiedział ostro Mędrzycki. – Mów, co się stało!

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby zobaczył ducha.

– Rano rozmawialiśmy o pszenicy na Wigilię, a oni..., oni mieli tam swoje dojścia. Mieli mi załatwić trochę zboża ze spichlerza. Umówiliśmy się po obiedzie za naszą cerkwią. Idę więc, za pazuchą niosę trzy paczki papierosów, na wymianę. Patrzę, a oni ich prowadzą... po tym błocie, bez płaszczy, bez obuwia. Ręce z tyłu skrępowane. Ustawili ich pod ścianą wielkiej cerkwi, podszedł oficer i... pach, pach! Dwa strzały..., po jednym dla każdego, w tył głowy... i już ich nie ma... już nie wrócą do domu, gdzie na nich czekają... Na próżno będą czekać... Jeden był

z tarnowskiego, a drugi...? Drugi nie pamiętam, ale fajne chłopaki były.
Mędrzycki złapał go za barki i potrząsnął.
– To nie twoja wina! Jasne! Wybij to sobie z głowy. To nie twoja wina.

***

Kolejne dni minęły spokojnie. Mimo zakazu msze odprawione były przez młodszych kapelanów. Modlono się w wielkiej powadze i w ciszy. Modlono się za Polskę i za najbliższych, za poległych i za wywiezionych, a także za szczęśliwą przyszłość dla nich samych. Kapłan prowadzący świąteczne nabożeństwo wygłosił kazanie, które dodało otuchy i dawało nadzieję, że wrócą szczęśliwie do domu. Płynęło przesłanie, by się nie poddawać i trwać w wierze, bo wiara góry przenosi: *„Bo zaprawdę powiadam wam: Jeśli będziecie mieć wiarę, jak ziarnko gorczycy, powiecie tej górze: „Przesuń się stąd – tam!", a przesunie się. I nic niemożliwego nie będzie dla was"*. To jednak od nas zależy. Pan Bóg wyciąga rękę do każdego z nas, ale nie możemy czekać, aż złapie i ciągnąć będzie w swoją stronę, a my mu w tym nie pomożemy.

Następny dzień rozpoczął się jak zwykle od apelu. Jeńcy zostali rozdzieleni do starych i nowych zajęć. Kończono budowę kilku nowych baraków, porządkowano teren, a kilku żołnierzy wyznaczono do naprawy cieknącego dachu.

– Berbeka Bolesław, Broniszewski Zygmunt, Gardulski Stefan, Kowalski Antoni, Mędrzycki Stanisław... – wyczytywał po kolei dyżurny odpowiedzialny za przydział do poszczególnych robót.
– Dyżur na kuchni!
Wyczytani odmaszerowali we wskazanym kierunku.

Po drodze rozgorzała między nimi ostra dyskusja.

– Nie widzisz! Sami musimy o siebie zadbać – tłumaczył Bolek, machając rękami przed idącym razem z nimi Zygmuntem.
– Jak nie ugotujesz – nie zjesz, jak nie opróżnisz latryny – to będziesz po gównie chodził, albo zdechniesz pod murem, jak zachorujesz, jeśli sam do doktora nie pójdziesz.
– Nie gadaj. Czasem przymykają oko – odpowiedział Zygmunt, skacząc z deski na deskę między pośniegowym błotem.
– Ty ich nie broń.
– No, ale czasem udają, że nie widzą, jak bierzemy więcej drewna na opał, czy nawet jak ognisko rozpalimy, bo przecież zgodnie z regulaminem nie wolno.
– Jedni pozwalają, a od innych kolbą dostaniesz. To wszystko od człowieka zależy. Zresztą jak wszędzie. I bolszewik czasem ma sumienie.
Stefan spojrzał na sprzeczających się kolegów i spokojnie powiedział:
– Albo ma to wszystko w dupie i chce w spokoju przeżyć wojnę i wrócić do swojej chazjajki[31] i swojego sioła.
– Tak, im zależy tylko na tych cholernych przesłuchaniach. Żeby nas wyłapać – przytaknął Bolek.
Zygmunt przekonywał dalej.
– Ale weźmy na przykład taką pocztę. Tyle czasu prosiliśmy, żeby pozwolili wysłać listy i w końcu pozwolili. Dobre i raz w miesiącu, jak list napiszesz czy kartkę wyślesz. Tyle tylko, że nie możemy pisać, gdzie jesteśmy, ale i tak wszyscy piszą, więc przynajmniej nasi wiedzą, gdzie jesteśmy i że żyjemy.
Podsuwał argumenty, z których wynikało, że nie jest aż tak źle, jak to przedstawia kolega, więc Bolek zdenerwował się jeszcze bardziej.
– Tak! Tylko nie wiadomo, czy tych naszych listów gdzieś nie przejmują, a później je czytają i szukają jakichś ważnych dla nich

[31] *Gospodyni, pani domu (żona).*

wskazówek – kto szpieg, a kto nie, i co w nich piszemy. No i płacisz 30 kopiejek za słowo, więc zarabiają na dodatek.

Zygmunt należał do ludzi, którzy, mimo że często nie mają racji, muszą mieć „ostatnie słowo", więc dodał jeszcze na koniec, bo byli już na miejscu.

– Na szczęście wczoraj przyszły pierwsze listy. Niektórzy dostali już odpowiedzi. To potwierdza, że tamte kartki doszły. Do nas też przyjdą. Trzeba tylko poczekać.

– Tak – dodał Mędrzycki i zamyślił się. – Ale najgorsze jest to czekanie i niepewność... Mimo to, z pomocą Bożą, damy radę.

***

Sylwester i Nowy Rok przebiegły bez większego entuzjazmu. Nie był to czas na świętowanie i zabawę. Nikt nie miał na to ochoty. Powtarzane było tylko jedno życzenie: „Oby nadchodzący rok był lepszy od poprzedniego". Każdy tego pragnął i niemal każdy w to wierzył.

Stefan usiadł na pryczy i spojrzał w kierunku odległego okna.

– No i mamy lata 40. – powiedział zapatrzony w padający za oknem deszcz ze śniegiem. – A tu taka psia pogoda.

– Co mówisz? – spytał go Bolek.

– Mówię, że „psia pogoda", ale co robić, nie mamy na to wpływu. Zresztą na co mamy – dodał zrezygnowany.

Nagle ożywił się trochę.

– Śniło mi się stadko latających gołębi. Zataczały koła na tle błękitnego nieba i co chwilę lot zniżały, jakby chciały usiąść na ziemi, ale podrywały się i latały dalej. Co może taki sen znaczyć?

– Że pewnie miały dość latania i chciały coś zjeść – odpowiedział Bolesław, uśmiechając się do kolegi.

Berbeka machnął ręką i wyszedł za potrzebą. Kiedy wrócił, uśmiechał się tajemniczo.

Stach natychmiast zauważył zmianę w zachowaniu przyjaciela.

– Coś się stało? – spytał.

– Wiem, co znaczył ten sen!

– No, co?

– No, zgadnij. Co mogą oznaczać latające gołębie? No...? No, co robią gołębie? – dopytywał przyjaciela, jakby chciał wymusić odpowiedź.

Bolek wtrącił się do rozmowy.

– Jak to co robią? Srają po dachach i na okna – zaczął się dobrodusznie śmiać, a razem z nim pozostali mężczyźni przysłuchujący się rozmowie.

Stefan udał obrażonego, ale uśmiechnął się także.

– Humor ci dzisiaj dopisuje. No, dobrze. Taki jesteś wesołek, to ci wyjaśnię – gołębie oznaczają wiadomość, a jak wiadomość to... to...

– Masz listy! – krzyknął Stach i zeskoczył z pryczy, podchodząc do przyjaciela.

– Ano, mam – triumfował Berbeka.

– I to kilka. Wyśniło mi się. Ha!

Pokazał plik listów i zaczął je rozdawać.

– Feliks Bednarek. Proszę – podał list uradowanemu koledze.

– Proszę, proszę – rozdawał następne. – A tobie Bolek chyba nie dam. Nie zasłużyłeś – zażartował i schował list za plecy, ale po chwili podał go, uśmiechając się serdecznie. – A ten do mnie – odłożył na bok kolejny – a ten jest dla ciebie, Staszku – powąchał kopertę i podał w drżące ręce uśmiechniętego przyjaciela. – Jeszcze perfumami pachnie – śmiał się, udając, że wyczuł zapach kobiecych pachnideł.

Po chwili wszyscy z błyskiem w oczach i wypiekami na twarzy chłonęli wieści tak upragnione i wytęsknione, tak długo wyczekiwane, że każde słowo, każdy znaczek skreślony na kawałku papieru był dla nich niemal święty.

Mędrzycki delikatnie otworzył kopertę. Jest! Jest! – od Marysi..., a drugi? – od Władzi. Kiedy czytał pierwsze słowa, serce waliło mu jak młotem.

Kochany mój Staszku!

Tak bardzo bałam się o Ciebie. Dopiero ta kartka. Na szczęście żyjesz. To najważniejsze. Teraz wiem, że do mnie wrócisz. Obiecałeś mi ślub i wspólne życie, i dom, i gromadkę dzieci. Pamiętasz? Dałeś słowo, że wrócisz do mnie cały i zdrowy.

Chciałabym wiedzieć więcej. Jak się czujesz i czy nie chodzisz głodny? Wiem, że mnie łatwiej, bo jestem wśród swoich, a nie na dalekiej obczyźnie wśród obcych ludzi i nieprzyjaciół, ale niech to Cię wspomoże, że bardzo tęsknię za Tobą i myślę o Tobie bez ustanku – i nie martw się, u mnie wszystko dobrze.

Po pierwszych dniach pełnych ludzkich nieszczęść i zamętu powoli zaczęliśmy układać sobie życie. Choć nie jest tak, jak było, choć wróg w naszym kraju, to jakoś trzeba żyć. Choćby po to, żebyś mógł do mnie wrócić. Tak więc w skrócie opiszę Ci, co się wydarzyło przez te kilka miesięcy.

Przez pierwsze dni września nasza szkoła była zamknięta, ale kiedy Niemcy weszli i rozpoczęli swoje rządy, to kontynuowaliśmy naukę, tylko już nie taką jak przedtem. Kazali mówić po niemiecku i myśleć po niemiecku. Mnie pozwolili uczyć, bo wiesz przecież, że dość dobrze znam ich język. Moja babcia ze strony ojca z Poznania pochodzi, a i tata tyle razy do Niemiec na roboty jeździł, że u nas w domu wszyscy ten język znają. Ja nie bardzo chciałam się go uczyć, ale ojciec zawsze mi powtarzał: „Ucz się, dziewucha, bo to zawsze może ci się przydać". Potem dodawał z przekąsem, ale z uśmiechem: „Jak tych swoich szkół nie skończysz, to choćby na sezonowe roboty będziesz na zachód jeździć". No i jak się okazało, przydało się to w szkole, a później także, ale o tym dalej.

Po dwóch miesiącach szkołę w Papieżach zamknęli, chociaż w Szydłowie nie. Co miałam robić? Przeniosłam się do rodziców i do brata, który teraz na ojcowiźnie gospodarzy. Pomagałam im, jak dawniej w sklepie, ale krótko, bo Polakom Niemcy kazali sklepy zamknąć. Pomyślałam sobie: „Pójdę do Zelowa do twojej siostry, może ona pomoże mi szukać pracy".

Chciałam zamieszkać w Sromutce w twoim mieszkaniu, bo dowiedziałam się, że stoi puste, od kiedy nauczycielka, ta, co po tobie była, wzięła ślub i przeprowadziła się do Zelowa. No, ale... jak to zrobić? Szkoła zamknięta, a ja muszę się zameldować. I wymyśliłam. Poszłam do Bujen, do gminy i od razu do najwyższego rangą Niemca. Składnie po niemiecku powiedziałam, kim jestem i że chcę szukać pracy w Zelowie, a że rodzice w Parznie mieszkają, to pasowałoby mi zamieszkać w Sromutce, wtedy miałabym i do pracy, i do rodziców blisko, bo oni już starsi i schorowani. Dodałam też, że w Parznie i w Sromutce pracy dla mnie nie ma, a w Zelowie to szybciej, bo język znam i na handlu się znam. Tam siedział taki opasły Niemiec i w sumie to źle się do mnie nie odnosił. Z początku chciał mnie wziąć do Bujen do pracy biurowej, ale uśmiechnęłam się tym ładnym uśmiechem, co go tak lubisz (nie bądź zazdrosny – był udawany) i ładnie poprosiłam, to w końcu się zgodził i powiedział, że w szkole jest jedno mieszkanie, to może mnie tam zameldować, tylko od razu mam w Arbeitsamcie w Zelowie się zgłosić i dał mi do nich karteczkę. W duchu się ucieszyłam, że mój fortel się powiódł. Tak więc zobacz, jaka twoja Marysia jest sprytna. Teraz czekam tu na Twój powrót, mój kochany.

Zaraz po zadomowieniu byłam w Arbeitsamcie, czyli Biurze Pośrednictwa Pracy – w Rynku się mieści, tam, gdzie jest ten fotograf, co robiliśmy u niego zdjęcie dwa lata temu. Tam też po niemiecku wszystko załatwiłam i dali mi skierowanie do pracy u pana Ewana Golke – do sklepu spożywczego, co jest naprzeciw tej narożnej restauracji w Rynku. Mam zacząć zaraz po Nowym Roku.

Od siostry masz drugą kartkę. Nie było sensu wysyłać dwóch oddzielnych listów. Przygotujemy Ci z Władzią paczkę i wyślemy parę najpotrzebniejszych rzeczy i trochę jedzenia. Ubieraj się ciepło, bo zima w tym roku okropna, a u Was to chyba jeszcze gorzej. I pisz do mnie, jak tylko będziesz mógł.

Bardzo Cię kocham i tęsknię, i modlę się co dzień, aby Pan Bóg Cię wspierał i dał siłę, byś przetrwał.

Na zawsze Twoja Maria

Stach otarł łzę, która zabłądziła gdzieś w kąciku oka, ale uśmiechał się sam do siebie. Przeczytał list po raz drugi i trzeci. Później spojrzał na kartę od siostry i trochę głupio mu się zrobiło, że o niej zapomniał, więc zaczął czytać.

Drogi mój Staszku!

Nie będę po Marii powtarzać, bo wiem, co pisała. My wszyscy tu za Tobą tęsknimy i wierzymy, że rychło do nas cały i zdrowy wrócisz, bo znam Cię dobrze i wiem, że kto jak kto, ale ty sobie dasz radę w każdej sytuacji i z każdej opresji wyjdziesz – zawsze tak było – od dziecka miałeś zawsze we wszystkim więcej szczęścia niż inni. Dopowiem Ci więc tylko, co u nas, a dużo się działo, zwłaszcza w pierwszych dniach wojny. Ludzie ze spalonych wsi i miast uciekali przez Zelów z całym dobytkiem. Wozami i na piechotę – dzieci, dorośli i staruszki.

Widziałam kobietę, która była dzień po porodzie. Ledwie szła koło woza, trzymając w jednej ręce noworodka, a drugą przytrzymując się furmanki. Woźnica nie dał jej wsiąść, tylko na okrągło powtarzał: „Kuń nie uciągnie, kuń nie uciągnie".

Najwięcej to z Wielunia uciekali, bo strasznie go zbombardowali i spalili, ale też ze Szczercowa, Parzna, Kluk i innych miejscowości. Polacy i Żydzi. Prawdziwa wędrówka ludów. Ale Zelów nie ucierpiał – chyba dlatego, że dużo Czechów i Niemców u nas mieszka.

Część ludzi została w Zelowie, ale większość poszła w kierunku Warszawy. Wielu też już następnego dnia wracało, nie widząc sensu ucieczki, bo wszędzie dookoła było gorzej niż u nas.

Nasz sklep zamknęli Niemcy, ale i tak nie było czym handlować, bo brakowało wszystkiego. Zresztą i tak Grzesiem musiałam się zająć.

Na początku października był tu Twój kolega, pan Kacper Zawieja. Opowiedział nam, jak wyglądały pierwsze dni, kiedy walczyliście pod Częstochową. On był ranny i leżał w szpitalu aż do kapitulacji. Zaraz potem wrócił do domu.

Aaa... zapomniałabym przekazać Ci dużego buziaka od Jadwisi – twojej małej chrześnicy. Pan Kacper dał jej od ciebie dużą czekoladę z wielką krową na opakowaniu. Była bardzo szczęśliwa, a najbardziej podobała się jej ta krowa. No i masz też całusy od Grzesia – wczoraj skończył pięć miesięcy i zaczynają mu się wyrzynać ząbki, więc trochę płacze i gorączkuje.

Nasz tatuś, po tym, jak był u Ciebie w Pułku, żeby się pożegnać, chciał od razu zabrać mamę do Łowicza, do domu, ale następnego dnia wybuchła wojna i mama nie chciała mnie zostawić, że niby mój synek dopiero się urodził i jej potrzebuje. Więc tata poszedł sam, bo martwił się o dobytek, a mama dopiero po miesiącu. Wkrótce jednak doszła nas wieść, że jak dotarł z wielkimi przeszkodami do domu, to akurat bombardowali szpital i dostał odłamkiem w nogę. Na szczęście nie tak mocno, bo mama pisała, że jest dobrze, tylko trochę utyka, jak chodzi. Gdybyś wtedy posłuchał taty i wrócił z nim, to byłbyś teraz z nami, ale dla Ciebie to zawsze ojczyzna była na pierwszym miejscu. Wierzę jednak, że wszystko dobrze się skończy i niedługo się zobaczymy. Pozdrawiam Cię także w imieniu mojego męża i wszystkich bliskich Ci osób. Niech Bóg ma Ciebie w swojej opiece.

Twoja siostra Władzia

Stanisław czytał listy jeszcze wiele razy, a następnego dnia kupił w kantynie kartki i zaczął pisać odpowiedzi.

Moja kochana, najdroższa Marysiu!

Nawet nie wiesz, ile radości sprawił mi list od Ciebie, ile dodał sił i otuchy. Dziękuję Bogu za każde słówko, które do mnie skreśliłaś i za zapach – Twój zapach, jaki dotarł pomiędzy kartkami razem z listem. List znam już na pamięć, bo czytałem go setki razy. Ja do tej pory tylko kartkę wysłałem, żeby choć krótka informacja, że żyję, dotarła do Was. Bóg pozwolił. Wysłuchał moich modlitw. Już przynajmniej ten ciężar ze mnie zszedł, że nie martwię się, że Wy w takiej niepewności, co do mojej osoby, żyjecie.

U mnie nie tak źle. Daję sobie radę. Wszyscy dajemy. Także nie martwcie się o mnie, jeść mam co i spać też nie pod gołym niebem muszę, a wiesz przecież, że do żołnierskiego i obozowego życia jestem przyzwyczajony.

Nie wiem, czy ten list do Ciebie trafi. Piszę jednak w nadziei, że tak.

Napiszę znów w przyszłym miesiącu, bo tylko raz na miesiąc można pisać.

Trzymajcie się razem i opiekujcie sobą nawzajem.

Kończę już i czekam na odpowiedź.

Kocham Cię i tęsknię. Obiecałem, to wrócę.

Twój Stach

PS Druga kartka jest dla Władzi i Rodziców.

**

– Stachu! – Stefan podszedł do piszącego kolegi.

– Nie pisz za wiele. Mówią, że lepiej jest mniej pisać, bo oni te listy czytają, a jak mają za dużo do czytania, to po prostu je wyrzucają.

Mędrzycki spojrzał na przyjaciela. Nie odpowiedział, ale wziął jego radę pod uwagę.

**

Moja droga Siostrzyczko

– rozpoczął drugi list.

Niech Was Bóg błogosławi.

Przekaż naszym Rodzicom, żeby się nie martwili, bo u mnie wszystko dobrze. Tylko tęsknię bardzo, ale to da się wytrzymać. Głodny nie chodzę i mam gdzie spać, i dobrze nas tu wszystkich traktują. Nie można narzekać. Cieszę się, że jesteście zdrowi i że Grześ tak szybko i zdrowo rośnie.

W październiku wyjechał stąd do Polski kolega, co mieszka w Rzgowie k. Łodzi. Prosiłem go, żeby Was odwiedził, ale widać nie dotarł, bo nic o nim nie wspominacie. Piszecie tylko o tej kartce, co ją wysłałem, jak już było można.

Cieszę się, że żyje mój wrześniowy kompan – Kacper. To prawdziwy przyjaciel – i z tą czekoladą też świetnie wymyślił.

Ucałuj ode mnie Mamę i Tatę, Jadwisię i Grzesia, pozdrów mojego Szwagra. Wybacz, że nie będę się rozpisywał. Marysia dopowie Ci, co do niej napisałem. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Twój brat Stach

***

Po Nowym Roku zaczęto wywozić zapasy zboża zmagazynowane w wielkiej cerkwi, podobno na front. Tymczasem w obozie jeńcy pracujący w kuchni musieli dokonywać cudów, aby posiłki, choć trochę się od siebie różniły. Większość produktów, takich jak masło czy cukier, nie docierała do obozowej kuchni, po drodze rozkradali je funkcjonariusze i kierownictwo obozu a więźniowie dostawali do przerobu tylko tę nadpsutą i zapleśniałą żywność. Czasem tylko pozwalano na otwarcie paczki od rodziny bez wcześniejszej kontroli. Oczywiście takie otwarcie sporo kosztowało i nie każdego było na nie stać.

Kiedy w styczniu 1940 roku obóz odwiedził delegat amerykańskiego Czerwonego Krzyża, był w barakach, rozmawiał po angielsku i francusku z jeńcami, którzy tego dnia dostali kakao, biały chleb i mięso.

Od połowy stycznia część jeńców pracowała przy układaniu nowej linii kolejowej – nosili ciężkie drewniane podkłady. Nie zważano na szarże i wiek, po prostu wyczytywano nazwiska z listy.

Wielu ludzi chorowało. Rozpalane ogniska nie pomagały, bo mrozy dochodziły do minus 25 stopni. Nieustające zimno na dworze i w pomieszczeniach oraz ciężka praca spowodowały śmierć wielu żołnierzy.

– Zmarł mój major. Przed chwilą się od kucharza dowiedziałem – powiedział ze smutkiem Bednarek, podchodząc do siedzących razem kolegów.

– Jaki twój major? – spytał Stefan.

– No, panie, panie – mój dowódca. Ten, o którym wam mówiłem – mjr Piotr Antoni Kiełkowski.

– Ten od Virtuti?

– Tak, panie, panie. Dobry był z niego człowiek i dowódca – westchnął.

– Na każdego z nas kiedyś taka chwila przyjdzie – dodał Mędrzycki. – Co mamy zapisane, to nas nie minie – podał Feliksowi

rękę na znak współczucia, bo widział, że z całego serca żal mu człowieka, którego znał, z którym tyle świata przeszedł i niejedno przeżył.

– Tak, panie, panie – powtórzył Feliks, ciągle wzdychając. – Niedane mu było wrócić do swoich, do Polski. Zmówię za niego modlitwę. Niech mu ziemia lekką będzie.

Bednarek bardzo przeżył śmierć dawnego przełożonego. Nie było dnia, żeby o nim nie opowiadał, i o wydarzeniach, w których uczestniczyli. Stał się bardziej milczący i jakby nieobecny. Widać było nie tylko zmiany w jego zachowaniu, ale także w wyglądzie. Twarz mu poszarzała, przygarbił się i chudł z dnia na dzień.

Tej nocy na dworze była zawieja. Wiatr gwizdał w szczelinach ścian, hulał na strychu pod kopułą cerkwi, a śnieg wdzierał się przez niedomknięte drzwi. Nad ranem w pomieszczeniach panował taki ziąb, że widać było parę wydostającą się z ust.

Stefan obudził Mędrzyckiego energicznym szarpnięciem.

– Stachu! Stach! Obudź się. Feliks nie wrócił z przesłuchania.
Stanisław usiadł na pryczy, nie mogąc zorientować się, o co chodzi. Po chwili jednak dotarły do niego słowa kolegi.
Spojrzał na pustą pryczę Bednarka.

– Powinien już dawno być. Koło północy po niego przyszli – powiedział zaniepokojony. – Bolek – potrząsnął śpiącego jeszcze kolegę. – Wstawaj! Leć, no! Zorientuj się, co się stało. Zajrzyj na izbę, może zasłabł, bo ostatnio nie czuł się najlepiej.
Berbeka pierwsze kroki skierował właśnie na izbę chorych.
Otworzył mu dyżurujący sanitariusz.

– Chory jesteś? – spytał. – Doktora jeszcze nie ma.
Spojrzał na zasypany śniegiem dziedziniec.

– Ależ ziąb. Wchodź szybko – dodał.

– Nie mogłem przejść przez te zaspy – Bolek otrzepał się ze śniegu. – Szukam kolegi. Poszedł na przesłuchanie i nie wrócił. Przyjęliście kogoś w nocy? Martwimy się.
Dyżurny spojrzał na niego wymownie. Chwilę nie odpowiadał.

– No tak czy nie? – Berbeka ponowił pytanie.

– Tak. Na noszach go przynieśli.

– Iii?

– Iii... źle z nim. Bardzo źle. Doktor go zbadał. Potem go pozszywaliśmy, połataliśmy i opatrzyliśmy rany, ale doktor nie daje mu większych szans.

– Jak to połataliśmy, pozszywaliśmy? Co się stało?

– Bili go do nieprzytomności. Ma głębokie rany na całym ciele, aż do kości. Stracił też dużo krwi.
Bolek ukrył twarz w dłoniach.

– Mogę go zobaczyć?
Sanitariusz kiwnął głową. Odwrócił się i poprowadził go w kierunku łóżka, na którym leżał Feliks.

Bednarek nie spał. Leżał na wznak wpatrzony w sufit. Trudno było rozpoznać w nim kolegę, z którym dzielił swój los przez ostatnie miesiące. Twarz miał opuchniętą i posiniaczoną. Głowę owiniętą przekrwawionymi bandażami. Jednego zapuchniętego oka w ogóle nie można było dojrzeć. Ręce, także w bandażach, leżały na kocu.

W pierwszym odruchu Bolek nie wiedział, co robić. Jakaś siła nie pozwoliła mu wydobyć z gardła ani jednego słowa, a łzy cisnęły się do oczu. Potem naszła go nieodparta chęć uduszenia gołymi rękami oprawców, których nie można było nazwać ludźmi. Jednak po chwili opanował się i usiadł przy chorym.

– Ale cię urządzili. Za co? Co się stało? Przecież przesłuchiwali cię już tyle razy – pytał, starając się nie płakać.
Feliks zaczął coś mówić, ale tak cicho, że Bolek musiał nachylić ucho do jego ust.

– Powiedziałem im... – nabrał powietrza – że mam ich w dupie... i że przyjdzie jeszcze na nich kara boska – mówił z wielkim trudem. – I jeszcze..., że już więcej nie będę z antychrystami gadał – zamknął oczy.

Berbeka usiadł przy nim na łóżku, ale widząc, jaką trudność sprawia mu rozmowa, nie pytał dalej, a po dłuższej chwili pomyślał, że chory zasnął. Uścisnął więc jego rękę i powoli, z opuszczoną głową, odszedł.

Koledzy, widząc minę Bolka, od razu domyślili się, że nie powie im nic dobrego. W skupieniu wysłuchali jego relacji.

– To nie ludzkie, co mu zrobili – skwitował przerażony Mędrzycki.

– To nie wiesz, że to zwierzęta – dodał Stefan.

– Nie ubliżaj zwierzętom. To nie zwierzęta, to belzebuby bez czci i wiary – zakończył temat Bolek i zgłosił się do odśnieżania, żeby zająć się czymś i rozładować złość, jaka w nim narastała z minuty na minutę.

Złość na te przeklęte czasy, na bolszewików, na kolegów i na samego siebie, że nic nie zrobił, że nic nie robią, tylko jak te szczury w klatkach siedzą karmieni i ćwiczeni, pozwalając robić z sobą, co tylko im się podoba.
Mędrzycki spojrzał na kolegów.

– Pójdę do niego – powiedział krótko.

Przyjaciele czuwali przy chorym na zmianę. Mówili do niego, czytali mu na głos, ale on nie odpowiadał, był nieprzytomny. Zmarł następnego dnia trzymany za rękę przez Stacha.

Nazajutrz zgłosił się do nich żołnierz. Wysoki, wyprostowany, sylwetką przypominający ułana. Lekko szpakowate włosy wskazywały, że pierwszą młodość miał już za sobą. Widywali go już wcześniej. Mieszkał razem z nimi, ale po drugiej stronie sali.

– Podporucznik rezerwy Walery Janowski – zasalutował. – Starszy sali zapewnił mnie, że znajdę tu miejsce do spania.
Mędrzycki przedstawił się także.

– Zapewniam, że przyjmiemy kolegę. To ta prycza – wskazał miejsce. – Proszę się rozlokować. My mówimy sobie po imieniu. Jeżeli kolega tak sobie życzy, to będzie nam łatwiej. Przedstawił wszystkich.

– Ależ oczywiście. Dziękuję za miłe przyjęcie – Walery podał każdemu rękę, mówiąc swoje imię, po czym położył się i odetchnął z ulgą.

– O święta Klaro! Bez siennika, ale i tak o niebo lepiej niż na posadzce, gdzie dotąd spałem. Odzwyczaiłem się już od takich wygód – uśmiechnął się. – Nie wiecie, jak na początku było ciężko. Najgorszy to był ten ziąb od ziemi i ściany. Nabawiłem się od tego choroby pęcherza i nerek, co rusz to gorączka i przeziębienie. Już nawet mocz z krwią szedł, ale trochę mnie w lazarecie podratowali.

W tym momencie zrobił się szum i poruszenie.

– Zostaw, byłem pierwszy – dało się słyszeć kilka metrów od nich.

Spojrzeli w miejsce, skąd dochodziły krzyki. Wokół zrobiło się małe zbiegowisko.

– Jak cię palnę, to od razu do ciebie dotrze, że to ja naszykowałem sobie tę miskę! – groził jeden z nich.

– Aleś odszedł, więc wlałem sobie wody i z niej skorzystałem.

– O, Matko Boska! To już nawet nie można się schylić do szafki po brzytwę, żeby ci miski nie ukradli.

Dwóch mężczyzn – jeden w cywilnym ubraniu, drugi w fufajce, jaką nosili lokalni mieszkańcy, trzymało miskę, ciągnąc każdy w swoją stronę. Woda rozchlapywała się dookoła i na odzienie kłócących się ze sobą mężczyzn.

– Przywołuję was, panowie, do porządku – krzyczał już z daleka opiekun sali.

– Niech puści. Byłem pierwszy – wykrzykiwał cywil.

– Miska stała pusta i nikogo przy niej nie było – powtórzył ten w fufajce.

– Rozdzielcie ich, panowie, poprosił dyżurny, zwracając się do stojących obok wojskowych.

– Dobra już. Niech się nażre tą miską. Poczekam.

– I dobrze, bo byłem pierwszy – cywil wziął miskę i odszedł w stronę dalszej części sali, przedzierając się przez gapiów.

Drugi położył się na pryczy i zakrył kocem.

– Ciągle jakieś spięcia – powiedział Walek. – O błahostki. Każdemu nerwy puszczają. Cyrk, po prostu cyrk nie tylko ze względu na te rusztowania – wskazał na szeregi piętrowych łóżek.

***

Zima mijała. Każdego dnia ubywało śniegu, a z dachu lały się strumienie wody i spadały potężne sople. Roztopy były takie, że w niektórych miejscach znów trzeba było skakać po ułożonych kamieniach i deskach, a i tak ciężko było przejść bez zamoczenia butów.

Jednak obozowe życie toczyło się dalej, według rytmu ustalonego kilka miesięcy wcześniej. Zgodnie z wywieszonym w salach regulaminem.

– Stach śpi jeszcze? – zapytał wracający z latryny Bolek.

– Niech sobie pośpi – odpowiedział Walery – niemal pół nocy go przesłuchiwali.

– Nawet nie słyszałem, kiedy go brali – wtrącił Stefan. – Dawno tak twardo nie spałem. To z przemęczenia.

– Nie śpię już, nie śpię – mruknął Mędrzycki i odwrócił się na drugi bok. – Myślę tylko, czemu listów nie dostajemy. Czyżby nasze nie dochodziły? Czy może ich wcale nie wysyłają, a może przejmują te kierowane do nas?

– Nie ma co myśleć – odpowiedział Walery. – I tak nie dojdziemy, a przecież ci nie powiedzą.

Dokoła zaczynał się poranny rozgardiasz – rozmowy, składanie kocy, poranna toaleta.

– Uchylcie te drzwi! Niech się tu przewietrzy – krzyknął ktoś z głębi sali.

– Tak. W końcu podusimy się od tego smrodu – dodał ktoś inny.

– A co tam na świecie? – spytał spokojnie Walek.

– Piękna pogoda – odpowiedział Bolek. – Przyroda budzi się do życia. Gawrony gniazda budują, zakładają rodziny. Da Bóg i my do domu, do rodzin wrócimy, jak ptaki, co z ciepłych krajów pod swoją strzechę wracają – bocianki nasze kochane.

– Z ciepłych mówisz – uśmiechnął się pod nosem Walery. – Bocianki mówisz. Twoje gawrony spać nie dają tym swoim ciągłym kra, kra – powiedział jakby trochę poirytowany, ale zaraz sam sobie to wytłumaczył. – Choć pewnie mają coś do powiedzenia.

– A ja kocham przyrodę – dodał z entuzjazmem Stefan. – Bo musicie wiedzieć – zwierzęta są jak ludzie, każde zwierzę ma swój rozum. Już wam kiedyś opowiadałem, że mój ojciec jest leśniczym w spalskich lasach i ja się urodziłem i wychowałem w leśniczówce. Ale co do gawronów, to... U nas, kiedy wszystko, co żywe budzi się z zimowego odrętwienia, to dopiero koncerty odchodzą. Jak to wszystko się skończy, to przyjedziecie do mnie. Zapraszam was wszystkich. Pójdziemy o świcie na rykowisko. Dopiero jest czego posłuchać...

Idziesz do lasu, kiedy jest jeszcze ciemno. Trzeba oczywiście znać ścieżki i wiedzieć gdzie iść, żeby nie pobłądzić. Siadasz tam sobie i czekasz. Wsłuchujesz się w odgłosy nocy. To trzaśnie jakaś gałązka, to zaszeleszczą zeschłe liście, to znów słychać przeciągły zgrzyt gałęzi, która poruszana wiatrem trze się o drugą gałąź. Nagle sowa prawie bezszelestnie przeleci obok ciebie. Siądzie na sąsiednim drzewie i po chwili słyszysz jej charakterystyczne pohukiwanie. Choć w głębi lasu jest jeszcze ciemno, w oddali zaczyna szarzeć. Z minuty na minutę robi się coraz widniej.

Przeszywa cię dreszcz porannego chłodu. Na leśnej polanie, na której ma odbyć się spektakl przyrody, widać już czerwono-żółte zarysy wschodzącego słońca. A nad polaną wstają poranne mgły, które niczym rusałki w zwiewnych sukniach unoszą się nisko nad ziemią. Dookoła słychać pojedyncze głosy budzących się ze snu ptaków. Słońce coraz to śmielej pokazuje swoje oblicze, a w jego świetle tańczą pajęczyny babiego lata – pokryte rosą, porozwieszane i lśniące szklanymi kroplami na każdym krzaczku, każdym źdźble trawy i każdej łodyżce zeschłego sitowia.

Aż nagle donośny ryk zwierza przeszywa poranną ciszę. To władca puszczy, majestatyczny jeleń wznosi swą głowę ku niebu, oznajmiając wszem i wobec, kto tu rządzi. Jego wspaniałe poroże lśni w promieniach porannego słońca. Stąpa dostojnie i pewnie pomiędzy kwitnącym sitowiem. Wygląda pośród tych mgieł jak zjawa, jakby nie był z tego świata. Takiego widoku nie znajdziesz tu, na tych stepach suchych i płaskich – odetchnął głęboko. – Prawda, Stachu? Na obozach nie raz słyszałeś poranne i nocne koncerty naszej polskiej przyrody. Mówię wam, nigdzie na świecie nie jest piękniej niż w polskich lasach, niż w naszej kochanej ojczyźnie.

Stanisław podniósł się na łokciach.

– Słyszę, że jesteś pełen optymizmu.

– To źle? – spytał patrząc na kolegę.

– Nie, nie. Tylko, ja po dzisiejszej nocy... – machnął ręką.

– Co się stało? – spytał Janowski.

– A, tam... – Stach ponownie machnął ręką i nie bardzo chciał mówić, jakby nie chciał zniszczyć radosnej wizji powrotu do pięknej ojczyzny.

– O, święta Klaro! No, mów – nalegał Walery.

– Są coraz bardziej... Tacy, jacyś... coraz bardziej szyderczy, chamscy.

– Zawsze tacy byli.

– Tak, ale teraz... Teraz traktują nas jak zło konieczne, zło, którego najchętniej by się pozbyli. Wartownicy może nie, oni

ciągle mówią, że wkrótce nas puszczą, ale oficerowie... Ciągle tylko: wrogowie ludu i wrogowie ludu. Jacy my wrogowie ludu? Inteligencję, duchownych, Boga oni najchętniej by... – przejechał ręką po szyi. – Podczas rewolucji wszystkich mordowali. Wszystkich. Tu w klasztorze też. Zresztą, co wam będę mówił.

– To o co pytali? – Janowski nie odpuszczał.

– O teatrzyki i pracę w szkole, i mój stosunek do ojczyzny, ale robili to z taką pogardą i nienawiścią... A o Polsce mówili tak, że człowiekowi ręce w pięści się zaciskają i gotów jest rzucić się na nich, bo kiedy ci mówią, że twoja ojczyzna to dziwka, a wielka Rosja – matka...

Przerwał, bo głos uwiązł mu w gardle. Walek dotknął ręki Stacha

– Trzeba zęby zacisnąć i wytrzymać. Nie słuchać, co mówią. Ja na przykład mówię sobie w myślach zdrowaśki.

– Żebyś czasem nie zrobił, jak śp. Feliks – z przerażeniem powiedział do Stacha Stefan.

– Bądźmy dobrej myśli – Walery próbował dodać im otuchy.

– Zobaczycie, będzie dobrze. Wiosna zawsze ku lepszemu prowadzi. Co za sens miałoby trzymać nas tu całą zimę, a teraz na Sybir wywieźć... Ale, ale! O jakie teatrzyki cię pytali?

– A co ty, Walery, taki dociekliwy? – zdziwił się Stefan.

Stanisław spokojnie odpowiedział:

– O szkolne teatrzyki. Zupełnie nie wiem, po co im to potrzebne. Trzy razy opowiadałem, że jak jeszcze w Sromutce pracowałem, to, jak święta jakieś państwowe, czy kościelne były, zakładałem mundur, żeby jakoś się prezentować. Dzieci też odświętnie się ubierały i szliśmy całą szkołą najpierw do kościoła do Łobudzic, na mszę świętą, a po kościele naprzeciwko w stodole, obok plebanii, odbywały się różne przygotowane przez dziatwę scenki, recytacje wierszy i śpiewanie piosenek. Na klepisku była scena, a z przodu i po sąsiekach siedzieli widzowie. Nie tylko my występowaliśmy, ale też z innych szkół – Łobudzic, Bujen, Podwód, i... No, jak wszędzie przy takich uroczystościach. Ale po co im to...? Chyba, że chcą nas tylko zgnębić, żebyśmy zastanawiali się:

„Po co im to?" Mówią, że psychologiczne przesłuchania prowadzą. Śmiechu warte. Tyle wiedzą o psychologii – co koza o pieprzu.

***

Początek kwietnia 1940 roku był bardzo kapryśny. Pogoda zmieniała się co godzina, a nastroje jeńców obozu w Starobielsku także nie były najlepsze. W piecach nie pozwolono już palić, a noce były jeszcze chłodne. Zmieniająca się pogoda powodowała silny wiatr, który potęgował przenikliwe zimno. Wszyscy szukali miejsc, w których można byłoby się zagrzać. Spano po dwóch na jednej pryczy, aby ogrzać się ciepłem własnych ciał. Jedynie praca i codzienne ćwiczenia pomagały w rozgrzaniu i rozruszaniu zastygłych w nocy mięśni.

Niespodzianie, w piątek 5. kwietnia rano, wszedł do sali oficer z komendantury obozu, a razem z nim kilku sowieckich żołnierzy, którzy wnieśli kosze wypakowane jedzeniem. Rozsiadł się wygodnie za stołem, stojącym najbliżej wejścia. Rozłożył przed sobą dokumenty. W pomieszczeniu zrobiło się cicho. Wszyscy w napięciu czekali, co będzie dalej. Po chwili NKWD-dzista wstał i powiedział:

– Kagda pracitaju waszu imja i familju nużna wzjat' swai wieści i padajti k stału.[32]

Jeńcy spojrzeli po sobie.

– Jedziemy do domu. To na pewno prowiant na drogę – szmer poniósł się po sali.

Z początku ostrożnie, później otwarcie zaczęli cieszyć się i wzajemnie ściskać, ale uciszyli się, kiedy wyczytali pierwsze nazwiska.

---

[32] *Wyczytani z imienia i nazwiska zabierają swoje rzeczy i podchodzą do stołu.*

– Stanisław Dobosz, syn Stanisława.

– Jestem – odpowiedział żołnierz i rzucił się do zbierania swojego skromnego dobytku, a po chwili stał już przed stolikiem.

– Aparażnitje karmany i słażytje wsjo na stoł.[33]

Żołnierz nie bez zdziwienia wypełnił rozkaz, ale kiedy podano mu śledzia, chleb i woreczek z cukrem, uśmiechnął się i przeszedł dalej.

Tymczasem padło kolejne polecenie.

– Wnje stajat maszyny. Saditjes pa oćerjedi.[34]

Padały kolejne nazwiska.

– Feliks Dąbrowski, syn Juliusza.

Po wyczytaniu kilkunastu nazwisk pozostali zaczęli pakować swoje rzeczy, zanim ich wyczytano. Chcieli być gotowi, aby jak najszybciej zająć miejsca w samochodach, którymi pojadą do upragnionej wolności.

– Kazimierz Tadeusz Drajewicz, syn Karola – czytano dalej.

– Stanisław Edward Mędrzycki, syn Piotra.

Stach drgnął.

– No, Stachu – potrząsnął nim Stefan. – Pakuj się. Szybko. Jedziesz do domu – uśmiechał się do kolegi.

Mędrzycki chwycił swój stary plecak. Spod poduszki wyciągnął listy, zapakował przybory toaletowe i pozostałe rzeczy. Uścisnął kolegów, stanął przed stolikiem i bez ponaglenia opróżnił kieszenie. Potem, nie oglądając się za siebie, wyszedł i wsiadł do ciężarówki. W samochodzie nikt nie rozmawiał. Wszyscy siedzieli skupieni. Pogrążeni we własnych myślach. Rozejrzał się dookoła. Niebo nad cerkwią zasnute było grubymi, szarymi chmurami, z których leciała drobna mżawka. Było zimno i ponuro. Nawet psy nie wyszły jeszcze ze swoich kryjówek. Jedynie gawrony ze swoim nieustannym, złowieszczym „kra" krzątały się w swoich gniazdach.

[33] *Opróżnić kieszenie i wyłożyć rzeczy na stół.*

[34] *Na dworze stoją samochody. Zajmować miejsca po kolei.*

Po chwili wartownik zamknął klapę.

– Dokąd nas wiozą? – spytał go Stach.

– Nu, kak. Wy nie słyszeli? Ujeżżatje damoj. Nu, snaćała na stanciju...

Na stacji stała już znajoma lokomotywa z czerwoną gwiazdą i podczepione do niej „Stołypinowskie"[35] wagony.

– Na Sybir czy do domu? – rzucił któryś z żołnierzy.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

W ciszy i ładzie weszli do pierwszego wagonu. Słyszeli, jak auta przywożą kolejnych jeńców. Załadunek trwał około dwóch godzin, po czym pociąg ruszył z przeszywającym uszy gwizdem lokomotywy. Z grobową z początku atmosferą, jaka panowała w wagonach, wygrała nadzieja, że wracają do Polski. Nastroje poprawiły się i co niektórzy zaczęli snuć plany, co do tego, co zrobią po powrocie.

Po kilku godzinach transport zwolnił i zatrzymali się.

– Wychaditie, wychaditie – ponaglali zaskoczonych więźniów wartownicy, otwierając kolejne wagony.

Jeńcy wyskakiwali na jeden z obskurnych peronów kolejowego dworca. „Charkow Passażirskij" – umieszczona wysoko na żelaznym rusztowaniu nazwa wskazywała miejsce przyjazdu.

Zobaczyli stojących dookoła sowieckich żołnierzy, ze szczekającymi bez przerwy psami. Nogi im zadrżały, a krtań ścisnęła się, nie mogąc wydać głosu. Niektórzy wskakiwali z powrotem do wagonów. Sowieci wyganiali ich. Kłując bagnetami, ustawili ich w dwuszeregu.

– Rasćitalis' na tridcat'![36] – padła komenda.

Auta stały nieco dalej – tuż przed dworcem. Więźniowie szli w poprzek, między peronami, grzęznąc po łydki w połączonym ze smarami błocie. Pierwsi więźniowie zajęli miejsca w pojazdach.

[35] *Więzienne wagony z małym, zadrutowanym okienkiem pod sufitem.*

[36] *Do trzydziestu odlicz.*

– Wam budjet charaszo w naszych „Czjornych waronach"[37] – zaśmiał się bolszewik – starszy lejtnant bezpieczeństwa państwa, Timofiej Fiodorowicz.
– Nasza „Czjornaja Marusia" udobnaja[38] – poklepał auto w blachę i zatrzasnął tylne drzwi.

Stanisław zajął miejsce w jednej z pojedynczych cel znajdujących się wewnątrz auta. Było bardzo ciasno, mimo to nikt nie protestował, nie odzywał się. Słychać było tylko głośny warkot pracującego nierówno silnika i pojedyncze słowa rozmowy dochodzące z szoferki. Nikt z więźniów nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, że to nie sen, że nie jadą do domu.
– Jezu! Co z nami będzie...?
Stach złapał się kraty i ścisnął mocno oczy, wypełnione łzami. Zaczął się gorliwie modlić:
– Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko... Naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych... Od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać...
Przez chwilę wrócił myślą do rodzinnego domu. Przypomniał sobie szczenięce lata. Sad wokół domu i młyn, i ojca, i mamę, jego kochaną mamę, jak prała bieliznę nad stawem, trąc w pocie czoła o tarę. I wakacje, i kolegów, z którymi urządzali różne hece, i nie wiadomo dlaczego, swoją ciotkę, którą ubódł w wiadome miejsce baran, kiedy schylała się, aby wlać do koryta przygotowane dla świń żarcie.
Po chwili stanęła mu przed oczami Maria, jego Maria, cała rozpromieniona i roześmiana, ciesząca się razem z nim ze wspólnie planowanego życia.
Nagle przypomniał sobie: „No, ale przecież kawka! Kawka wywróżyła, że będą szczęśliwi." Maria na każdym kroku wróżyła sobie, to dla zabawy, to znów poważnie z układu różnych przedmiotów, ze snów, wspomnień. Lubiła planować przyszłość tę najbliższą i tę dalszą, sądząc po dniu słonecznym bądź pochmurnym, przechodzącym czarnym kocie, płatkach kwiatów czy listkach koniczyny. A kawka? Wycięta z blachy, pomalowana na czarno wisiała przy sztycy na kominie sąsiadów mieszkających koło jej rodzinnego domu. Bujała się przy podmuchach wiatru – raz w przód – raz w tył. Marysia wymyśliła sobie, że z niej też da się wróżyć i zadała jej pytanie:
– Kawko, kawko miła, powiedz, czy będziemy szczęśliwi?
Po chwili powiało i ptak zaczął się bujać, a ona liczyła.
– Raz, dwa, trzy... Jeśli będzie więcej niż dwadzieścia – to tak, będziemy szczęśliwi, jeśli ponad pięćdziesiąt, to bardzo. Kawka przepowiedziała im długie, szczęśliwe życie, „bujnęła" się pięćdziesiąt pięć razy. Maria nie jest zabobonna. Po prostu sprawiało jej to przyjemność. Zawsze dodawała później: „Ale i tak, co Bóg da, tak będzie". I śmiała się. Boże! Jak ona pięknie się śmieje...

Jechali tak kilka kilometrów. Przez zamalowane na czarno okna ledwie prześwitywało światło dnia. Nagle zatrzymali się i wysiedli ponaglani przez kierowcę i jadącego z nimi lejtnanta. Znajdowali się na dziedzińcu, wokół którego rozciągały się wysokie mury jakiegoś budynku, z wyglądu przypominającego więzienie.
– Może nas tylko przenieśli – wróciła iskierka nadziei.
Skierowano ich dalej po schodkach w dół i rozmieszczono w więziennych celach znajdujących się wzdłuż niewielkiego korytarza.
– Co z nami będzie? – spytał Mędrzyckiego jakiś cywil, towarzysz niedoli, który stał najbliżej niego w niewielkim, ledwie oświetlonym pomieszczeniu bez okien.
Stanisław spojrzał na niego błędnym wzrokiem. Po dłuższej chwili odezwał się opanowanym, spokojnym głosem:
– Proszę się modlić. Tylko tyle nam zostało – wyciągnął do niego rękę.

[37] *Będzie wam dobrze w naszych „Czarnych wronach".*
[38] *Nasza „Czarna Marusia" śliczna.*

Mężczyzna odwzajemnił uścisk. Zrozumiał, że to na pożegnanie.

Nagle usłyszeli otwieranie kolejnych cel i wyczytywanie nazwisk. Trzech wywołanych wyszło na korytarz i poszło w nieznanym kierunku. Po kilku minutach usłyszeli strzały. Trzy strzały. Nie mieli już wątpliwości. Co jakiś czas otwierały się ze zgrzytem stare, żelazne drzwi i kolejni wyczytani szli na spotkanie z przeznaczeniem. Padały kolejne głuche, niosące się echem po więziennych korytarzach, strzały. W końcu otworzyły się drzwi celi, w której był Stach.

– Mędrzycki Stanisław, syn Piotra. Wychadi.

Kazano mu podejść do pomieszczenia na końcu korytarzyka. Tam przy stoliku siedział kolejny sowiecki oprawca.

– Imja, familia, god rażdjenija, prafjesja[39] – padały pytania.

Po czym kolejna rewizja i dwóch ludzi skrępowało mu sznurem ręce. Później wzięli go pod pachy i sprowadzili kilka stopni w dół, do dalszej części piwnicy. Posadzili na ławce, gdzie siedział wezwany wcześniej więzień i modlił się półgłosem. Nagle zerwał się i zaczął uciekać nieporadnym krokiem, odbijając się od ścian wąskiego korytarza. Jednak zaraz został schwytany, wzięty pod pachy i zawleczony do jednej z cel, przed którą na posadzce widoczne były krwawe ślady podeszew oficerskich butów. Po chwili padł kolejny strzał i słychać było, jak ciągną ciało w kierunku jakiegoś innego wyjścia.

Staś został sam na ławce, a kiedy nadeszła jego kolej i przyszli po niego, zaczął głośno i szybko się modlić, z trudem łapiąc powietrze.

– O, Pani nasza! Orędowniczko nasza! Pośredniczko nasza! Pocieszycielko nasza! Z Synem swoim nas pojednaj, swojemu Synowi nas polecaj, swojemu Synowi nas oddawaj…

*

[39] *Imię, nazwisko, rok urodzenia, zawód.*

Część druga

Okupacja

II wojna światowa, rozpoczęta 1 września 1939 roku bombardowaniem Wielunia i strzałami na Westerplatte, rozszerzała się na całą Europę. Polska znalazła się pod niemiecką i sowiecką okupacją. Spłynęła krwią poległych obrońców ojczyzny i krwią jej niewinnych mieszkańców.

Jednak Hitlerowi ciągle było mało. Planował zajęcie kolejnych państw, kolejnych terytoriów.

Hitlerowcy brali, co chcieli i kiedy chcieli, niszcząc życie i dorobek wielu pokoleń. Trwały aresztowania i wysiedlenia. Grabiono, palono i mordowano. Wszelkie życie społeczne, kulturalne i ekonomiczne znalazło się pod nadzorem nowych, okupacyjnych władz. Kontrolowano handel, przemysł, rolnictwo, opiekę zdrowotną i oświatę. Na terenach miast i gmin wprowadzano Zarządy Komisaryczne.

Pierwszą granicę, wytyczoną przez okupanta na rzece Pilsi, przeniesiono w okolicę Piotrkowa Trybunalskiego, na rzekę Grabię. Nazwę twej części obszaru Polski, nadaną wcześniej – Okręg Rzeszy „Poznań", zmieniono na „Kraj Warty" (Reichsgau Wartheland). Osada – Zelów oraz okoliczne wioski znalazły się na terenach przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej.

Z początkiem stycznia 1940 roku władzę w Zelowie objął Amtskommissar Johanes Berger. Człowiek niewysokiego wzrostu, łysy, o przenikliwych filtrujących wszystko oczach. Złośliwy i podstępny, arogancki i nieznoszący sprzeciwu.

Trudne to były czasy i niebezpieczne, ale pośród tego wojennego zgiełku i okupacyjnych zawirowań życie trwało i toczyło się dalej.

***

Po długiej i ciężkiej zimie 1940 roku w lasach i zacienionych miejscach leżał jeszcze śnieg, a nocami były przymrozki, ale prawdziwa, ciepła wiosna zbliżała się dużymi krokami. Czuć ją było w powietrzu, widać było na łąkach i w nasłonecznionych miejscach. Każdego dnia można było dostrzec zmiany, na lepsze. Kwitły już pierwsze przebiśniegi i zawilce. Ptaki, które jesienią odleciały w poszukiwaniu schronienia przed srogą zimą, wracały, aby zbudować tu swoje gniazda. Na łąkach kwiliły czajki i rycyki, a bekasy „dudniły" w nurkowym locie, że aż echo niosło.

Tam, gdzie przygrzało słońce, ziemia odmarzła i nasiąkła wodą tak, że niewielka rzeczka – Pilsia wystąpiła z brzegów i zalała okoliczne pastwiska i łąki, tworząc rozległe rozlewiska. Mimo wojny, ludzie i zwierzęta cieszyli się ze zmian w przyrodzie, które dodawały im sił i nadziei na lepsze jutro.

Maria Nowotarska stała na podwórku przed komórką z drewnem i patrzyła na resztki drewna i torfu, jakie pozostały po zimie: „Czy starczy tego, zanim zrobi się ciepło? W lesie drewna nie brakuje, jednak trzeba iść i nazbierać, i porąbać. No, cóż. Samo się nie zrobi" – pomyślała.

Wzięła siekierę. Ustawiła duży klocek na pniaczku. Przytrzymała go jedną ręką i zamachnęła się. Uderzyła, lecz ostrze siekiery omsknęło się i przejechało po ręce. Krzyknęła z bólu i przerażenia. Spojrzała na zakrwawione palce.

„Chyba są... Chyba wszystkie. To najważniejsze" – z lękiem i grymasem cierpienia na twarzy oglądała mocno krwawiącą ranę. W pierwszej chwili nie wiedziała, co robić.

„Sama nie dam rady" – dotarło do niej. „Nie jedną ręką". Przycisnęła zranioną dłoń do ciała, owinęła końcem sweterka, który miała na sobie i pobiegła do Owczarków, najbliższych sąsiadów.

– Pani Owczarkowa! – krzyknęła. – Pani Owczarkowa!

Na rwetes podniesiony w sieni wybiegła gospodyni, a za nią jej mąż i syn Irek.

– Jezus, Maria! Co się dzieje? Stało się co, że takie krzyki?

Kiedy pani Apolonia zorientowała się, o co chodzi, jako jedyna zachowała zimną krew.

– Siadaj! – powiedziała i podsunęła jej krzesło.

Maria była w szoku. Syczała z bólu.

Owczarkowa oceniła sytuację i krzyknęła do męża:

– Czyste prześcieradło dawaj! Co tak, stoisz! Powiedziałam, dawaj czyste przecierało z szafy!

Pan Andrzej, mężczyzna w średnim wieku i niewielkiego wzrostu, poczciwy i niezwykle pracowity człowiek, bez sprzeciwu wykonał polecenie żony.

– Drzyj na pasy! – szturchnęła go w ramię, kiedy stanął z prześcieradłem w dłoni nie wiedząc, co robić.

Spojrzał na nią, jakby nie zrozumiał.

– Drzyj, mówię ci!

Po chwili mocno wiązali ranę.

– Jeszcze mocniej. Uciśnij. Trzeba zahamować krwawienie. No, dobra. A teraz leć do Olszewskich. W sobotę o tej porze Rozalka już pewnie w domu. Niech bierze, co tam ma, i dawaj ją tu.

Owczarek stał, nie bardzo rozumiejąc, po co ma biec po Rozalkę, skoro ręka już owinięta.

– W te dyrdy! Rana musi być opatrzona, jak należy. W końcu to ona jest pielęgniarką, a nie ja. A może nawet trzeba będzie doktora, czy nawet do szpitala? Leć już!

– Może Irek niech leci, bo Uli nie ma.

– Ty leć, powiedziałam! Już ci ta dziecko dobrze sprawę załatwi! – ponownie krzyknęła na męża.

Kiedy wybiegł, podała Marii wodę do picia.

– Pij, dziewczyno – pogłaskała ją po głowie.

– Będzie dobrze, zobaczysz. Zaraz będzie Rozalka, to fachowym okiem obejrzy. Zna się. Pracowała u felczera Misjona – póki go Niemcy w zaszłym roku nie wywieźli, a teraz pracuje w gabinecie u felczera Zielke, w Rynku, porządnego Niemca, naszego zelowskiego.

Maria siedziała blada i nie odzywała się. Za to Owczarkowa gadała, co jej ślina na język przyniosła, byleby tylko zagadać wystraszoną dziewczynę i sprawić, by nie myślała o bólu.

Po kilku minutach wpadli do izby – gospodarz i Rozalka Olszewska, która mieszkała z rodziną po drugiej stronie Traktu Napoleońskiego.

– Wiem już, co się stało – powiedziała, zrzucając wierzchnie okrycie. – Pani mąż mi wszystko powiedział.

Umyła ręce w misce z wodą i podeszła do Marii. Powoli odkryła ranę, która znów zaczęła mocniej krwawić.

– Potrzebna mi czysta woda – powiedziała do Owczarka.

– No, dawaj! – ponagliła go żona, ale widząc, że mąż znowu stoi jak słup, machnęła ręką.

– Aaa, tam! Sama pójdę. Zanim on się ruszy, to dziewczyna się wykrwawi – mruknęła pod nosem i pobiegła do kuchni, aby przynieść czajnik z wodą, który stał na piecu.

Rozalia przemyła ranę.

– Proszę poruszać palcami – powiedziała do Marii.

– Dobrze, a całą ręką? – obserwowała ruchy.

– Raczej... wszystko, dobrze. To powierzchowne obrażenia, choć sporo skóry zdarte. Kości i ścięgna chyba całe – wymieniała, zakładając opatrunek. – Jutro zajrzę do pani, to zmienimy bandaże. Myślę, że dzisiaj do doktora nie trzeba, ale w poniedziałek niech pani idzie, niech to obejrzy, nie zaszkodzi. Proszę przyjść do mnie, to wprowadzę panią do niego. No i zwolnienie jakieś wystawi, bo teraz to nie może pani przez jakiś czas pracować.

– Mów mi, Marysia – wykrztusiła przez zaschnięte gardło Nowotarska. – I... i dziękuję ci, bardzo dziękuję. Wam wszystkim dziękuję – powiedziała już głośno i wyraźnie.

Tego wieczora Maria długo nie mogła zasnąć. Bolała ją ręka. Bała się też, że może to jednak coś poważniejszego, niż tylko powierzchowne uszkodzenia. Do tego obawiała się reakcji swo-

jego pracodawcy. Co zrobi, kiedy powie mu, że nie może pracować? Nie. Nie można z tym czekać, aż do poniedziałku i po prostu nie iść do pracy. Lepiej będzie, jeśli już jutro pójdzie do niego, do domu, i przedstawi całą sprawę. Trudno. Raz kozie śmierć. Myślała i myślała, przewracała się to w jedną to w drugą stronę. W końcu zmęczona zasnęła, ale po krótkim, niespokojnym śnie obudziła się przerażona. Czuła jakiś głęboki niepokój, jakby strach czy obawę przed czymś, co ma się wydarzyć. Czoło miała pokryte potem, a serce biło jej przyśpieszonym rytmem. Przez chwilę nie mogła uświadomić sobie, gdzie jest i co się stało. Rozejrzała się dookoła i w końcu zrozumiała – jest w domu i leży w łóżku. Coś jej się śniło. Jakiś koszmar wybudził ją ze snu. Jaki? Nie mogła sobie przypomnieć.

W pokoju panował półmrok, lecz noc była widna. Blade światło księżyca zaglądało przez niezasłonięte okno, rzucając srebrny blask na stolik i połowę szafy. „Bim, bam, bim, bam..." – zegar stojący na komodzie oznajmił dźwięcznym tonem godzinę drugą. Spojrzała w okno i... przeraziła się. Ktoś był na zewnątrz. Przy krzewie bezlistnego jeszcze jaśminu wyraźnie zobaczyła sylwetkę mężczyzny. Przetarła oczy i ... „Nieee, nic nie ma. Zdawało mi się" – pomyślała. – „A może śniło?". Usiadła na łóżku i przeżegnała się: „Sen mara, Bóg wiara" – powiedziała i ponownie się przeżegnała. Jednak nie mogła zasnąć. Widziana przez ułamek sekundy postać nie dawała jej spokoju. Przewracała się z boku na bok i wymyśliła, że w Boże Ciało powiesi pod sufitem pędy widłaka. One podobno chronią przed siłami nieczystymi i nocnymi marami. Jednak zaraz uświadomiła sobie, że przecież to zabobony i lepiej zmówić pacierz. Usnęła dopiero, kiedy piały pierwsze kury, zwiastując nowy dzień.

W niedzielny ranek Rozalka przyszła zmienić opatrunek.

– Stuk, puk... Dzień dobry! – zawołała wesoło, pukając w okno.

Młoda, pełna życia dziewczyna o zgrabnie zaczesanych blond włosach, sięgających ramion, zaglądała przez szybę do środka.



Rozalia Olszewska.

– Już idę! Już, już otwieram!

Maria wpuściła ją do sieni.

– Proszę, wejdź dalej. Zaspałam.

Rozalia już od progu zaczęła żartować, a na jej dziecięcej jeszcze twarzy pojawił się szczery uśmiech.

– No, jak chora? – spytała, szykując przyniesione przez siebie bandaże. – Jak się czujesz? Bolało w nocy? Zmienimy opatrunek i pójdziemy do kościoła. Tak ładnie na dworze.

Maria skończyła się ubierać. Przyniosła miskę z wodą i kawałkiem czystej szmatki i usiadła przy stole.

– Bolało – potwierdziła.

– Najbar... Ysss! – syknęła, kiedy dziewczyna, polewając wodą bandaż, zdejmowała opatrunek.

– Nie jest źle. Przemyjemy ranę. Jeszcze raz zdezynfekujemy i owiniemy. Troszeczkę może boleć. W końcu to otwarta rana.

Robiła swoje i mówiła dalej:

– A jeśli chodzi o drewno na opał, to już Bartkowi, to znaczy mojemu bratu, mówiłam, żeby po południu do ciebie przyszedł. Porąbie drwa i naznosi. O nic nie musisz się martwić. Do roboty i wszelkiej pomocy to on pierwszy, tylko nerwus trochę jest, ale nie dla innych, tylko ze mną lubi się przekomarzać. Zawsze jego musi być na wierzchu.

Marysia uśmiechnęła się i powiedziała:

– Ubiorę się i już wychodzimy, ale nie pójdziemy przez las, bo za duże błoto. Po drodze pogadamy, bo już późno, a po mszy chcę jeszcze iść do Zelowa, do pana Golke i powiedzieć mu, co się stało.

Rozalka przytaknęła.

– Nie martw się. To dobry człowiek. Zrozumie – dodała swoją opinię o pracodawcy koleżanki.

Maria westchnęła.

– Obyś miała rację, bo w nocy prawie nie spałam. Czuję się taka zmęczona. Nie dosyć, że przez to – uniosła zabandażowaną rękę – to jeszcze miałam koszmary. Co chwilę jakieś kłopoty, a mój Stach nie wraca.

– Właśnie! Miałam już wcześniej pytać, ale jakoś nie było okazji. Wszyscy go tu przecież znamy. Bartek był w jego drużynie „Strzelców".

Maria spojrzała smutno na nową koleżankę i powiedziała:

– Wiem tylko tyle, że jest w obozie jenieckim – daleko, na wschodzie Rosji. Tylko jedna kartka od niego przyszła. Napisał: „Jestem na przymusowym pobycie, kiedy wrócę, to nie wiem".

I podpis – „Stach".

– Tak. To wiem. Wszyscy wiedzą. Bardzo go tu wszyscy lubiliśmy. To dobry nauczyciel i dobry człowiek. Zawsze serdeczny i uśmiechnięty. Do każdego zagadał... i do dzieci miał podejście, i do dorosłych. No i przystojny – uśmiechnęła się do Marysi. – Wszystkie tu podkochiwałyśmy się w nim.
Maria odwzajemniła uśmiech, a Rózia dodała:

– Trzeba wierzyć, że wróci. Najważniejsze, że żyje. Trzeba tylko czasu, a on szybko leci. Zobacz! Dopiero co był marzec i Wielkanoc, a już mamy kwiecień i tylko patrzeć, jak będzie lato.

– Tak. Czas szybko płynie – Maria znowu westchnęła.

– Nie ma dnia ani godziny, żebym o nim nie myślała – dodała. – Przy każdym pukaniu do drzwi wydaje mi się, że to on... Byliśmy tacy szczęśliwi. Popatrz, jak to jest w życiu – przez moment wydaje ci się, że świat należy do ciebie, że stoi przed tobą otworem, że możesz pełną garścią brać to szczęście i tak już będzie zawsze, bo twoja przyszłość jest jasna, pełna szczęścia i radości, ale niestety, to tylko ułuda. Jedno zdarzenie, jedna chwila może obrócić to wszystko wniwecz. Los drwi sobie z ciebie i pyta w najmniej spodziewanym momencie, czy aby nie jesteś zbyt szczęśliwa? Zapomniałaś, że życie to nie bajka? – zamyśliła się głęboko. – Ale kim my jesteśmy wobec świata i Boga? – dodała. – Nic nam nie pomoże jakiekolwiek przeciwstawianie się naszemu przeznaczeniu, żadna złość, żadne przekleństwa, ni prośby, ni groźby. Każdy z nas ma życie zapisane już w czasie narodzin – od Boga przeznaczone. Trzeba przyjąć to wszystko, co On nam daje, bo widocznie ma swoje plany, których my nie rozumiemy, a On nam tego nie tłumaczy, nawet nie stara się tego robić. Ot, daje nam możliwość wyboru i daje wiarę, a od nas zależy, czy mu zaufamy, przyjmując jego wyroki.



Młodsza drużyna „Strzelców". Sromutka – lata 30. XX w.
W środku Stanisław Mędrzycki.

Kobiety szły szosą przez mostek.

– Solidny ten most – zauważyła Maria.

– Tak – odpowiedziała Rozalka. – Podobno zbudowali go na kamieniach z dawnego dworu dziedzica Sromutki – Józefa Świdzińskiego. Stał tu niedaleko. O, tam. Jeszcze resztki zostały – wskazała ręką w kierunku widniejących w oddali krzewów i drewnianych chałup. – Mój pradziadek Onufry mi mówił, że ponad 100 lat temu Świdziński sprzedał majątek Zelów Czechom, co tu na nasze tereny przywędrowali. Musisz go kiedyś posłuchać, on tak pięknie opowiada różne historie. Teraz to już wyrośliśmy, no i nie mamy czasu, ale kiedy byliśmy jeszcze mali, to siadywaliśmy mu na kolanach i słuchaliśmy z otwartymi ustami. Ma taki dar opowiadania, a zwłaszcza o duchach i różnych nocnicach lubiliśmy słuchać. Bartek bał się później w nocy i do mnie pod pierzynę leciał ze łzami w oczach, bo młodszy ode mnie o 6 lat... Ale! Ale! Ja gadam i gadam, a ciebie prawie nie znam, bo przecież nietutejsza jesteś. Opowiedz coś o sobie.

Maria uśmiechnęła się.

– A co ja mam do opowiadania. Jestem zwykłą dziewczyną. W 36. skończyłam żeńskie seminarium nauczycielskie w Łowiczu i chciałam pracować w szkole w mojej wsi, w Parznie, bo chcieli tam wybudować nową, murowaną, w miejsce tej starej. Miało być przyjętych więcej nauczycieli, bo dzieci dużo, ale brakło pieniędzy i budowę wstrzymano, a do tego była epidemia dyfterytu. Znalazłam pracę w Woli Mikorskiej, ale tylko na rok. Jednak w 37. zaczęto budowę i w styczniu w zeszłym roku kierownik szkoły, pan Lucjan Biczysko, ją otworzył. No, ale ja już pracowałam w Papieżach k. Piotrkowa, gdzie Stach do mnie dołączył – zamyśliła się chwilę i dodała: – Mieliśmy takie plany. W maju, w zeszłym roku, Staszek napisał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie, że chce podjąć pracę w charakterze nauczyciela w jednym z ośrodków emigracji polskiej w Niemczech lub we Francji. Napisał, że chce nieść naszym rodakom na obczyźnie nasze obyczaje, kulturę i naukę. Ja miałam jechać z nim i już na miejscu starać się o pracę. A teraz wojna i wszystko przepadło, i wszystko... Aaa! – machnęła ręką. – A ty masz chłopaka? – zmieniła temat.

Rozalka zaśmiała się delikatnie, ale szczerze.

– Mam, mam. Wiedziałam, że w końcu spytasz. I wydaje mi się, że już go widzę – mrużąc oczy patrzyła z daleka na mężczyznę stojącego przed widocznym już kościołem w Łobudzicach.

– Tak – potwierdziła. – To mój „Rudy".

– „Rudy"? – spytała Maria.

– No... właściwie to Jacek, ale wszyscy mówią Rudy. Zawsze mówili. Poznałam go jeszcze w szkole. Przychodziliśmy do Łobudzic na msze i różne występy, a on jest z Łobudzic. Trudno go było nie zauważyć. Pewnie domyślasz się, dlaczego. Ale to było dawno.

Rozalia pomachała ręką w kierunku młodego mężczyzny o płomiennych włosach, stojącego pomiędzy schodzącymi się na mszę wiernymi. Ubrany był w szarą kapotę i szare spodnie

wpuszczone w wysokie, gospodarskie buty. Machał im ręką na powitanie. Przyspieszyły kroku.

Nagle z boku padło głośne, zatrważające:

– Halt!

Stanęły jak wryte. Spojrzały w tamtą stronę i w jednej chwili zamarły im serca. Zza drzewa wyszło dwóch niemieckich żandarmów w długich, skórzanych płaszczach i hełmach na głowach, z zawieszonymi na piersiach blachami w kształcie półksiężyca.



Niemiecki punkt kontrolny.

– Ausweis[40] – powiedział spokojnie młodszy z nich, podchodząc do zaskoczonych kobiet.

Wyglądały, jakby zobaczyły ducha. Dopiero po chwili ochłonęły i sięgnęły do swoich torebek.

– My do kościoła. Na mszę idziemy – powiedziała Roza, podając swoje dokumenty.

Niemiec nie odpowiedział, tylko zerkał – raz na zdjęcie, raz na młodą, ładną dziewczynę – i uśmiechał się, i znów sprawdzał.

[40] *Dowód osobisty.*

Roza zaczerwieniła się czując, że mu się podoba, ale też uspokoiła nieco, gdy zobaczyła uśmiech na jego twarzy.

– Panie oficerze. My ze Sromutki. Idziemy do kościoła. Nasze dokumenty są w porządku.

Żołnierz bez słowa oddał papiery. Podszedł do Marii, która ciągle jeszcze nerwowo przeszukiwała torebkę.

– Ausweis – powtórzył.

Spojrzała na niego z przestrachem i powiedziała po niemiecku.

– Musiałam zostawić w domu, na stole. To z pośpiechu, bo ręka i... – pokazała zabandażowaną dłoń.

Żandarm stojący z boku natychmiast zdjął karabin z pleców i skierował go w kierunku kobiety.

– Hände hoch! – rzucił ostro.

Widząc to młodszy podszedł do niego i szepcząc mu coś do ucha, ręką delikatnie opuszczał lufę jego broni.

– Hände hoch! – powtórzył tamten i ponownie wymierzył w bladą jak ściana Marię.

Kobieta spojrzała litościwie na wartownika, który ją kontrolował, ale ten rozłożył tylko ręce i odszedł na bok. Rozejrzała się wokół szukając wsparcia. Spojrzała na struchlałą ze strachu Rozę. Patrzyła błagalnie w jej oczy, choć wiedziała, że ta nic nie może zrobić. Oprzytomniała jednak i jeszcze raz sięgnęła do torebki, wyjmując klucz od domu.

– Rozalka. W kuchni na stole – powiedziała szeptem, próbując go podać, ale Szwab popchnął ją w ramię tak, że omal nie upadła.

– Raus – rzucił agresywnie i wskazał stojący na podwórzu sąsiedniego domu czarny motocykl, z koszem dla pasażera.

Po chwili odjechali z głośnym warkotem silnika w kierunku Zelowa.

Po całym zdarzeniu nadbiegł Rudy. Przytulił trzęsącą się jak listek dziewczynę.

– Rudy. Musimy jej pomóc. Musimy jej pomóc – łkała powtarzając w kółko to samo.

Nagle znalazła rozwiązanie.

– Biegnij po Bartka – powiedziała. – Znajdziesz go w zakrystii, do mszy dzisiaj służy. On ma rower. Powiedz, co się stało i niech pędzi. Da sobie radę. Nieraz otwierał okna z haczyków i mnie straszył. Niech weźmie jej dokumenty, są na stole w kuchni, i niech przywiezie je do Zelowa, a my pójdziemy do pana Golke, albo poproszę pana Zielke. Może się wstawią... Tylko gdzie ją zabrał?

– Pewnie na żandarmerię – odpowiedział przejęty Rudy.

– No, tak. Leć już. Niech czeka na nas w Rynku.

Mężczyzna, przepychając się między ludźmi, dostał się bocznym wejściem do zakrystii w poszukiwaniu brata dziewczyny. Znalazł go dopiero w kościele, gdzie razem z drugim ministrantem zapalali przy ołtarzu świece.

Bartkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zrozumiał w lot swoje zadanie i już po chwili pruł drogą, w kierunku Sromutki.

Tymczasem Rozalia i Rudy ruszyli w stronę Zelowa. Po około pół godzinie byli już na miejscu. Zapukali do domu felczera Zielke, właściciela domu przy ulicy Kilińskiego 17, ale okazało się, że przełożony Rozali wyjechał. Odebrali więc, od czekającego na nich w Rynku Bartka, dokumenty i poszli do pana Ewana Golke mieszkającego przy ulicy Żeromskiego.

Rozalka znała tę rodzinę, chodziła tam robić zastrzyki, kiedy zachorował ich syn. Opowiedzieli, co się wydarzyło i już po kilku minutach Niemiec wszedł do dwupiętrowej kamienicy przy Sienkiewicza 1. Na parterze, tuż obok zamkniętej w niedzielę apteki Józefa Radziszewskiego, znajdowała się żandarmeria – tzw. wiejska, czyli zajmująca się sprawami, które dotyczyły okolicznych wsi znajdujących się na terenach sąsiadujących ze sobą dwóch gmin – gminy Zelów i gminy Bujny Szlacheckie.

– Jest tam kto? – Golke zapukał w okienko, które po chwili otworzyło się i ukazała się w nim głowa dyżurnego.

– W jakiej sprawie? – spytał przeciągle.

– Heil Hitler! – Golke przesłał pozdrowienie zgodnie z obowiązującym prawem. – Czy mogę rozmawiać z przełożonym?

– Heil Hitler! – odpowiedział wartownik. – Wachtmeister[41] Kube będzie jutro – cedził słowa przez pożółkłe zęby.

– Bo zaszła pewna pomyłka. Macie u siebie dziewczynę, która jest moją pracownicą i jutro rano musi być w pracy, w sklepie. Nie zrobiła nic takiego, po prostu zapomniała dokumentów, a oto i one – pokazał przyniesione papiery. – Zapewniam, jako lojalny obywatel III Rzeszy, że dokumenty są w porządku i były już sprawdzane, kiedy przyjmowałem ją do pracy.

– Panie Golke. Ja pana znam – odpowiedział dyżurny. – Ale co ja mogę? Przywiózł ją Hanke. On jest cięty na Polaków. Jego syn zginął na froncie. Teraz się mści. Kobieta musi pozostać w areszcie – rozłożył ręce w geście bezradności. – Nie jest jej tu źle – dodał. – Jutro wachmistrz zdecyduje. Niech pan przyjdzie do niego jutro. Urzęduje od 7.00 – zatrzasnął okienko.

Golke zapukał ponownie, żeby mu otworzył.

– A co tam jeszcze? Powiedziałem przecież…

– A gdzie ona jest?

– A siedzi tu w podwórku, w komórce. Dałem jej koc. Nie jest jej tam źle – powtórzył.

– Można jej podać coś do jedzenia?

– Niech pan przyniesie. Podam jej – odpowiedział i ponownie zatrząsnął dyżurne okno.

Na drugi dzień Golke udał się do szefa Schutzpolizei, Oskara Kube i załatwił sprawę po swojemu. Kosztowało to trochę swojskiego wyrobu, kawał słoniny i szynki oraz litr wódki.

Maria wyszła z aresztu zaraz po interwencji. Nie powiedzieli jej, dlaczego ją puścili, a ona nie za bardzo chciała wiedzieć. Uradowana z wolności pomyślała, że musi szybko iść do swojego pracodawcy i wyjaśnić mu, dlaczego nie poszła do pracy. Jakież

[41] *Sierżant.*

było jej zdziwienie, kiedy po wyjściu z podwórza zobaczyła go, stojącego koło apteki.

– Dzień dobry, panie Golke – powiedziała zaskoczona – ja muszę panu wytłumaczyć…

– Wszystko wiem – powiedział Niemiec, podchodząc do dziewczyny. Wszystko. Masz dobrych przyjaciół. Poprosili mnie o pomoc. A twój ojciec przywiózł wykupne.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Uradowana kobieta ucałowała pana Ewana w policzek.

– No, a co z ręką. Musisz iść do doktora. Sklepem się nie martw, jak wydobrzejesz, to wrócisz. Takiej dobrej sklepowej to nigdy nie miałem – uśmiechnął się szczerze. – Obroty takie, że ho, ho... To wszystko twoja zasługa. Podstawa handlu to miła, serdeczna obsługa, a ty to potrafisz.

– Dziękuję panu za ciepłe słowa. No, to lecę do doktora.

Po wizycie u felczera – Rudolfa Zielke okazało się, że z ręką nie jest tak źle, a po kilku dniach powinno być na tyle dobrze, że wróci do pracy. Uradowana dziewczyna wybiegła z gabinetu od strony podwórza i już miała zamiar wyjść na Rynek, gdy usłyszała krzyki. Cofnęła się i stanęła za rogiem budynku. Przylgnęła do ściany. Kiedy wychyliła głowę, zobaczyła grupę mężczyzn ustawionych w dwuszeregu. Wokół nich, pokrzykując, chodzili żandarmi. Przyjrzała się lepiej.

Pośrodku placu Niemcy zebrali dziesiątki Żydów. Od młodych chłopców po staruszków z siwymi, długimi brodami i pejsami. Ubranych w liche odzienie i mycki na głowach. „Znowu ich będą gonić do roboty" – pomyślała. Pracując w Rynku, wiele razy widziała podobne zgromadzenie. Już miała iść dalej, ale usłyszała głośny śmiech, a raczej barbarzyński rechot ubawionych czymś oprawców.

– No, to dawaj! Dawaj! Wybierz kilku – dało się wyraźnie usłyszeć.

Patrzyła w tamtą stronę.

Jeden z żandarmów podszedł do pierwszego szeregu. Złapał młodego chłopaka za poły płaszcza i szarpnął tak, że przewrócił go na ziemię.

– Wstawaj – powiedział do niego opasły Niemiec stojący obok.

– Daj spokój, Willy. Niech odpocznie – powiedział tamten ironicznie. – Czeka go niezła zabawa – zaśmiał się szydersko.

– Rensner! Teraz ty wybieraj.

– Wezmę jakiegoś tłustszego, bo ty takie chuchro wybrałeś.

– A gdzie ty tu tłustego znajdziesz? Oni wszyscy jak te... Komary ich mogą zadziobać.

Ponownie rozległ się gromki rechot.

– Trzech czy czterech? – spytał Willy Rapsch, komendant zelowskiego oddziału żandarmerii miejskiej.

– Dwóch do przodu i dwóch do tyłu.

– No, to wybierz jeszcze dwóch – uderzył ręką o rękę i potarł nimi szybko, myśląc o dobrej zabawie, która ich czeka.

– Czterech bierzemy – powiedział Rapsch do podwładnych. – Niech najpierw się zabawią, potem będą sprzątać – uśmiechnął się. – Resztę rozprowadzić według wcześniejszych ustaleń.

Po chwili na placu pozostało tylko dwóch Niemców i czterech Żydów.

– Idziemy – powiedział do nich Rensner, wskazując jednocześnie kierunek marszu.

Podeszli do stojącej niedaleko restauracji dorożki, która zawsze czekała gotowa do przewozu „lepszych" gości. Wywieszona w oknie, przy wejściu, tabliczka: „Nur für Deutsche"[42] wyraźnie wskazywała, dla kogo.

– Wyprzęgaj! I won stąd! – powiedział Willy do młodego chłopaka siedzącego na „koźle".[43]

Ten bezzwłocznie wykonał polecenie.

[42] *Tylko dla Niemców.*

[43] *Siedzenie, ławeczka w bryczce lub wozie.*

– Ty i ty – łapcie za dyszel, a wy będziecie pchać – podzielił zadania.

Obaj Niemcy usadowili się wygodnie w pojeździe. Rensner wziął bat i świsnął nim w powietrzu.

– Wio! Wio! – krzyknął.

Dorożka ruszyła. Z początku powoli, po chwili nabrali tempa.

– Dookoła placu – krzyknął rozradowany Rapsch.

– Wio! – świstał batem, podskakując co jakiś czas.

Maria przyglądała się temu ze zgrozą.

„Panie Boże. Jak można tak traktować ludzi? – pytała w myślach. – Jakim trzeba być człowiekiem, żeby upokorzenie, upodlenie kogoś sprawiało przyjemność? Czy to wina wojny? Czy to ona wyzwala te najgorsze instynkty? Te zwierzęce zachowania? Nie, chyba nie jest to jedyny powód. Oni już byli źli. Wojna po prostu ujawniła, jacy są naprawdę".

Wkrótce dorożka objechała Rynek i zatrzymała się blisko niej. Maria widziała wyraźnie twarze gnębionych mężczyzn – purpurowe z wysiłku i zmęczenia. I roześmiane oblicza tych... tych... brakowało jej słów na określenie ludzi, którzy wciąż krzyczeli i strzelali batem w radosnej euforii.

Nagle młody chłopak ciągnący za dyszel, potknął się i upadł. Zatrzymali się. Rapsch wysiadł i podszedł do niego.

– Wstawaj! – kopnął go w zadek.

Chłopak nie reagował. Dostał drugiego kopniaka.

– Wstawaj, mówię!

Młody, czternastoletni, może piętnastoletni Żyd uniósł się na łokciach, próbując powstać, ale nagle zaczął wymiotować.

Niemiec odsunął się z obrzydzeniem.

– Zostaw go – powiedział z dorożki Rensner. – We trzech też sobie poradzą. Okazuje się, że nie są tacy słabi, na jakich wyglądają.

Odwrócił się i wskazał na Żyda w sile wieku, bez pejsów i brody.

– Ty! Łap za dyszel!

Wkrótce ruszyli ulicą Kilińskiego, w kierunku Zelówka. A kiedy odjechali, na Rynku znów pojawili się ludzie, którzy stali w bramach i zaułkach, bojąc się pokazać wcześniej, aby nie wejść żandarmom w drogę.

Maria także wyszła z ukrycia i już po chwili pukała do mieszkania państwa Barów, do Władzi – siostry jej Stacha.

– Co ty tu robisz? Nie jesteś w pracy? – zdziwiona gospodyni wpuściła ją do środka. – Ręka w bandażach? Co ci się stało?
Maria usiadła w kuchni, przy stole.

– No, widzisz. Ranna jestem – uniosła chorą rękę – a do tego – uśmiechnęła się smutno – dopiero co z aresztu wyszłam.

– O! Matko Boska! – Władysława chwyciła się za głowę.

– Co ty gadasz? Z aresztu? Ranna? Mów, co się stało.
Odsunęła krzesło i usiadła naprzeciw przyjaciółki. Wysłuchała jej opowieści, łapiąc się co chwilę za głowę i powtarzając: „O, Matko Boska! Co ty gadasz!"
Maria zakończyła opowieść słowami:

– A teraz, proszę, zrób mi herbaty. Tak bardzo chce mi się pić.
Gospodyni zerwała się na równe nogi.

– Przepraszam cię, kochana. Powinnam od razu, ale takie historie… – kolejny raz pokręciła z niedowierzaniem głową, nie mogąc pojąć, że to, co usłyszała, wydarzyło się naprawdę.

– Już, już ci robię. Już. I zupę mleczną mam ze śniadania. Zacierki. Lubisz zacierki? Prawda? A, tak – lubisz – odpowiedziała sama sobie i zaczęła przygotowywać posiłek.
Po chwili dodała:

– Na szczęście dobrze się skończyło. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie Golke. Niemiec, ale porządny człowiek.
Marysia spojrzała na nią, pokiwała głową i powiedziała:

– Bo tak, bo to wszystko od człowieka zależy. I nieważne, jakiej jest nacji, koloru skóry czy wyznania. Wszystko od człowieka…

– Tak, tak – potwierdziła Władzia. – Teraz Grzesiu śpi – dodała, stawiając na stole talerz z zupą i herbatę, – ale jak wstanie, to pójdę z nim do męża i opowiem mu, co ci się przydarzyło… Nie uwierzy! Słowo daję, nie...

W tym momencie rozległo się pukanie. Odruchowo spojrzały w tamtą stronę.

– No, patrz – powiedziała Władzia, podchodząc do drzwi – ale dzisiaj dzień. Kto tam?

– Proszę otworzyć, pani Barowa. To ja. Listonosz. Mam dla pani telegram.
Kiedy usłyszały słowo „telegram", zadrżały im nogi, a serca zaczęły walić jak młotem. Obie były pełne obaw, co do przynoszonych wieści.

– O, Matko Boska! Telegram – Władzia spojrzała wystraszona na Marię, po czym wpuściła urzędnika do mieszkania. – Panie Króliczak, niech pan mi tylko nie mówi, że ten telegram to od Sowietów.
Przeżegnała się. Marysia nie odzywała się. Zaczęła się modlić w duchu.

– Nie. Nie. Z Łowicza – odpowiedział szybko posłaniec.
Kobieta położyła rękę na klatce piersiowej i odetchnęła z ulgą, ale po chwili powiedziała:

– Z Łowicza? To pewnie od rodziców – ponownie dotarło do niej, że telegram w tych okropnych czasach nie zwiastuje nic dobrego.
Nerwowo otworzyła zaklejoną część kartki i szybko przebiegła oczami jej treść. Pobladła, a po chwili bez słowa podeszła do krzesła i usiadła. Telegram wypadł jej z rąk.

– Ojciec nie żyje. Wdała się gangrena – powiedziała dziwnie spokojnym, choć zmienionym głosem.
Po chwili zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach, kapały na bluzkę.

Myślała o ojcu, o dobrym człowieku, który nigdy nie krzyczał, nie narzekał i tak bardzo kochał ją i Staszka. Myślała też o mamie, która została sama.

Maria podała jej chusteczkę.

– Zostanę – powiedziała – dopóki twój mąż nie wróci z pracy. A jeśli będziesz chciała, to mogę zaopiekować się Grzesiem, a ty zajmiesz się mamą i pogrzebem.

Władzia spojrzała na nią czerwonymi od łez oczami.

– Dziękuję – powiedziała cicho i zakryła twarz dłońmi.

Kiedy Maria dotarła do Sromutki, było już późne popołudnie. Dookoła było szaro i smutno. Niebo zasnute grubymi, ciężkimi chmurami oraz zimny wiatr zwiększały uczucie zmęczenia i przygnębienia, jakie odczuwała. Weszła do mieszkania i rozejrzała się dookoła. Było cicho i pusto. Poczuła się samotna.

– Oj! Staszku, Staszku. Jakie jest to życie – westchnęła. – Jedna chwila i już może nas nie być. Jakiś przypadek, jakaś błędna decyzja czy nagłe zapomnienie, a konsekwencje mogą być straszne... Panie Boże! Starczy tych przygód. Muszę odpocząć. Dziękuję Ci za pomoc, za ratunek z opresji i za moich nowych przyjaciół.

Spojrzała na zimny piec.

– No i jestem w punkcie wyjścia – uśmiechnęła się do siebie. – Żeby napalić, trzeba narąbać drewna.

Wzięła się do pracy, a choć robiła wszystko jedną ręką, wkrótce radosne płomienie skakały po suchych szczapach, roznosząc wkoło miłe ciepło.

Nagle usłyszała odgłosy rozmowy i radosny śmiech, a po chwili – pukanie w okno.

„To Rozalka” – pomyślała. „Tylko ona puka w szybę”.

Dziewczyna przyszła z młodym, dość dobrze zbudowanym chłopcem, o ciemnoblond włosach, brązowych oczach i gładkiej twarzy, na której nie było jeszcze śladu zarostu. Od razu wzięła nową przyjaciółkę w objęcia i wycałowała ją po policzkach:

– Jak się czujesz? Bo doktor powiedział, że dopiero za kilka dni będzie lepiej. Zresztą słyszałaś. A jak wyszłaś, to mówił, że miałaś dużo szczęścia i że trzeba zadbać o to, żeby rana się nie zaogniła. To moje zadanie, mam tego dopilnować – gadała jak nakręcona.

– Aaa! – spojrzała na stojącego z boku brata.

– To mój brat Bartek. Właściwie to Bartosz, ale rzadko tak mówimy.

– Dzień dobry, pani!

– Dzień dobry – odpowiedziała Marysia. – Mów mi po imieniu. Nie jestem chyba aż tak dużo starsza od ciebie.

Chłopak spojrzał na nią nieco zaskoczony.

– W sierpniu kończę dwadzieścia lat – odpowiedział lekko zaczerwieniony. – Ale..., ale... jest pani nauczycielką.

Maria uśmiechnęła się:

– A nauczycielki to gryzą? – spytała.

Bartek chciał coś odpowiedzieć, ale siostra przejechała mu szybko ręką po głowie, aż się skulił.

– Jak ci mówi, żeby po imieniu, to podziękuj i się stosuj – złajała go, ale bez jakiejkolwiek złości. – Bierzmy się do zmiany opatrunku – dodała. – Siadaj, Marysiu, i odwijaj bandaż, a ty idź narąbać drewna i nanoś na jutro, a potem napraw okno, bo mówiłeś, że przez okno wchodziłeś po te dokumenty.

– No, tak. Ale nic nie trzeba naprawiać. Bo jak okno nie ma winkla,[44] to się nie domyka. Wystarczy puknąć od dołu i... haczyk wypada, i... to wszystko.

Roza popatrzyła na brata, jakby chciała powiedzieć coś o jego nagłym jąkaniu się, ale wróciła do dawnego wątku.

– Ja naszykuję miskę, wodę i pozostałe rzeczy – wydała polecenia i zakończyła sprawę.

---

[44] *Kąt prosty.*

Po zmianie opatrunku cała trójka zasiadła do stołu, do gorącej herbaty.

– Najadłaś się strachu, co? – spytała Marysię.

– Bo to mało? Jeszcze w życiu nie miałam takiego pecha. Całe pasmo nieszczęść. Jakieś fatum czy co? Najpierw ręka – to w sobotę, później areszt – w niedzielę – mój Boże, że ja tych dokumentów zapomniałam, zaćmiło mnie czy co? Chyba to przez ten ból i nieprzespaną noc. Następnie cały dzień i noc spędziłam w areszcie, a właściwie to w komórce – dobrze, że jedzenie mi przynieśli i to wam powiem, że wcale tam źle nie karmią.

Rozalka i Bartek uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, ale tak, żeby Maria tego nie dostrzegła.

– A dzisiaj te okropności na Rynku z Żydami i telegram.

– Jakie okropności? Jaki telegram? – spytał chłopak.

Maria opowiedziała o złych wiadomościach z Łowicza i o wydarzeniach, jakich była świadkiem.

– Staszkowi nie napiszę o śmierci ojca – powiedziała i zastanowiła się chwilę. – Nie, nie – dodała – nie napiszę. Po co mu jeszcze to zmartwienie.

Bartek dorzucił do pieca.

– A tych Żydów, to coraz to gorzej traktują – wyraził swoją opinię.

– Tak, masz rację – wtrąciła Roza. Od nas z gabinetu też niejedno widziałam. Okropności. Traktują ich gorzej niż psy. Wszystko im zabierają, a jeszcze każą sobie płacić kontrybucje i biją, i poniżają. Nie patrzą: młody, stary, mężczyzna, kobieta czy dziecko. Mogą ich bić, mogą do nich strzelać, mogą nawet zabić i nikt im nic nie zrobi. O, ludzie! Co to za czasy? – złapała się za głowę.

– I coraz to więcej tych zarządzeń – dodał Bartek.

– Nie dość, że trzeba im schodzić z chodnika, zdejmować czapkę i się kłaniać, to lokale są tylko dla Niemców i do kina nie można iść, i nazwy ulic pozmieniali. No… i jeszcze ta godzina

policyjna. Chociaż teraz zmienili na letnią – dla nas jest teraz od 22.00 do 4.00, a dla Żydów od 20.00 do 4.00.

– No. Przecież wiemy – wtrąciła Roza.

Bartek wyliczał dalej, choć wiedział, że dziewczyny znają te zakazy i nakazy.

– I okna trzeba zaciemniać… i w ogóle, co rusz to coś nowego wprowadzają. My to jeszcze pół biedy, ale Żydom to dosłownie wszystko zabierają i jeszcze muszą Gwiazdę Dawida nosić na ubraniu. Znakują ich jak jakieś inne stworzenia.

Maria spojrzała na Bartka.

– Tak, tak – pokiwała głową – coraz to gorzej. Ja to jeszcze boję się tych łapanek i wywózek, wysiedleń do Rzeszy i do Generalnej Guberni. Łapią gdzie się da albo też przychodzą do domów. Dają czas tylko na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i wyrzucają. I jedziesz w nieznane. A na twoje miejsce, do twojego mieszkania, sprowadzają tych „czarnomorców"[45] – westchnęła głęboko. – Tak, tak... – dodała. – Co może nas jeszcze czekać?

Zapadła długa chwila ciszy i zadumy, po której odezwała się Rozalia.

– Musimy już iść, Marysiu. Jesteś zmęczona i pewnie chcesz się położyć, i my też, bo jutro do pracy. Ja będę szczepić od rana na dyfteryt – w Rynku, pod dwunastym, tam gdzie jest teraz NSDAP[46] – tam zrobili gabinet szczepień, w jednym z pokoi.

Maria wstała od stołu i powiedziała bardzo uroczystym głosem:

– Moi kochani! Bardzo, ale to bardzo serdecznie wam dziękuję…

Głos jej się załamał, ale po chwili mówiła dalej:

– Jestem wam wdzięczna za pomoc. Nie zapomnę tego.

– Daj spokój. Każdy by pomógł – odpowiedziała Roza.

---

[45] *Ludność pochodzenia niemieckiego z terenów Besarabii, Bukowiny i Rumunii.*

[46] *NSDAP – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników.*

jak ty, tylko w głowie jej się przez tego Hitlera poprzewracało. Jak widzisz wojna zmienia ludzi.

Maria siedziała zadumana, jakby nie słyszała wieści i rad, które otrzymywała od matki.

– Miałam sen. A może to była jawa? Wydawało mi się, że Stach stał za oknem i patrzył na mnie, jak śpię.

Matka spojrzała na nią z lekką obawą.

– Podobno przedwcześnie zmarła dusza powraca, by doznać tego, czego przedtem nie zdążyła przeżyć?

Zamyśliła się, a zorientowawszy się, co powiedziała, szybko dodała:

– Mówię ci jeszcze raz. Twój Stach żyje i wróci do ciebie, a ty dziecko nie możesz tak się zadręczać. Musisz normalnie żyć. Uśmiechać się. Spotykać z przyjaciółmi. Młoda jesteś. A sny? No cóż. Tylko myślisz i myślisz, to później ci się śni, a sny są nieraz jak żywe i nie wiadomo, czy się śniło, czy to była jawa... Złe sny odganiaj. Różaniec mów.

Maria zamyśliła się. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Uczyć nie mogę – westchnęła. – Wiesz, jak lubiłam uczyć. Może jakbym się uparła, toby mnie ze względu na znajomość języka przyjęli, ale z drugiej strony to nie chcę, jak wszystkie dzieci nie mogą się uczyć... To nie chcę... U nas w szkole w Parznie – żandarmeria, w zelowskiej jedynce kierownikiem jest Niemiec Freud. I wszystko tylko po niemiecku, i dla Niemców, a dzieci polskie, żydowskie czy czeskie wstępu nie mają... A co z Polską? Co z naszym językiem? Literaturą? Religią?

– A kto ci powiedział, że nie możesz uczyć? Ja tam cię nie namawiam, bo to przecież zakazane i niebezpieczne, ale u nas spotykają się po domach i dzieci uczą, choćby katechezy. W Zelowie też. Mówią, że nawet Żydzi mają swoje miejsca spotkań i dalej studiują te swoje święte książki. A polskiego to uczy jakaś Janina Keppe. Niektórzy mówią, że to Niemka, ale nasz sąsiad, ten, co jego córka w Zelowie mieszka, mówił mi, że nie, że to

Polka z dziada, pradziada – a nazwisko nie niemieckie, tylko francuskie.

Maria patrzyła na matkę, ale już jej nie słuchała. Zerwała się od stołu, ucałowała ją w czoło i zakładając palto, krzyknęła:

– Wspaniały pomysł, mamo!

– Gdzie lecisz! Zaraz będą prażoki z kapustą. Zimne niedobre.

– Zaraz wracam. Do kościoła muszę na chwilę. Do naszej Wandy Malczewskiej.

Do świątyni było niedaleko, ale po drodze zatrzymała się na chwilę koło niskiej, krytej słomą chałupy, na której, na sztycy, wisiała metalowa kawka. Nie mogła jej pominąć, nie prosząc jej o wróżbę.

– Kawko! Kawko! Powiedz. Czy mój Stach do mnie wróci...?

Patrzyła na metalowy przedmiot jak na wyrocznię. Serce biło jej mocno – choć zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko zabawa, bzdury, że tak naprawdę to jest obojętne, czy kawka się wychyli, kiedy wiatr zawieje, czy nie. Odczekała dłuższą chwilę, ale kawka nic nie powiedziała.

Nagle przypomniała sobie, po co wybiegła z domu, i że obiecała matce szybko wrócić. Ruszyła więc w kierunku kościoła. Minęła jeszcze kilka chałup, przebiegła szosę i już była na miejscu.

Krypta zmarłej pod koniec XIX wieku sługi Bożej Wandy Malczewskiej znajdowała się z tyłu kościoła. Ta świątobliwa kobieta całe swoje życie starała się przez modlitwę i pracę dla bliźnich służyć biednym ludziom wsi. Przy pomocy wpływowej i zamożnej rodziny szerzyła oświatę wśród ludu. Gromadziła wokół siebie dzieci i młodzież. Zajmowała się też pracą społeczną i charytatywną. Odwiedzała chorych. Ludzie modlili się do niej, prosząc o wstawiennictwo, o łaski, o pomoc i o uzdrowienia.

Maria uklęknęła przed sarkofagiem. Zmówiła pacierz.

Maria ucałowała ją na pożegnanie. Bartek też dostał całusa w policzek i znów się zaczerwienił.

Kilka dni spędziła Maria w mieszkaniu państwa Barów. Nie po raz pierwszy, bo bywało, że z powodu ostatniej ciężkiej zimy mieszkała z nimi. W zamian pomagała przy małym Grzesiu – robiła zakupy, gotowała i sprzątała w miarę możliwości, które niestety, ograniczała zabandażowana ręka.

Odkąd Niemcy zamknęli większość sklepów, a wśród nich także i ten, który prowadzili Barowie, pan Alfons pracował w Sromutce na gospodarce – po rodzicach. Był też kierowcą i strażakiem. Często wracał do domu późnym wieczorem lub w nocy, bo kiedy zawyła strażacka syrena i trzeba było jechać do pożaru, rzucał wszystko i biegł na wezwanie. Dlatego był wdzięczny Marii za okazaną pomoc.

Tak minęło kilka dni. Pani Władysława przyjechała z Łowicza w piątek, a razem z nią jej matka. Obie były bardzo zmęczone i smutne, jak to zwykle bywa po pogrzebach bliskich osób. Jedynie radość i uśmiech synka, a dla babci Agnieszki – wnuka, wywołały na ich twarzach uśmiech.

Maria wróciła do domu zadowolona, że mogła pomóc w tak trudnych chwilach oraz z radością z powodu opieki nad małym, słodkim brzdącem, jakim był Grzesio.

Następnego dnia z samego rana wybrała się do Parzna, do rodziców.

Rodzinny dom zwykle wspomina się z sentymentem. Marii kojarzył się z radosnym, sielankowym dzieciństwem. Stała pośrodku obszernej kuchni i rozglądała się dookoła. Na komodzie stał stary zegar. Wsłuchała się w jego bicie. Dawniej, kiedy wybijał północ, wyobrażała sobie Kopciuszka, który musiał opuścić bal. Patrząc na stary kredens, myślała o nim, że pamięta dawne czasy, że może o nich opowiedzieć tym, którzy potrafią słuchać.

Tak. Stare meble i stare zegary mają duszę i niejedno mogłyby powiedzieć. Usiadła przy stole. Matka podeszła do niej i przytuliła ją do piersi.

– Pewnie ci ciężko samej? – spytała.

Marysia westchnęła głęboko.

– Brakuje mi Stasia. Ciągle tylko myślę i zerkam przez okno. Wyobrażam sobie, że spotkam go, idąc do pracy, że ujrzę wychodzącego ze sklepu, że czuję dotyk jego dłoni i ciepło jego ciała. Wiem, że żyje, ale czy wróci i kiedy? A może nigdy? – dodała z przestrachem.

– Nawet tak nie mów – ofuknęła ją matka i usiadła obok.

– Trzeba wierzyć i czekać. Kobiety już tak mają. Jak twój ojciec z Ruskimi się bił, też nie wiedziałam, gdzie jest i czy żyje. Osiem miesięcy nie miałam żadnych wiadomości. I ranny był. No, ale wylizał się dzięki Bogu i wrócił. I tak będzie z twoim Stachem. Wspomnisz moje słowa... A rękę to smaruj słoniną – zmieniła temat. – Leży w piwniczce. Dopiero co była święcona na Wielkanoc.

– Mamo. Wszyscy opiekują się mną, jak należy – i doktor, i ci moi nowi znajomi – przyjaciele właściwie. Oni są naprawdę wspaniali.

– To dobrze, dobrze. Dbaj o siebie, ale uważaj, bo teraz to nie wiadomo, kto i gdzie może cię podgadać. Sąsiad na sąsiada donosi... I od razu na roboty wywożą albo nawet do więzienia wsadzają, tak jak Malinowskiego,[47] bo trawy wypalał i las się zajął... Ale tak po prawdzie, to kary za to powinny być. Tylko, że o mandatach myślę, bo to pamiętasz przecież, jak sześć czy siedem lat temu niemal całe Kluki przez to by z dymem poszły. Kilkadziesiąt gospodarstw się spaliło. A co do złych ludzi, to u nas jest jedna taka – Niemra – Eryka Appel. Mówią, że trzeba na nią uważać, bo już przez nią wywieźli i Gryków* z Kluk i Mrowańskich* z Wierzchów Kluckich. Ona też jest nauczycielką –

[47] *Malinowski*, **Gryka*, **Mrowański* – *nazwiska zmienione.*

– Wstaw się za mną – powiedziała półgłosem. – Żeby moje prośby zostały wysłuchane. Pomóż. Tak jak Ty chcę pomagać dzieciom w zdobywaniu wiedzy. Chcę uczyć… I... wróć mi Stacha – dodała.
Przeżegnała się szybko i wybiegła z myślą o ciepłych prażokach z kapustą.

***

Kolejna niedziela nie była tak pełna wrażeń. Dziewczęta były na porannej mszy razem z Bartkiem i Rudym, który tym razem przyszedł po Rozalkę, do domu, a Maria kilkakrotnie sprawdzała, czy zabrała dokumenty, ale kontroli nie było. Później wszyscy poszli do Marii.

Bartek od razu zabrał się do rozpalania w piecu, a Roza stanęła pośrodku izby i czekała. Kiedy płomień już wesoło skwierczał pod fajerkami, zwróciła się do chłopaków:

– My tu z Marysią trochę o babskich sprawach pogadamy, a wy przynieście torf i drewno, bo jutro nie będzie miała na czym obiadu ugotować.

– A co będziesz gotować? – zapytał Bartek.
Rozalka podeszła do brata, machnęła ręką i gdyby się nie uchylił, dostałby w ucho. Po czym dodała ostro.

– Rapetki w cieście przystrojone pierzem. Co ciebie to interesuje? Bierz Rudego i do komórki, po drewno.
Widząc bojowe nastawienie dziewczyny, chłopcy szybko wymknęli się z domu.

– Słuchają cię – powiedziała Maria.

– Rudy tak, a Bartek, to... aż się dziwię, że taki posłuszny. W domu to ile ja się go naproszę, żeby coś zrobił. Nie powiem zrobi, ale zawsze ma coś innego w pierwszej kolejności. On chyba tak przy tobie – albo mu wstyd, że nie posłucha, albo mu się podobasz.

Maria zaśmiała się serdecznie.

– Tak myślisz? Cieszę się, że jeszcze się komuś podobam. Może tylko mój Stach nie byłby z tego zadowolony. Lepiej powiedz coś o swoim Rudym zamiast wygadywać głupoty. Kochasz go?

– Chyba tak – odpowiedziała przeciągle.

– Nie jesteś pewna?

– No, tak. Jestem pewna. Tylko spotykamy się już pięć lat, a tak na poważnie, to dwa. Ale czy coś z tego będzie…? Mówi, że mnie kocha, że życie by za mnie oddał, ale jak zaczynam rozmawiać o ślubie, o założeniu rodziny, o dzieciach – to on zmienia temat albo nic nie mówi. Miał trudne dzieciństwo. Ojciec pijak, a matka... Matka tylko się modli całe dnie i na czarno chodzi ubrana. Kiedyś powiedział mi, że ojciec go bił. Czasem aż do krwi. A matka udawała, że tego nie widzi i kazała mu się modlić, że to jego wina, że niby to on ojca denerwuje, bo jest niedobry.

Nagle usłyszały odgłosy dochodzące z podwórka i do mieszkania weszli chłopcy.

– A ty, co taki wesoły? – spytała Rózia, gdy zobaczyła uśmiechniętego brata.
Chłopak roześmiał się serdecznie, ale odpowiedź dał Rudy.

– Bartek próbował złapać wewiórkę i gałąź się złamała, i zleciał na plery – wyjaśnił.

– Nic mi się nie stało – machnął ręką. – Nie było wysoko.

– No ty, jak zwykle! – krzyknęła Roza. – Chcesz sobie biedy napytać? I innym też? Zawsze jakieś głupoty się ciebie trzymają. Dorosły chłop – zbeształa go. – Po co ci ta wiewiórka? I co? Ręka cię teraz boli? – spytała, kiedy zauważyła, że Bartek trzyma jedną rękę pod koszulą.

– Nie, nie boli – odpowiedział i uśmiechnął się tajemniczo.

– To co tam masz za pazuchą?
Chłopak rozpiął dwa guziki i ciągle się uśmiechając, wyciągnął z zanadrza małego szczeniaka.

– To jest Pestka. Przed chwilą ją tak nazwałem. Jest twoja – podał ją Marysi.

Dziewczęta rzuciły się z zachwytem do suczki. Jedna przez drugą przytulały i głaskały jej gładką, aksamitną sierść, a ona odwzajemniała się, liżąc je po twarzach, skomląc, piszcząc, merdając krótkim ogonkiem, a właściwie to całym ciałem.

– Łapał wewiórkę, a przyniósł szczeniaka – zaśmiał się Rudy.

– Jaka śliczna! Zobacz, to jedno uszko ma klapnięte! – obie zachwycały się zwierzęciem.

Maria ucałowała Bartka w policzki i dodatkowo w czoło.

– Dziękuję – powiedziała – sprawiłeś mi dużo radości. Teraz nie będzie mi już tak smutno wieczorami.

Odwróciła głowę i zwróciła się do pieska.

– Razem będziemy czekać na twojego pana, który jeszcze nic o tobie nie wie, ale mu napiszemy. Prawda?

Bartek przestał się uśmiechać i spytał:

– Nadal nic nie wiadomo o panu Stanisławie?

– Niestety – odpowiedziała poważnie Maria. – Nie dostaliśmy od niego więcej wiadomości.

– Bardzo go lubię. Jak u nas uczył, to byłem u niego w drużynie Strzelców. Chodziliśmy na różne ćwiczenia, symulacje, podchody, gry skautowskie, a kiedyś zabrał nas na ostre strzelanie na prawdziwą strzelnicę – taką w terenie. Wtedy dopiero były emocje. I jak był wyjazd do Krakowa, to kilku nas zabrał. Mnie także. Taka nagroda za wyniki na tej strzelnicy i w ogóle. Pomagaliśmy wtedy w usypywaniu kopca Piłsudskiego, na Sowińcu. Później zwiedzaliśmy Kraków – widziałem Wawel i Groby Królewskie, i Smoczą Jamę... I w ogóle, gdyby nie on, to... A na koniec jeszcze pojechaliśmy w Pieniny i spływaliśmy Dunajcem, na tratwach.





Bartosz Olszewski. Spływ Dunajcem. Budowa Kopca im. I. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego na Sowińcu k. Krakowa. Stanisław Mędrzycki (z lewej).

Maria uśmiechnęła się.

– Tak. To były dobre czasy, ale wszystko się zmieniło. Na tyle się zmieniło, że dużo rzeczy trzeba robić po kryjomu i przez zaufanych ludzi.

Zebranych zaintrygowały słowa gospodyni.

– Co masz na myśli? – spytał Rudy.

– Chcę uczyć dzieci. Przekazać im przynajmniej podstawowe wiadomości z polskiego, katechezy czy innych przedmiotów. W związku z tym chciałabym was prosić o pomoc w wyszukaniu zaufanych ludzi, którzy chcą, aby ich dzieci się uczyły. Tylko tak, żeby nikt inny się nie dowiedział. Dzieci też muszą wiedzieć, że nie mogą o tym rozpowiadać.

– Świetny pomysł – zachwyciła się Roza i spojrzała na Rudego.

– Kogo by tu... Może mały Romek od Śmigielskich i Walczakowie – siostra z bratem – zaczęła wyliczać na palcach.

– Po prostu trzeba rozmawiać z rodzicami tych dzieci, którym wojna przerwała naukę – wtrącił Bartek.

– No, tak – powiedziała Roza, patrząc z podziwem na brata. – Masz całkowitą rację.

Bartek kontynuował wypowiedź.

– Tylko trzeba ostrożnie. Są takie czasy, że trzeba uważać, z kim się gada. W robocie często mówią różne rzeczy... – pomyślał chwilę i zwrócił się do Marii z wyjaśnieniem. – Pracuję w ekipie remontowej, jaką utworzyli przy zelowskiej gminie. Różni tam ze mną robią: majster Szkudlarek – murarz, i malarze, i ślusarze, a ja to robię wszystko, co ze stolarką jest związane, bo u pana Stanisława Wilfa terminowałem. Okna naprawiam, drzwi, podłogi.



Longin Grodkiewicz (na drabinie). Obok p. Stawiak.

– Bartek! Do rzeczy – przerwała mu siostra.

Spojrzał na nią zły, że mu przerywa, ale mówił dalej.

– Właśnie wczoraj pan Longin Grodkiewicz opowiadał o naszych miejscowych Niemcach, zelowskich znaczy się. Podobno oni już na kilka miesięcy przed wojną spiskowali, a spotykali się na Nowym Rynku w Zelowie, u Niemca Lenca. Nawet radiostację mieli i kontaktowali się, żeby jakieś instrukcje dostać. Nazywali to „piątą kolumną", że niby taka organizacja, co to od wewnątrz pomaga wszystko przygotować. W niedługim czasie wszyscy młodzi Niemcy z Zelowa i okolicy zniknęli i pojawili się dopiero razem z wejściem Niemców. Dlatego już na początku września Niemcy mieli gotowe listy ludzi do aresztowania i adresy domów dogodnych do rozlokowania wojska i oficerów. Wśród wywiezionych byli też zelowscy nauczyciele, choćby kierownik „dwójki", pan Henryk Wyrąbkiewicz.



Pabianitz-Wartheland

Pabianitz

Der Landrat

A Nr. 0383419

Longin Grodkiewicz. Kenkarta – dowód osobisty wprowadzony przez Niemców 13.06.1941 r.

– I znowu masz rację – Roza spojrzała na Bartka. – Ty mnie ostatnio zadziwiasz, tak mądrze gadasz – pokiwała z podziwem głową. – Posłuchaj go, Marysiu. Pomysł doskonały, ale nic na łapu – capu. Pozwól, że my się tym zajmiemy. W końcu jesteśmy tutejsi.

***

Dzień leciał za dniem. Rana na ręce prawie się zagoiła i Maria nie musiała już prosić Bartka o pomoc. Czasami odczuwała jeszcze skutki wypadku, ale trzeba było zacisnąć zęby i zarobić na chleb.

Każdy starał się żyć w miarę normalnie. W dzień praca – w Zelowie głównie na krosnach. Prawie w każdym domu stał warsztat tkacki, na którym pracowali dorośli i starsze dzieci. Młodsze pomagały – nawijały osnowy, sprzątały, pilnowały rodzeństwa. Na wsi – pracowały w polu i w gospodarstwie. Dopiero wieczorami, i to zwykle w niedziele, schodzili się znajomi i rodzina. Siedzieli, gawędzili, pili piwo i mocniejsze trunki. Rozmawiali też o polityce, choć temat był zakazany i trzeba było uważać. Mijała niedziela i znów trzeba było iść do pracy.

Maria była w sklepie już od 6.30. Trzeba było przyjąć towar i przygotować go do sprzedaży.

Zaraz po siódmej weszła do niej młoda, niespełna dziewiętnastoletnia dziewczyna.

– Dzień dobry – powiedziała, po czym podeszła do lady i zaczęła rozglądać się po półkach.

Dopiero po chwili spojrzała na sklepową i jakby od niechcenia, ale dość szybko, spytała:

– Wszystko macie świeże?

– Dzień dobry! – przywitała ją Maria. – Tak, wszystko świeże. Dostawa jest codziennie.

– Bo muszę mieć wszystko świeże. Innego moi państwo nie jedzą.

– Tak, jest świeże – potwierdziła sklepowa i czekała na dalsze pytania, z zainteresowaniem obserwując dziewczynę.

– No, to poproszę to, co tu jest napisane na kartce – podała starannie złożony kawałek papieru, na którym wypisane były po niemiecku artykuły spożywcze.

Maria wzięła kartkę, położyła na ladzie i spokojnie, pozycja po pozycji, przygotowywała towar.

– Pierwszy raz tu kupuję, ale widzę, że będę wpadać częściej. Wszystko tu macie... i ładnie pachnie. Do tej pory robiłam zakupy w sklepie naprzeciw domu moich państwa, ale... – ściszyła głos i nachyliła się w stronę sprzedawczyni – już drugi raz się zdarzyło, że kupiłam kiełbasę i już na drugi dzień brzydko pachniała.

Maria pakowała towar.

– Sporo tych zakupów – powiedziała. – Aż za... – podliczyła szybko na kartce. – Razem 45 marek i 20 fenigów – wypisała jej cenę i dołączyła do zakupów. – I poproszę o kartki żywnościowe – dodała.

Dziewczę wzruszyło ramionami.

– Moi państwo też mają sklep, tylko że z towarami, na nim się bogacą i jeszcze fabrykują... Chłopy przychodzą do nich po osnowy i na warsztatach, po domach za marne grosze robią. A ich stać na wszystko – i na owoce z ciepłych krajów, i na perfumy... Przyjęcie dzisiaj będzie. Nawet burmistrz Berger ma być. Moi państwo lubią się bawić. Albo w domu, albo idą do znajomych, albo też do kina chodzą, bo po filmach są zabawy i rauty. Co rusz to jakieś bale.

– A ty z Zelowa? – spytała ją Maria.

– Tak! Z Zelowa. To znaczy nie urodziłam się w Zelowie, tylko w Halle, w Niemczech, ale od 25. roku mieszkam z rodzicami

na Dzielnej, u Wiesiołowskich.[48] Taki drewniany dom, tu niedaleko. Jestem Maria Bistułówna – wyciągnęła rękę na przywitanie. – Ale mówią do mnie Maryla – dodała.

– Maria. Maria Nowotarska. A można wiedzieć, u kogo pracujesz?

– Pewnie, że można – uśmiechnęła się – przecież to nie tajemnica, że u młodych Zielków dziecka pilnuję. Już niemal pół roku, jak małego Rysia pilnuję.



Maria Bistula.



Rysiu Zielke i Tereska Smolna.

– U syna tego felczera? – spytała Maria, ale nie uzyskała odpowiedzi, bo drzwi wejściowe otworzyły się i do sklepu wszedł, ubrany w mundur NSDAP, wysoki mężczyzna.

Widząc klientkę zatrzymał się z boku i zaczął przebiegać wzrokiem po zapełnionych półkach.

– Guten Morgen – przywitała go Maria.

– Guten Morgen – burknął pod nosem, nie patrząc na sklepową.

[48] *Nazwisko zmienione.*

Kobiety przyglądały mu się z uwagą, ale kiedy długo nie podchodził, Maryla podjęła przerwany wątek.

– No to, co to ja mówiłam. Aha! Tak. Rysiu to synek pana Maksa i pani Sławci, a wnuczek tego felczera – mieszkają na Kilińskiego razem z rodzicami, ale mają oddzielne wejście.

Niemiec odwrócił się raptownie i wrzasnął:

– Co to za rozmowy po polsku? Nie wiecie, gdzie jesteście? A w ogóle to Polacy mogą kupować dopiero od 11.00! Ausweis bitte! – wyciągnął rękę do Maryli.

Podała mu dowód i pozwolenie na pracę.

– U kogo pracujesz? – spytał, przeglądając papiery.

– U państwa Zielke – Maksymiliana i jego żony. Pani wysłała mnie po zakupy, bo dzisiaj wydają przyjęcie.

Po usłyszeniu tych wyjaśnień Niemiec złożył dokumenty i oddał dziewczynie.

– Kup wszystko świeże. Też mam zaproszenie.

Odwrócił się i skierował do wyjścia, ale w progu zatrzymał się jeszcze i dodał:

– I nie Kilińskiego – tylko Bismarckstrasse.



Pani Zielke (u góry, druga od lewej). Obok Rudolf Zielke. Kolejno: Sława Zielke, Maksymilian Zielke, Maria Perlicjusz. Koniec lat 30. XX w.



Zabawa w zelowskim kinie.

Kiedy wyszedł, kobiety odetchnęły.
– Uff! Dobrze, że już sobie poszedł.
Maria uśmiechnęła się tylko i powiedziała:
– Zajrzyj jutro. Opowiesz, jak było.

Po powrocie ze sklepu Maryla wzięła się do przygotowania wieczornego poczęstunku. Rysio był pod opieką matki. Miała więc dużo czasu, aby zająć się tylko wieczornym rautem.

W ciągu kilku miesięcy służby i dzięki radom mamy i ciotek potrafiła już smacznie ugotować i pięknie podać do stołu. Młodość i niespożyte siły operatywnej dziewczyny oraz jej duża wyobraźnia sprawiały, że wszyscy domownicy chwalili jej kuchnię. Szczególnie pan Max. Jak tylko był w domu, zaglądał do garnków i lubił podjadać, choć nieraz kuchareczka ofuknęła go za to.

Wieczorem wszystko było gotowe. Pani Sława Zielke i jej szwagierka – Greta sprawdzały nakryte stoły.

– Dołóż jeszcze pomarańczy i winogron – powiedziała gospodyni do Maryli.

– Tak. Proszę pani – dziewczyna posłusznie wykonała polecenie i stanęła z boku.

– No, dobrze, dobrze – Zielkowa spojrzała w stronę służącej.
– Trochę się denerwuję. Tyle nowych osób dzisiaj przyjdzie... I wszyscy z wyższych sfer.

– A alkohol naszykowałaś? – spytała Greta.

– Tak, proszę pani. Stoi schłodzony w kuchni, a piwo i szampan jeszcze chłodzą się w piwniczce. Jak pani kazała.

– Dobrze, dobrze – zerkała na stół i poprawiała sztućce. W końcu odwróciła się do Sławci, otworzyła szeroko oczy i powiedziała głośno i z uśmiechem:

– No, to się przebieramy!

Niebawem zaczęli schodzić się goście. Nie zabrakło nikogo, kto w owym czasie miał wpływ na to, co działo się w Zelowie i w okolicznych miejscowościach – władze wojskowe i cywilne, oficerowie przebywający na urlopach, właściciele fabryk i zarządcy zagrabionych majątków, nowo zdeklarowani folksdojcze[49] i inni, którzy sprzyjali i wysługiwali się okupacyjnym władzom w zamian za różnego rodzaju korzyści.

Maryli pomagały w kuchni dwie młode dziewczyny, przysłane przez kierownika zelowskiego Arbaitstamtu, Juppa Fuchsa.

Kiedy już zebrali się wszyscy goście, gospodarz poprosił, aby wstali. „Deuschland, Deutschland über alles..."[50] – rozbrzmiało z wielu gardeł, po czym zasiedli do stołów. Jedli i pili, później tańczyli przy niemieckich melodiach płynących z patefonu. Chwalili gospodynię za smaczne jedzenie, a gospodarza za odpowiedni do potraw dobór win i wódek. Szampan lał się strumieniami. Wokół słychać było żarty, żarciki i dużo śmiechu. Żołnierze chwalili się bohaterstwem na polach bitew i wojennymi zdobyczami niezwyciężonej, niemieckiej armii, a cywile – stanowiskami i wysokimi wpływami w centralnych urzędach III Rzeszy.

---

[49] *Osoby wpisane na listę pochodzenia niemieckiego*
[50] *Niemcy, Niemcy ponad wszystko...*

Na kanapie siedział młody, przystojny oficer przebywający w Zelowie na urlopie. Podchmielony i rozbawiony otwierał usta raz w jedną, raz w drugą stronę w kierunku smakołyków, jakimi karmiły go na zmianę Grecia i Sławcia.

– Tak, tak. Musicie mnie nakarmić, bo inaczej wam tu umrę – powtarzał.

Kobiety śmiały się i napełniały żołądek przystojnego młodzieńca. W pewnym momencie wstał. Przeprosił panie i zaczął chodzić po pokoju. Rozmawiając i popijając szampana, trafił w końcu do Maryli, do kuchni. Nachylił się nad dziewczyną i zaczął po niemiecku szeptać jej do ucha. Z początku delikatnie, po chwili stał się natarczywy.

Maryla odsunęła go zdecydowanym ruchem.

– Ja nie umiem po niemiecku. Jestem Polką – chciała wyrwać się z objęcia.

Pijany żołnierz zamachnął się i z całej siły uderzył ją w twarz. Wyrwała się i wybiegła z kuchni, prosto do swojej pani. Opowiedziała jej o całym zdarzeniu. Zielkowa złapała Grecię za rękę i pociągnęła.

– Chodź ze mną! Zabierzemy tego amanta od siedmiu boleści.

Po chwili tańczyli we troje, pośrodku pokoju.

***

Maryla poszła do sklepu pana Golke dopiero po kilku dniach. Kiedy weszła, zobaczyła przy ladzie kupującego żandarma i czekającą za nim kobietę z małą dziewczynką. Usiadła więc na stołku, tuż przy drzwiach i czekała, bacznie obserwując sytuację.

Dziecko stało z nosem przytkniętym do niewielkiej, oszklonej witryny, jaka stała na ladzie i przyglądało się wystawionym tam cukierkom, pozawijanym w kolorowe papierki.

– Mamusiu – powiedziała, nie odrywając wzroku od słodyczy.

– Mamusiu! – pociągnęła matkę za sukienkę.

Młoda kobieta schyliła się do niej.

– Słucham cię – wiedziała, o co poprosi.

– Mamusiu. Kup mi cukierków, proszę.

– Nie mogę, Lucynko. Nie mam tyle pieniążków, a poza tym Polakom nie wolno kupować słodyczy – odpowiedziała i ucałowała ją w czoło.

– Ale tylko… chociaż jednego.

– Następnym razem. Dobrze? – przytuliła ją do siebie z żalem, że nie może kupić dziecku zwykłych cukierków.

Tymczasem żandarm kończył zakupy.

– Czy to już wszystko, panie Hanke? – spytała sklepowa.

Niemiec spojrzał na stojącą za nim kobietę z dzieckiem.

– Zważ mi trochę cukierków.

Maria nabrała garść słodyczy i zawinęła w papierową tytkę.

– Tego nie pakuj – powstrzymał ją, kiedy chciała je dołożyć do pozostałych artykułów.

Wziął zawiniątko i bez słowa podał dziewczynce.

Dziecko zawstydziło się i schowało głowę, wtulając się w matkę.

– No, weź, jak ci daję – powiedział łagodnie.

Lucynka odwróciła się w jego stronę.

– Nam nie wolno kupować cukierków, proszę pana – odpowiedziała i schowała się za mamę.

Żandarm położył tytkę na ladzie i energicznym krokiem wyszedł.

– Ale mu powiedziała! – odezwała się Maria. – Odważną masz córkę, Stasiu.

Kobieta odetchnęła głęboko.

– Normalnie zbladłam, jak to usłyszałam. Nogi to w momencie jak z waty mi się zrobiły. Z żandarmami to nigdy nic nie wiadomo, a w dodatku to Hanke. Ale widać, że i on ma czasem ludzkie uczucia – pożegnały się i już miały zamiar wyjść, kiedy Maria zawołała:

– Weź je dla małej. Przecież zapłacone.

– No, weź – powiedziała do córki Stasia – teraz już można. Podziękuj pani. Dziewczynka uśmiechnęła się. Dygnęła, uginając kolanko i wyszły.

Maria spojrzała na nową koleżankę.

– Czemu tak długo nie przychodziłaś? Stało się coś?

– I tak, i nie – odpowiedziała jej tajemniczo.

Maria zaczęła układać towar na półkach i zmiatać okruszki po chlebie.

– Przepraszam cię, ale muszę trochę posprzątać, bo zaraz osiemnasta i przyjdzie pan Golke, po dzienny utarg i zamknąć sklep. Ale ty opowiadaj, będę słuchała.

Maryla nie odpowiedziała.

– No, co ty taka smutna? Mnie możesz powiedzieć. Bądź pewna, że wszystko zostanie między nami.

Dziewczyna westchnęła.

– Bo to, widzisz... Nie wiem, co powiedzieć, jak zacząć? Miałam wolną godzinkę, więc poszłam odwiedzić rodziców, a tam na podwórku Niemcy. Chciałam ukryć się po drugiej stronie ulicy, między tymi mokradłami i krzakami się schować, ale jeden z nich mnie dojrzał i kiwnął na mnie. Sprawdził mi dokumenty i kazał odejść. Okazało się, że do Wiesiołowskich przyszli i Władeczka zabierają, ich syna. On jest trochę chory na głowę, ale niegroźny. Tylko powtarza w kółko po kimś i często nie rozumie różnych rzeczy. Do szkoły nie chodził, w domu też nie pomaga, ale jak każą coś podać, to przyniesie... I sam się umyje i ubierze, i jest bardzo wesoły. Zawsze uśmiechnięty i skory do wygłupów. Zabierali go na siłę – bo się opierał i płakał. Nie rozumiał, czemu ma iść z tymi ludźmi, od mamy i taty. Jego mama płakała, a ojciec prosił na kolanach, ale nic nie pomogło. Kazali im pożegnać się z nim, że już go nie zobaczą. I tak myślę. Co z nim zrobią? Zamkną gdzieś czy co? Tylko po co im go utrzymywać, jak w domu ma wszystko, co trzeba, a przecież on nawet nie rozumie, że jest wojna. Nie jest dla nich groźny.

W pierwszej chwili Maria chciała wyjaśnić koleżance powód, dla którego zabrali chłopaka, ale zrezygnowała i powiedziała:

– Na pewno wsadzą go gdzieś razem z innymi, takimi biednymi ludźmi. A po wojnie wróci. Zobaczysz.

Nagle zmieniła temat.

– A tamta zabawa się udała?

Dziewczyna zastanowiła się chwilę.

– A! Tak, tak – przyjęcie jak zwykle było świetne. Wesoło było i goście zadowoleni. Tylko wczoraj przyszła do państwa smutna wiadomość, że oficer – bardzo ładny oficer – który był u nich na tym przyjęciu, zginął następnego dnia. Jednego dnia się bawił, a już drugiego zginął.

– Żal ci go? – spytała Maria.

– Trochę. Ładny był, chociaż... – machnęła ręką. – Pani Sławci powiedziałam, że mi go żal, bo płakała. Dała mi za to bardzo ładną bluzeczkę. Zresztą ona jest dla mnie bardzo dobra i... – nie dokończyła, bo wszedł właściciel sklepu.

Pożegnała się i wyszła.

***

Wieczór był pogodny i ciepły. Słońce chyliło się już nad horyzontem, a jego czerwony blask rozświetlał bezchmurne niebo. Wiatr, który lekko poruszał młodymi listkami, ustał i zrobiło się cicho. Tylko w oddali słychać było muczenie krów schodzących z pastwisk i piskliwe głosy jaskółek, lecących wprost do znajdujących się pod strzechami i w oborach gniazd.

Wracając z pracy, Maria podziwiała uroki przyrody. Wsłuchiwała się w wiejskie odgłosy, chłonęła zapach wiosennego wieczoru. Ten czar zawładnął nią przez chwilę. Wyobraziła sobie, że wraca do domu, w którym czeka na nią Stach, a wraz z nim gromadka ich dzieci. Łza zakręciła się jej w oku. „Nie wolno ci tego robić" – pomyślała. „Będzie ci jeszcze trudniej. Zrób to, co miałaś do zrobienia". Ocknęła się i wróciła do rzeczywistości, a po chwili skręciła do państwa Owczarków i weszła od podwórza do domu.

– Dobry wieczór, pani Apolonio.

– Dobry wieczór – odpowiedziała gospodyni i dodała: – Wiesz, Marysiu, naprawdę nie taki zły. Pogoda ładna. Zielono się zrobiło. Pszczółki brzęczą, motylki fruwają. Prawdziwy, piękny maj. Kiedy wyszłam rano na dwór, to przez chwilę wydawało mi się, jakby wojny nie było... No, ale nie trwało to długo, bo pojawił się ten „żółtek",[51] co to raz w tygodniu przychodzi i nas sprawdza, bo nasz sklep jeden na całą okolicę. Wszystko sprawdza, a przede wszystkim naftę. Nie dosyć, że ona na kartki jest – to jeszcze sprawdza, czy aby nie za dużo jej sprzedałam. Na szczęście wszystko się zgadzało i poszedł sobie. Tylko parę jajek wziął z półki, ale niech tam – machnęła ręką.

– Wiem, wiem – odpowiedziała Maria. – U pana Golke też jedyny sklep na Zelów, gdzie można naftę kupić, oczywiście na przydział. Na szczęście ja jej nie sprzedaję, tylko taki chłopak, co go z Arbeitsamtu dali. Ale Niemiec go pilnuje. Boją się, żeby ktoś nią nie handlował, albo też nie podpalił czegoś, bo to przecież materiał łatwopalny. Od podwórka ją sprzedaje, w oddzielnym pomieszczeniu. Ale... proszę mnie posłuchać, pani Apolonio – z pewną propozycją przyszłam. Wiem, że uczciwi ludzie jesteście, uczciwi Polacy i mogę bez strachu z wami na ten temat rozmawiać.

– O, święta panienko! Co się znowu stało? – kobieta aż przysiadła na krześle.

– Proszę się uspokoić. Nic się nie stało.

Owczarkowa odetchnęła z ulgą.

– No, bo aż mi serce zamarło. Wszystkiemu te hitlersyny winne, że człowiek taki nerwowy się zrobił.

– Pani Apolonio. Powiem prosto z mostu. Chcę po kryjomu uczyć dzieci. Wszyscy na tym skorzystają – i dzieci, i rodzice, i ja, bo będę się czuła potrzebna.

Owczarkowa zastanowiła się chwilę.

[51] *Od koloru żółto-brunatnych koszul w jakich chodzili członkowie NSDAP.*

– Dobry pomysł. A tego mojego ancymonka, to byś nie chciała?

– No, właśnie o niego mi chodzi. Żeby się państwo zgodzili.

Apolonia mówiła dalej:

– Trzeba będzie uważać. A ty, przede wszystkim.

– A mąż się zgodzi? – spytała Maria.

– Na krośnie robi, nie będę mu przeszkadzać. Na pewno się zgodzi. Już sam mówił, żeby Irek trochę poczytał, a nie tylko bąki zbijał. W gospodarstwie dużo roboty, ale na naukę czas zawsze powinien się znaleźć.

Przetrzymałam go u nas w szkole, w jednej klasie dwa lata, bo w szkole w Zelowie nie mieli pieniędzy, żeby dodatkowy oddział zrobić. Było dużo chętnych, tylko na etaty dla nauczycieli nie mieli. Ale żeby tak zupełnie miał się nie uczyć, to nie... A kiedy on te nauki miałby pobierać?

– Myślę, że wieczorami – ze dwa razy w tygodniu – w soboty i niedziele, bo jest więcej czasu.

– No i dobrze. Swoje zrobi, to może chodzić. A ile by to miało kosztować?

– Pani Apolonio! Przecież mnie nie o zarobek chodzi. Chcę pomóc. Pieniędzy żadnych nie chcę. Ważne, żeby dzieciom do głów nakłaść, że są Polakami, że ich ojczyzną jest Polska i że przyjdzie czas, że znów będziemy wolnym narodem, bo o to walczyli i ginęli dla nich nasi najbliżsi.

Owczarkowa zadumała się chwilę.

– Tak, tak. To pięknie. Tak. Trzeba im tłumaczyć, że Niemiec i Ruski to wróg... Ale najpierw to niech one nauczą się czytać, pisać i liczyć porządnie, bo żeby walczyć o tę naszą niepodległość, to nie wystarczą tylko mięśnie i honor, ale trzeba mieć też trochę oleju w głowie.

– I o to mi właśnie chodzi! – Maria niemal krzyknęła. – Ma pani całkowitą rację. A zaczniemy, pani Apolonio, jak tylko kilka osób zbiorę.

– I dobrze. Jak najszybciej, Marysiu, bo później wakacje, a jesienią wykopki. Robota na wsi to chleb powszedni, a taki chłopak to już wiele może pomóc, trzynasty rok kończy, a jak się nic nie zmieni, to od czternastu zabiorą go na roboty. Mąż już się wywiedział, czy nie dałoby się go do jakiego bauera[52] dać, żeby go nie wywieźli. Tylko że teraz to najważniejsze są znajomości.

– A córka nadal szyje?

– Ula wyuczyła się na krawcową u Czeszki w Zelowie i u niej robi. Zamówienia mają, więc całe dnie jej nie ma, a czasem to i w nocy kończy robotę. Chwalą ją, że zdolna i nadaje się do tego zawodu, bo to widzisz, jak wszędzie – jeden nadaje się do roboty, a drugi – to tylko fajrantu[53] patrzy.

Tymczasem do domu wszedł Irek.

– Mamo! – krzyknął od progu. – Już jestem. Dobry wieczór, pani – dodał, kiedy zauważył gościa.

– Dobry wieczór – odpowiedziała mu Nowotarska.

Chłopak podszedł do matki i podał jej jakiś koszyk.

– Postaw go tam i siadaj. Dobrze, że już jesteś. Pani nauczycielka przyszła pytać, czy chcesz do szkoły chodzić.

– Przecież zamknięta – odpowiedział zdziwiony.

– Zamknięta, ale do takiej będziesz chodził, co to nikt nie może wiedzieć, że się uczycie, bo za naukę grozi więzienie, albo i jeszcze gorzej. Musisz o tym wiedzieć, trzeba być ostrożnym i język za zębami trzymać. Pani Maria będzie uczyć dzieci w swoim mieszkaniu.

Kiedy Irek usłyszał, że trzeba będzie robić coś po kryjomu, wbrew Niemcom, zabłysły mu oczy.

– Pewnie, że będę chodził, mamo. I nikomu nie wygadam.

– No... To leć jeszcze na podwórko.

Gdy wybiegł, pani Apolonia westchnęła głęboko i powiedziała:

---

[52] *Bogaty chłop zatrudniający robotników.*

[53] *Przerwa w pracy.*

– Gdzie te czasy radości i beztroski, kiedy dzieci mogły bez obaw bawić się i uczyć.

***

Nadeszło lato. Upalne dni czerwca wszystkim dawały się we znaki. W dzień spiekota i skwar, wieczorem lub w nocy burze, połączone z silnym porywistym wiatrem.

Po nocnej nawałnicy ranek był rześki, ale o tej porze dnia i roku na zelowskim Rynku było już gwarno. Na chodnikach, wokół placu, tuż przy ścianach kamienic ustawiły się kobiety z koszami pełnymi sera, jaj i świeżego, dopiero co wyrobionego w kierzankach masła.

Niedorostki w krótkich portkach przewiązanych sznurem stali z koszami pełnymi grzybów i kankami dojrzałych, czarnych jagód. Wokół nich kręcili się mieszkańcy osady, robiąc drobne i większe zakupy.

Do sklepu Marii weszła uśmiechnięta Maryla.

– Widzę, że masz dobry dzień – przywitała ją sklepowa.

– Śmiać mi się chce, jak sobie przypomnę. Powiedz, Marysiu, ładna jestem?

– Pewnie, że ładna. Młodziutka, ładna dziewczynka. A co?

– Bo chyba się podobam mężczyznom.

Maria spojrzała na nią z ukosa.

– Wpadł ci jakiś w oko?

– No, jeszcze nie. To raczej ja im co rusz wpadam... Kilka dni temu u moich państwa wynajęli pokoje dwaj niemieccy oficerowie. Nawet nie tacy brzydcy, tylko że starzy. Ten jeden to ma ze 30 lat. Sprzątam im pokoje, a tam na stolikach zawsze mają słodycze i pomarańcze. Ten starszy kazał mi się częstować, kiedy tylko będę chciała, a kiedy odmówiłam, to dał mi pomarańczę do ręki, ale... tu jedną ręką mi ją daje, a drugą po włosach głaszcze.

– A ty, co?

– A nic. Uśmiechnęłam się do niego, złapałam pomarańczę i zwiałam.

Maria zaczęła się głośno śmiać.

– Uważaj, mała spryciulo. Nie wszyscy mężczyźni są dżentelmenami.

– Zawsze i na wszystkich uważam, nie jestem taka głupia. Na wszystko uważam. Kiedy zaczynałam pracę u mojej pani, to od razu pierwszego dnia przy sprzątaniu znalazłam 10 marek. Ja wiem, że są takie, co by wzięły, ale mnie w domu uczono – co nie twoje, nie rusz. Oddałam pieniądze i pani bardzo mi dziękowała, ale po dwóch dniach znalazłam 5 marek pod dywanem. O! Ho! Myślę sobie. Marylko! Czy to nie, aby specjalnie ci podrzucają, żeby cię sprawdzić? Nawet jakbym tak nie myślała, też bym je oddała. Później już więcej nie znalazłam, ale od tamtej pory pani Sławcia jest dla mnie bardzo dobra i mi ufa. Ile ona mi nadawała różnych ładnych ciuszków i jeść też mogę, co chcę. Nikt mi tam nie wylicza.

Maria wyjrzała przez okno.

– Co to znowu za hałasy? Zobacz. Coś się dzieje.

Na Rynku, pomiędzy zebranymi już wcześniej handlarkami, zbierali się ludzie. Niektórzy trzymali w rękach kwiaty.

– Co to za uroczystość będzie? – spytała Maria.

– Nie wiem, ale zapytam.

Maryla zamierzała wyjść i dowiedzieć się, o co chodzi. Cofnęła się jednak, bo na plac wjechała ciężarówka z wojskiem i cztery motocykle, każdy z koszem dla pasażera i z przyczepionym do niego karabinem maszynowym.

– Pewnie znowu łapią – Maria patrzyła przez okno, ale tak, że była niewidoczna od strony Rynku.

– Tylko, że ludzie nie uciekają? Co jest? Demonstracja jakaś czy co?

Z auta wyskoczyli żołnierze i obstawili plac. Wyglądało to tak, jakby wszyscy na coś czekali.

– Słyszysz? Jakiś pogrzeb chyba – powiedziała Maryla, kiedy usłyszała niemiecką, żałobną pieśń.

Kondukt pogrzebowy wyszedł z podwórka za Arbeitsamtem i skierował się w ulicę Kościuszki. Na lawecie ciągniętej przez niemiecki samochód leżały cztery trumny. Jedna z nich spoczywała na podwyższeniu. Okryta była niemiecką flagą ze swastyką.

– Prawda – przypomniała sobie Maria. – Roza mówiła o tych zaczadzonych. Cała rodzina. Do niemieckiego kościoła idą.

– To już dziś pogrzeb? Dopiero co pan Max mówił, że wywieźli ich do Łodzi na sekcję... Szkoda dzieci – dodała.

– Prawda. Szkoda – przytaknęła Maria. – Zresztą wszyscy byli jeszcze młodzi. On podobno na urlop przyjechał... Tak! Człowiek nie zna dnia ani godziny. Pewnie nie przypuszczał, że śmierć zamiast na froncie, we własnym domu go znajdzie, i to z całą rodziną.

***

W połowie 1940 roku w Zelowie było już kilka tysięcy Żydów. Przychodzili z okolicznych wsi i miasteczek z nadzieją, że znajdą tutaj schronienie przed swoimi prześladowcami – przed złem, nienawiścią i niesprawiedliwością. Jednak i tu Niemcy brali, co chcieli, a ich żądania i chciwość były coraz większe. Plony z pól, łąk i lasów szły do niemieckich magazynów. Rzeźnie i wiejskie gospodarstwa, duże fabryki i niewielkie warsztaty rzemieślnicze pracowały dla Niemców. Wszystkie dziedziny gospodarki nastawione były na rozwój dobrobytu mieszkańców III Rzeszy.

Idąc rano do pracy, Maria Nowotarska weszła do niewielkiego warsztatu szewskiego, znajdującego się w domu pana Matejki przy ulicy Kopernikus Strasse 1, przedwojennej – Marszałka Śmigłego-Rydza.

– Jest tam, kto? – spytała.

Nikt nie odpowiedział. Mimo to szerzej uchyliła drzwi. Mały dzwoneczek wiszący nad nimi, oznajmił, że ktoś wchodzi.

– Już idę. Proszę chwilę zaczekać – dobiegło z pomieszczenia obok.

Rozejrzała się dookoła. Na półkach, tuż obok stojącego pod oknem warsztatu, leżały buty. Duże i małe, stare kapcie i nowe, trepy i oficerki, dopiero co uszyte, i takie, w których z braku podeszwy wystawały gwoździe. W powietrzu unosił się przyjemny zapach skóry i szewskiego kleju.

Po chwili do izby wszedł nie pierwszej już młodości mężczyzna z brodą i wąsami. Ubrany był w szewski fartuch sięgający kostek, związany na plecach rzemieniem.

– Dzień dobry, panie Drożdżowski.

– Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

Maria uśmiechnęła się jednym ze swoich najładniejszych i najsympatyczniejszych uśmiechów.

– Podobno jest pan najlepszym szewcem w okolicy?

– Kto tak powiedział?

– Wszyscy tak mówią.

– To chyba dobrze? – uśmiechnął się. – Człowiek powinien wykonywać swoją robotę, jak najlepiej potrafi. W ogóle każdą robotę powinno się robić nie na „odwal". Za „odwal" powinny być surowe kary.

Usiadł przy swoim szewskim stole i zaczął wykładać z bocznej szafki narzędzia do pracy.

– Trochę się już tych trzewików zrobiło w życiu. Kiedy byłem w ruskiej kawalerii, robiłem buty dla carskich żołnierzyków, a teraz widzi pani – oficerki dla Niemców, ale nie tylko. Na takie zgrabne nóżki też umiem niezgorsze buciki przysposobić.

– Panie Drożdżowski. Ja tylko do naprawy przyniosłam, bo obcasy całkiem się zdarły – pokazała przyniesione obuwie.

Szewc obejrzał je fachowym okiem.

– Będą na popołudnie. Syn zaniesie pani do sklepu.

– Skąd pan wie, że pracuję w sklepie?

– Bo to Zelów taki wielki? Każdy każdego zna, a pani to przecież jest narzeczona pana Mędrzyckiego. Wrócił z wojny? Bo jakoś tak zimą to mówili, że jeszcze go nie ma, że gdzieś go Ruskie w obozie, na wschodzie trzymają.

– Nie, nie wrócił. I wieści, poza jedną kartką, nie było. Niedaleko Charkowa, w obozie jenieckim, w Starobielsku go trzymają.

– Sobaki! Te czerwone to są łobuzy. Nie tak jak dawna Carska Armia. Tam to w białych rękawiczkach chodzili, a niechby któryś nie postąpił zgodnie z regulaminem lub etykietą, to kary były, że ho, ho.

– Biegnę już, panie Drożdżowski, bo zaraz muszę otworzyć. Do widzenia i z góry dziękuję.

– Do widzenia. Obcaski naprawię i buciki będą jak nowe, jeszcze długo pani w nich pochodzi.

Po południu do sklepu Marii wbiegł jasnowłosy, szczupły chłopak.

– Dzień dobry, pani – krzyknął już od progu. – Jestem Maniek Drożdżowski. Ojciec kazał mi buty przynieść – podszedł do lady i podał zawinięte w starą gazetę obuwie. – Ojciec powiedział, że mam wziąć pół marki.

– Dzień dobry – odpowiedziała Maria. – Tylko pół? Czy aby nie za mało?

– Tak powiedział. Tylko pół marki weźmiesz, a jak spyta, czy nie za mało, to powiesz, że wystarczy i niech się dobrze noszą.

Maria uśmiechnęła się, słysząc szybkie i konkretne wyjaśnienia chłopaka.

– Podziękuj ojcu. Zresztą sama też podziękuję.

Wyjęła z torebki pieniądze i podała Mańkowi, zwracając jednocześnie uwagę, że chłopak jest od niej o głowę wyższy.

– Wysoki z ciebie chłopak. Prawie mężczyzna.

– Czternaście lat w lipcu kończę – odpowiedział dumnie.

– A do szkoły to gdzie chodziłeś?

– Ja? – spytał zdziwiony.

– Tak, ty – uśmiechnęła się.

– Najpierw do „Jelinka", na Szkolną 5, a na religię – do czerwonej szkoły na Kościuszki. Trzecią i czwartą klasę kończyłem u „Sacheja" na Żeromskiego, a jak w 37. otworzyli „jedynkę", to do piątej tam poszłem. A do szóstej to tylko trochę chodziłem w listopadzie i trochę w grudniu, na początku wojny. Uczyli nas gotyckiego alfabetu, ale w końcu pan Freud nas wyrzucił. Pani wie przecież, że dla Polaków to miejsca nie ma.

– A lubiłeś chodzić do szkoły?

– Pewnie. Tylko uczyć mi się nie chciało, nikomu się nie chce, ale w sumie dobrze się uczyłem.

Maria uśmiechnęła się delikatnie.

– W szkole możesz dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy, które później w życiu przydać się mogą.

– No... ma pani rację, bo pisać i czytać jak się umie, to na pewno w życiu się przyda, no i liczyć, bo to też ważne, żeby nikt nie oszukał, ale ja już umiem.

– O! Są jeszcze inne przedmioty. Fizyka, przyroda...

– Nam Polakom nie wolno jest chodzić do szkoły – skwitował. – Chociaż w Zelowie są takie lekcje, że po domach uczą. Mój kolega chodzi i mała Kasia od sąsiadów, ale ona to na katechezę. Ja kończę 14 lat i będę musiał do biura pracy się zgłosić, do Arbeitsamtu znaczy się.

– Tak. Wiem. Niestety. Dzieci zamiast do szkoły to do pracy muszą chodzić – Maria posmutniała. – Miejmy jednak nadzieję, że kiedyś to się zmieni.

– Muszę już lecieć, proszę pani. Do widzenia. A! – wrócił się od drzwi. – Ojciec kazali jeszcze powiedzieć, że jak będzie jeszcze trzeba jakieś buciki zrobić, to można też do domu przynieść na Nowy Rynek 2.

***

Mijał miesiąc za miesiącem. W Europie po ciężkich walkach skapitulowała Litwa, Francja i inne kraje. Rozpoczęła się powietrzna Bitwa o Anglię.

Tymczasem w okupowanej Polsce rozpoczęły się żniwa. Zbierano z pól pszenicę, owies i żyto. Urodzaj był na gruszki i jabłka, a śliwy wprost uginały się pod ciężarem owoców.

W sierpniowy poranek przed sklep Owczarków zajechała furmanka, ciągnięta przez lichego konia, wyładowana wypełnionymi workami. Z wozu zszedł starszy, nieco przygarbiony mężczyzna, wziął metalową bańkę i wszedł do środka.

– Pochwalony! – powiedział, zdejmując z głowy wytartą, płócienną czapkę.

– Na wieki wieków – odpowiedziała sklepowa. – Według pana, panie Trojanowski, to zegary można by regulować. Tydzień mija, godzina siódma i pan jest.

Mężczyzna postawił w rogu naczynie na naftę.

– Jak bede wracał – powiedział krótko, nie nawiązując do tematu poruszonego przez Owczarkową.

– Wiem, wiem. Kartkę też odetnę, później. A co dzisiaj wieziecie?

– Len do Wejmana, do gręplowania wioze.

– To pozdrówcie ode mnie Wejmanową. Muszę się kiedyś do niej wybrać. Dobrze się znamy, tylko czasu ciągle...

Na te słowa wszedł mąż Owczarkowej.

– Niech będzie pochwalony – powiedział.

– Na wieki wieków – odpowiedział przyjezdny. – Na mnie już czas – dodał i zwrócił się ku wyjściu.

– Podwieziecie mnie do Zelowa, gospodarzu? – spytał Owczarek.

Trojanowski spojrzał na niego spode łba i bez zbytniego entuzjazmu odparł:

– A dobra, podwioze.

Siedli obok siebie, na koźle.

– Wio, Baśka – woźnica wydał polecenie i powoli ruszyli drogą przez las.
Pan Andrzej Owczarek próbował nawiązać rozmowę.
– Konik ma już swoje lata.
– To nie kuń, ino kobyła.
– No, tak. Widzę przecież. Tak mi się tylko powiedziało – Owczarek był nieco poirytowany, że ktoś może posądzać go o to, że nie odróżnia konia od kobyły.
– Przyspieszcie trochę, gospodarzu, bo przecież na piechtę byłoby szybciej.
– A..., to wolna droga, ja sie ta nie śpiesze i moja kobyła tyż nie – odpowiedział flegmatycznie Trojanowski.
Owczarek wzruszył ramionami i westchnął.
– Co dzisiaj wieziecie?
– Len.
Chłop wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę, ale pan Andrzej mówił dalej.
– Tak, tylko pytam, bo przecież nie będziemy milczeć całą drogę...
Po dłuższej chwili spróbował ponownie.
– Obrodził len w tym roku?
– Ano, obrodził – otrzymał zbywającą odpowiedź.
Owczarek nie dawał za wygraną i kontynuował temat.
– Strzyżowickie pola to w większości lnem zasiane, prawda?
– Ano, prawda.
Znów nastała cisza.
Kobyła stąpała z wolna po piaszczystej drodze, a pan Andrzej przyglądał się, jak ogania się ogonem przed muchami i gzami, jednak nie wytrzymał i zmieniając temat spytał:
– Ponoć u was teraz, za dziedzica, rządzi Niemiec, Kugler?
Nie otrzymał odpowiedzi, więc mówił dalej:
– Widziałem go raz, elegancik na koniu jeździ i tylko pejczem po bucie się stuka, a co jakiś czas próbuje go na grzbiecie jakiejś

baby czy chłopaka. Za każdy niewyrwany chwast można oberwać. A drze się przy tym. Podobno wszyscy się go boją.
– Ja tam nie wim, panie. Kazali wieźć len do Zelowa, to wioze.
Kiedy przejeżdżali przez Trytwę, Żydzi kopali rów.
– Może to i dobrze – powiedział Owczarek – bo wczesną wiosną to zawsze wszystko zalane i nijak nie można przejść ani przejechać, trzeba przez Łobudzice. A w tym roku to już jedna woda była, jedno jezioro, aż do Piłsudskiego, w łąki pożdżenickie i na Kozi Rynek. Podobno drugie takie rozlewisko było za Kościuszki w kierunku Woli, jak na Królewskie Lasy się idzie.
– Może i było – obojętnie odpowiedział Trojanowski.
– Eee. Trojanowski. Z wami to się dużo nie pogada – pan Andrzej machnął ręką.
– No, przecie gadamy – odpowiedział zdziwiony chłop.
Owczarek jeszcze raz machnął ręką, a po chwili wskazał na Żydów pracujących w pocie czoła, po obu stronach drogi.
– Ci to teraz mają biedę. Niezwyczajni są do ciężkiej pracy, choć przecież nie można powiedzieć, że lenie. Ci biedniejsi od świtu do nocy przy swoich warsztacikach robili. W sklepach też musieli się napocić i nagłówkować, żeby interes kwitł. Wiem coś o tym, bo sam przecież handluję. Pieczone gołąbki same nie wpadają do gąbki..., ale też i oszukańców wśród nich nie brakuje. Mimo to, trochę mi ich żal, zwłaszcza tych starszych, przecież to naprawdę katorżnicza robota. Kopią rów i jak woda nieco zejdzie, to dzielą większy obszar na pręty[54] i znowu robią rowki, w kierunku tego głównego spływu... Jak się tak przyjrzeć, to zdaje mi się, że kopią wzdłuż dawnej granicy zaborów. Pamiętacie, gospodarzu, jak ona szła?
– Ano, pamintom przecie, jak tu graniczniki stały i pilnowały. Ale bokim to i tak przechodził, kto ta chciał.
– Jednak coś tam wiecie.

[54] *Miara długości równa 5,0292 metra.*

– Ja tam nic nie wim – machnął ręką. – Jak z gryką albo lnem sie jedzie do Wejmana, to sie w kolejce czasem usłyszy to czy owo. Ino powtarzom, com słyszał.

Owczarek spojrzał daleko przed siebie.

– Następnych prowadzą – wskazał na idącą w ich kierunku grupę ludzi. – Już ich słychać. Każą im śpiewać. To Lusz tak ich co dzień prowadzi, a do roboty to sami muszą się wyznaczać, taką Radę Starszych mają, przez Niemców wyznaczoną, co ją nazywają Judenrat. Niby to oni kierują całym żydowskim kahałem[55], ale tak po prawdzie to przecież nic nie robią bez ich pozwolenia.

Po chwili dało się słyszeć marszowy śpiew, a w końcu także coraz to wyraźniejsze słowa: „Nasz Śmigły-Rydz – nie nauczył Żydów nic, a nasz kochany Hitler Grote[56] nauczył Żydów roboty".

Kiedy ich mijali, Owczarek zobaczył wynędzniałych, odartych nie tylko z porządnego odzienia, ale przede wszystkim z czci i godności, mężczyzn.

Szli przygarbieni, śpiewając, a raczej automatycznie wykrzykując słowa, które pod groźbą bata musieli wymawiać. Szli trójkami – w wypłowiałych myckach na głowach, w starych paltach, trepach lub starych, dziurawych butach – bez sznurowadeł. Na początku starsi, następnie ci w sile wieku i na końcu niedorostki. Brudni i zarośnięci. Bez wiary, bez nadziei na lepszą przyszłość.

Trojanowski machnął lekko lejcami i ruszyli szybciej. Śpiew ucichł, ale obaj jadący wozem mężczyźni zamilkli.

Za czeskim kościołem zobaczyli, że ktoś biegnie w ich stronę.

– Łapanka w Rynku! – usłyszeli ostrzeżenie biegnącego chodnikiem człowieka.

---

[55] *Gmina żydowska.*
[56] *Z niderlandzkiego – Wielki.*

Z daleka dojrzeli zastawioną przez Niemców ulicę. Usłyszeli: „Halt! Halt! Hände hoch" i strzały.

Trojanowski natychmiast wstrzymał konia.

– Zjade w Graniczki.[57] Trza troche odczekać – skręcił w ulicę Poznańską, ściągnął jeszcze mocniej lejce i zatrzymał furmankę.

– Wysiądę tutaj – powiedział Owczarek, zgrabnie zeskakując na ziemię.

Podszedł do narożnego domu i ostrożnie wychylił głowę.

– Już się rozjeżdżają... W drugą stronę jadą – relacjonował przebieg wydarzeń.

Chłop cmoknął na konia i podjechał bliżej.

– Siadaj pan. Jadymy dalej.

– Bóg zapłać za podwózkę, panie Trojanowski. Dalej się przejdę.

– Wiśta, Baśka. Wiśta – woźnica zaczął wykręcać w kierunku mostka, na szerokim skrzyżowaniu Poznańskiej i Sienkiewicza.

– Dopiro z wieczora do was na Sromotke, po nafte wejde – krzyknął chłop za odchodzącym Owczarkiem.

– Bóg zapłać! – powtórzył pan Andrzej.

Nagle usłyszeli pojedynczy wystrzał z karabinu. Trojanowski ostro ściągnął cugle. Owczarek skrył się za drzewem i rozejrzał się. Na Poznańskiej i Sienkiewicza – w stronę Rynku było zupełnie pusto. Spojrzał w stronę czeskiego kościoła. Przyglądał się chwilę. Nagle spostrzegł, że za drzewem, w odległości około pięćdziesięciu metrów od niego, ktoś się chowa. Widział tylko wystającą rękę i kawałek starego buta. Przyłożył palec do ust, dając znać Trojanowskiemu, aby był cicho, po czym wskazał mu palcem miejsce, w którym stał jakiś człowiek. W tej chwili rozległ się kolejny strzał i kora z drzewa, za którym ukrywał się zbieg, posypała się na ziemię.

Owczarek rozejrzał się dookoła. Starał się zlokalizować miejsce, skąd strzelano. W oknie kamienicy, znajdującej się po dru-

---

[57] *Pierwotna nazwa ulicy Poznańskiej w Zelowie.*

giej stronie szosy, dostrzegł wystającą lufę karabinu. Zastanowił się. Czy może jakoś pomóc?

Nagle... Raz, dwa, trzy – trzema, dużymi susami młody mężczyzna w szarej koszuli ruszył w kierunku następnego drzewa. Po chwili spróbował ponownie. Znów oddalił się kawałek. Pozostało jeszcze kilka metrów. Niewielki odcinek i skryje się w bramie. Spróbował. Raz, dwa ... padł kolejny, trzeci strzał i człowiek z żółtą gwiazdą na plecach osunął się powoli na ziemię.

***

Czas płynął bez emocji. Tik, tak. Tik, tak. Sekunda po sekundzie według wyznaczonego od początku świata scenariusza, nie zważając na nikogo i na nic, robił swoje. Bezpowrotnie mijały godziny, dni i tygodnie. Po upalnym i suchym lecie nadeszła kolejna pora roku. Widać już było zmiany w przyrodzie. W ogródkach i na łąkach przekwitały kwiaty. Liście na drzewach zmieniły barwę, a kiedy nadeszły nocne przymrozki, zaczęły opadać, tworząc wielobarwny kobierzec. Dni stały się krótsze i chłodniejsze. Wkrótce ciężkie chmury sprowadziły jesienne słoty i trudno już było ujrzeć choć rąbek jasnego słońca.

Jednak życie toczyło się własnym rytmem.

Nie było dnia, by Maria nie myślała o Stachu, ale wieści o nim wciąż nie było. Minął już ponad rok, kiedy ostatni raz się widzieli. Kiedy po raz ostatni trzymali się za ręce. Kiedy mówił, że ją kocha... Czy żyje? Czy wróci? Te pytania dręczyły ją w myślach. Coraz częściej miała wątpliwości i obawy. Jedynie praca w sklepie, wierna, wesoła Pestka, przyjaciele i gromadka dzieci, które uczyła, sprawiały jej radość i pozwalały na w miarę normalne życie.

Tego dnia padało już od rana – na przemian mżawka i ulewa, a kiedy się ściemniło, zerwał się zimny, północny wiatr, zwiastując

zbliżającą się zimę. Ludzie pochowali się w domach. Szykowali kolacje, odpoczywali.

Kiedy Maria skończyła pracę, weszła do państwa Barów. Drzwi otworzył gospodarz, trzymając na rękach płaczącego Grzesia.

– A to ty. Wejdź – powiedział, nieprzerwanie tuląc i kołysząc dziecko.

Zatrzymała się chwilę w progu. Od razu wyczuła nerwową atmosferę, jaka panowała w mieszkaniu.

– Coś się stało? – spytała. – Gdzie Władzia?

Alfons wskazał ręką na uchylone drzwi od sypialni. Zapukała. Nikt nie odpowiedział, ale weszła do środka. Górne światło było wyłączone. Paliła się tylko lampa naftowa stojąca na stole. W łóżku leżała zapłakana przyjaciółka.

– Co się stało? – spytała siadając przy niej.

– Jak dobrze, że przyszłaś. Jak dobrze – powiedziała przez łzy cichym chrypliwym głosem.

Maria przysunęła się bliżej.

– Władziu, znowu się przeziębiłaś?

Kobieta spojrzała na nią. Oczy i twarz miała zaczerwienione, a włosy potargane.

– Mnie to właściwie ta... – przerwała, bo zaczęła kaszleć – ta... choroba to już od wiosny trzyma, a może i nawet wcześniej, bo... – znów zaczęła kaszleć i dostała zadyszki.

– Może chcesz wody albo syropu jakiego?

– Piję, piję. Syrop z cebuli piję i sok z buraka, i leki biorę już pół roku ... I raz lepiej, raz gorzej, ale chodziłam, a teraz to... jak mnie wzięło. Zaczęło się już rok temu. Też taka psia pogoda była jak dzisiaj, i przemokłam. Z tydzień z gorączką chodziłam i niby przeszło, ale widzisz, nie wyleżałam dobrze... no, bo gdzie przy małym dziecku. A teraz to kaszlisko żyć mi nie daje i... zobacz – uchyliła pierzynę, jakieś wrzody na nogach dostałam, na całym ciele, ale... na nogach najwięcej.

– U doktora byłaś?

Chora kiwnęła głową.

– Byłam. Mam leki. Kąpiele rozgrzewające robię, a wrzody naftą i spirytusem smaruję, ale... nie bardzo pomaga.
– A doktor, co powiedział?
– Że to z przeziębienia. Jakieś maści dał i kazał w cieple leżeć.
– Będzie dobrze. Poleżysz trochę i przejdzie. Nie trzeba, aż płakać. Zostanę dzisiaj na noc, pomogę.
– Bóg ci zapłać, kochana, z nieba mi spadłaś, bo Grzesiu też się przeziębił – płacze i płacze, a mój na noc na dyżur idzie. A ja płaczę, bo do tego wszystkiego, to wczoraj o mały włos, by mnie nie zabrały te przeklęte żandarmy. Chyba tylko przez to mi się udało, że chora jestem i jak im zaczęłam kaszleć, to nawet nie bardzo chcieli podejść – tylko mandat wypisali. Ale i tak przykro, bo przecież z pieniędzmi krucho. Sama widzisz – jak nie urok, to przemarsz wojsk. Mój to nawet myślał, żeby tak, jak inni, szmuglem się zająć, ale z drugiej strony, to robotę ma... i lichy, bo lichy, ale w miarę pewny grosz jest z tego. A przez granicę jak przechodzą, to słyszysz pewnie... niejednego już złapali i siedzi, a ilu zastrzelili, tego nikt nie wie. Słyszy się tylko, co mówią. A to ktoś z rodziny nie wrócił do domu, to znów znajomy znajomego przepadł.
– No tak, ale ty? Żandarmi? Mandat? Za co?
– Alfons był w robocie, a ja już kolejną noc nie spałam, no i wieczorem oboje z Grzesiem przysnęliśmy, a tu nagle jakieś walenie w drzwi. Zapomniałam zasłonić okna, a przecież jest obowiązek – zaciemnienie, niby. Za to nawet więzienie grozi albo wywożą nie wiadomo gdzie. Nie dosyć, że mandat, że Grzesiu chory, ja chora i denerwuję się, że nie mogę się nim zająć, jak należy, to jeszcze ciągle tylko te ich śpiewy słyszę. Z tych pijackich mord, kiedy z knajpy wychodzą. Nic tylko „Hajdi, haj-do, haj-da". Cały czas coś świętują. To ten kraj zajęli, to tamten... Poczekajcie wy, skurczybyki – pogroziła pięścią w kierunku okna, z którego widać było narożną restaurację Schwartza. – Jeszcze przyjdzie na was... – dostała ataku silnego kaszlu, ale po chwili wytchnienia mówiła dalej. – Przed wojną

był sklep i zdrowie i... – machnęła ręką i z żalem dodała. – Tamte czasy już nie wrócą.
Maria podała jej wodę i łyżeczkę syropu.
– Połóż się. Odpocznij. Co ci to da, że im pięścią będziesz wygrażać i denerwować się? Tylko jeszcze większej gorączki dostaniesz.
– A niech wiedzą. Niech wiedzą, że to jeszcze nie koniec, że oddadzą wszystko, w zębach przyniosą...
– Połóż się już. Ja pójdę do Grzesia – poprawiła jej poduszkę i chciała wyjść z pokoju.
Władysława uspokoiła się nieco i nakryła pierzyną.
– Dobrze już. Dobrze. Bóg ci zapłać, Marysiu. Bóg ci zapłać... Ale zaczekaj! – zawołała ją słabym głosem.
Maria wróciła się i nachyliła nad chorą.
– Trzeba ci czegoś? – spytała.
– Już mi lepiej. Nie martw się. Jak tylko cię zobaczyłam, to mi się poprawiło – próbowała się uśmiechnąć, ale widać było, że uśmiech nie odpowiadał faktycznemu samopoczuciu kobiety. – Powiedz, co u ciebie. Dawno się nie widziałyśmy.
– Co u mnie? – zaczęła Maria, siadając na brzegu łóżka. – Właściwie to dobrze. Nie ma co narzekać. Zwłaszcza w tych czasach. Nadal pracuję u Golkego i lubię swoją pracę. Mam wspaniałych przyjaciół. Opowiadałam ci o nich ostatnio... Daję lekcje. Prawda! Dawno się nie widziałyśmy – uświadomiła sobie. – Od września zaczęłam uczyć dzieci w domu. Tylko wiesz, to nielegalne.
Władysława spojrzała na nią przytomnie.
– No, coś ty, Marysiu. Przecież wiesz, że ja nikomu... – zaczęła znów kaszleć.
– Wiem. Ja tylko tak... – powiedziała Maria i kontynuowała przerwany wątek. – Mam gromadkę uczniów. Przychodzą w soboty i w niedziele. No, bo w tygodniu to ani oni, ani ja – nie mamy czasu. Uczę ich polskiego i rachunków. Uczę naszej historii.

I żartujemy sobie i śpiewamy. Dzieci mówią, że u mnie jest lepiej niż w prawdziwej szkole.

Taki Mateuszek, co go uczę, opowiadał, że przed wojną, jak poszedł do szkoły, to na początku mu się podobało – i pani mu się podobała, i nauka, ale po kilku dniach już prosił mamę, żeby tylko na pauzy go zapisała, bo w szkole to pauzy są najlepsze, a ze mną to lubi się uczyć. Miłe, prawda?

Kocham te moje dzieciaki. Jak skończą się te złe lata, to dalej chcę uczyć w szkole. Zresztą zawsze było to moim marzeniem.

Okryła Władzię pierzyną, aż po samą brodę.

– Śpij spokojnie. Ja zajmę się Grzesiem. O nic się nie martw.

Ucałowała ją w czoło i wyszła.

***

Zbliżało się Boże Narodzenie. Dawniej był to czas radości i pokoju – bowiem narodził się Syn Boży. Wszyscy świętowali przy wspólnym stole, przy choince, w rodzinnym gronie, wybaczając sobie wszelkie urazy, obdarowywali się miłością i radością. Teraz... nie wszyscy się radowali. W wielu domach czekano na powrót bliskich. Ale byli i tacy, którzy wiedzieli, że już nigdy nie połamią się opłatkiem z tymi, których kochali. Nigdy nie wręczą im prezentów. Żony nie ujrzą mężów, a mężowie żon. Ojcowie i matki nie uścisną swoich pociech, nie zobaczą uśmiechów na ich dziecięcych twarzyczkach, a dzieci nie wtulą się w ramiona swoich rodziców.

Maria spędziła Wigilię i Boże Narodzenie w rodzinnym domu. Cieszyła się, że może być ze swoimi bliskimi, ale ciągle myślała o Stasiu. Zwłaszcza w takim czasie, jak święta, brakowało go najbardziej. Jednak nie mogła nic zrobić, nic – oprócz czekania.

Na drugie święto została zaproszona przez Rozalkę i Bartka do Olszewskich.

Gęsty śnieg padał już od rana. Zasypał drogi, przykrył białą pierzyną łąki, pola i lasy, zmieniając krajobraz nie do poznania.

Ojciec podwiózł ją do Sromutki saniami.

Pędził konik przed siebie, dzwoniąc zawieszonym na szyi dzwoneczkiem, a choć czasem zboczył z drogi, której teraz nie było widać, szybko dotarli na miejsce.

– Szczęść Boże temu domowi! – powiedziała Maria, otrzepując się ze śniegu.

– Bóg zapłać – odpowiedzieli gospodarze – prosimy dalej.

– Już myśleliśmy, że nie przyjdziesz! – powiedziała Rozalka, pomagając koleżance zdjąć wierzchnie okrycie.

– Tyle śniegu nasypało! – dodał Bartek, witając się z Marią.

Pradziadek Onufry drzemał, siedząc przy piecu w kożuchu i słomianych butach.

Maria przyglądała mu się przez chwilę.

– W takich butach to dziadkowi ciepło.

– Pewnie, że ciepło – powiedziała pani Małgorzata Olszewska.

– Przyniósł mu je znajomy mojego chłopa – Rogut. Żydzi je robią dla Niemców w dawnej fabryce Lewiego, w Zelowie. Na front je żołnierzom wysyłają, bo tam na wschodzie to teraz mrozy, że...!

Zwracając się do córki, dodała:

– Zrób jej herbaty, pewnie przemarzła.

Odwróciła się ponownie w stronę gościa i dodała:

– Rogut pali tam w piecu, pod maszyną parową. Załatwił dla siebie i dla dziadka, bo tak, to ich nie kupisz.

Zasiedli do stołu. Rozalka dotknęła ręki koleżanki i uśmiechając się szczerze, powiedziała:

– Dawno się nie widziałyśmy. Opowiadaj! Co u ciebie? Co u rodziców w Parznie? I w ogóle, co słychać?

– Wszystko dobrze – odpowiedziała bez przekonania Maria. – Rodzice zdrowi, kazali was pozdrowić...

Wtem usłyszeli jakieś szmery i pomrukiwania. Spojrzeli w tamtą stronę.

– Aaa..., aaa... Bóg im zapłać – odezwał się pan Onufry, ziewając i sapiąc jak niedźwiedź budzący się z zimowego snu.

– Dobrze, że się dziadzio obudził! – Rozalka przyskoczyła do niego – gościa mamy. Marysia Nowotarska do nas przyszła! – mówiła nieco głośniej z racji tego, że dziadek był już nieco przygłuchy.

– Witaj, dziecko. Witaj. Tak znam Nowotarskich z Parzna. Mój ojciec bił się z ich Andrzejem przeciw Kozakom w 63.

Rozalka natychmiast podłapała rozpoczęty temat.

– Niech dziadzio opowie tę historię. Proszę. Dziadzio tak pięknie opowiada.

Pan Onufry nie dał się dwa razy prosić. Lubił wspominać dawne czasy. Odsapnął trochę głębiej i zaczął:

– Przyszli do nas, do chałupy, ludzie jakowyś. I coś tam gadali, rozprawiali. Wszystkich tych, co ojczyzne miłowali zbierali na ochotnika, by szli walczyć w ogólnonarodowem powstaniu przeciw znienawidzonym zaborcom. I ojciec też poszedł. Matka mi opowiadała, ale sam też pamiętam. Wyrostkiem jeszcze byłem, piętnasty rok miałem, jak przez mgłe, ale pamiętam – chociaż pamięć już nie ta. Pamiętam obrazek taki: zima była straszna, a śniegi i mrozy okrutne. Kiedy ojciec sie z nami żegnał na odchodnem, podszedł do mnie i powiada: „Mój Unufry, powiada, doma ostajesz, to sie matką opiekuj". No i poszedł z widłami i tobołkiem na plecach, i już nie wrócił. Bił sie ponoć w jednej z największych bitew i legł pod Sędziejowicami. Kozacy go zatłukli. Pewnie gdzieś tam leży w cichej mogile, z innymi, co polegli.

Zapadła chwila ciszy. Słychać było tylko trzaskające w płomieniach drwa, dopiero co dołożone do pieca, i hulający za oknem wiatr, który zamiatał i zawiewał śnieg to w jedną, to w drugą stronę, tworząc na szybach białą kurtynę.

Pierwszy z tej zadumy ocknął się gospodarz, pan Grzegorz Olszewski – i spytał, zmieniając temat.

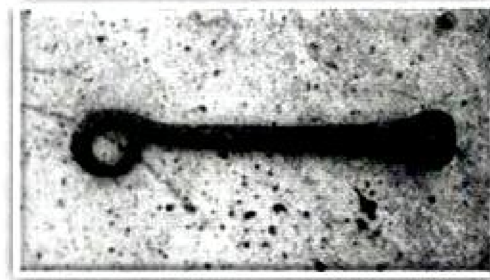
– A od Mędrzyckiego to były jakie listy?

– Nie. Tylko jedna kartka przyszła, a tak to więcej nic – odpowiedziała Maria. – Pisałam do niego, ale nie wiem, czy listy dotarły.

– Tak, tak – wtrącił dziadzio. – Teraz wojna. Listy długo idą, a jeszcze z tak daleka... Dawniej to raz w tygodniu dyliżans szedł.

– Dziadek! Kiedy to było! – przerwał Bartek.

– Ano, dawniej. Matka mi opowiadała, że babka jej opowiadała, jak tu jeździł – górką jeździł, po suchym, bo tak, jak tera szosa idzie, to mokradła i topieliska były, że przejechać było trudno, a nocą, to już nikt sie tam nie zapuszczał, bo zjawy i topielice wciągały ludzi w bagniska. A oni, te pocztowce znaczy sie, to trąbke taką mieli i jak przejeżdżali, to trąbili. A poczta to była w Różniatowicach. W Sromotce, we dworze, ino konie poili. Dworu już nie ma, choć murowane piwnice jeszcze sie ostały. Spalił sie. Do szczętu spłonął, bo z drewna był, a gorąc od ognia to taki szedł, że nawet dzwon, który wisiał przed wejściem sie spalił, stopił sie, bo ze spiżu był, tylko serce miał z żelaza, to ono sie ostało. Ludzie dwór podpalili – ci, co im dziedzic pieniądze był winien. Długi miał. Zelów sprzedał, a jeszcze nie starczyło na spłate, więc mu wierzyciele dwór spali. Lubił się bawić i do karczmy pono zaglądał...



Serce dzwonu z dworu byłego właściciela Zelowa – Józefa Świdzińskiego.

Nagle dziadzio uśmiechnął się, uderzył ręką w kolano i zaczął wesołą przyśpiewkę:
„Stoi karczma na Bugaju, na 21. staju. Każdy tam dziś wypić może, w tym mu Żydek dopomoże. Chodźta chłopy, żołnierzyki, by tańcować do muzyki. Hej, ha, hejże, ha. Dobra nasza, pij do dna!"

Do późnego wieczora siedzieli wszyscy i słuchali opowieści pradziadka Onufrego, aż w końcu pani Małgorzata powiedziała:

– No, jak chcecie, to siedźcie sobie jeszcze i bajajcie, ale ja idę spać, jutro od rana dobytek trza oprzątnąć.

Pożegnała się i wyszła. Maria także zdecydowała, że już pójdzie.

– Odprowadzę cię, bo ciemno – powiedział Bartek, zapalając drugą lampę.

– Dobrej nocy. Miło się gawędziło, ale się skończyło – skwitował gospodarz, zamykając drzwi za gościem.

***

Nadeszła wiosna 1941 roku. Promienie coraz to cieplejszego słońca roztapiały śnieg i sople. Kapało z dachów. Wszędzie tworzyły się kałuże i rozlewiska. Każde stworzenie krzątało się, robiąc wiosenne porządki, wyczekując od Matki Natury sygnału do rozpoczęcia corocznego rytuału powstania życia.

Rozalia siedziała w pracy jak na szpilkach. Była podekscytowana wydarzeniami poprzedniego dnia i już od rana planowała podzieleniem się nimi z Marią. Jednak tego dnia czas płynął jakby wolniej.

– Co ty dzisiaj taka rozkojarzona? – spytał felczer Zielke. – Ciągle tylko na zegar patrzysz.

– A nic, nic. Tak mi jakoś radośnie dzisiaj. Pogoda piękna. Wiosna idzie – starała się wymigać od podania prawdziwego powodu swojego zachowania.

– Oj, coś ukrywasz – uśmiechnął się.

– Ależ nie, doktorze – skłamała.

– To niby skąd ten pąs na twarzy? Już ja to umiem poznać. A wiosna? Masz rację, wiosna też ma tu coś do powiedzenia. Przyznaj się. Na pewno się zakochałaś.

Rozalia zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Ależ doktorze... doktor, to zawsze takie żarty... – powiedziała zawstydzona.

– No nic, będziesz chciała, to sama powiesz, a teraz już leć. Masz do końca dnia wolne. Pacjentów wszystkich przyjąłem. Zostały tylko wizyty domowe.

Rozalce nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Dziękuję – krzyknęła, zdejmując w biegu pielęgniarski czepek, fartuch i już jej nie było.

Pobiegła prosto do Marii. W sklepie były dwie osoby – musiała więc zaczekać. Stanęła z boku i przyglądała się kupującym.

Dziewczyna z długim, splecionym w kłos, warkoczem, kupowała chleb. Podała pieniądze i przydziałową kartkę. Za nią stała niska, pucołowata, podpierająca się kijem, starowinka. Pierwsza z kobiet szybko załatwiła sprawę i wyszła, ale starsza pani oprócz zakupów, wdała się z Marią w rozmowę. Zniecierpliwiona dziewczyna stanęła pośrodku sklepu i zaczęła rękami dawać koleżance znaki – kładąc lewą rękę na sercu, a prawą pokazując grzbiet dłoni i serdeczny palec.

Obsługując klientkę, Maria zerkała na nią raz po raz. Zdziwiona wzruszała ramionami i uśmiechała się do wyraźnie uradowanej Rozalki.

– Wiela bedzie? – spytała starowinka, wyjmując zza wytartego sweterka wiszący na szyi woreczek.

– Jedna marka i pięćdziesiąt fenigów, babciu Józiu.

– Weź, dziecko. Sama posukaj. Mas tam te cięskie i te lekkie.

Maria wzięła zapłatę. Związała ponownie sakiewkę i oddała kobiecie.

– A jak się mamusia czuje? Już lepiej?

– Ano, lepij. Długo lezała, ale tera lepij. Dałam jej ćwiartke i psesło.

– Babciu Józiu, aż tyle? Przecież mamusia ma już ze 100 lat. Mogło jej zaszkodzić.

– E tam! Zara zaskodzić. Jakby wypila ino troche, toby jej psecie nie psesło. Cas jus na mnie. Ostań dziecko z Bogim – Józia zebrała swoje rzeczy i powoli, podpierając się sękatym kijem, wyszła.

Marysia patrzyła za wychodzącą kobietą.

– Na serwitutowych[58] lasach mieszka – wyjaśniła, uprzedzając pytanie, które mogło zaraz paść. – Czytać i pisać nie umie, ani… widziałaś, na pieniądzach też się nie zna, na lekkie i ciężkie je dzieli, ale całe życie ciężko pracowała. Podobno za cara była w Rosji i w majątku jakichś wielmożów robiła. Później przed rewolucją uciekła. Podobno nawet Lenina widziała… Wszyscy mówią do niej Józiu, ale mnie jakoś tak nieporęcznie, wolę – babciu Józiu.

Nagle przypomniała sobie dziwne gesty Rozalki.

– A ty, co? Co tak skakałaś, jak moja Pestka, kiedy chce, żeby ją pogłaskać?

– Zgadnij! Zgadnij! – rzuciła się przyjaciółce na szyję.

– Puść, bo mnie udusisz.

– To zgadnij – dziewczyna dała krok w tył i patrzyła tajemniczo, czekając na odpowiedź.

– Sądząc po twoim zachowaniu, to zakochałaś się we mnie i chcesz mi się oświadczyć – powiedziała poważnie Maria, ale po chwili wybuchnęła śmiechem.

– Nie żartuj! Ale prawie trafiłaś... Rudy mi się oświadczył! – krzyknęła. – Będzie ślub, będzie wesele! – kręciła się wkoło, wirując dołem sukienki. – Na dzieci też się zgodził.

---

[58] *Serwituty – prawo chłopów do korzystania z dworskich pastwisk, łąk, lasów.*

Raptem zatrzymała się i patrząc na przyjaciółkę spytała poważnie:

– Będziesz moim świadkiem?

Wpadły sobie w ramiona.

– Oczywiście. No, a kiedy?

– W zasadzie to już…, by trzeba.

Maria spojrzała jej prosto w oczy.

– Będziesz miała dziecko? Rudy o tym wie?

– Sama jeszcze nie do końca wiem. Może? A on... on nawet się nie domyśla. Tym bardziej się cieszę, bo bez żadnego musu się oświadczył.

– Dalej u bauera w Łobudzicach robi?

– Tak. U Wypycha. Do młyna zboże wozi – do Dąbrowy, albo do Podwód, albo też do Zelowa, na Piłsudskiego. Przeważnie jest przy koniach i jako wozak. Musi też być na każde wezwanie od Niemców, bo jak jego gospodarz każe, to wozi tych, co Niemcy wysiedlają. Na miejsce zbiórki ich wozi, a stamtąd to czasami też na pociąg do Łasku, jak na roboty ich wywożą. No i czarnomorców też przywozi. Czasem mi opowiada, jak musi patrzeć, kiedy ludzie płaczą i błagają, żeby ich zostawić, ale to nic nie pomaga, wtedy jest jeszcze gorzej, bo żandarmi ich biją. Nie lubi o tym mówić, bo mu serce pęka i pięść sama się zaciska, no, ale co ma zrobić, sam by dostał, jakby się za nimi ujął.

– A suknia? Skąd sukienka? – Maria zmieniła temat.

– Po mamie będę miała. Mówię ci, śliczna... Jacek miał szyć garnitur na Kilińskiego, u Grinberga, ale okazało się, że go wywieźli... Przed wojną, przy Rynku, miał sklep z garniturami, tam gdzie Stern miał czapki – wiesz, koło gminy. Teraz jest tam milicja żydowska. A jego z całą rodziną... Ale będzie miał po ojcu. Nawet w niezłym stanie.

– A wesele? – dopytywała Maria.

– U nas w domu.

– Widzę, że już wszystko zaplanowałaś.

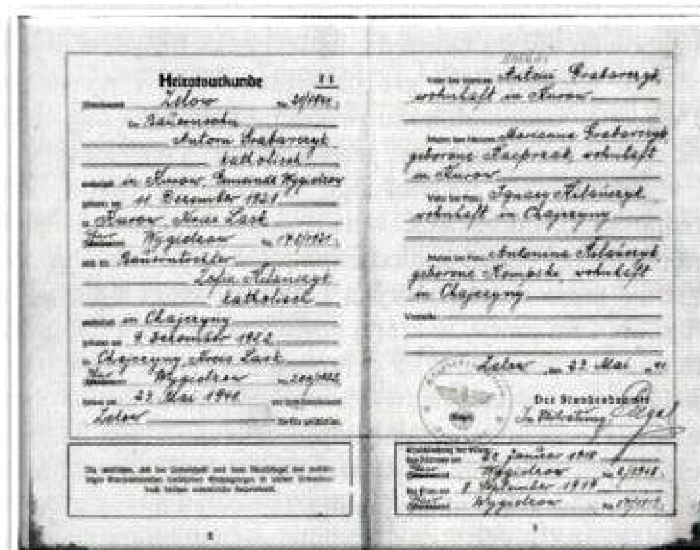
Rozalka uśmiechnęła się.

– Cieszę się, ale też boję zarazem.
– Czego się boisz?
– No, bo wiesz. Wynajmiemy coś tu w Rynku. Już na swoje pójdziemy. A zawsze, co u mamy, to u mamy.
Maria wzięła koleżankę w objęcia i uśmiechając się wesoło, dodała:
– Nie martw się. Z Zelowa niedaleko do cyca będziesz miała.

Ślub odbył się w kościele, w Łobudzicach. Po uroczystości, rodzina i zaproszeni goście życzyli młodej parze zdrowia i szczęścia, tylko matka pana młodego przyszła do kościoła w czarnej sukni i trzymała się na uboczu, a choć wszyscy prosili ją, aby także cieszyła się ze szczęścia syna, nie pojechała do Olszewskich na weselne przyjęcie. Wróciła do domu, mamrocząc coś pod nosem o nadchodzącej karze Boskiej.

Wesele nie było duże. Tylko najbliższa rodzina i znajomi, ale bawiono się do samego rana. Przyjaciel rodziny, stary Jaśko, przygrywał do tańca na harmonii, a jedzenia było tyle, że rozdawano je weselnikom – każdy z gości otrzymał na wychodnym prezent – kawał słoniny i kiełbasy, do których dodawano litrową flaszkę samogonu. Z tak udanego dnia oraz sądząc po uśmiechniętych i szczęśliwych nowożeńcach wróżono dwojgu młodym ludziom długie i szczęśliwe życie oraz szybkie powiększenie rodziny.

Młodzi byli zakochani w sobie i szczęśliwi. Łączyła ich szczera miłość. Szczególnie Rudy patrzył na Rozalkę jak w obrazek. Każde jej polecenie, każda prośba była natychmiast spełniana. Zamieszkali w wynajętym mieszkaniu, obok gabinetu felczera Zielke. Mieli dach nad głową, pracę, ale przede wszystkim mieli siebie nawzajem.


Heiratsurkunde
Zelow
Anton Grabarczyk
katholisch
Zofia Kilanczyk
katholisch
Zelow, 23 Mai 41
Der Standesbeamter

Akt ślubu Zofii Kilańczyk i Antoniego Grabarczyka – 23.05.1941 r.

***

Czasy były jednak niepewne i niespokojne. Krótkie chwile szczęścia tonęły w morzu kłopotów i trosk. Wychodząc z domu do pracy czy sklepu, można już było do niego nie wrócić – zostając w domu – można było w każdej chwili spodziewać się najścia okupantów, aresztowania i wywiezienia.

Represje i prześladowania nasilały się z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Na każdym kroku trzeba było uważać, co się robi i co się mówi. Nie wiadomo było, kto wróg, a kto przyjaciel?

Niemcy starannie, krok po kroku, realizowali zarządzenia, w których dyskryminacja i nienawiść do innej niż oni rasy, była głównym wyznacznikiem ich postępowania.

Przemoc skierowana była głównie przeciw Żydom i Polakom, a zwłaszcza przeciw Żydom.

W kwietniu 1941 prezes zelowskiego Judenratu – Naftali Maer, został zobowiązany do nałożenia na wszystkich Żydów wysokiej kontrybucji. Niemcy, pod groźbą aresztowania i wywiezienia, żądali wydania wszelkich kosztowności, pieniędzy i innych dóbr. Kto nie spełnił żądań, był bity, prześladowany i więziony.

Po wyodrębnieniu niewielkiego obszaru na trenie Zelowa utworzono getto, oddzielając w ten sposób wyznawców judaizmu, od pozostałej części społeczeństwa. Na wydzielonym terenie znalazła się także dawna fabryka Lewiego, która stała się teraz nie tylko obozem pracy, w której szyto i naprawiano bieliznę dla wojska oraz wyrabiano odzież ochronną i buty, ale także obozem przesiedleńczym, w którym w nieludzkich warunkach – bez jedzenia, picia oraz możliwości kulturalnego załatwiania potrzeb fizjologicznych trzymano Żydów przed ich wywiezieniem do więzień i obozów koncentracyjnych.

Trudne czasy wyzwalały w ludziach najgorsze instynkty. Wprowadzały bezduszność i obojętność wobec drugiego człowieka. Rozpalały chciwość i nienawiść.

– Marysiu! Marysiu! Otwórz! To ja! Owczarkowa! – wołała pani Apolonia, energicznie pukając w okno mieszkania Nowotarskiej.

– Już, już. Już biegnę, lecę – Maria otworzyła drzwi.

Sąsiadka stanęła w progu. Chwyciła jej ręce i powiedziała błagalnym głosem:

– Może ty, Marysiu, pomożesz? Ciebie posłucha. Cały czas mówi, że pani Maria to najlepsza nauczycielka i że wszystko wie… i w ogóle.

– Ale co się stało, pani Apolonio?

– Irek przybiegł do domu. Zamknął się w sieni, w schowku pod schodami i nie chce wyjść. Mówi, że tam już zostanie i że do roboty więcej nie pójdzie i w ogóle to taki wystraszony. Nawet do jedzenia nic nie chciał, a to już zupełnie do niego niepodobne, musiało stać się naprawdę coś strasznego.

– No, to chodźmy. Porozmawiam z nim. Może czegoś się dowiem. On teraz pracuje u bauera, na Kolonii, prawda?

– Tak. U Antoniego Tomaszka.[59] Ula mu załatwiła, bo teraz wszystko po znajomości. Pierwszego maja na piętnasty rok mu się obróciło. No, to trzeba było jakąś robotę dla niego szukać, żeby go do Reichu[60] nie wywieźli. I tak się akurat złożyło, że żona Tomaszka przyszła do córki z kiecką do szycia, no i zgadały się, że szukają parobka, bo roboty dużo – jest przy czym robić, jak pozabierali sąsiadom ziemie – no i on poszedł do Arbeitsamtu i tam załatwił.

Tak rozmawiając, weszły do domu Owczarków.

Pani Apolonia zapukała w małe drzwi niewielkiego pomieszczenia, znajdującego się pod schodami.

– Iruś! Jesteś tam jeszcze? Wyjdź, synek. Gościa masz. Pani Maria chce z tobą porozmawiać.

Nie uzyskała odpowiedzi, ale po chwili usłyszały szmery i stukania. Stare drzwiczki otworzyły się, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami i chłopak wyszedł do sieni.

– Dobry wieczór, pani.

– Dobry wieczór – uśmiechnęła się.

– No, co Irek? Porozmawiasz ze mną?

Chłopak stał przygarbiony. Kiwał się lekko na boki, ale po chwili skinął głową, na znak, że się zgadza.

– No, to usiądźmy – Maria wskazała ręką na ławę w sieni.

Irek spojrzał jeszcze na matkę i powiedział:

– Ale tylko z panią Marią.

– Tak, tylko ze mną – odpowiedziała mu Nowotarska, zerkając w stronę Owczarkowej.

– No, to siadajcie. Ojciec robi na krośnie, Uli jeszcze nie ma, a ja pójdę do obory – świnie trzeba oprzątnąć i krowy wydoić, bo

[59] *Nazwisko zmienione.*

[60] *Reich – Rzesza Niemiecka.*

ryczą... Zwierzę nie rozumie, że nie miałam czasu... A to syn, a to sklep, a to Niemce... same kłopoty, same problemy... Człowiek nie ma chwili wytchnienia... – żaliła się głośno, odchodząc w kierunku gospodarskich zabudowań.

Kiedy usiedli, Irek zaczął nerwowo obgryzać paznokcie. Maria delikatnie puknęła go w rękę.
– Zostaw – powiedziała.
Spojrzał na nią i wyraźnie wystraszony spytał:
– Nie powie pani rodzicom?
– Nie, nie powiem. Obiecuję, że jeśli tylko nie będzie od tego zależało czyjeś zdrowie lub życie, to nic nie powiem.
Irek wahał się jeszcze.
– No... właściwie to nie zależy. Już nie zależy. Za późno.
Po takich słowach Maria zaniepokoiła się, ale nie pokazała tego po sobie.
– Opowiedz wszystko od początku, jak było, a później znajdziemy jakąś radę – wyjaśniła spokojnym głosem.
– Bo, widzi pani, ja robię teraz u sołtysa Tomaszka, na Kolonii. Pilnuję koni i krów i porządki robię w obejściu. Czasem też jeżdżę do Zelowa na targ i rozwożę zamówione kartofle, jajka, warzywa. A do niego to miałem zawieźć kartofle i dwie tłuste kury na rosół, bo był chory.
– Kto? – przerwała mu Maria.
– No... nazwiska nie powiem – zdecydował.
– Przepraszam. Mów dalej.
– Tomaszkowa dała jeszcze sadła do smarowania, żebym mu dał. Tylko, że jego synowie – dwóch ich ma, takich już starszych, co dzieci swoje mają – wyganiają mnie stamtąd, bo podobno im kiedyś zawiozłem zgniłe kartofle. A to przecież nie ja, bo ja to dopiero od maja u Tomaszka robię. Starszy pan stanął wtedy w mojej obronie i mówił, żebym się nie przejmował, bo on tu rządzi i oni nie mają nic do gadania.

Wjechałem do nich na podwórko. Wołałem, ale nikt nie wychodził, więc wyładowałem kartofle, a po zapłatę i z tym sadłem do domu wszedłem. I... – westchnął głęboko.
Maria dotknęła jego czoła.
– Chyba masz gorączkę? I w gardle ci zaschło. Napijesz się wody?
Pokręcił przecząco głową i mówił dalej:
– Usłyszałem rozmowę za drzwiami. Słychać było, że z synem rozmawia. Miałem już pukać, ale nagle zaczęli się kłócić. Wiem, że to nieładnie, ale słuchałem dalej, pod drzwiami. Starszy pan błagał i zaklinał, że on niedługo pożyje i że jest po spowiedzi i z czystym sumieniem chce odejść na tamten świat. A te kosztowności, to złoto, co je zabrał, to go pali, jak jaki ogień. Prosił tego syna i prosił, żeby oddał wszystko, że on nie może już tego zrobić, bo już nie ma sił. Tłumaczył, że ten skarb znalazł, jak orał pole, ale wiedział, czyje to jest, bo się właściciel o bogactwo upomniał, jak zobaczył dziurę w ziemi, po wiadrze. Tylko, że on się nie przyznał. Zakopał to u siebie w stodole, pod beczką. W końcu syn powiedział, że pójdzie sprawdzi i poszedł. Jak wychodził, to ja schowałem się za taką starą szafą, co tam stała, więc mnie nie widział. Odczekałem trochę i wszedłem po zapłatę i z tym sadłem. Pan był bardzo zdenerwowany, ale dał mi pieniądze z woreczka, co go miał pod poduszką i kazał za lekarstwo podziękować. Już miałem wyjść, kiedy usłyszeliśmy, że biegnie ktoś po schodach. Powiedziałem więc starszemu panu, że jak jego syn mnie tu zobaczy, to znowu po uszach dostanę. To on kazał mi szybko schować się do szafy. Ledwie tam wlazłem, a już drzwi się otworzyły i syn wszedł.
Irek otarł spocone czoło.
– Może jednak się napijesz? – spytała ponownie Maria.
– Najpierw niech skończę – nabrał powietrza i kontynuował opowieść. – Siedzę cicho w tej szafie i słyszę taką rozmowę:

– Znalazłem. Tak, jak mówiłeś, pod beczką. Jak, ojciec, myślisz? Ile to jest warte? Chyba całe gospodarstwo można za to kupić, albo i więcej, może nawet dom nowy postawić?

– Synu! Oddasz to wszystko, co do ostatniego grosza. Nie twoje, a moja ostatnia wola. A nie, to powiem, komu innemu i poproszę go o to, skoro własny syn nie chce tego zrobić – choć to rzecz święta, spełnić prośbę konającego.

Irek znów dostał zadyszki, ale mówił dalej:

– Zrobiło się nagle przeraźliwie cicho. Dość długo to trwało, więc z ciekawości próbowałem podejrzeć, co tam się dzieje. W końcu znalazłem okiem szczelinę i widzę... – zaczął szybciej oddychać. – Widzę, że jego syn stoi przy łóżku i trzyma na głowie starszego pana zaciśniętą poduszkę...

Maria zakryła sobie usta ręką. Z obawą patrzyła, jak chłopak drżał na całym ciele.

– Bałem się wyjść... – zaczął szlochać. – Bałem się... nawet oddychać... I już nie patrzyłem dalej... tylko siedziałem tam i siedziałem. Sam nie wiem, jak długo, a kiedy wyszedłem, to bałem się spojrzeć na łóżko.... A teraz myślę, że może on jeszcze żył. Mogłem przecież komuś powiedzieć, zawołać, a ja uciekłem... jak tchórz... A starszy pan był dla mnie taki dobry – rozpłakał się na dobre.

Maria też płakała. Przytuliła głowę chłopca.

– Cicho już, cicho – próbowała go uspokoić. – Nie twoja wina. Strach ma wielką siłę. Pewnie i tak już było za późno. Dobrze, że mi wszystko powiedziałeś. Lżej ci teraz będzie.

– Ale nie powie pani nikomu?

– Nie, nie powiem – odpowiedziała, patrząc przed siebie.

***

Lato było gorące, a w sklepie pana Golke duszno. Klientów nie było, więc Nowotarska siedziała za ladą, chłodziła się kupionym na targu wachlarzem i popijała limoniadę.

Nagle do sklepu wpadła Marylka Bistułówna.

– Możemy pogadać? – rzuciła od progu, widząc, że w sklepie pusto i może swobodnie rozmawiać.

– Ty, jak zwykle. Wszystko prędko, pręciutko, jak ten wiatr, tak wszędzie pędzisz. Będziesz tak latać, to odfruniesz.

Maryla nie odpowiedziała na przytyk, tylko wzięła stołek, który stał pod ścianą, postawiła go bliżej Marii i usiadła.

– Uciekłam od Zielków.

– Jak to uciekłaś?

– No, uciekłam. Wyprowadzam się do ciotki, na Sienkiewicza. Ona mieszka nad żandarmerią, obok Nemelowicza, tego nowego lekarza. Sprząta tam. Już ci o niej mówiłam.

Maria spojrzała na nią jak na wariatkę.

– A, co tobie znów, dziewczyno, strzeliło do głowy?

– Bo moja pani mnie już nie chce. Ciągle coś jej nie pasuje. Tylko na chwilę pojechałam rowerem do domu, a później do ciotki, a ona już mnie szukała. Mama jej powiedziała, że nie wie, gdzie jestem, więc ona na to, że u niej już dla mnie miejsca nie ma. Wtedy mama jej powiedziała, że świat nie torba i stoi przede mną otworem, a ona nic nie powiedziała i poszła. Po pogrzebie pana Maksa wszystko się zmieniło. I wiesz, co? Muszę ci jeszcze coś powiedzieć – nachyliła się do ucha koleżanki. – Bo..., bo... – nie mogła wydusić z siebie kolejnych wyrazów.

Nagle odsunęła się i rozejrzała bojaźliwie dookoła.

– Ale przysięgnij! – powiedziała. – Przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Nawet na świętej spowiedzi nie powiesz. Przysięgnij.

– Przysięgam – powiedziała wystraszona Maria.

– Bo widzisz – wyszeptała. – To chyba moja wina – wydusiła w końcu, przez ściśnięte strachem gardło i umilkła.

– Co twoja wina? O czym ty mówisz?

– No, że pan Maks umarł.

– Co ty gadasz, dziewczyno? Przecież on w szpitalu umarł. Operację mu zrobili i umarł.

– No tak, ale tego dnia, to on był całkiem zdrowy... Taki głodny do domu wrócił... i od razu do kuchni. Akurat zrobiłam ogór-

ków ze śmietaną. Całą michę. Dla wszystkich to miało być, na obiad. A on sam tą miskę ogórków zjadł, a później poszedł do restauracji i zimnym piwem popijał. Nie minęło pół godziny i zaczęło go z bólu skręcać. Wtedy do ojca poszedł, po ratunek. No i dalej, to już wiesz. Pogotowie zabrało go do szpitala, do Łodzi, ale tam, zamiast operację na skręt kiszek, to mu ślepą kiszkę wycięli. No i umarł.

– No, to nie przez ciebie, tylko przez nich – wtrąciła Maria.

– Ale widzisz, Marysiu. Gdybym ja tej mizerii mu nie dała, toby żył – opuściła głowę z oczami pełnymi łez.

– Marylko! Kochanie! Jeszcze raz ci mówię, że to nie twoja wina.

Dziewczyna patrzyła przed siebie i co chwilę wycierała siąpiący nos. Wzdychała głęboko. Po chwili dodała, jakby w ogóle nie słyszała pocieszającej ją przyjaciółki.

– A jeszcze niedawno chwalił się zdobyczami na wschodzie. Na mapie mi pokazywał. Myślał, że razem ze swoim wodzem cały świat zawojuje. Ale ja mu powiedziałam, że to jeszcze nie koniec wojny, że wszystko może się jeszcze zmienić. Wtedy spojrzał na mnie, jakby chciał mnie udusić, później jednak uśmiechnął się, odwrócił się do portretu swojego Führera,[61] co on na ścianie, w pokoju wisi, spojrzał na niego i wyszedł... Nie był taki zły... I wesoły był – rozpamiętywała zdarzenia z przeszłości.

– Dość tego! – krzyknęła Maria. – Zapomnij! Tak ci go szkoda? Przecież to Niemiec. Polaków żałuj.

Maryla spojrzała na nią, jak wybudzona ze snu.

– No pewnie, że mi szkoda. Tak tylko mówię.

Po chwili dodała:

– Taki był młody...

Maria machnęła ręką i wzięła się za wycieranie lady.

– Jak do ściany. No, jak do ściany – mruczała do siebie pod nosem.

---

[61] *Führer – wódz, przywódca.*

– A ty! – ocknęła się Maryla.

– Co, ja?

– No, co u ciebie?

– A, jak zwykle, same kłopoty.

– To znaczy?

– Wezwali mnie do Arbeitsamtu i już nie będę u Golkego pracować.

– Jak to?

– Ano, tak to.

– Dali mi nowy nakaz pracy. U Kratochwilla teraz będę robić i to już od poniedziałku. W sklepie i jeszcze w domu mam pomagać.

– A Golke, co na to?

– Nie miał nic do gadania. Przecież Kratochwill, to Reichsdeutsch.[62] To władza. Kierownik zelowskiego NSDAP. Dowiedział się gdzieś, że dobrze umiem po niemiecku i że w sklepie pracuję, że Golke zadowolony ze mnie. Zażyczył sobie i już. Ta poprzednia dziewczyna mu nie odpowiadała, to ją do Reichu na roboty wysłał. I teraz ja mam iść.

– Dasz sobie radę – pocieszyła ją. – Obrotna jesteś.

– W sklepie sobie poradzę, ale co tam u niego w domu mnie czeka? Jakie będą ich oczekiwania? Jak mnie będą traktować? Widzisz... Tutaj już się przyzwyczaiłam. I pan Golke – dobry człowiek. A teraz znowu na nowe iść, na nieznane. Całą noc dzisiaj nie spałam, tylko myślałam i myślałam.

– Dasz sobie radę, Marysiu! – powtórzyła Maryla. – Dasz sobie radę. Muszę już lecieć.

Odwróciła się jeszcze w progu i dodała:

– Jakby to było wcześniej, to miałabym bliżej do ciebie, ale teraz...? Teraz to nie wiem. Ja już chyba do nich nie wrócę.

Idę do mamy. Zakręciła się na pięcie i wyszła.

---

[62] *Niemiec zamieszkały na stałe w Rzeszy Niemieckiej.*

Po przyjściu do domu zastała matkę siedząca w kuchni, za stołem. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że płacze.

– Mamo! Co się stało?
Zaniepokojona rozejrzała się dookoła.
– Gdzie babcia?
Matka wytarła nos w chusteczkę.
– Nic, nic, córcia – pogłaskała ją po głowie. – Tyle razy ją prosiłam, tyle razy, ale jak grochem o ścianę.
– A co? Pewnie znowu poszła z jedzeniem dla Żydów.
Pani Bistułowa przytaknęła.
– A to takie niebezpieczne. W każdej chwili mogą ją aresztować albo pobić. Wiem przecież, bo też czasem noszę. Marylka zaczęła ją pocieszać.
– Przecież wiesz, że babcia jest uparta. Nawet ciocia Bietka mówi, że nie ma bardziej upartego człowieka niż babcia Weronika. Nie martw się, zaraz wróci. Pójdę, zerknę przez szparę w płocie.
– Tylko uważaj, żeby cię nie zauważyli. Uważaj, dziecko – powiedziała zatroskana matka.

Dom Wiesiołowskich, u których mieszkali Bistułowie, niemal dotykał drewnianego ogrodzenia getta.
Maryla weszła do ogródka. Podeszła do płotu i przyłożyła oko do dziury po sęku. Widziała wyraźnie dwupiętrowy budynek fabryki i całe podwórze, po którym chodzili Żydzi. Jedni coś nosili, inni sprzątali, jeszcze inni siedzieli zamknięci w budynku. Widać było ich ręce, wyciągnięte przez okratowane, pozbawione szyb okna, i blade, wychudzone twarze.
Pośrodku placu stała jej babcia i żywo dyskutowała z żandarmem. Marylce przeszedł dreszcz po plecach, ale i podziw dla starszej kobiety, po której nie było widać ani śladu strachu czy zdenerwowania. Po chwili żandarm odszedł, a babcia podeszła do młodej Żydówki, która trzymała na rękach zawinięte w chustę,

niemowlę. Wyjęła zza sweterka butelkę z mlekiem i podała kobiecie. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przy nich stary Żyd z długą, siwą brodą. Wyrósł, jak spod ziemi, chwycił butelkę i zaczął uciekać. Zanim zaskoczone kobiety zorientowały się, co się stało, on już dopijał resztki mleka. Dziecko zaczęło płakać, a Żydówka złorzeczyć i wygrażać staremu pięścią. Dookoła zrobił się szum i zamieszanie. Ze wszystkich stron zaczęły nadchodzić kobiety z dziećmi na ręku. Wyciągały błagalnie ręce w kierunku jej babci. Unosiły w górę płaczące dzieci i lamentowały.
Babcia Weronika zakryła oczy i opuściła głowę, a po chwili odeszła. Maryla obserwowała dalej.
Do jednej z kobiet, której maleństwo płakało najgłośniej, podszedł żandarm. Zaczął na nie krzyczeć, w końcu uniósł w górę grubego bykowca[63] i zaczął nim okładać dziecko. Biedna matka chowała niemowlę, jak tylko mogła. Osłaniała ręką jego małą twarzyczkę. Płakała i próbowała uciec, aż przewróciła się i przykryła je własnym ciałem, za co otrzymała kilkanaście uderzeń w plecy.
W końcu zasapany, czerwony z wysiłku hitlerowiec odszedł, mrucząc coś pod nosem.
Maryla uciekła, ale wieczorem długo nie mogła zasnąć. Do tej pory myślała, że to ona ma ciężkie życie, że to ona jest biedna, bo zamiast chodzić na majówki i spacerować z chłopcami, jak przystało na jej wiek – musiała pracować. Ale nie chciałaby znaleźć się za tym płotem. Powinna dziękować Bogu za to, co ma, a nie narzekać. O! Nie! Teraz zrozumiała swoją babcię i postanowiła, że ona też będzie nosić jedzenie do getta.
Kiedy w końcu usnęła, był już środek nocy, jednak nie spała długo, obudziły ją hałasy dobiegające zza ściany. Wstała z łóżka i nasłuchiwała. Z pokoju Danusi, córki gospodarzy, dobiegały odgłosy płaczu. Wyszła do sieni i podejrzała przez dziurkę od klucza. W pomieszczeniu panował półmrok, dojrzała jednak

[63] *Bicz rzemienny.*

Danuśkę i jej ojca. Stał przed córką i wygrażając jej pięścią, coś do niej mówił. Raptem uderzył ją w twarz. Maryla aż odskoczyła z przerażenia i oburzenia, ale po chwili przylgnęła z powrotem do drzwi i patrzyła. Jej koleżanka leżała na podłodze i płakała. Nagle... – Maryla nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła – ojciec zaczął okładać ją rękami i kopać, gdzie popadło, aż w końcu wskoczył na nią i zaczął jej skakać po brzuchu. Dziewczyna krzyczała przeraźliwie, ale po chwili ucichła.

Maryla nie wiedziała, co robić. Bała się nawet głębiej odetchnąć. Uciekła więc do swojego pokoju i nakryła się pierzyną. To, co widziała, było tak przerażające, tak straszne... Nie wyobrażała sobie, że ktoś może tak potraktować drugiego człowieka, a tu ojciec – własną córkę. Trzęsła się cała jak listek. Łzy płynęły jej po policzkach. Miała jedynie nadzieję, że Danusia tylko zemdlała.

Tym razem już nie zasnęła. Czuwała w obawie, że może on ją widział i że przyjdzie do niej, żeby ją uciszyć. Postanowiła, że nikomu, nikomu o tym nie powie, nawet mamie.

***

Minęło kilka dni. Maria wybrała się z wizytą do Rozy i Rudego. Zastała ich odpoczywających w niewielkim ogródku, na ławce. Obok, na drewnianym zydlu, siedział Bartek. Na widok wchodzącej Marii ustąpił jej miejsce i bez słowa usiadł na trawie.

– Dziękuję, ale możesz siedzieć – powiedziała.

Nie zdążył jej odpowiedzieć, bo pierwsza odezwała się gospodyni.

– On nawet woli na ziemi. Siadaj, Marysiu. Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

– O mnie? – zdziwiła się.

– Tak, bo widzisz, Rudy przyszedł dzisiaj z wiadomością, że w w Zelowie jest wróżka. Niedawno się przyprowadziła i mieszka

gdzieś na Kilińskiego, za mostem. Podobno z kart wróży. I wiesz, co? Ja tak sobie pomyślałam...

– Po co ci wróżka? – przerwała jej Maria, ale zaraz domyśliła się, o co przyjaciółce chodzi.

– No, wiesz. Ciekawie by było poznać przyszłość.

– A ja bym nie chciał wiedzieć. Choćby mi za to zapłacili – wtrącił Bartek.

– Właśnie. Ciekawe, ile bierze? – myślała głośno Roza. – Jakby nie za drogo, to bym poszła. Pójdziesz ze mną?

– Pójdę – odpowiedziała jej cicho – A ty jak się czujesz? – dotknęła ręką jej brzucha i uśmiechnęła się. – Mały Witczak[64] już kopie?

Roza także się uśmiechnęła.

– Spytaj Rudego, on ci powie – zwróciła się w jego stronę. – Prawda, mój mężu?

Przyszły ojciec przytaknął tylko głową i ucałował Rozalkę w policzek.

– Kopie, kopie – odpowiedziała jej Rozalka. – Ale więcej śpi. No, a co u ciebie? – zmieniła temat.

Maria westchnęła. Rozejrzała się po twarzach przyjaciół i zwyczajnym, spokojnym głosem powiedziała:

– Wczoraj dziecko uratowałam.

Zupełnie nieoczekiwana wiadomość podziałała na zebranych jak rażenie piorunem.

– Jakie dziecko? Czyje? – pytali.

– Zaraz wam wszystko opowiem – usiadła wygodniej i wypiła łyk zbożowej, czarnej kawy.

Wszyscy czekali z zaciekawieniem, czekając, co powie. Maria spojrzała na nich i z poważną miną zaczęła:

– Wiecie, że od tygodnia pracuję w sklepie, u Kratochwilla. Ale z nim rozmawiałam tylko pierwszego dnia. Przedstawił mi moje obowiązki – w sklepie i w domu. Dość surowo, stanowczo,

[64] *Nazwisko zmienione.*

ale konkretnie. Mówił, że jeśli będę dobrze pracować, to potrafi to docenić. I tyle. Praca u niego w sklepie nie różni się zbytnio od tej poprzedniej. Nawet asortyment podobny. Tylko mam też obowiązki w domu. Odrabiam lekcje z ośmioletnim synem państwa Kratochwillów, Johanem. Nawet fajny chłopczyk. Z początku był nieufny, ale teraz widzę, że staje się coraz śmielszy. Zaczyna pytać i opowiada mi różne historie, bo to taki mały gaduła.

Pani Kratochwill wydaje się sympatyczną kobietą. No, ale za mało ją znam, żeby oceniać.

Mają jeszcze trzyletnią córeczkę – Helgę. Pilnowała ją młoda dziewczyna, Polka, ale jej nie znam. Tyle wiem, że z Herbertowa pochodzi. Mówię pilnowała, bo wczoraj ją na roboty wywieźli. I tak dobrze się to dla niej skończyło, bo gdyby nie ja, to pewnie by ją Kratochwill na miejscu zastrzelił. Uważam, że to jej wina była, ale sami osądzicie.

U nich w ogrodzie, za domem, jest taki mały, wybetonowany zbiornik na wodę, żeby można było ją brać do podlewania ogródka. Nie jest głęboko, może z pół metra, ale dla takiego dziecka to całe morze. Akurat wyszłam i od podwórka sklep zamykałam. Nagle widzę, że ona, ta dziewczyna, siedzi na ławce i przegląda jakąś książkę, a dziecko bawi się przy tym zbiorniku i wrzuca tam patyczki. Trochę mnie to zaniepokoiło i już miałam jej zwrócić uwagę, aż tu nagle mała przechyliła się i wpadła do wody. Tamta nawet nie zauważyła. Dopiero, jak krzyknęłam, to ona stanęła jak wryta przy tej ławce, i tak stała, a ja pobiegłam, żeby dziecko wyciągnąć. No i dalej to już się domyślacie. Dziecku na szczęście nic się nie stało. Tylko trochę wody się napiło. To wszystko.

– Ale się mogło porobić – powiedziała Roza.

– To Maria jest bohaterką! – powiedział z dumą Bartek.

– Tak, tak, uratowałaś dziecko – wszyscy gratulowali uśmiechniętej dziewczynie.

– Przypadek, po prostu przypadek. Los tak chciał – powiedziała skromnie, odbierając gratulacje od przyjaciół.

– Podziękowali ci chociaż? – spytała Roza.

– Tak. Na mój krzyk pani wyjrzała przez okno i wszystko widziała. Jak przybiegła, to wycałowała małą i przytuliła. A potem spojrzała na mnie tak jakoś... tak mile..., że aż mi się łzy w oczach pojawiły. Ale lepiej o was mówcie – spojrzała na milczącego Rudego i powiedziała: – Jacek! Tyle jeździsz tą swoją furmanką – powiedz coś ciekawego.

Rudy wzruszył ramionami.

– A co ja mam mówić?

Roza trąciła go łokciem w żebra.

– No, jak to? Opowiedz to, co mnie ostatnio. No, wiesz! O tym bunkrze.

Rudy westchnął i zaczął opowiadać:

– Woziłem piach na to targowisko dla zwierząt, koło szkoły „jedynki". Tam Niemcy schron budują, a właściwie to Żydzi.



Bunkier.

– Zaczęli wojnę z Rosją, to mają stracha – wtrąciła Rozalka.

– Akurat, stracha! – odpowiedział Bartek. – Po prostu się zabezpieczają. Oni wszystko tak wcześniej planują. Dmuchają na zimne. Wszystko według zarządzeń. Porządek musi być.

– Nie przerywajcie – zgoniła ich Maria. – Mów dalej, Rudy.

– Jak mówiłem, sami tego nie robią, tylko Żydów gonią do roboty. A ten bunkier ma ze 2 metry – na wysokość, a ze 30 – długi. Jedni kopią dół, inni układają drewniane bale – na ściany i sufit, a później przysypują całość tym piachem, co go wozimy na okrągło już od kilku dni – kilkanaście furmanek, w tą i we w tą. A Żydzi ładują go w worki i noszą. Jeden Niemiec stoi na tej drewnianej budowli i sprawdza, czy nie za mało do tych worków kładą... A zgonili tych Żydów... jak mrówki w mrowisku robią, a leją ich, aż żal patrzeć.

– Tak, Żydzi mają teraz źle – potwierdziła Roza. – Ciężko im, bo też i warunki, w jakich żyją, są straszne. Już w kwietniu w gettcie była epidemia tyfusu, ale doktor Rotensztreich jakoś ją powstrzymał. Niemcy trochę mu pomogli, bo pozwolili na zakup leków za pieniądze zebrane od bogatych Żydów. Strach, jakby to się rozniosło. Teraz też dużo ich choruje. Podobno nie mają, co jeść i stan higieny jest fatalny.

– Jeść im nie dają, ale robić to muszą – odezwał się Rudy.

– Jak nie będą pracować – wtrącił Bartek – to ich wywiozą i następnych na ich miejsce dadzą.

Po chwili zadumy dodał:

– Ja też jeżdżę w przeróżne miejsca. Zlecają mi rozmaite roboty – naprawy, remonty. Wtedy się nasłucham. Ludzie różnie opowiadają – i o Żydach się nasłucham, i o naszych – i co Niemcy z nimi wyrabiają, a i Czechom też czasem się oberwie, choć ogólnie traktują ich lepiej niż nas. Ostatnio słyszałem, że w Sobkach jest podły sołtys – nazywa się Edward Miller. Ludzi na roboty wydaje, boją się go jak ognia, ale... to Niemiec, a nasz sołtys z Kolonii – Tomaszek to Polak, a podobno ludzi szpieguje i na nich donosi. Żydów przechowuje, ale każe za to płacić, a jak na Janowie ktoś nie zgłosił kobiety, co od urodzenia była niemową, to on poszedł i to zrobił. I wywieźli ją do Łodzi, i już nie wróciła.

Maria drgnęła:

– Irek Owczarek u niego pracuje, a jeśli chodzi o kaleki, to Maryla Bistułówna opowiadała mi o takim chorym chłopaku, też go zabrakli i wywieźli.

Bartek kontynuował:

– Podobno kiedyś poszedł do sąsiada i mówi: „Przyjdź do mnie do roboty", ale ten nie poszedł, więc Tomaszek zgłosił go do Arbeitsamtu – jego i jego żonę. Kobietę dali do Kluk, a jego do Niemiec wywieźli i dzieci same w domu zostały – dwóch chłopców, jeden sześć lat, a drugi dziewięć. A Tomaszek siedział za krzakami i patrzył, jak ich wyprowadzali. Tacy potrafią być ludzie – aż wstręt bierze.

***

Wspomnienia i tęsknota nachodziły Marię niemal każdego dnia. Wciąż myślała o następnej samotnej jesieni i o kolejnej zimie, jaka ją czeka, bez Stacha...

„To, że on nie daje znaku życia, to nie znaczy, że nie żyje" – myślała. – „Nie znaczy, że nie wróci, bo... jeżeli wywieźli go na Syberię? To daleko – tysiące kilometrów. Trzeba czekać, nie można wątpić ani przez chwilę, jak mówi Władzia. Ona nigdy nie zwątpiła, cały czas mówi, że brat wróci, a ja...? Powinnaś się wstydzić, Marysiu, że nachodzą cię takie myśli".

Podeszła do okna. Na podwórku Pestka uganiała się za kurami. Wesoło szczekając i merdając ogonem, wskakiwała co chwilę w gromadkę grzebiącego w ziemi ptactwa, szerząc ogólny popłoch i niezadowolenie. Nieco dalej jesienne słońce rozświetlało kolorowe liście wiekowej brzozy, której długie gałęzie zwieszały się nad drewnianym płotkiem.

Pomyślała o rodzicach, nie byli jeszcze tacy starzy. Właśnie wczoraj – 5 października obchodzili 30. rocznicę ślubu. Była u nich..., i w kościele na niedzielnym nabożeństwie. Było wesoło i przytulnie. Wspólny, rodzinny obiad, żarty i wspomnienia dziecięcych lat pozwoliły jej zapomnieć o wojnie, troskach i zmar-

twieniach. Jednak po takim spotkaniu trudno jest wracać do codziennego życia – zwłaszcza kiedy mieszka się tylko ze swoimi myślami. Tym razem kawka „powiedziała" jej, że Stach nie wróci... Co ona tam wie...? Już nie będzie jej pytać. A na myślenie najlepsza jest praca, ale dziś idzie do roboty nieco później, bo sklep malują... I co ma robić? Nie lubi bezczynności, nigdy nie lubiła... Drewna ma na całą zimę – narąbał jej Bartek, nazbierał też szyszek na rozpałkę. Dobry chłopak z tego Bartka, chociaż przez tę jego dobroć to każdy go wykorzystuje. Bartek pomóż to, Bartek pomóż tamto, a on nigdy nie odmówi, zawsze uśmiechnięty i chętny do pomocy...

Rozalka i Rudy gospodarzą już wspólnie – dobrze im razem. Niedługo będą mieli dzidziusia. Spytali ją, czy zostanie matką chrzestną. Była zaskoczona, ale szczęśliwa, bo matka chrzestna to jak druga mama. Odpowiedzialność i opieka, jaką bierze na siebie, jest duża, ale w zamian może liczyć na miłość dziecka i wdzięczność rodziców. Czy można chcieć czegoś więcej...? No, chyba tylko miłości własnych dzieci, ale czy ona będzie kiedyś matką? Czas pokaże...".

Stała ciągle przy oknie i rozmyślała: „Kurom dała. Obiad ma – dostała od mamy. Dzieci przyjdą na lekcję jutro. Prawdę mówiąc, gdyby nie dzieci i przyjaciele, to nie siedziałaby tu, w Sromutce, tylko u mamy".

– No, trzeba się ruszyć – zdecydowała, że pójdzie wcześniej, dużo wcześniej, i zrobi sobie dłuższy spacer.

Ledwie wyszła, ujrzała Ulę Owczarków.

– Witaj, sąsiadko! – krzyknęła za nią. – No, cud, że ty w domu, a nie w pracy, bo ja już myślałam, że ty sama siebie do maszyny przyszyłaś.

Urszula uśmiechnęła się wesoło.

– Bo ja kocham szyć. Bluzeczki i sukieneczki, falbaneczki i wstążeczki.

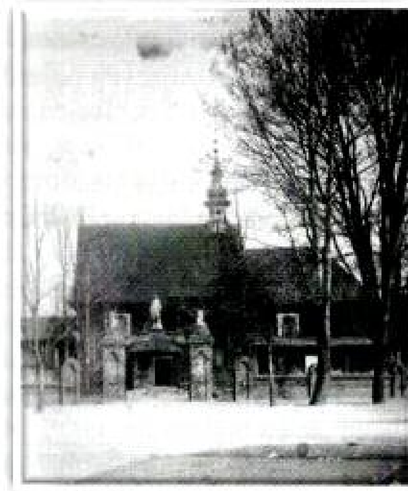
Maria zaśmiała się.

– Chciałabym mieć twoją radość życia. Gdzie idziesz?

– Do Łobudzic miarę wziąć, a później prosto do roboty, do Zelowa.

– Pójdę z tobą. Razem będzie weselej. Miałam się przejść po lesie, bo tak dzisiaj ładnie, ale mogę iść przez Łobudzice.

Wkrótce dziewczęta przechodziły obok kościoła pod wezwaniem św. Wawrzyńca i Tomasza w Łobudzicach.



Kościół w Łobudzicach.

– Ile razy bym tu nie szła, zawsze kojarzy mi się to z dniem, kiedy mnie aresztowali – powiedziała poważnie Maria.

– Tak. Znam tę historię. Musiałaś się nieźle strachu najeść. Całe szczęście, że wszystko dobrze się skończyło.

Urszula rozejrzała się dookoła.

– Dzwonów też już nie ma – wskazała na dzwonnicę przy kościele. Wszędzie pozdejmowali. Podobno na przetop. Do fabryk z amunicją. Jak tylko wojnę z Sowietami zaczęli, to wszystkie w okolicy pokradli. Tylko w Parznie im się nie udało, bo na wysokiej wieży wiszą.

– A wiesz? – zdziwiła się Maria. – Niedawno byłam z Rozalką u wróżki – takiej, co z kart wróży, i ona mówiła, że kościoły zamilkną. Może to właśnie o dzwony chodziło? Nie przywiązywałyśmy do tego wagi, bo niewiele się sprawdziło z tego, co mówiła, o nas i naszej przeszłości, więc o tym, co nas czeka, też słuchałyśmy z przymrużeniem oka, ale teraz to już nie wiem, co myśleć. Chociaż konkretnie to nic nie chciała powiedzieć. Jak spytałam ją, czy mój narzeczony żyje, to powiedziała, że nie widzi w kartach nic, co by jego dotyczyło.

Nagle usłyszały warkot nadjeżdżających pojazdów. Stanęły jak wryte. Z dwóch stron – od Zelowa i od Bujen, nadjeżdżały wojskowe motory i auta.

– Jezus Maria! Łapanka! – krzyknęła Ula.

Maria obejrzała się i zobaczyła tuman kurzu, który unosił się nad drogą.

– Od Sromutki też jadą – powiedziała z lękiem Ula i pociągnęła ją za rękaw. – Do kościoła! Szybko!

Dobiegły do głównego wejścia i chciały dostać się do środka. Okazało się, że drzwi były zamknięte. Pobiegły więc do bocznego.

– Tu też zamknięte – powiedziała Ula, naciskając klamkę. – To, co robimy? – spytała.

Tymczasem żołnierze wyskakiwali już z samochodów, blokując drogi wokół kościoła.

– Już po nas – Ula miała łzy w oczach.

Nagle skrzypnęły stare zawiasy, boczne drzwi uchyliły się i ktoś szeptem powiedział:

– Wchodźcie.

Weszły do środka. Tuż za drzwiami stał starszy mężczyzna.

– Panie Śmigielski. Niemcy – powiedziała cicho Ula.

Kościelny kiwnął głową i ręką dał znak, żeby szły za nim. Weszli po schodkach, na górę.

– Schowajcie się tutaj. Prędko – wskazał na niewielką wnękę za organami.

Dziewczyny spojrzały na siebie.

– Ale, panie Śmigielski...

– No, właźcie. Głowy nisko i wchodźcie, jeśli wam życie miłe... Na litość Boską! – zaczął je wpychać do schowka za kościelnym instrumentem.

Tymczasem na dole rozległ się głuchy łomot i szarpanie za klamkę. Niemcy próbowali otworzyć drzwi.

– Aufmachen!!![65]

Śmigielski zszedł prędko i otworzył.

– Gegen die Wand![66]

Postawili kościelnego przy ścianie. Do kościoła wszedł niemiecki oficer i odezwał się po polsku.

– Gdzie ksiądz proboszcz?

– Ksiądz Witkowski? – spytał spokojnie kościelny. – Pewnie u siebie na plebanii.

Oficer wszedł dalej. Podszedł do ołtarza i przez dłuższy czas przyglądał się cudownemu obrazowi Matki Boskiej Pocieszenia i Niebieskiej Lekarki. Następnie odwrócił się powoli i rozejrzał się dookoła. Zatrzymał wzrok na organach. Wewnątrz kościoła panował półmrok. Przez niewielkie okna wpadało nikłe światło i niewiele można było dostrzec, ale zapanowała taka cisza, że każdy szmer, każdy najmniejszy, nieprzewidziany ruch mógł być słyszany przez każdego, kto był w kościele.

Śmigielskiemu ciarki przeszły po plecach. Wyraźnie słyszał głośne bicie swego serca.

„Za chwilę każe sprawdzić na górze" – kołatało mu w głowie. „O, święta Panienko, spraw, żeby już poszedł" – błagał w myślach.

Nagle Niemiec odwrócił się energicznie i szybko wyszedł. Stanął na schodkach. Spojrzał na budynek, stojący po drugiej stronie szosy, wskazał go ręką i kilku uzbrojonych żołnierzy

---

[65] *Otwierać.*

[66] *Pod ścianę.*

weszło do środka. Po kilku minutach wyszli, prowadząc proboszcza – Gustawa Witkowskiego.

– Do samochodu – rozkazał. – Jego też – kiwnął głową w kierunku stojącego opodal kościelnego.

Stał z szeroko rozstawionymi nogami i przyglądał się, jak żołnierze wsadzają księdza do auta, po czym usiadł w koszu motocykla i nakazał jechać w kierunku Zelowa.

W ciągu kilku następnych dni wywieziono z Diecezji Łódzkiej, do Dachau, 550 księży.

***

Początek zimy 1941 roku był przyjazny dla ludzi i dla zwierząt. Śniegu nie było i nie trzeba było przedzierać się przez śnieżne zaspy. Tylko dzieci martwiły się, że nie mogą jeździć na sankach ani rzucać śniegowymi kulkami.

Lekkie przymrozki były tylko nocami, za co dziękowali Bogu ci, którym głód zaglądał do garnków, a w domach marzli z braku opału.

Jesienią Niemcy nakazali uzupełnić składy z torfem, między innymi na podwórzu dawnego domu Libermana. Na plac przy skrzyżowaniu ulic Dzielnej i Kilińskiego przez tydzień zwożono pocięty w kostki, zamarznięty torf. Teraz sprzedawali go Żydom, na przydział, ale w domach bryły zamarzniętego, nasiąkłego w czasie jesiennych deszczów torfu roztapiały się, tworząc niezdatną do spalenia, błotnistą breję.

Mimo ciężkiej pracy nie wszystkich stać było na węgiel. Na wsiach palono drewnem z lasu, ale w Zelowie ludzie zarabiali na opał w inny sposób. Pracowali na krosnach, w zakładach rzemieślniczych, w szwalniach i fabrykach przejętych przez Niemców, a ci, którzy mieli nakaz z biura pracy, otrzymywali zapłatę od swoich pracodawców. Niestety, zwykle była to najniższa

stawka – tygodniowo 8 – 10 marek. Nie starczało więc na zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych, a tym bardziej na doktora czy lekarstwa.

– Cześć, Maniuś! – zawołała Nowotarska, widząc przechodzącego obok sklepu chłopaka Drożdżowskich.

Maniek spojrzał na kobietę, która stała w uchylonych drzwiach i przecierała w nich szyby.

– Dzień dobry, pani, ale mnie pani przestraszyła.

– Ja? Co ty taki lękliwy?

– Nie lękliwy, tylko po tym wczorajszym, to… zresztą sama by pani miała piętra, jakby panią taka przygoda spotkała.

– A co się stało? Wejdź na chwilę. Porozmawiamy, akurat nikogo nie ma.

Maniek wszedł do środka.

– Cieplutko tutaj.

Maria uśmiechnęła się.

– Tak się wydaje po wejściu z dworu, ale jak dłużej posiedzisz, to ci nos zmarznie. No, ale mów, co się stało.

– Bo siostra mi zachorowała. Ona ma dopiero pół roku. Mocno zachorowała i ma duży kaszel. Raz był doktór, napisał recepty i kupiliśmy lekarstwa, no, ale nic nie było lepiej, choć dużo kosztowały. Więc mama umyśliła, że najlepiej by jej zrobił rosół z kury. Ale skąd tu kurę wziąć? Więc znowu umyśliła, że mam iść do babki. Oni mają kury.

Moja mama jest z domu Śmigielska, z Dąbrowy – na Dąbrowie moi dziadkowie mieszkają. Kłopot w tym, że to teraz za granicą, w protektoracie. Więc poszła ze mną starsza siostra. Przez granicę przemknęliśmy się lasem i nikt nas nie złapał, ale kiedy wczoraj wracaliśmy, na drodze, ze 300 metrów od Grabostowa, usłyszeliśmy nagle: „Halt! Halt!" Obstawiło nas dwóch pograniczników i coś tam szwargocą po niemiecku. My nie bardzo w tym języku. Ja tylko powiedziałem: „Muter krank, Muter krank", że niby to mama chora, bo nie wiedziałem, jak jest po niemiecku

siostra. Zajrzeli nam do worka i do koszyka, a tam dwie kury i masło, i inne tam, do jedzenia rzeczy. Próbowaliśmy jeszcze mówić, że to dla mamy i siostry, bo chore, że siostra dopiero co się urodziła. Nie wiem, co między sobą gadali, ale w końcu jeden powiedział: „Raus! Weck!" I poszli drogą na Bujny Księże. Udało nam się, ale mieliśmy niezłego „pietra". Nasz kuzyn siedział pół roku, jak go na szmuglu złapali. A ilu już zginęło na granicy? A to za szmugiel, a to za przemycanie Żydów.

Maria podała chłopakowi bułkę.

– Masz, Maniuś. Zjedz. Dobrze się wszystko skończyło, ale musisz uważać, bo z nimi to nigdy nie wiadomo, zależy na kogo się trafi. U nich to, jak w każdym narodzie, wszystko od człowieka zależy.

– I od szczęścia też – dodał Maniek.

– Tak, i od szczęścia, i od przeznaczenia, ale lepiej uważać i samemu guza nie szukać.

Następnego dnia Maria wstąpiła do sklepu Owczarków. Wchodząc, prawie zderzyła się z młodym chłopakiem, ubranym w wytarty kubrak i zimową czapę.

– Przepraszam panią – powiedział, odbijając się ramieniem o futrynę.

Zakupy, które trzymał przyciśnięte do piersi, wysypały się i musiał je pozbierać.

– Nic się nie stało – powiedziała Nowotarska.

Schyliła się i pomogła zebrać sprawunki.

– Co ty tak pędzisz?

– Ciocia kazała w try miga, bo placki piecze na święta i brakło jej proszku do pieczenia i innych rzeczy. Lecę. Nie mam czasu. Do widzenia – popędził w kierunku leśnej ścieżki, na skróty.

– To Dominik. Chłopak Grajnertów z Łobudzic – wyjaśniła Owczarkowa, kiedy Maria weszła do środka. – Całą rodzinę mu wywieźli. Tylko jemu jednemu udało się uciec, bo jak te helmuty po nich nocą przyszły, to on zdążył z tyłu domu przez okno wyskoczyć i w łąki zwiał. Strzelali do niego z automatu, ale Bóg go zachował. Teraz jest u wujostwa. Wuj, Kasikowski, jest baurem w Grębocinach, to załatwił w Arbeitsamcie i wziął go do siebie, do roboty.

Maria stała pośrodku sklepu.

– Chciałam tylko przypomnieć, że wieczorem dzieci będą miały sprawdzian przed przerwą świąteczną. Irek ma trochę problemów z polskim, zwłaszcza z gramatyką. Proszę mu przypomnieć, bo tydzień temu go nie było.

– Nie było go? – powiedziała zaskoczona Owczarkowa, ale zaraz dodała: – No, tak. Rzeczywiście. Pomagał ojcu gnój wozić, bo takie pogody dobre, no i zeszło im do wieczora. Ale powiem mu, powiem. Na pewno przyjdzie.

– To, do widzenia – Maria zmierzała do wyjścia.

– A co ty dzisiaj taka? Nawet nie porozmawiasz z sąsiadką. Stało się co?

– Idę, bo umówiłam się z Bartkiem i idziemy do Rozalki i Rudego, to znaczy Jacka, jej męża. Rozalka niedawno urodziła.

– No tak, słyszałam. Olszewski taki dumny chodzi, bo prawdziwym dziadkiem został. A Rozalka i dziecko, jak się czują?

– Wszystko dobrze. Problemów żadnych nie było. Akuszerka, pani Franciszka Zychowa ze Złotej akurat w Zelowie u rodziców była. Ona poród odebrała. Mały taki słodziutki, taki ładny, jak dziewczynka – do mamy podobny. Mówię, pani, jak dwie krople wody. Mają go chrzcić w Boże Narodzenie, a ja mam być matką chrzestną – dodała z dumą.

Owczarkowa spojrzała na nią i powiedziała:

– O! To zaszczyt, ale i obowiązek. Jakby rodziców brakło, to chrzestni wychowanie dziecka na siebie biorą. A kto chrzestnym?

– Kuzyn Jacka, bo on nie ma dużej rodziny, właściwie oprócz ojca i matki, to tylko tego kuzyna.

– Ja mam pięciu chrześniaków – powiedziała dumnie Owczarkowa i uśmiechnęła się. – Same chłopaki. A jak mu dadzą na chrzcie?

– Maciej, ale musi być Kazimierz, Maciej Witczak, zgodnie z zarządzeniem.
– Tak, wiem, ale niech tam sobie szkopy piszą, co chcą – dla rodziców to Maciek – i już!
– Muszę iść, pani Apolonio.
Owczarkowa jakby nie usłyszała. Pytała dalej.
– A chrzest pewnie u Guderskich, na Kilińskiego?
– Tak. Tam będą chrzcić. Jak kościół w Zelowie zamknęli, to tylko tam zezwolili na msze. A w kościele to najpierw zboże trzymali, a teraz podobno nawet Żydów, zanim ich wywiozą.
Kobieta pokiwała głową, a po chwili dodała z oburzeniem.
– Mogliby choć na święta go otworzyć. Diabły wcielone!
– Pani Apolonio! Troszkę się spieszę! Do widzenia.
– Do widzenia. A pozdrów od nas Rozalkę! – krzyknęła za dziewczyną.
Kiedy Maria wyszła, Owczarkowa jeszcze gadała do siebie.
– Muszę ją kiedyś odwiedzić, ale ciągle coś i ciągle coś. Tylko ta robota i robota. Przecież ja nawet nosa nie wyściubiam dalej niż za ten mój sklep. Albo obora, albo sklep – takie to moje życie. No, tyle tylko co do kościoła. Przeżegnała się, chwyciła miotłę i zaczęła zamiatać.

Kiedy Maria i Bartek zapukali do drzwi Witczaków, otworzyła im Rozalka. Trzymała palec na ustach na znak, żeby zachowywali się cicho.
– Mały dopiero zasnął – wyjaśniła. – Wchodźcie dalej. Napijemy się herbaty.
Kiedy już zasiedli przy stole, Maria rozejrzała się dookoła.
– Co tu przyjdę, to nie mogę się nadziwić, jak tu macie ładnie – czyściutko, przytulnie i ciepło.
– Wiesz przecież, że mój brat ma „złote rączki" – powiedziała rozpromieniona i dumna Roza, ale kiedy Rudy spojrzał na nią „spode łba", ucałowało go w czoło i dodała. – No, oczywiście bez pomocy mojego kochanego męża nie byłoby aż tak ładnie.

– A co u ciebie? – zwróciła się do koleżanki.
– Sama nie wiem – odpowiedziała powściągliwie.
– Jak to, nie wiesz? – zdziwiła się Roza na dziwną, jak na Marię, odpowiedź.
Bartek i Rudy także się zdziwili. Rozalka przysunęła się do niej.
– Patrz mi oczy i mów zaraz, co się dzieje! – uznała, że coś ukrywa.
Maria nachyliła się w stronę przyjaciół i ściszonym głosem powiedziała:
– Chyba ktoś mnie obserwuje.
– Kto? – zapytała Roza.
– Myślisz, że to ma związek z tym, że uczysz, czy z tym, że u Kratochwilla robisz? – wtrącił Bartek.
– Kto? To, nie wiem. Ale wiem na pewno, że jak spojrzałam w jego stronę, to skrył się za drzewem, a jak spytałam: „Kto tam?", to nikt się odezwał. Bałam się do niego podejść, więc zamknęłam się w domu. I tak myślę, że chyba chodzi o szkołę, bo akurat skończyłam lekcje i dzieci dopiero, co wyszły – więc musiał to widzieć. Już wiosną mi się wydawało, że ktoś łazi wokół domu, ale później były wakacje i we wrześniu też był spokój, ale teraz to już jestem pewna.
– Ktokolwiek by to nie był, nie może mieć dobrych zamiarów, skoro się ukrywa – powiedział Bartek i dotknął jej ręki. – To, że dla Niemca pracujesz, to przecież nie z własnej ochoty. Wszyscy musimy. Nakaz jest i co zrobisz? Tylko to, że uczysz – zastanowił się chwilę. – Musisz przerwać na jakiś czas.
– Tak, Bartek ma rację – wtrąciła Roza. – Zaraz święta. Później ferie. Musisz trochę przerwać, chociaż na dwa miesiące. Zobaczysz, czy dalej ktoś będzie koło domu chodził. Strzeżonego pan Bóg strzeże.
– A jakby co, to nas wołaj – odezwał się milczący do tej pory Rudy.
– Tak. Wołaj – dodał Bartek. Już my mu pokażemy, gdzie raki zimują – uśmiechnął się i napiął muskuły.

Rozalka puknęła się palcem w czoło, uśmiechając się pod nosem.
– Czym ty się brat chwalisz? Żaba ma pięty większe.
– Sama jesteś żaba – obruszył się Bartek.
Maria uśmiechnęła się.
– Dziękuję. Cieszę się, że mogę na was liczyć.

***

Dni mijały. W Boże Narodzenie ludzie poszli na mszę, którą celebrował u państwa Guderskich ksiądz Zygmunt Zych, proboszcz zelowskiej parafii. Mimo lekkiego mrozu nabożeństwo odbyło się na dworze – w podwórku, ponieważ skromne mieszkanie gospodarzy nie mogło pomieścić tylu wiernych.

Podczas Mszy odbył się chrzest Maćka. Rodzice i chrzestni byli bardzo szczęśliwi, że włączając dziecko w grono chrześcijan, oddali je pod opiekę Boga wszechmogącego.

Później udano się do domów. Ucztowano i śpiewano kolędy – w Zelowie rozbrzmiewały one w trzech językach: polskim, czeskim i niemieckim.

Wkrótce też pożegnano Stary Rok, z jego dobrymi i złymi chwilami, i powitano Nowy – 1942, z wiarą, że sprowadzi same dobre i szczęśliwe dni.

Nigdy jednak nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

W sobotę, po Trzech Królach, Bartosz wstąpił do Rozalki.

– Cześć, siostra! Co u was? Wszystko dobrze? Wpadłem po drodze na chwilę zobaczyć, co słychać. Byłem tylko zameldować się w pracy i idę na Sobki.
– Pewnie, że na chwilę wpadłeś. Było kiedyś inaczej? Zawsze tylko gonisz i gonisz. Wszędzie ci się śpieszy. Ty nawet już chodzić nie umiesz, tylko biegasz.
Bartek uśmiechnął się.

– Aj, tam! Siostrunia! Dla ciebie zawsze mam czas i dla małego Maciusia też.
– Yhy! – mruknęła pod nosem Rozalka. – Dla mnie masz czas. Tak, akurat.
Bartosz chciał pocałować ją w czoło, ale się wywinęła.
– Idź już lepiej. Maciuś śpi. Zawsze wpadasz, kiedy on śpi.
– No, bo to śpioch – zaśmiał się szczerze Bartek.
– Taa… z tym jednym, to do wuja się wrodził.
– A co ty teraz tak często do tych Sobek chodzisz?
– Kazali, to idę. U sołtysa Millera szopę naprawiam. Od śniegu dach się zarwał. Dość długo to trwa, bo sam robię, pozostali kończą most na Sienkiewicza.
– Tak, widziałam. Jak w grudniu zaczęli, to go skończyć nie mogą – machnęła ręką.
– No, bo wiesz, te śniegi przyszły – próbował tłumaczyć kolegów z ekipy remontowej.
– Tak, tak, najlepiej na śniegi zrzucić.
Bartek zdenerwował się.
– Oj! Widzę, że dzisiaj jakaś wkurzona jesteś – „bez kija nie podchodź". Lepiej już pójdę, bo się zaraz pokłócimy. Zajrzę jutro.
– Pozdrów rodziców – krzyknęła jeszcze za nim, kiedy zamykał drzwi.

Roboty zlecone najczęściej przydzielano Bartkowi, jako jednemu z młodszych w ekipie. Wszelkie drobne prace remontowe, poza Zelowem, należały do niego. Lubił taką pracę. Chodził po okolicznych wsiach i naprawiał, co się dało. Czasem dostał za to dodatkowo jajka, mleko czy kurę, a latem, wracając z pracy, objadał się w pobliskich lasach poziomkami, jagodami i jeżynami.

Po dotarciu na miejsce wszedł na niedokończony jeszcze dach szopy i od razu zajął się swoją robotą.

W pewnym momencie zauważył, że od strony lasu idą jacyś ludzie. Krok po kroku, brnąc po kolana w śniegu, zbliżali się do zabudowań. Mężczyzna szedł pierwszy. Na plecach niósł małe dziecko, a przed sobą tobołek. Za nim kobieta owinięta chustą. Na końcu młody, może dwunastoletni chłopak ciągnął sanki, na których leżały dwie powiązane ze sobą walizy. Nagle gdzieś w oddali zaczął ujadać pies, a za nim drugi, trzeci i kolejny. Zatrzymali się. Rozejrzeli się uważnie dookoła. Bartek odłożył hebel[67] i patrzył. Dopiero kiedy dotarli pod stodołę, zeskoczył na ziemię. Odwrócili się gwałtownie. Patrzyli na niego przerażeni, nie wiedząc, co robić.

– Nie obawiajcie się – powiedział spokojnym, cichym głosem. – Nie wydam was. Możecie być spokojni.

– My są biedne ludzie, panie – odezwała się kobieta.

Na jej słowa mężczyzna odchrząknął, odsunął ją na bok i powiedział półgłosem.

– Ty być cicho, Sarcie. Jeszcze ciebie ktoś usłyszy.

Bartek zastanowił się dłuższą chwilę.

– Wejdźcie do stodoły – zdecydował.

Przeszedł kilka kroków, złapał za jedną z desek ze ściany i przesunął ją na bok.

– Pomoże pan Żydom? – ze zdziwieniem zapytał mężczyzna. – Nie obawia się pan? Wie pan, co za to grozi?

Bartosz nie odpowiedział. Wskazał ręką dziurę.

– Wchodźcie! Szybko! Sołtys gdzieś pojechał. W domu nikogo nie ma. Zresztą do stodoły to oni nie wchodzą. Macie, co jeść?

– Dzisiaj, panie, mamy.

– Ukryjcie się w sąsieku pod słomą. Jedzenie przyniosę wam w poniedziałek, jak przyjdę do roboty.

Mężczyzna skinął głową. Odwrócił się do syna i powiedział:

– Icek. Ty pierwszy.

---

[67] *Strug – narzędzie stolarskie.*

Chłopak przecisnął się przez niewielki otwór na kolanach. Za nim poszła dziewczynka i jej matka. Mężczyzna odwrócił się jeszcze i podał Bartkowi rękę.

– Obyś był zapisany na dobry rok – powiedział i wczołgał się do stodoły.

Bartek zasunął za nim deskę. Później urwał kawał gałęzi, zamiótł ślady na śniegu, po czym wszedł na szopę i kontynuując jej naprawę, zastanawiał się, w jaki sposób może pomóc tym ludziom. Wiedział, że sam nie da rady, że trzeba ich gdzieś przenieść, bo tutaj nie mogą zostać. Postanowił, że poradzi się matki. Ona na pewno zrozumie, że nie można ich tak zostawić.

Był tak bardzo zatopiony w myślach, że dopiero głośne szczekanie psa zwróciło jego uwagę. Od lasu zbliżało się dwóch żandarmów. Przed nimi biegł wilczur, wielki jak cielę. Zmierzali wydeptaną przez Żydów ścieżką wprost ku niemu. Bartkowi aż włosy „stanęły dęba" – ze strachu. Przez chwilę nie mógł się poruszyć, ocknął się jednak i chciał się ukryć. Niestety, zauważyli go już z daleka.

– Komm! Komm! – krzyknął jeden z nich.

Chłopak zeskoczył na śnieg. Tymczasem pies zatrzymał się pod stodołą i zaczął kopać tuż przy obruszanej desce.

Jeden z żandarmów skierował karabin w stronę chłopaka.

– Raus! – kazał iść przed siebie.

Weszli na podwórze. Stanęli przed wrotami i czekali. Tymczasem ze stodoły zaczęło dochodzić ujadanie psa, krzyki i płacz dzieci. I nagle padły strzały.

Bartek zdrętwiał, bo zrobiło się przeraźliwie cicho. Pomyślał o najgorszym. Jednak po dłuższej chwili odrzwia otworzyły się i ukrywająca się w niej rodzina wyszła prowadzona przez żandarma, z psem na smyczy.

– Po ścianę! – krzyknął Niemiec.

– Ty też! – powiedział do Bartka i końcem lufy dźgnął go mocno w plecy.

Bartosz omal nie upadł. Podparł się jednak ręką i powoli wykonał polecenie. Zaczął się modlić w duchu. Nie wierzył, że tak może skończyć się jego życie. Tak krótkie życie. Przecież miał takie plany. Chciał zostać majstrem i założyć rodzinę, i...

Stali tak obok siebie. Licząc na cud, obserwowali każdy ruch żandarmów. Niemcy rozmawiali ze sobą przez chwilę. W końcu jeden z nich wyciągnął papierosy, jednego włożył sobie w usta, drugim poczęstował kolegę. Zapalili. Aresztowani nie wiedzieli, co o tym myśleć, lecz co do jednego byli pewni – w tej chwili waży się ich los.

W tym momencie na podwórze wjechały sanie i zatrzymały się pośrodku. Wrócił gospodarz. Podszedł do żandarmów i zaczął spokojną rozmowę, która wkrótce stała się ostrzejsza i głośna. Sołtys gestykulował i głośno krzyczał. Bartek wyłapywał uchem pojedyncze, zrozumiałe dla niego, słowa. Wywnioskował z nich, że nie chciał u siebie żadnych egzekucji i że powinni ich odwieźć do Zelowa, a chłopaka, to znaczy jego, w ogóle powinni puścić, bo u niego robi i nie jest żadnym uciekinierem.

Po dłuższej wymianie zdań Miller wsiadł do sań, usiadł na koźle i czekał. Jeden z żandarmów podszedł do czekających na wyrok ludzi.

– Raus! – wrzasnął i wskazał karabinem sanki.

***

Wojna toczyła się pełną parą. Niemieccy żołnierze walczyli na wielu frontach. Szli umierać za Führera i Tysiącletnią Rzeszę. Ich miejsca w fabrykach i gospodarstwach zajmowali przymusowi robotnicy, zwożeni z całej Europy. Co tydzień Biuro Pośrednictwa Pracy w Zelowie otrzymywało z Powiatowego Biura w Łasku zapotrzebowanie na nowych wyrobników. Aresztowania odbywały się w dzień i w nocy, w domach i na ulicach, podczas tak zwanych łapanek.

Była jasna, styczniowa noc. Księżyc odbijał się w zalegającym wszędzie śniegu. Blask ten potęgował niewielki mróz i brak wiatru. Było zupełnie cicho, tak cicho, że dzwoniło w uszach.

Na ulicach Zelowa panował spokój, tylko niemieckie patrole od czasu do czasu chodziły ich środkiem.

Ludzie spali w domach, strudzeni dniem poprzednim. Jednak dla wielu była to ostatnia, tak spokojna, noc.

W niewielkiej izbie domu państwa Drożdżowskich słychać było spokojne oddechy dzieci, pochrapywanie gospodyni i potężne chrapanie gospodarza. W piecu tliły się ostatnie drwa, lecz nie było ciemno. Za sprawą księżycowej poświaty można było rozpoznać każdy mebel i zajrzeć w każdy kąt.

Nagle domowników obudziło gwałtowne walenie w drzwi.

– Otwierać!

– W imię ojca i syna! – przeżegnała się pani Drożdżowska. – Teofil! Po nas przyszli!

Maniek uchylił firanę w oknie.

– Tata! Niemcy!

Gospodarz zerwał się na równe nogi. Zapalił karbidówkę, założył buty i kożuch, podszedł do żony i dzieci. Przerażona kobieta siedziała na brzegu łóżka z bosymi nogami i w koszuli nocnej. Dziewczęta ledwie nos wychylały spod pierzyny.

– Ty, pod łóżko! – nakazał starszej córce. – Szybko! A ty, kobieto – zwrócił się do żony – zakryj małą i siedźcie cicho.

Spojrzał na Mańka. Przez chwilę bił się z myślami.

Z zewnątrz wciąż ktoś się dobijał. Maniek zerwał się z kozetki.

– Zostań – rzucił krótko ojciec.

Przeżegnał się i sam poszedł otworzyć. Do izby weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w jasnobrunatny mundur żołnierza NSDAP, drugi w kożuchu, zimowych butach i baraniej czapie na głowie.

– Pan Freund? – powiedział zdziwiony gospodarz do cywila. – Coś się stało?
Freud nie odpowiedział. „Żółtek" podszedł do Mańka.
– Ubieraj się. Weź najpotrzebniejsze rzeczy. Pójdziesz z nami.
– Na rany Chrystusa! – Drożdżowska zerwała się z łóżka i rzuciła się do kolan Freunda.
– Panie kochany! Błagam pana! Nie zabierajcie mi go! Przecież to jeszcze dziecko! Ma dopiero 14 lat! Panie Freund! Przecież pan go uczył! Pan go zna! Pan jest dobrym człowiekiem!
W pierwszej chwili Niemiec nie wiedział, co robić. Chciał podnieść kobietę, lecz kiedy spojrzał na kolegę i zobaczył jego zimne, drętwe spojrzenie, oderwał jej ręce od siebie i skierował się do wyjścia. Zatrzymał się jednak i dodał szorstko:
– Na roboty jedzie. Nie będzie mu tam źle.
NSDAP-owiec spojrzał na pozostałych, zesztywniałych z przerażenia, domowników. Chciał coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się do Mariana.
– Masz pięć minut. Czekamy na dworze – rzucił ostro i wyszedł.

W połowie stycznia 1942 roku z Zelowa, Herbertowa, Bachorzyna oraz innych okolicznych wsi wywieziono w głąb Rzeszy dziesiątki młodych ludzi.

***

Pierwsza niedziela po Trzech Królach zapowiadała się spokojnie. Na drogach i ulicach panował niewielki ruch. Tylko grupy Żydów, zgonionych przez Niemców, odgarniały śnieg, bo nad ranem zaczął padać tak intensywnie, że po sobotnim odśnieżaniu nie było już śladu.
Marię obudziło ciche skomlenie Pestki i dotyk jej szorstkiego języka. Psina stała na tylnych łapach, przednimi oparta o łóżko i lizała ją po ręce.

– No, chodź! Chodź! Wiem, czego chcesz.
Pomogła jej wskoczyć na pierzynę i zaczęła ją smyrać po brzuchu, co wprawiło młodego psiaka w stan błogości.
– Zimno, co?
Pestka zaskomlała na znak, że ma takie samo zdanie jak jej pani.
– Jeść ci się pewnie chce?
Zaskomlała jeszcze głośniej. Zeskoczyła na podłogę i pobiegła do swojej miski.
Maria przeciągnęła się i powiedziała głośno:
– Pora wstać. W piecu napalić i do kościoła się szykować.
Suczka szczeknęła dwukrotnie i znowu przybiegła do łóżka.
– No tak, tak! I dać biednemu pieskowi jeść – powiedziała z czułością.
Nagle psiak uniósł uszy, podbiegł do drzwi i zaczął ujadać. Na podwórku słychać było jakieś szurania i stukania.
Maria zarzuciła na siebie serdaczek i podeszła do okna.
– Zobacz piesku! Całe okno zasypane, ale napadało.
Po chwili, tuż za drzwiami, usłyszała dziwny hałas. Zaniepokojona zaczęła uspokajać psa i nasłuchiwać. Nie mogła dociec przyczyny tych dziwnych odgłosów. W końcu uznała, że musi sprawdzić, co się tam dzieje.
Kiedy uchyliła drzwi zobaczyła dwóch chłopców z łopatami, którzy odgarniali resztki śniegu.
– Dzień dobry, pani!
– Irek! Dominik! – zdziwiła się Nowotarska.
Chłopcy uśmiechnęli się szelmowsko.
– Mama powiedziała: „Bierzta łopaty i kopta, bo ani pani nie wyjdzie, ani nikt się do pani nie dostanie". Poprosiłem więc Domina o pomoc. Wzięliśmy się do roboty i uwolniliśmy panią, bo jakby pani do kościoła poszła? A jeszcze szkoła po południu... Aaa! Mama kazała powiedzieć, że zabierzemy panią saniami.
– Dzięki, chłopaki. Rzeczywiście sama bym się nie wydostała, chyba tylko przez okno.

Po powrocie z kościoła Maria szybko zjadła obiad i zaczęła przygotowywać się do prowadzenia lekcji. Czasu nie było dużo. Tego dnia dzieci miały przyjść wcześniej i wcześniej skończyć, by miała czas wieczorem odwiedzić Rozę i swojego chrześniaka.

Zajęcia jak zwykle przebiegły w miłej atmosferze. Oprócz nauki nauczycielka starała się wpoić swojej dziatwie zasady dobrego wychowania, kultury i higieny. Był to także czas na wysłuchanie opowieści dzieci o tym, co się wydarzyło i co robili, czy są zdrowi i... w ogóle o wszystkim i wszystkich, po trochu.

W czasie przerwy między kolejnymi przedmiotami można było posłuchać różnych głupotek, z których było najwięcej śmiechu.

W takiej atmosferze czas płynął miło i szybko, więc wszyscy uczniowie chętnie przychodzili do szkoły pani Nowotarskiej. I wszyscy ją lubili, a rodzice zachwalali jej wiedzę i to, że tak potrafiła zjednać sobie ich pociechy, by nakłonić je do nauki.

Po skończonych zajęciach dzieci rozeszły się do domów. Ledwie wyszły, rozległo się głośne pukanie i do mieszkania wpadła sąsiadka, Owczarkowa.

– Wczoraj Niemcy Bartka Olszewskich, zabrali! – krzyknęła. Maria aż usiadła, słysząc tak straszną nowinę.

– Jezus, Maria! Teraz wiem, dlaczego go w kościele nie było! Za co go aresztowali? Niech pani siada i opowiada.

– Tyle wiem, że u Millera robił, w Sobkach – dach naprawiał... i wiem, że posądzili go o to, że Żydom pomagał, którzy tam się ukrywali. Ale czy to wszystko prawda? Wiesz, że ludzie to połowę dołożą, a połowę zmyślą.

Maria zaczęła się szybko ubierać.

– Miałam iść do Zelowa, do Rozalki, ale najpierw do Olszewskich pójdę. Może czegoś się dowiem.

– Ja też już lecę, bo dom otwarty, a stary jak na krośnie robi, to nie słyszy, jak ktoś wchodzi.

Wybiegła z domu. Wtem usłyszała, że ktoś jedzie. Spojrzała w tamtą stronę. Po świeżym, puszystym śniegu pędziły sanie, ciągnięte przez dwa konie. Schowała się odruchowo. Kiedy sanki zatrzymały się tuż przed szkołą, wysiedli z nich żandarmi i niemiecki oficer.

Stała za drzewem, nie wiedząc co robić? Modliła się w duchu. Weszli do środka, ale nie na długo. Po chwili zobaczyła, jak Niemcy wyprowadzają Marię, wsadzają do sań i odjeżdżają.

– Miej ją, Najświętsza Panienko, w swojej opiece – zrobiła w powietrzu znak krzyża.

W oczach miała łzy.

W poniedziałek rano w siedzibie policji, przy Kościuszki 16, panował duży ruch. Po sobotnio-niedzielnych łapankach areszt w podwórku pękał w szwach. Co chwilę wzywano kogoś na przesłuchanie. Co chwilę słychać było płacz i lament, a także krzyki przesłuchiwanych.

Maria spędziła noc w budynku głównym, w oddzielnym pomieszczeniu. Głodna i niewyspana została wezwana na przesłuchanie dopiero koło południa.

Wartownik wprowadził ją do dużego pokoju, w którym stało biurko, szafy wypełnione jakimiś teczkami i aktami, a pośrodku – stołek. Z boku, za stolikiem, siedziała przy maszynie do pisania urzędniczka, ubrana w niemiecki mundur. Za biurkiem siedział dowódca Schutzpolizei, Willy Rapsch.

– Siadaj – Niemiec wskazał na stołek i zaczął przeglądać leżące przed nim akta.

– Co masz do powiedzenia? – powiedział, nie podnosząc oczu znad kartek.

Spojrzał na nią dopiero wtedy, kiedy Maria nie odpowiedziała. Uniósł się, opierając rękami o blat biurka.

– Odpowiadaj, jak pytam!!! – ryknął tak, że kobieta aż zadrżała. – Uczyłaś dzieci? Czego? Kto ci pomagał?

Maria milczała.

– Nie chcesz gadać? My i tak się dowiemy, ale wtedy to już będzie dla ciebie za późno.

Usiadł i opanował się nieco.

– Nazwisko, imię.

Maria przełknęła ślinę i odezwała się zachrypniętym głosem.

– Maria Nowotarska.

Rozległy się odgłosy maszyny do pisania.

– Zawód i gdzie pracujesz?

– Jestem nauczycielką. Pracuję w sklepie u pana Kratochwilla i uczę też jego syna.

Rapsch spojrzał na nią badawczo. Wyciągnął rękę i chwycił za telefon.

– Łączyć z NSDAP, z Kratochwillem.

Po chwili odezwał się głos w słuchawce.

– Ortsgruppenleiter[68] Ferdynand Kratochwill.

– To ja, Willy. Mam tu u siebie taką jedną, która mówi, że cię zna.

– Kogo?

– Nazywa się Maria Nowatorska i mówi, że u ciebie pracuje.

– Tak, zgadza się, pracuje u mnie w sklepie, a o co chodzi?

– Jest aresztowana za tajne nauczanie. Muszę ją zgodnie z przepisami odesłać do Łodzi lub oddać w łapy Otta. Wiesz, co ją czeka.

Kratochwill odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Willy... mam do ciebie prośbę. Ona uczy mojego syna, uratowała moją córkę, gdyby nie ona, to Helga by utonęła. Wiesz..., dla mnie to honorowa sprawa.

Rapsch zirytował się lekko.

– Czego ty ode mnie chcesz? Żebym ją zwolnił?

– Willy! Odwdzięczę się.

[68] *Naczelnik grupy lokalnej – tytuł paramilitarny NSDAP w latach 1930-1945.*

– Nie! Zwolnić jej nie mogę, ale... – pomyślał chwilę – ale można ją wysłać do Rzeszy, do pracy.

Kratochwill zastanowił się i odpowiedział:

– Tak... Myślę, że to dobre rozwiązanie.

Rapsh usiadł na biurku tuż przed siedzącą na stołku Marią. Patrzył na nią przez dłuższy czas ze stoickim spokojem i uśmiechał się. Jej jednak nie było do śmiechu. Mimo to, siedziała dumnie wyprostowana. Nie patrzyła na oprawcę.

– Powinienem cię oddać w ręce Gestapo[69] – odezwał się w końcu. – Tutaj, w sąsiednim pokoju siedzi taki jeden... lejtnant żandarmerii SS, Otto. On tylko czeka na takich jak ty. Aż mu się oczy świecą, kiedy mu wysyłamy takich jak ty... Lubi swoją robotę... – uśmiechnął się. – No, ale tym razem, można powiedzieć... upiekło ci się. Masz dużo szczęścia – dodał.

Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z Arbeitsamtem. Po chwili odłożył ją zdenerwowany i wrzasnął na całe gardło.

– Kurt! – wezwał wartownika, a kiedy ten wszedł, powiedział:

– Odprowadzisz ją do Arbeitsamtu, bezpośrednio do Fuchsa, ale przed wyjściem powiedz temu z centralki, niech naprawią to łącze. Od rana są problemy. Raz łączy, raz nie. Jak jutro znowu telefon nie będzie działał, to go pod sąd oddam.

***

– Heil Hitler! – powiedział żandarm, który przyprowadził aresztantów do biura pracy. – Jeszcze czterech! Zgodnie z rozkazem – dodał.

– Połóż papiery i niech czekają – Fuchs wydał polecenie a przypinając sobie pas z bronią, krzyknął do urzędnika siedzącego za biurkiem.

– Nemeczek! Teczka z dokumentami.

[69] *Niemiecka Tajna Policja Państwowa działająca w latach 1933-1945.*

Mężczyzna szybko podał żądany przedmiot i czekał na pytanie, które zwykle padało przed wyjazdem.

– Ilu?

– Ośmiu, panie kierowniku. – Pięć kobiet i trzech mężczyzn. No, i tych czterech – wskazał na stojących pod ścianą. – Razem dwanaście.

Fuchs zastanowił się chwilę.

– Trzecie sanie dawać, tylko szybko. Pamiętaj, że po południu jedziemy do Łodzi. Jak wrócę, ma być wszystko gotowe.

– Tak jest, panie kierowniku – urzędnik wybiegł na dwór wykonać zadanie.

Leżący do tej pory pod ławą czarny wilczur podszedł do swojego pana. Fuchs poklepał go po karku.

– Nie dzisiaj. Zostań. Tu pilnuj.

Pies podkulił ogon i posłusznie wrócił na miejsce.

Po chwili wszyscy wyszli na podwórze, na którym stały zaprzęgi gotowe do drogi, a w nich dziewczęta i chłopcy oraz po jednym żandarmie.

Maria Nowotarska była wśród nich najstarsza i jak tylko mogła, pocieszała pochlipujące dziewczęta, ściskające swoje drewniane kuferki, w których mieścił się ich cały dobytek.

W ostatnich sankach siedzieli chłopcy z nosami na kwintę, a wśród nich Maniek Drożdżowski i jego kuzyn, Staszek Kuban.

Maria patrzyła na wsiadających do środkowych sań chłopaków.

– Bartek, Bartek! – krzyknęła.

Chłopak spojrzał na nią zdziwiony i uśmiechnął się smutno.

– A ciebie za co, Marysiu? – spytał.

– Cicho tam! – wrzasnął Fuchs, sadowiąc się w pierwszych saniach obok woźnicy.

Wszyscy zamilkli.

Po chwili świsnęły baty i ruszyli ulicą Kościuszki, w kierunku Łasku. Kiedy minęli Buczek, zobaczyli idącego środkiem szosy człowieka.

– Halt! – krzyknął Fuchs.

Zaskoczony i wystraszony mężczyzna odwrócił się raptownie. Gdy zobaczył, co się dzieje, próbował przeskoczyć zalegające na poboczu zwały śniegu, ale wpadł w nie niemal do pasa i nie mógł się wydostać.

Niemiec zeskoczył z kozła, krzycząc ciągle: „Halt, halt!". Wyciągnął pistolet i wymierzył do chłopaka.

– Wyłaź i wsiadaj do sań – rozkazał.

Uśmiechał się do siebie pod nosem z powodu tak nieoczekiwanej zdobyczy.

Na dworcu w Łasku Fuchs poszedł po bilety, a aresztanci zostali pod opieką dyżurującego na poczekalni folksdojcza.

Bartek i Maria padli sobie w objęcia.

– Marysiu. Co z nami będzie?

Maria miała łzy w oczach, ale otarła je ukradkiem.

– Jakoś to będzie. Bylebyśmy tylko trzymali się razem.

– Tak! Tak. Musimy razem – zgodził się z nią Bartek.

– Widziałem Rudego – dodał, zmieniając temat.

– Gdzie go widziałeś? – zdziwiła się Maria.

– Siedział z nami, to znaczy w sąsiedniej komórce siedział, a zauważyłem go dopiero, jak mnie wyprowadzali, ale on mnie chyba nie widział.

Maria chwyciła się za głowę.

– O, Boże! Rozalka się zapłacze.

Po powrocie Fuchs ustawił swoich „podopiecznych" w szeregu.

– Odlicz! – rozkazał.

Doliczyli do dwunastu. Przeszedł wzdłuż nich, przyglądając się każdemu i każdej z osobna.

– Gdzie chłopak, którego wzięliśmy po drodze! – ryknął.

Spojrzał na folksdojcza, jakby chciał go zabić. Tamten tylko wzruszył ramionami. Niemiec zdjął rękawicę i zaczął go tłuc po głowie, aż biedny chował się i zasłaniał rękami, jak tylko mógł – w końcu uciekł.

Kiedy pociąg nadjechał, aresztanci zostali oddani pod opiekę służby kolejowej. Po chwili rozległ się przeciągły gwizd i ruszyli w kierunku Sieradza. Tam przewieziono ich razem z innymi do budynku kina. Zamknięto w pomieszczeniach, oddzielnie kobiety i mężczyźni, i pozostawiono samym sobie.

Tymczasem Fuchs wrócił do Zelowa. Przed Arbeitsamtem stały dwie, wypełnione więźniami ciężarówki, okryte plandekami. Kiedy sanie zajechały na podwórze, Nemeczek wybiegł na dwór.

– Wszystko gotowe, panie kierowniku. Stan czterdziestu ośmiu. Kobiet – dwadzieścia, mężczyzn – dwudziestu ośmiu. Tutaj są ich dokumenty – zameldował i czekał na odpowiedź.

Kierownik spojrzał na niego spode łba.

– Kanapki naszykowałeś?

Urzędnik podał zawinięte w papier bułki i termos z kawą.

– Dobrze. Dziś już nie wrócę – powiedział i wskoczył do szoferki pierwszego samochodu. – Jechać – rzucił krótko.

W drugim aucie, na małej ławce tuż za szoferką, siedział Rudy. Głowę miał opuszczoną. Myślał o Rozalce i synku. Jak sobie dadzą radę bez niego. Spojrzał w kierunku wyjścia.

Mijali zaśnieżone pola i lasy. Samochód co rusz podskakiwał na nierównej powierzchni i bryłach zamarzniętego śniegu. „Może wyskoczyć" – myślał, ale zaraz zrezygnował, patrząc na dwóch siedzących tam żandarmów. „Zastrzelą, na pewno zastrzelą" – otrząsnął się z zimna. – „Może będzie lepsza okazja".

Nagle odezwał się siedzący obok niego, może czternastoletni, wyrostek.

– A pan nie ma żadnej walizki?

Jacek spojrzał na niego. Chłopak był blady jak ściana, szczękał z zimna zębami i widać było, że jest przerażony. Zrobiło mu się go żal.

– Jestem Jacek – podał mu rękę – ale mówią do mnie Rudy. Chyba wiesz, dlaczego? – ściągnął czapkę i dotknął włosów.

Chłopak uśmiechnął się.

– Ja jestem Karol Niewieczerzał.

– Jak się tu znalazłeś? – spytał Rudy.

– Jakiś Niemiec po mnie przyszedł i wziął mnie do Arbeitsamtu. Ale mama zaraz za mną poszła i wyprosiła, żeby mnie puścili i jakoś się udało, tylko że miałem się zgłosić, jak dostanę wezwanie. No i po dwóch tygodniach przyszło. Ojciec jeszcze próbował mnie wykupić, ale już nic nie pomogło.

– A ty?

– Co ja?

– No też byłeś w biurze pracy?

Rudy westchnął głęboko.

– Sam sobie biedy napytałem... Robiłem u bauera w Łobudzicach. Wozem jeździłem, w gospodarstwie pomagałem... I źle mi nie było? Cholera jasna! Taki pech. No pech, po prostu.

– Co się stało? – dopytywał Karol.

– Przyjechaliśmy dzisiaj z rana z moim gospodarzem do Zelowa. On tam coś poszedł załatwiać, a ja stałem w Rynku przy wozie i gadałem z takim jednym znajomym. I nagle tuż koło nas zrobił się szum. Ktoś zaczął uciekać, a żandarm go gonił... i zaczął strzelać. Tuż koło mojego konia. Rozumiesz? Kto mógł to przewidzieć? Gdybym siedział na wozie, tobym ściągnął cugle i już, ale tak..., to koń, jak się wystraszył, najpierw dęba stanął i zaczął rżeć, a później, jak ruszył z kopyta środkiem drogi... i dawaj, po całej ulicy, a fura z nim – raz w tą, raz we w tą. W końcu przewrócił się i jak się później okazało, złamał nogę. Jak gospodarz to zobaczył, to musiał go zastrzelić, a mnie za schaby i na żandarmerię zabrał. Zamknęli mnie na kilka godzin, a później zaprowadzili do Arbeitsamtu. Tam akurat stały te ciężarówki, to mnie od razu wsadzili, i już.

Rudy przerwał rozmowę, bo zaczęło go ściskać w gardle. Zawładnął nim smutek i żal, że tak to się skończyło, że zostawia młodą żonę i kochanego Maciusia. Kiedy znowu ich zobaczy? Chyba tylko Bóg raczy to wiedzieć.

Późnym wieczorem dojechali do Łodzi. Wysadzili ich na ulicy Kilińskiego przy jakiejś starej fabryce i trzymali w zamknięciu. Po dwóch dniach bezczynności, spania na posadzce i jedzenia zapleśniałych sucharów, przewieźli ich na ulicę Łąkową. Ustawili pod ścianą w olbrzymiej hali fabrycznej.

Pośrodku, za stołem, zasiedli Niemcy w mundurach, na które nałożone były białe fartuchy – dwie kobiety i kilku mężczyzn. Kazali rozebrać się do naga. Mierzyli ich, ważyli i badali. Robili zdjęcia i jakieś notatki. Później z całej grupy wybrali piętnastu chłopców i dziesięć dziewcząt. Karol znalazł się w tej grupie, ale ostatecznie orzeczono – „Zu jung!"[70] – i odesłano go do pozostałych, z którymi pojechał następnego dnia na Dworzec Kaliski. Tam wsadzili ich do przepełnionych wagonów i powieźli w nieznanym kierunku.

***

Po niespokojnej nocy Maria i Bartek głodni i zmarznięci zostali wyprowadzeni razem z innymi na zewnątrz.

– Stawać w dwuszeregu. Z lewej kobiety, mężczyźni na prawo – padła komenda.

Niemal setka młodych ludzi próbowała przemieścić się według wskazań, a żandarmi pomagali im, popychając kolbami karabinów. Po kilku minutach padł kolejny rozkaz: „Mężczyźni, którzy nie ukończyli jeszcze 15 lat, wystąp". Maniek i Staszek dali krok do przodu. Spojrzeli w bok. Było ich około dziesięciu. Podobnie postąpiono z dziewczętami. Wśród nich znalazła się Janka Topolska, która przyjechała z Zelowa razem z Marią, Kasią Szkudlarek i Zosią Graczyk. Oficer odpowiedzialny za selekcję wyszedł na środek.

– Pojedziecie do Drezna, do zakładów zbrojeniowych – powiedział. – Zabrać ich! Na samochód i na dworzec – rozkazał żandarmom.

[70] *Zbyt młody.*

Pozostałe kobiety zaczęły szlochać.

– Uciszcie je – dodał Niemiec.

Żandarmi zaczęli je bić nahajem, co spowodowało jeszcze większy lament.

– Wy do Poznania – wskazał na grupę pozostałych mężczyzn. – Zabrać! – machnął lekko ręką.

Kiedy Nowotarska zobaczyła, że zostanie rozdzielona z Bartkiem i Marianem, zwróciła się do dowódcy.

– Panie oficerze! Czy mogę coś powiedzieć? – zaskoczony poprawnym niemieckim Niemiec zainteresował się kobietą i podszedł.

– Jesteś Niemką? – spytał.

Maria wyjaśniła, kim jest i skąd zna ten język.

– Dobrze mówisz po niemiecku. Mów, o co chodzi.

– Panie oficerze, ja bym chciała na osobności, to bardzo ważna sprawa.

Po chwili zastanowienia Niemiec kiwnął głową.

– Chodź – wskazał pustą dyżurkę.

Kiedy weszli, usiadł na krześle. Maria stała.

– Mów szybko.

Przyglądał się dziewczynie, licząc na jakieś zyski.

Nowotarska sięgnęła do paska od spódnicy i wyciągnęła zaszyty tam pierścionek zaręczynowy, który dostała od Stasia. Wziął go, dokładnie obejrzał i schował do kieszonki w mundurze.

– Czego chcesz? – spytał.

– Żeby mnie nie rozdzielano z moimi przyjaciółmi, z którymi przyjechałam.

– Ilu ich jest?

– Pięcioro – powiedziała Maria, myśląc także o pozostałych dziewczynach z Zelowa.

– Najwyżej dwóch – powiedział stanowczo. – Wskażesz mi ich, a ja ich później dołączę do twojej grupy.

– Wracamy! – wypchnął dziewczynę z budki.

Sieradzki dworzec kolejowy obstawiony był przez uzbrojonych po zęby Niemców. Na każdej rogatce i przy każdym wejściu stali wartownicy, a przy nich wielkie psy, z ociekającymi śliną pyskami. Do oczekujących na transport ludzi wciąż dołączali nowi, przywożeni w ciężarówkach z punktów zbiorczych z całego miasta. Co godzinę odjeżdżały pociągi, a ich miejsce zajmowały następne.

Maria, Bartek, Zosia i Marian wsiedli do tego samego wagonu.

– Nie wiem, jak to się stało? – Bartek był bardzo zdziwiony. – Byłem w grupie jadących do Poznania i nagle ktoś pociągnął mnie za ubranie i kazał wsiąść tutaj.

– Mnie tak samo – powiedział Maniuś.

– Cieszmy się, że jesteśmy razem – powiedziała Nowotarska.

Zosia zaczęła płakać.

– Ale Janka i Kasia pojechały gdzie indziej – szlochała. – Ja chcę do domu.

Maria przytuliła ją.

– Nie płacz. Jesteśmy przy tobie i nie zostawimy cię samej. No, wytrzyj nosek – spojrzała w jej załzawione oczy.

Zosia uspokoiła się tylko na chwilę.

– A tatuś ich tak prosił, tak prosił – zaczęła. – Na kolanach ich błagał: „Zostawcie mi moje ostatnie dziecko. Już czwórkę mi zabraliście" – mówił. – I co? I nic nie pomogło – rozpłakała się na dobre.

Maria już nic się nie odezwała, tylko objęła ją ramionami i tuliła jak dziecko.

Bartek spojrzał na Mańka.

– Będzie dobrze, zobaczysz, Maniuś, będzie dobrze. Najważniejsze, że razem jesteśmy.

*

Część trzecia

Lagry[71]

Obudziło ich raptowne szarpnięcie. Pociąg zaczął zwalniać.

– No, teraz już chyba my – powiedział Bartek, kiedy zatrzymali się na jakiejś stacji.

Po chwili zostali wyprowadzeni na peron niewielkiej stacyjki.

Prószył drobny śnieg, ale zaraz po zetknięciu z ziemią topił się i znikał.

– Dojechaliśmy chyba do samego końca – dodał Bartek. – Będziemy daleko od domu, dużo dalej niż ci, którzy wysiedli wczoraj.

– A w ogóle to gdzie jesteśmy? – spytał zaspany Maniek.

Rozejrzeli się dookoła. Oprócz nich i kilkunastu innych młodych dziewcząt i chłopców zobaczyli tylko kilku żandarmów i obsługę kolei.

– Zaraz się dowiem – Maria podeszła do pierwszego z brzegu Niemca.

Po chwili wróciła zamyślona.

– No, mów – zniecierpliwił się Bartek.

Spojrzała na Zosię.

– Nie ma się co martwić. Jesteśmy razem i damy sobie radę.

– Ale gdzie jesteśmy?

– W Karlsruhe. Niemal przy granicy z Francją, do Szwajcarii też niedaleko.

– O Boże! Z Francją? – Zosia złapała się za głowę.

– To znaczy gdzie? – wtrącił Maniek.

– Później ci to... – przerwała, bo na stację wjechały dwie bryczki.

---

[71] *Niemiecki obóz jeniecki, obóz pracy.*

Wysiedli z nich mężczyźni w kożuchach, wysokich oficerkach i dziwnych kapeluszach z piórkiem. Żandarmi zebrali przyjezdnych i ustawili ich w szeregu – oddzielnie kobiety i mężczyzn. Było ich około trzydziestu.

Śmiesznie ubrani Niemcy podeszli do nich i przyglądali się im z bliska. Obracali ich i oglądali z każdej strony. Chłopcom nakazali zdjąć czapki i pochylić głowy. Sprawdzali im karki – klepiąc po nich jak po końskich. Po prezentacji wybrali kilka dziewcząt i kilku chłopców i bez słowa wskazali na bryczki. Wśród wybranych znalazł się Bartek.

– Kasłaj! – zdążyła mu szepnąć Maria.

Odwrócił się w jej stronę nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Zacznij kaszleć! Bo nas rozdzielą.

Bartek zakasłał delikatnie, ale po chwili tak się rozkasłał, że naprawdę zakrztusił się, zrobił się czerwony i nie mógł przestać.

– Zurück[72] – powiedział spokojnie Niemiec i wybrał innego na jego miejsce.

Bryczki odjechały, a ich pognali dalej. Po kilku kilometrach doszli do dużego, otoczonego fosą, zamku. Marię i Zosię ulokowali na piętrze, w maleńkim, narożnym pokoiku z trzema łóżkami. Dołączyła do nich Sabinka Śnioch, która była w wieku Zosi i pochodziła z wioski koło Bełchatowa.

Maniek i Bartek zamieszkali na parterze, razem z innymi mężczyznami. Obszerne sale wypełniały piętrowe prycze. Nikogo nie było, lecz nie uszło ich uwadze, że niektóre są zajęte.

Chłopcy wybrali łóżka stojące obok siebie. Na innych rozlokowali się pozostali, którzy przyjechali razem z nimi. Wszyscy milczeli. Każdy z osobna przeżywał pierwsze dni rozłąki i zastanawiał się, co przyniesie przyszłość.

– Bartek...!

– Co? – odpowiedział mu dopiero po dłuższej chwili.

– Głodny jestem.

---

[72] *Z powrotem.*

– Ja też.

– Ale taki głodny, że aż mnie mdli.

Bartek usiadł na łóżku.

– No i co ja mam, chłopie, na to poradzić. Musisz wytrzymać. Może dadzą coś do jedzenia.

Marian umilkł, ale tylko na chwilę.

– I co dalej? – pytał.

– A bo to ja wiem? Może, jak wrócą ci, co tu mieszkają, to się czegoś dowiemy. Teraz pewnie są gdzieś w robocie. Musimy poczekać. Leż i odpoczywaj. Zobacz. Mogło być gorzej, a mamy dach nad głową i łóżko, nie jakieś tam byle jakie wyrko. Prawie jak u mamy – zaśmiał się.

– U mamy lepiej – wtrącił chłopak, który wszedł akurat do pokoju i usłyszał, o czym rozmawiają.

Spojrzeli na niego.

– A ty skąd jesteś?

– My we czterech z Łodzi – wskazał trzech kolegów, którzy weszli za nim. – A pozostali różnie, z kilku wiosek koło Pabianic i Aleksandrowa.

– A my z Zelowa – wtrącił Marian.

W tym momencie wszedł kolejny mężczyzna. Łamaną polszczyzną wezwał wszystkich do zbiórki.

– Pójdziecie teraz do łaźni i fryzjera. Dostaniecie też czyste ubrania, nici, igłę oraz łatę z literą „P". Naszyjecie ją na ubranie – z przodu, po prawej – wskazał na sobie miejsce przyszycia.

– Ruszać się – wrzasnął. – To nie wczasy!

Odwrócił się i wyszedł.

Wieczorem, na podjazd przed głównym wejściem, wjechała ciężarówka, a po niej druga i trzecia. Zaciekawieni chłopcy patrzyli przez okno, jak mężczyźni i kobiety wyskakiwali z aut i od razu stawali w dwuszeregu. Po skontrolowaniu stanu weszli do budynku, prosto do jadalni. Ich także wezwano na posiłek.



Zofia Graczyk.

W dużej zamkowej sali ustawione były długie stoły, za którymi zasiadła ponad setka wygłodniałych, zmęczonych ludzi. Każdy po kolei, z łyżką i metalowym talerzem, podchodził do okienka, z którego podawano ciepły posiłek.

– Smakuje? – spytał, siadając koło Bartka, wysoki, chudy jak szczapa, chłopak.

Bartek przestał jeść i patrzył przez chwilę na pytającego, który na pierwszy rzut oka przypominał tyczkę, ale miał sympatyczną, uśmiechniętą twarz.

– Tak. Da się zjeść, tylko trochę mało.

– Dają dokładki? – spytał nagle Maniek.

Chłopak roześmiał się szczerze, a wraz z nim kilku innych siedzących obok.

– Nie, nie dają.

– Chyba, że ładnie poprosisz – wtrącił ktoś inny.

– Czyli można? – Marian już miał wstać, aby uzupełnić pusty talerz, ale „Tyczka" przytrzymał go za rękaw.

– Siadaj! On żartował. Każdego nowego tak w konia robi.

– Jestem Józek – podał rękę Bartkowi.

– A ja Bartek. Dzisiaj przyjechaliśmy.

– Skąd?

– Ja i Maniek – wskazał chłopaka wylizującego talerz – z Zelowa, niedaleko Łodzi.

– Ja jestem z Kutna.

– Jak tu jest? – dopytywał Bartek.

– Zależy, o co pytasz, bo mieszkanie i takie ogólne traktowanie to nawet nie najgorzej, ale karmią licho i tyra się od świtu do nocy. Teraz zimą – w fabryce, a latem – to jedni w polu, a inni w gospodarstwach lub ogrodach, a jeszcze inni w szklarniach. Zresztą sam zobaczysz.

– A dziewczyny?

Bartek rozejrzał się po jadalni, wyszukując wzrokiem Marię, a kiedy dostrzegł ją przy sąsiednim stole, pomachał jej ręką na przywitanie.

– Dziewczyny to głównie w fabryce, ale też w gospodarstwach i ogrodach. Ich jest tu najwięcej, zresztą nie tylko tu na zamku Grötzin, bo przywożą je do roboty także z lagru koło Karlsruhe – Polki, Ukrainki, Rosjanki..., a nawet Francuzki spotkałem.

– Ładnie się ten zamek nazywa.

– Właściwie to nazywa się zamek Augustenburg, a miejscowość Grötzingen, ale my mówimy: zamek Grötzin.

– A dalej, co mamy robić? – wtrącił się do rozmowy Maniek.

– A nic. Myć się i spać. Jutro niedziela, to pójdziemy do kościoła, a w poniedziałek na porannym apelu przydzielą wam robotę. Jakbyście czegoś chcieli, to walcie do mnie jak w dym.

Wstał od stołu.

– Do jutra. Idę spać. Mam dość na dzisiaj. Dwanaście godzin. Tylko przerwa na śniadanie –15 minut i 45 na obiad. Cześć.

Niedziela upłynęła na niekończących się pytaniach i wzajemnym poznawaniu się z towarzyszami niedoli, ale czym więcej wiedzieli o nowym miejscu, tym bardziej malała obawa przed przyszłością. Wszyscy mogli poruszać się po zamku bez ograniczeń, co pozwalało na kontakt z przyjaciółmi, organizowaniu krótkich spotkań i wspólnym wspominaniu domu i najbliższych. Jedynie wyjście do miasteczka wymagało specjalnych przepustek. Żeby pójść na pocztę, do sklepu czy kościoła, trzeba było każdorazowo otrzymać taką zgodę – mężczyźni od nadzorcy Kellera – kobiety od starej Helgi Schreiber, wyglądem przypominającej babę-jagę.

Następnego dnia rano rozległ się ogłaszający pobudkę ostry dźwięk ręcznego dzwonka.

– Arbeit! Arbeit! – wrzeszczał na korytarzu Keller.

Bez słowa wyjaśnień ustawiono ich w kolumnę i po chwili ruszyli.

– No to pójdziemy na nóżkach – Józek opatulił się mocniej pod szyją z powodu zimnego, przenikliwego wiatru.

– A w sobotę to was przywieźli – powiedział, jakby z wyrzutem, Marian.

– Tak, czasem się uda, jak po coś do zamku przyjeżdżają, ale zwykle to na nogach chodzimy.

Szli przed siebie milczący i zmarznięci.

– Daleko jeszcze do tej fabryki?

Maniek rozglądał się na boki i zahaczył o coś nogą. Niewiele brakowało, by upadł.

– O mały włosek! – powiedział do siebie.

– Nie gadaj tyle, tylko patrz pod nogi, bo się wywalisz – zganił go Bartek. – Spójrz, już ją widać.

W szarości wstającego dnia rysowały się kształty dużego, murowanego budynku, a właściwie olbrzymiej, wysokiej na kilkanaście metrów hali, z wielkimi, oszklonymi oknami po bokach i w spadzistym dachu. W szatniach przebrali się w ubrania robocze. Mężczyzn zaprowadzono do oddzielnej hali, do ładowania skrzyń na samochody. Stały gotowe do załadunku w kolejce, której koniec ginął gdzieś za zakrętem drogi prowadzącej do fabryki. Kobiety zajęły miejsca przy długich, na kilkanaście metrów, ciężkich stołach. Przy każdym było czternaście stanowisk – jak przy taśmie produkcyjnej. Każda pracownica miała swoje zadanie do wykonania. Każde stanowisko było doskonale oświetlone i przygotowane do pracy.

– Nowe siadają przy ostatnich stołach – zarządził Herr Gruber, starszy, utykający na nogę mężczyzna, ubrany w długi granatowy fartuch, zapinany z przodu.

Maria i Zosia usiadły obok siebie. Rozglądały się z ciekawością i czekały.

W powietrzu roznosił się specyficzny zapach, a tu i ówdzie – w zakamarkach i szczelinach, można było dostrzec żółtawy pył.

Po chwili do każdej z nowo przybyłych podeszła doświadczona pracownica i poinstruowała je, co mają robić.

– I lepiej się nie obijajcie – dodała na odchodnym jedna z nich.

– Bo za przestój wszystkim odciągną, cały stół odpokutuje, a nahajem też można dostać.

Wtem rozległ się krótki głos syreny alarmowej i praca się rozpoczęła.

Maria obsługiwała maszynę zwijającą metalowe gilzy. Po jednym pociągnięciu wystającej z boku rączki, karabinowa łuska wyskakiwała wprost do niewielkiej skrzynki. Zosia sprawdzała je, a uszkodzone odrzucała do następnej skrzyni. Kolejna dziewczyna wsypywała w nie proch, a dalej w specjalnej maszynie otrzymywały już kształt gotowego naboju.

Po kilku godzinach bezustannej, automatycznej pracy, mdlały im ręce, bolały plecy i nogi, ale dla Marii, gorsza od tego była świadomość, że robią coś, co niesie śmierć, coś, co zabija ludzi.

Po tygodniu zaczęli się przyzwyczajać do nowych zadań, nowego rytmu życia i nowego miejsca wraz z jego mieszkańcami. Dzięki pomocy, jaką otrzymali od tych, którzy trafili tam wcześniej, nie było to aż tak trudne. Wszyscy byli dla nich serdeczni i mili. Razem pracowali i jedli. Razem też spędzali krótkie, wolne od pracy chwile.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak to się skończyło – powiedział Bartek, siadając w czasie przerwy obok nowego kolegi. – Miałem pracę i dom..., właściwie to ja nic takiego nie zrobiłem.

– A czy to ich obchodzi? – spytał Józek i dodał: – A ja? A Maniuś? A Zosia...? A inni? Co takiego zrobiliśmy? Mówisz, że się skończyło. Otóż mylisz się, to trwa i nie wiadomo, kiedy i jak się skończy. Gorzej, że coraz to mniej do żarcia dają. Trzeba coś z tym zrobić, bo jak nie, to tu z głodu pomrzemy.

Zadumał się, a po chwili dodał wesoło.

– Ale są też dobre dni.

– Co masz na myśli?

– Jak to co? Koniec miesiąca. Dzisiaj wypłata.

– Jaka wypłata?

– Jak to jaka? Za robotę.

– To będą nam tu płacić? – zdziwił się Maniek.

– Nie za dużo, ale zawsze... – Nam 35 marek, a wam młodocianym – 8. No, ale wy dostaniecie tylko za ten tydzień.

– To niesprawiedliwe, że nam mniej płacą! Robimy to samo, co dorośli! – wtrącił Marian.

– Niesprawiedliwe to jest to, że jeszcze za mieszkanie odciągają. Za takie pieniądze niewiele możemy kupić... no, ale zawsze to trochę gotówki, choćby na papierosy czy znaczki. Przedtem to jeszcze można było owoce i warzywa, ale od Nowego Roku już nie. Aaa... – machnął ręką. – Dobrze, że choć raz w miesiącu kostkę szarego mydła dadzą i kartki – wskazał leżące na stoliku kartki żywnościowe. – Niestety tu nie honorują tych z Polski. Kiedyś mi matka przysłała, to ich w sklepie nie chcieli. Musiałem

odesłać. Szkoda, bobym mógł dodatkowy chleb kupić. No cóż, wrócę do domu jeszcze chudszy niż byłem – roześmiał się szczerze. – Idę spać, może chociaż mi się przyśni jakiś kurak albo kartofelki gęsto skwarkami kraszone i do tego zsiadłe mleko, takie z piwniczki, że można nożem kroić – odszedł na swoje łóżko.

Maniek oblizał się, wyobrażając sobie, że siedzi za stołem pełnym smakowitego jedzenia.

– Zjadłbym banię na mleku albo zacierki z masłem... Tylko mi apetytu narobił tym gadaniem, aż mi ślina leci.

– Dałbyś już spokój – odezwał się Bartek. – Sam bym zjadł. Lepiej już śpijmy. Jutro znowu robota nas czeka.

***

Zima szybko minęła. Po Wielkanocy Niemcy wprowadzili nowe zarządzenia. Między innymi całkowity zakaz chodzenia do kościoła katolickiego i zakazał spotykania się w większych grupach. Przydzielono im także nowe zadania. Marian wraz z innymi młodocianymi został skierowany do pracy w szklarni, a Bartek pomagał w dużym gospodarstwie odległym od zamku o kilka kilometrów. Maria, choć nadal jeździła razem z dziewczętami do fabryki, otrzymała dodatkową funkcję – opiekunki wszystkich robotnic. Należał do niej nadzór i kontrola nad życiem dziewcząt w zamku.

Nieustanna, ciężka praca wypełniała im całe dnie, a w nocy także musieli pracować – mężczyźni sprzątali, a dziewczęta prały i prasowały – bieliznę, pościel i ubrania. Właściwie nie zmieniło się tylko jedno – ciągle chodzili głodni.

– Bartek! – Józek skinął ręką na kolegę, przywołując go do siebie. – Mam pytanie – ściszył głos. – Wyjdźmy na korytarz.

Przeszli na długi i szeroki, zamkowy hol.

– Słuchaj! Jest taka sprawa – mówił półszeptem, rozglądając się uważnie dookoła.

Bartek też się rozejrzał. Zastanawiał się, o czym Józek będzie mówił, skoro obawia się, żeby nie był słyszany przez nikogo innego.

– Znamy się już jakiś czas – kontynuował Józek.

Bartosz przytaknął.

– Jesteś moim przyjacielem, więc chyba mogę ci wszystko powiedzieć. Nikomu nie powiesz?

– Nie powiem. Mów.

– Dalej tak być nie może.

– To znaczy?

– No tak, że ciągle głodni chodzimy, a magazyny w piwnicy są pełne żarcia.

– Skąd wiesz?

– No właśnie! Wicek – ten, co się „na jeża" czesze, wiesz... na drugiej sali mieszka, pomagał wczoraj wyładowywać ciężarówki i mówił, że tyle żarcia to on jeszcze w życiu nie widział. Wszystko dali na dół, do magazynu.

– No..., i?

– No i jest okazja, żeby trochę dla nas uszczknąć, bo jutro będą wyznaczać do sprzątania piwnic. Dwóch – trzech ludzi im potrzeba. Więc on się zgłosił i ma jeszcze kogoś sobie dobrać. Mogę to być ja i ty, na trzeciego. Co ty na to?

– A drzwi? Jak otworzycie?

– No właśnie. Podobno znasz się na tym. Ostatnio ciągle cię wołają do różnych napraw. Nawet Keller mówi o tobie – „złota rączka".

Bartek uśmiechnął się.

– No... czasem naprawiam, ale drzwi naprawiam, a zamki wymieniam, a nie wyłamuję. Zresztą to zwykła kradzież i mnie do tego nie namówisz.

Józek zastanowił się.

– Gdybyś się jednak namyślił, to wiesz gdzie mnie szukać. Pomyśl tylko – dziewczynom mógłbyś dać i Mańkowi. On ciągle taki głodny chodzi, a ciebie ma za swojego opiekuna.

– Raczej nie... Nie! – dodał stanowczo. – Nie mogę tego zrobić.

– To twoje ostatnie słowo.

– Tak! Ostatnie.

– Nie, to nie! Nie było rozmowy! Cześć! – odszedł wyraźnie poirytowany, jednak zatrzymał się i chciał jeszcze coś dodać, ale machnął tylko ręką i poszedł.

Minęły dwa dni. Tuż przed porannym apelem rozległ się głos syreny. Na korytarzach wzywano do natychmiastowego zejścia na plac przed zamkiem.

– Coś się stało? – spytała Maria przechodzącą korytarzem panią Schreiber.

– Zbierz dziewczęta i szybko na apel – krótka, sucha odpowiedź z ust nadzorczyni nie wróżyła nic dobrego.

Po kilku minutach wszyscy mieszkańcy zamku stali na placu apelowym. Na środek wyszło trzech żandarmów i oficer SS ubrany w czarny mundur, wysokie, czarne buty i czapkę z trupią czaszką nad daszkiem. W ręku trzymał czarny, skórzany batog.

– W zamku dopuszczono się przestępstwa – zaczął mówić głośno, wyraźnie akcentując każdy wyraz. – Ktoś włamał się do magazynu z żywnością. Skradziono kiełbasy i puszki z mięsem – przerwał i powiódł wzrokiem po zebranych.

Po chwili dodał:

– Znajdziemy tych bandytów i zostaną przykładnie ukarani. Będą powieszeni. Jedynie przyznanie się do winy może złagodzić karę – rozejrzał się ponownie, czekając na reakcję zebranych.

Zapanowała głęboka cisza. Nikt nie ośmielił się nawet spojrzeć w kierunku SS-mana.

– Jeżeli ktoś wskaże winnych, otrzyma w nagrodę tydzień urlopu – dodał. – Pamiętajcie o tym, że to złodzieje, a jeżeli nie znajdziemy winnych, to wszyscy będą ukarani.

Zaczął chodzić wśród kobiet i mężczyzn. W pewnej chwili podszedł do młodego chłopaka i przyłożył mu bykowca pod brodę.

– Ty? – spytał.

Chłopak przecząco pokręcił głową. Niemiec spojrzał na pozostałych, a dochodząc do wniosku, że w ten sposób nic nie wskóra, odszedł na środek i zmienił taktykę.

– Kto w ciągu ostatnich dwóch dni sprzątał piwnice – wystąp.

Po dłuższej chwili z dalszego szeregu zaczął przedzierać się do przodu wystrzyżony na jeża chłopak.

– Oficer odczekał jeszcze chwilę i podszedł do niego.

– Kto jeszcze był z tobą?

– Byłem sam – odpowiedział, patrząc SS-manowi prosto w oczy.

Szwab uniósł w górę bykowca i z całej siły uderzył go w plecy. Wicek upadł na ziemię.

– Kłamiesz! – wrzasnął. – Powiesz, kto był z tobą, albo znów oberwiesz – zamierzył się i już miał uderzyć, ale chłopak zaczął krzyczeć, zakrywając głowę rękami.

– Józek...! Józek był ze mną...!

Oficer opuścił rękę.

– Wstawaj i wskaż go!

Mężczyzna podniósł się i podszedł do stojącego w pierwszym szeregu kolegi. Bez słowa zatrzymał się tuż przed nim.

– Nieprawda! – krzyknął Józek. – On kłamie! Nie byłem z nim! To nie ja! – rozpaczał. – To Bartek, Bartek Olszewski! On ukradł. Ja nie chciałem. Jak się dowiedziałem, że chcą kraść, to stamtąd uciekłem.

Ukląkł i błagał, żeby dać wiarę jego słowom, lecz SS-man wskazał na niego ręką.

– Brać go!

Spojrzał na pozostałych mężczyzn.

– Który to Olszewski?

Chłopak wyszedł do przodu, a nie mogąc opanować emocji, drżał na całym ciele.

– To nieprawda, panie oficerze! – powiedział, szczękając zębami. – On kłamie! Nic nie ukradłem!

W tym momencie do oficera podszedł nadzorca Keller.

– Panie, Hauptmann.[73]

– Czego?

– Ten człowiek nie mógł tego zrobić.

– A to dlaczego?

– Ponieważ ostatnie dwie doby spędził w majątku Ritzenberg – sam go tam wysłałem. Naprawiał podłogi we dworze, co pewnie mogą tam potwierdzić.

Niemiec spojrzał na Kellera, następnie na Bartka. Niezadowolony z obrotu sprawy machnął ręką, nakazując, aby wrócił do szeregu. Później podszedł do obu mężczyzn stojących pod opieką żandarmów. Stali z opuszczonymi głowami, zrezygnowani i zobojętniali na wszystko. Wiedzieli, co ich czeka.

– Powiesić! – wydał wyrok. – Kobiety niech jadą do fabryki – nie muszą patrzeć, ale mężczyźni zostają i niech się dobrze przyjrzą, co czeka złodziei.

Tydzień płynął za tygodniem, miesiąc za miesiącem, ale tamten zimowy dzień pozostawił w pamięci jedno – wszyscy zrozumieli, gdzie są i z kim mają do czynienia. A choć byli głodni i zmęczeni, a praca często była ponad ich siły, bez sprzeciwu wykonywali polecenia.

***

W tym czasie, kiedy w Karlsruhe życie toczyło się wokół fabryki i problemów związanych z życiem w zamku, Rudy i Karol mieli własne zmartwienia.

Minęły już trzy miesiące, odkąd wysiedli z pociągu. Z pozostałymi zelowiakami rozdzielili ich jeszcze w Łodzi. Karol Ulański, Janek Pierzynka, Podracki i inni pojechali razem, a oni trafili do Waldenburga,[74] a stamtąd do pobliskiego gospodarstwa, gdzie

[73] *Kapitan.*
[74] *Wałbrzych.*

przydzielili ich do pracy w szklarniach. Dzień w dzień od szóstej do osiemnastej pracowali jak niewolnicy, uprawiając pomidory, ogórki i inne warzywa. Za posiłki służyło im tylko to, co rosło w szklarni. Wkrótce nie mogli już patrzeć na kapustę, kalafiory i sałatę. Zbuntowali się i pewnego dnia nie wstali do roboty. Wkrótce pożałowali swojej decyzji. Właściciel zaprowadził ich na żandarmerię. Zabrano im sznurówki, paski od spodni i zamknięto na dwa miesiące w areszcie. Tam dostawali tylko czarną kawę i suchy chleb, a na obiad zupę z brukwi. Na drewnianych pryczach, wyłożonych trocinami, gryzły ich pchły, a łaźnia była tylko raz w tygodniu.

– To dlatego, że nie chciało się wam pracować – tłumaczono im w czasie przesłuchania. – W dupach się wam poprzewracało! Marcepanów się zachciało! – krzyczał żandarm. – Żołnierze na froncie gorzej mają niż wy. Oni walczą za ojczyznę, a wy jesteście tu po to, żeby za nich pracować.

Kiedy odsiedzieli wyrok, wsadzili ich w ciężarówkę i wywieźli w góry, do pracy w lesie i w gospodarstwie.

– Wstawaj, Karol! Pobudka! Już czwarta.

Rudy nachylił się nad śpiącym chłopakiem i potrząsnął go za ramię.

– Jak chcesz – dodał widząc, że nie reaguje. – Nie chcesz wstać, to śpij dalej, ale zobaczymy, co powie gospodarz, jak nie wyprowadzisz bydła na pastwisko.

Karol usiadł na brzegu łóżka i przeciągnął się.

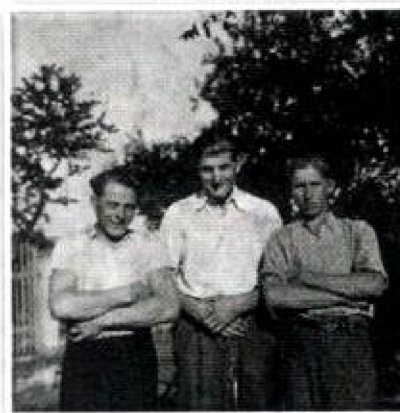
– Wiem, wiem. Już wstaję – dodał ziewając.

Rudy postawił miskę z wodą przed lustrem i zaczął się golić, jednak co chwilę zerkał na Karola, który ciągle jeszcze siedział na łóżku. W końcu nie wytrzymał i dodał:

– Zaraz mnie szlag trafi! Wstajesz czy nie? Pani Majerska już z godzinę krząta się w kuchni i śniadanie szykuje. Dachowicz już wodę nosi ze studni. A ty, śpiochu?

Słońce wychylało się znad pobliskich gór, a za oknem leśniczówki słychać było tętniący życiem las.

Wtem do izby na stryszku wszedł Józek Koza z Wadowic i młodszy od niego Staszek Miętus – pochodzący z Wilna.



Od lewej: Józek Koza, Staszek Dachowicz, Karol Niewieczerzał.

– Idziemy! – powiedział do Rudego. – Ukraińcy już pewnie przy robocie.

– Oni śpią na miejscu. Bliżej mają – wtrącił Staszek.

– A my aż pięć minut – odpowiedział mu Jacek. – Nie mądrz się, tylko rób swoje.

Stach wykręcił się na pięcie i zszedł na dół, do sieni, a Józek ponownie zwrócił się do Rudego.

– Idziesz?

– Tak, już schodzę. Poczekajcie na dworze.

Po chwili ruszyli w stronę pobliskiego zbocza, niemal w całości pokrytego wiatrołomem. Praca przy usuwaniu powalonych przez wiatr drzew była ciężka i niebezpieczna. Dziennie musieli ściąć, okorować i załadować na samochody, aż 4 m^3 drewna. Prace ułatwiały im piły łańcuchowe i ciężkie samochody, które z tyłu, zamiast opon, miały gąsienice, a napędzane były na gaz drzewny.

Od czasu do czasu należało jedynie uzupełnić liściastym drewnem kocioł znajdujący się na pace, tuż za szoferką, i silnik pracował od świtu do nocy.

Robotnicy otrzymywali także większe racje żywnościowe – dla ciężko pracujących.

– Przerwa na obiad – krzyknął późnym popołudniem nadzorca i żandarm w jednej osobie, bowiem nie tylko nadzorował pracę, ale także nieustannie pilnował i poganiał do roboty.

Mężczyźni rozsiedli się pod drzewami i na ścieżce. Godzinna przerwa w ciągu dwunastogodzinnego dnia pracy przynosiła ulgę. Rudy rozłożył się w cieniu na drodze. Obok przy drzewie siadł Józek i Antoś Majerski.

– Dzisiaj znów poszły auta do kopalni – zaczął rozmowę Józek. Rudy leżał na plecach, patrząc na płynące po błękitnym niebie chmury, ale podjął temat.

– No... Tam to trzeba dużo drewna, na stemple i żeby ściany wzmocnić.

– Ale słyszeliście, co mówili Ukraińcy? – kontynuował Józek.

– A co?

– Niemcy kopią jakieś tunele po ziemią, ale to wcale nie kopalnia, bo tam nic nie wydobywają.

– No, to co robią? – dopytywał Rudy.

– Petro mówił, że to ma być jakieś podziemne miasto czy coś w tym rodzaju. Tylko że wszystko w tajemnicy trzymają.

– To strach tam robić, później Szwaby mogą uciszyć tych, co tam pracują – wtrącił Antoni.

– Ano, strach. Ale co oni mają za wyjście?

– Prawda.

– A gdzie Staszek? – Józek rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem kolegi.

Po chwili dostrzegł go siedzącego pod drzewem.

– A...! Tam siedzi. Znowu list czyta? Który to już raz? – zdziwił się.

– A ty, co? – zirytował się Rudy. – Całą rodzinę mu wywieźli na Syberię. Sam został, a teraz list przyszedł. Aż pół roku szedł. Jak go czyta, to tak jakby był z nimi.

Rozmowę przerwało głośne nawoływanie nadzorcy.

– Wstawać! Wstawać! Brać się do roboty, lenie!

Rudy uniósł się na łokciach.

– Co jest, panie Schneider? Przecież jeszcze jest czas. Jeszcze z pół godziny nam zostało.

– Musimy trochę odpocząć – dodał Staszek. – Nie jesteśmy woły robocze. A nawet woły... też muszą odpoczywać, bo na nic się zedrą.

– Nie gadać, tylko brać się do roboty – odpowiedział mu łagodnie, ale stanowczo.

– Ale, panie Schneider...

– Macie wstawać i robić! – przerwał Niemiec.

Tym razem jego głos zabrzmiał ostrzej.

– Ja nie wstaję – powiedział Rudy.

Schneider odszedł, a po chwili wrócił i podszedł do Rudego. W ręku trzymał kawał grubego drewna.

– Chcesz tym po grzbiecie? Czy od razu mam cię zastrzelić? – wymachiwał kijem w powietrzu.

Rudy odwrócił się do niego tyłem. Wszyscy z obawą patrzyli, co będzie dalej. Schneider poczuł się znieważony. Krew nabiegła mu do skroni i z wściekłością zaczął okładać chłopaka, a on zakrył głowę rękami i przyjmował ciosy, ale po chwili nie wytrzymał, zerwał się, złapał kij i wyrwał go nadzorcy. Uniósł go w górę i już miał uderzyć, kiedy usłyszał okrzyk Staszka.

– Rudy!!!

To go powstrzymało. Jeszcze przez chwilę trzymał drewno w górze, aż w końcu zamachnął się i odrzucił je daleko w las, po czym znów się położył.

Niemiec osłupiał. Przez chwilę nie wiedział, co ma zrobić. Spojrzał na ciężarówkę, potem na Rudego i wycedził przez zęby.

– Albo wstaniesz i zaczniesz pracować, albo zginiesz.

Chłopak ani drgnął, choć w środku wszystko mu się trzęsło z nerwów, a plecy paliły jak ogień.
Schneider wskoczył do szoferki i zapalił silnik. Potem ruszył, jadąc prosto na chłopaka. Widząc to Staszek nie wytrzymał. Wskoczył do kabiny, złapał go za ubranie i wyciągnął na zewnątrz. Spadli na ziemię i zaczęli okładać się pięściami. Nie mogło to skończyć się dobrze, więc pozostali rozdzielili zacietrzewionych mężczyzn i przerwali bójkę. Po chwili wszyscy usiedli i bez słowa przyglądali się sobie nawzajem. „Co teraz będzie?" – myśleli. „Źle to się skończy. Co zrobić, żeby wszystko odkręcić i zatuszować? "

Schneider siedział dłuższy czas na ziemi, z dala od pozostałych, i dyszał ciężko. Co chwilę przecierał rękawem rozciętą, zakrwawioną wargę. Mamrotał coś pod nosem. W końcu wstał, wziął stojący pod drzewem karabin i podszedł do Stacha.

– Wstawaj! Idziemy! – poprowadził go przed sobą, drogą w kierunku miasteczka.

Następnego dnia wieczorem Staszek Miętus został powieszony w obecności zwiezionych z całej okolicy robotników.

Po egzekucji prowadzili ich po kolei wzdłuż szubienicy, aby z bliska przypatrzyli się, jaki los spotyka kogoś, kto podniesie rękę na Niemca. Rudy też musiał zapłacić za niesubordynację. Wsadzili go do aresztu, a następnie do więzienia. Pozostałych mieszkańców leśniczówki, w tym Karola, zaprowadził bauer do Arbeitsamtu. Stamtąd pojechali aż nad Łabę, do Elbeiten k. Děčina.

***

Tymczasem w Karlsruhe nastała pora żniw. Z powodu suchego, ciepłego lata zboża były bujne, a kłosy pełne dorodnego, suchego ziarna. Dziesiątki młodych ludzi, robotników zwiezionych z okupowanych krajów, pracowało od świtu do nocy, żeby zebrać plony z obsianych wiosną pól.

Bartosz i Marian robili razem z innymi przy jednej z wielu młockarni.

– Dawaj! Dawaj! – krzyczał bauer. – Nie obijać się! – próbował przekrzyczeć hałas, jaki wydawał silnik i pas transmisyjny maszyny.

Maniek stał w sąsieku[75] i rzucał snopki żyta wprost do starszego kolegi – Jana Kruka, który rozcinał je i wkładał do młockarni. Bartek podstawiał puste worki, do których sypało się ziarno i po ich wypełnieniu odstawiał je na bok.

Chociaż kurz drażnił gardła i dostawał się do płuc, pracowali w jednostajnym rytmie, niemal automatycznie wykonując czynności.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Janka. Młockarnia zacięła się i zaczęła się trząść, a silnik krztusić się i charczeć. Kiedy Bartosz zorientował się, co się stało, wyłączył napęd. Maszyna wciągnęła rękę mężczyzny, aż po bark. Janek stracił przytomność. Leżał w dziwnej pozycji. Jego ubranie i twarz były zakrwawione. Dookoła także było pełno krwi.

– Doktora! Doktora – darł się Maniek.

Zrobiło się zbiegowisko. Po chwili przeniesiono chłopaka i położono na ziemi. Krew ciągle tryskała z rany – ze strzępek urwanego niemal przy barku ramienia.

Janek nie odzyskał już przytomności. Zmarł na obcej i wrogiej ziemi.

***

Wkrótce skończyło się lato i liście zmieniły kolor. Rozpoczął się jeden z najbardziej barwnych miesięcy w roku.

Drzewa wyglądały jak malowane – na przemian pozłacane, czerwone i żółte, a poranne mgły przystrajały kroplami rosy, rozwieszone tu i ówdzie, pajęczyny.

---

[75] *Część stodoły gdzie składa się słomę, siano, zboże.*

Zwierzęta myślały już o nadchodzącej zimie. Wiewiórki w przyzamkowym parku uwijały się, jak tylko mogły, szykując zapasy z żołędzi i orzechów leszczyny. Jednak krety nieprzerwanie ryły i znaczyły teren, stawiając swoje ziemne kopce, co oznaczało, że do śniegów i mrozów jeszcze daleko.

W tak piękny, niedzielny poranek dziewczęta spotkała miła niespodzianka.

– Cześć, Maniuś. Akurat idę do was – powiedziała Maria do spotkanego na korytarzu chłopaka.

– Dzień dobry, pani Mario.

Maria przyjrzała mu się uważniej.

– A ty co taki smutny jesteś? Nie wyspałeś się? Źle się czujesz? – spytała.

– W sumie dobrze, ale mogłoby być lepiej – odpowiedział bez przekonania.

– Pewnie jeść ci chce?

– W sumie tak.

– Przyjdźcie zaraz z Bartkiem do nas do pokoju, może humor ci się poprawi.

– Dobrze, pani Mario. Powiem Bartkowi.

Kiedy weszli, dziewczęta akurat rozpakowywały paczki.

– Paczki macie? W niedzielę przyszły? – spytał zdziwiony Bartek.

Maria spojrzała na niego. Wczoraj przyszły, ale dopiero teraz nam dali.

– Pewnie ubrania. Też dostałem w zeszłym miesiącu.

– Otóż nie tylko, dlatego was zawołałam.

– A co jeszcze? – zaciekawiony Bartek podszedł do Marii i wsadził nos niemal do środka pudełka. – Rety! Ile jedzenia!

– A, psik! – dostał lekko po ręce. – Jak rozpakuję, to wam dam.

– Przepraszam – zaczerwienił się. – To z wrażenia. Dawno nie widziałem tylu pyszności.

Zosia i Sabina przyglądały się uśmiechnięte – raz chłopakom, a raz Marii.

– Ojej! – krzyknęła Zośka. – Czekolada! Dwie czekolady. Jak to możliwe, przecież przepuszczają paczki tylko z odzieżą.

– Zaraz się dowiemy – Maria wyciągnęła list.

– Potem poczytasz – powiedział Bartek.

Maria spojrzała na niego, później na pozostałych. Oczy im świeciły jak małym dzieciom, kiedy znajdą prezenty pod choinką. Roześmiała się.

– No, dobrze. Najpierw spróbujemy – rozwinęła opakowanie i rozdzieliła po kawałku.

– Niebo w gębie – powiedział Bartek i zamknął oczy, a czując na podniebieniu słodki smak, delikatnie rozgniatał ją językiem.

– Masz rację... Nic dodać, nic ująć – przytaknęła Zosia.

Widząc minę Mariana, Marysia roześmiała się.

– Maniuś. Smakuje ci? – spytała.

– Yhy...

– No, dobrze. Resztę kiedy indziej – schowała słodycze i otworzyła kopertę.

Czytała po cichu – od czasu do czasu, przekazując pozostałym krótkie informacje.

– Paczkę nadał na poczcie pan Golke. Mama go poprosiła. I te czekolady to od niego.

– No to teraz wiemy, dlaczego jej nie sprawdzali – wtrącił Bartek.

– Dziękujemy, panie Golke – kimkolwiek jesteś – powiedziała Sabinka.

– Czytaj dalej. Jest coś o Rozalce? – Bartek był ciekawy wieści z Zelowa.

– Nie. Przecież to od moich rodziców. A Rozalka... dopiero co do ciebie pisała, czyż nie? No tak, ale byłem ciekawy, co u nich i czy Rudy nadal w tych lasach?

– Wszystko dobrze. Są zdrowi – i Roza, i Maciuś.

Wróciła do listu.

– Rodzice piszą, że u nich bez zmian. Piszą też, że Niemcy zamordowali w obozie w Dachau proboszcza od nas z Parzna – księdza Jana Grodkiewicza, a w Gusen zginął kierownik szkoły z Parzna, pan Lucjan Biczysko.
Przerwała i spojrzała na zebranych.

– Boże, to straszne! Znałam ich dobrze – zamyśliła się, ale po chwili znów zaczęła czytać.

– W Zelowie wszystko dobrze, tylko Żydów już nie ma.

– Jak to nie ma? – spytał zdziwiony Bartek.
Maria spojrzała ponownie do listu.

– Mama pisze: „Nie ma". Wywieźli ich do obozów i więzień – na zatracenie. Tak pisze. Już na wiosnę pisała, że dziesięciu powiesili.

– No tak, ale przecież było ich kilka tysięcy.

– A teraz nie ma... – dodała zszokowana Maria. – Jezu! Co to za czasy! – A wiecie, co mi jeszcze mama pisze?
Wszyscy spojrzeli na Marysię.

– Ja jej pisałam, że trudno nam pogodzić się z tym, że robimy amunicję, że pomagamy w zabijaniu... I wiecie, co mi odpisała? Napisała... – Maria przebiegła wzrokiem treść listu, szukając fragmentu tekstu. – Napisała: „Dziecko kochane, to nie kula zabija, tylko człowiek".

– Twoja mama jest bardzo mądra – powiedział Bartek.
Pozostali tylko kiwnęli głowami.

Maniek spojrzał na Zosię.

– Widzę, że ty też dostałaś paczkę.

– Dostałam – uśmiechnęła się Zosia. – Od mamy – dodała, zalotnie przekręcając głowę.

– To może...? Też nas..., no, wiesz..., poczęstujesz.

– Wstydziłbyś się, Maniuś – ofuknęła go Maria.

– No, co? Mogłaby się podzielić.

– A nie mogłabym – z przekąsem odpowiedziała Zosia. – Bo nic oprócz ubrań nie dostałam. No, chyba, że chcesz moją sukienkę przymierzyć albo pończochy – roześmiała się.

Maniek żachnął się.

– Nie, dziękuję.
Obraził się, ale po chwili też się uśmiechnął i dodał:

– Wiesz przecież, że ja tylko tak. Przecież jak ja bym coś dostał, to też bym się podzielił.

– Tak. Akurat. Ty? – wtrącił Bartek. – Taki żarłok. Schowałbyś się pod stołem i zjadł sam.
Wszyscy się roześmiali.

– Nieprawda – zaprotestował Marian – ja...

– Dobrze, już dobrze, dostała tylko kartkę na chleb, od brata.

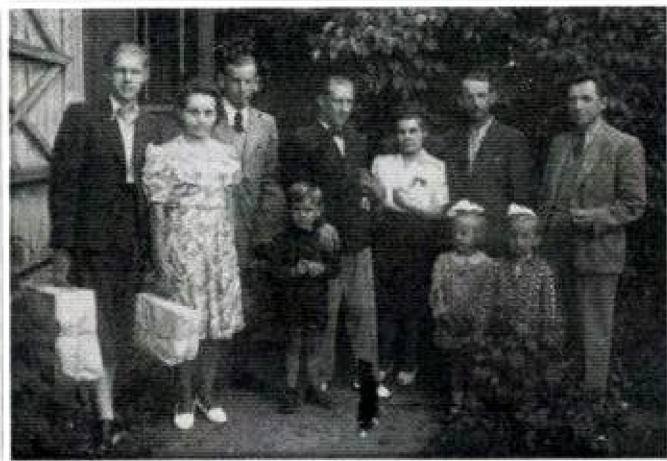
– No, przecież u nas są nieważne.

– Ale mój brat Antoś jest na robotach w Austrii i u nich są ważne. Mama wysłała jemu, on wymienił za tą, co u nich są i odesłał mamie, a mama mi przysłała, no i mam kartkę z Austrii, która jest ważna tutaj. Proste, nie?
Maniek lekko potrząsnął głową nieco zakręcony tą historią. Bartek klepnął go w ramię.

– Ważne, że chleb kupi. A teraz chodźmy do parku. Taka piękna niedziela.



Zamek Augustenburg w Grötzingen.



Przygotowane do wysłania paczki.
Od lewej: p. Szymański, p. Olszewska, Władysław Olszewski, Jacek Grajnert, Stanisław Wilf, p. Wilf, Longin Grodkiewicz, Mieczysław Grajnert, Barbara Łuczyńska – dziewczynka. Obok - Józio Grajnert.

***

Czas płynął i życie toczyło się dalej. Na szczęście bez większych zawirowań. Od lata nikt nie zginął i nikt poważnie nie zachorował. Ludzie zżyli się z sobą i pomagali sobie wzajemnie, tak w życiu codziennym, jak i w czasie pracy.

A w fabryce praca przebiegała pełną parą. Nieustannie szły transporty ze skrzyniami pełnymi amunicji, a wyładowane nimi po brzegi ciężarówki docierały na dworzec kolejowy. Tam towar ładowano do wagonów, które jechały prosto na front.

Wkrótce minął rok na wygnaniu – poza ojczystą ziemią, z dala od kochanych osób i rodzinnego domu, ale gdyby nie tęsknota i głodowe racje żywnościowe, nie byłoby aż tak źle. Z racji karnawału pozwolono im nawet na potańcówki. W niedzielne wieczory spotykali się na wielkiej zamkowej sali i tańczyli przy dźwiękach ustnej harmonijki, na której wesoło grał młody Rosjanin, i przy radosnych rytmach wygrywanych przez Ukraińca na starej, przyniesionej skądś przez Kellera, harmonii.

***

Mijał dzień za dniem, aż przyszedł marzec, który w 1943 roku był słoneczny i ciepły. Łagodny klimat panujący w rejonie Karlsruhe powodował, że w sadach i ogrodach rozkwitały kwiaty, a na polach zieleniło się zboże. Na łąkach i pastwiskach wypasano bydło. Setki krów żuło świeżą, soczystą trawę, a wieczorem czekało na udój. Zajmowały się tym najczęściej Ukrainki i Rosjanki, narzekały później, że nawet w nocy – w czasie snu, ruszały rękami, dojąc wyśnione krowy.

Tego dnia Bartek ponownie został wyznaczony do pracy w gospodarstwie. Przygotował więc tobołek z narzędziami, zarzucił go sobie na plecy i poszedł drogą przez las, pogwizdując wesoło.

– Zaczekaj! – usłyszał czyjś głos.
Odwrócił się. Za drzewem stał znajomy z zamku – Kostek Brona.
Bartek podszedł do niego.
– Co chciałeś? – spytał.
– Idziesz do Ritzenberg?
– No idę, a co?
– Słuchaj! Mamy do ciebie prośbę.
– My? To znaczy kto? – zdziwił się Bartek.
– No... powiedzmy, że ja mam prośbę.
– O co chodzi?
– Po drodze podejdzie do ciebie taki jeden i zapyta o zamek. Wskaż mu drogę. A jak cię spyta, czy to daleko, to powiesz, że trzy kilometry i sto metrów.
Bartek zdziwił się.

– Dokładnie tak powiedz. Trzy kilometry i sto metrów. To on powie, że to i tak nieźle, bo mogłoby być dwieście. Wtedy dasz mu to pudełeczko – podał mu małe zawiniątko. – I pamiętaj, musi powiedzieć dokładnie te słowa. Zrobisz to dla mnie?

Bartek zastanowił się chwilę.

– Zrobię. Nie martw się. Załatwię wszystko, jak należy.

– Tylko nikomu o tym ani... – położył palec na ustach i zniknął między drzewami.

Minęło kilka dni. Jak co dzień rano wszyscy udali się do swoich zajęć. Nagle koło południa usłyszeli dobiegający z daleka pomruk lecących samolotów.

– Do schronu! – zarządził Herr Gruber.

– Polecą dalej – powiedział któryś z robotników. Nie ma co się śpieszyć. Przecież nie było alarmu. Nie wyła syrena. Mają inne cele, a nie jakieś tam Karlsruhe.

– Do bunkra! – wrzasnął Gruber.

Wyszli z fabryki i skierowali się do zabudowań gospodarczych, których piwnice zaadoptowano na schrony przeciwbombowe.

Wtem nad głowami usłyszeli ogłuszający, jednostajny warkot silników. Niebo pokryło się alianckimi maszynami. Zaczęli uciekać. Każdy chciał jak najszybciej ukryć się przed spadającymi wszędzie bombami, które jedna po drugiej, drżąc w locie, obracały się zapalnikami ku ziemi, a już po chwili wybuchały tuż obok uciekających w popłochu ludzi.

Ziemia drżała. Zerwał się porywisty wiatr. Wśród wybuchów słychać było krzyki i płacz. Trwało to chwilę – może nieco dłużej. I nagle... odgłos silników zaczął przycichać. Samoloty odleciały, ale kiedy robotnicy wyszli z ukrycia, ich oczom ukazał się obraz pełen zniszczeń.

Cały teren usłany był lejami po bombach. Dookoła płonęły drzewa i budynki. Najwięcej ucierpiała fabryka, której niemal połowa legła w gruzach. Dachu nie było, a w oknach wyleciały

wszystkie szyby. Ucierpiały też urządzenia do produkcji. Zapalił się proch. Wybuch za wybuchem spowodował, że ogień wypalił całe wnętrze – widać było kikuty okopconych ścian, zniszczone i spalone stoły, i inne, nadpalone wyposażenie hali. Po podłodze walały się łuski i blacha.

– Tego już chyba nie da się odbudować, Herr Gruber – powiedział jeden z robotników do chodzącego po zgliszczach zarządcy.

Niemiec spojrzał na niego i rzekł wściekle.

– Ty chyba jeszcze nie znasz nas – Niemców...! Trzy miesiące! Tyle wam wystarczy i wszystko ma być jak dawniej, a nawet lepiej, usprawnimy parę rzeczy. Produkcja musi iść! Chłopaki na froncie liczą na nas!

Rozejrzał się dookoła.

– Brać łopaty, miotły i do roboty! Obiboki jedne! Ja wam pokażę! – krzyczał w gniewie.

Podczas masowego nalotu zginęło dwóch robotników z Polski i dwóch z Rosji oraz jedna Ukrainka. W miasteczku zginęło pięciu cywilów, a lekkiemu zniszczeniu uległo kilka domów i zabytkowe centrum miasta.

Ponad tydzień, w dzień i nocy, uprzątano teren, przygotowując wszystko pod budowę nowej hali. Pracowano na dwie zmiany, po dwanaście godzin każda. Później sprowadzono murarzy i cieśli z okolicznych lagrów oraz niemieckich inżynierów od spraw technicznych związanych z fabryką.

Maria, Sabina i Zosia pracowały razem z innymi koleżankami w kuchni. Wszystkie posiłki podawano na miejscu, prosto z kotłów – w zamku tylko spali.

Czasu wolnego nie było, a jedyną rozrywką były niemieckie marsze, płynące z radia.

11. kwietnia z początku nie różnił się od poprzednich dni, ale tuż przed południem...

– Kartofle już obrane – zameldowała Zośka.

– No to, na co czekacie – wypłukać! – Maria spojrzała na nią zdziwiona, że ta nie wie, co robić dalej.

– Już wypłukane i wrzucone do kotłów.

– To powiedz chłopakom, niech przyniosą wody i więcej drewna. Śpieszcie się, bo wszyscy głodni jak wilki.

Nowotarska uwijała się, jak tylko mogła. Wszystko sprawdzała, poprawiała i wydawała polecenia.

Nagle melodia płynąca z głośnika została przerwana. Ogłoszono, że będzie podany ważny komunikat. Z początku nikt nie zwracał na to uwagi, ale kiedy padły słowa „polscy oficerowie na wschodzie", Marię aż zamurowało.

– Ciii! – zaczęła uciszać dziewczęta. – Cicho bądźcie! – dodała ostrzej! – Posłuchajcie!

„Achtung! Achtung! Tu radio Berlin! Przedstawiamy specjalny raport niemieckich władz wojskowych w Smoleńsku, stwierdzający odkrycie kolejnego, masowego grobu ze zwłokami trzech tysięcy polskich oficerów, zabitych w lutym i marcu 1940 roku przez GPU...[76] Oficerowie mogli być zidentyfikowani, gdyż GPU pozostawiło papiery osobiste przy zamordowanych. Niemieckie władze wojskowe obliczają ogólną liczbę zamordowanych, pochowanych we wszystkich zbiorowych grobach, na 10 tysięcy. Trwa identyfikacja zwłok polskich oficerów".

Maria usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Zosia podeszła do niej.

– Co się stało? Co oni powiedzieli?

Marysia uniosła wzrok i spojrzała na dziewczynę.

– O naszych żołnierzach mówili! O polskich oficerach! Że Sowieci ich pomordowali! I mój Stach... pewnie oni go też... – rozpłakała się.

[76] *GPU – Policja Polityczna w ZSRR.*

Dziewczyna usiadła przy niej i objęła ją ramieniem.

– To jeszcze nic nie znaczy. Oni ciągle kłamią. Nie należy im wierzyć. A nawet gdyby to była prawda, to przecież nazwisk nie wymienili – przekonywała i pocieszała ją, jak tylko mogła.

W tym momencie na plac wjechał oficer na motorze i ciężarówki. Rozległy się wezwania do zbiórki.

– W dwuszereg! – wrzeszczeli wartownicy. – Stawać w dwuszereg!

Maria pociągnęła Zośkę za rękaw.

– Trzymaj się mnie. Stań obok.

Kobiety stanęły po jednej, mężczyźni po drugiej stronie placu. Niemiec stanął pośrodku.

– To ten sam Szwab, który Józka i Wicka powiesił – szepnął Bartek Mańkowi do ucha. – Niedobrze – dodał.

Tymczasem oficer rozejrzał się po zebranych i ryknął donośnym głosem.

– Zostają tylko „zamkowi". Reszta niech wraca do swoich zajęć.

Po niewielkim zamieszaniu na placu pozostało około 120 osób.

– Wyrównać! Do dwóch odlicz – wydał rozkazy.

– Oho! Będą nas wieźli do jakieś roboty – wymyślił Bartosz. – Lepiej się nie rozdzielajmy – ukradkiem przesunął się o jedną pozycję w bok, aby po odliczeniu miał taki sam numer, jak Maniek.

– Dwójki z obu szeregów krok do przodu i do samochodów! – padły kolejne polecenia.

Wyznaczeni mężczyźni i kobiety zaczęli powoli wsiadać do pojazdów.

– Raus! – krzyknął SS-man.

Na tę komendę żandarmi przyśpieszyli załadunek kolbami karabinów. Po chwili odjechali.

– Ciekawe, gdzie nas wiozą? – odezwał się któryś z robotników.

– To droga do zamku – dodał inny, zdziwiony, że jadą w tamtym kierunku.

– Poczekajmy, to się dowiemy – odezwał się ze stoickim spokojem jeden z Ukraińców.

Po kilku minutach wysiedli na zamkowym dziedzińcu i ponownie stanęli w dwuszeregu. Oficer stanął przed nimi w rozkroku. Długo przyglądał się zebranym, trzymając ich w niepewności. Pan życia i śmierci napawał się tą chwilą, wiedząc, że w olbrzymim napięciu oczekują na jego decyzję.

W końcu ją ogłosił, mówiąc powoli, spokojnie i z uśmiechem:

– Udacie się teraz do swoich kwater i zabierzecie rzeczy. Później z powrotem do aut... Macie na to 15 minut! – wrzasnął na koniec.

Zrobiło się olbrzymie zamieszanie. Każdy śpieszył się, jak mógł, by wyrobić się w wyznaczonym czasie, mając w pamięci to, do czego zdolny jest oficer SS, który czekał przy autach i co chwilę zerkał na zegarek.

Po godzinie siedzieli już w pociągu, na stacji w Karlsruhe.

– Boże! Gdzie oni nas znów wiozą? – powiedziała Maria i przytuliła Sabinkę.

– Pani Mario! Zosia!

– Co Zosia? – spytała Nowotarska i nagle nogi ugięły się pod nią, a serce podeszło aż pod gardło.

Uświadomiła sobie, że Zosia została przy fabryce.

Zakryła twarz i płakała. Nie mogła darować sobie, że ją zostawiła. Opiekowała się nią niemal jak matka, jak starsza siostra. Przecież Zosia liczyła na nią, a ona ją opuściła. I zostawiła tam samą, samiuteńką. Jak ona sobie teraz poradzi?

Nagle wpadła jej do głowy straszna myśl.

– A Bartek? – krzyknęła do Sabiny. – A Maniek? Oni jadą?

– Tak widziałam, jak wsiadali do drugiego wagonu.

Maria złapała się za serce.

– O, Boże! Zaraz chyba zemdleję, aż mnie na wymioty bierze – łapała ciężko powietrze.

Sabinka usiadła przy niej.

– Będzie dobrze. Pani Mario. Słyszy pani? Będzie dobrze. Niech pani głęboko oddycha.

– Już mi lepiej. Już lepiej – powiedziała po chwili. – To wszystko przez ten komunikat. Wszystko przez... – przypomniała sobie Stacha i znowu się rozpłakała.

Zamknęła oczy i powtarzała w myśli:

– Kawko! Kawko! Powiedz, czy mój Staś żyje? – wyobraziła sobie bujającą się na wietrze kawkę. – Raz, dwa, trzy – liczyła. Kiedy doliczyła do siedmiu, kawka zatrzymała się – Maria zaczęła odrzucać od siebie ten obraz, tę myśl straszną, która ją nachodziła. – Kawko! Kawko! Dam ci jeszcze jedną szansę... Kawko! Kawko! Dam ci jeszcze jedną... – zasnęła zmęczona.

Następnego dnia dojechali na końcową stację. Po drodze, w Hamburgu, wysiedli Ukraińcy i część Polaków. Została ich zaledwie garstka – Maria, Bartek i Marian, a także Sabina – brakowało tylko Zosi. Razem z nimi była też Tereska Fornal z Osjakowa i Adaś Siuta z Kielc. Wszyscy byli głodni, zmęczeni i smutni. Znowu nie byli pewni jutra. Znowu nie wiedzieli, co jeszcze ich czeka.

Był niedzielny wieczór. Przy świetle dworcowych lamp, pośród siąpiącego deszczu, wysiedli na dworcu w Doberan, koło Rostoku. Tam zamknęli ich w starej szopie i przyszli po nich dopiero o świcie. Kazali iść pieszo za jadącym bryczką Niemcem. Później wsadzili ich do wagonów wąskotorówki i zawieźli do Kühlungsborn.

Deszcz przestał padać, a słoneczne promienie nieśmiało przedzierały się przez poranną mgłę. Powietrze było świeże i rześkie. Lekki, północny wiatr niósł ze sobą szczególny zapach i odległy, jednostajny szum.

– Co to tak słychać? – zdziwił się Bartek.
Odwrócił się i... stanął jak wryty.

– Zobaczcie! – powiedział zachwycony.

Ze szczytu wzniesienia, na którym stali, rozciągał się przepiękny widok na morze. Sięgało aż po horyzont spowity białą mgiełką, z którą kontrastowała granatowo-sina barwa wody. Patrzyli z zapartym tchem na wysokie fale rozbijające się o brzeg, niosące na swych grzbietach białe grzywy piany. Na twarzach czuli powiew morskiej bryzy.

– Jeszcze czegoś takiego nie widziałam – Sabinka stała jak zaczarowana.

– Nooo! – dodał Maniek. – Ja też...

Sielankę przerwał szorstki głos Niemca, który przywiózł ich ciuchcią.

– No, dosyć tego. Tam pójdziecie. Tylko nie myślcie sobie, że zwiejecie. Będę patrzył – wyciągnął rękę i wskazał na dolinę rozciągającą się od plaży aż po odległy lasek. – Tam! – wskazał dokładniej, potrząsając ręką.

Pośrodku rozległych łąk i pastwisk widać było przepiękny, duży dom z ogrodem i sadem, a wokół niego szereg zabudowań.

Ruszyli we wskazanym kierunku, po mokrej trawie, wśród kwitnących dookoła kwiatów. Po kilku minutach zameldowali się w majątku ziemskim – Riedensee, u zarządcy Hermana Schmidta – starego Niemca z opaską na oku, który utykał na jedną nogę i podpierał się srebrną laską. Podszedł do nich, przyjrzał się im uważnie, i powiedział:

– Zajmijcie wolne łóżka. Obojętnie, w którym baraku. Kobiety i mężczyźni mieszkają razem. Sami się musicie pilnować. Sami też będziecie szykować sobie jedzenie. Produkty dostaniecie: ziemniaki, mąkę, kaszę i pół litra mleka dziennie, do tego chleb i warzywa. Jedzenia nie żałujemy, ale w zamian wymagamy. Macie ciężko pracować i bez sprzeciwu wykonywać polecenia – moje, no i oczywiście jaśnie pana, Heinricha von Rude. Odzieży nie dostaniecie. Chyba, że sobie kupicie. Trepy – raz w roku, na

przydział, ale też trzeba kupić. Za dobrą pracę dostaniecie wynagrodzenie, dorośli – 35, a młodociani – 8 marek. Na terenie majątku możecie się poruszać bez ograniczeń – oczywiście z wyjątkiem pałacu. Do wioski można, ale tylko tej za lasem, dalej zakaz. W karty grać nie wolno, do kościoła nie wolno – zamyślił się chwilę. – To wszystko. Odmaszerować, a za godzinę zapoznam was z waszymi obowiązkami – odwrócił się i odszedł.

Zapanowała cisza. Zastanawiali się nad tym, co usłyszeli. W końcu pierwszy odezwał się Bartek.

– Nakazy! Zakazy! Wszyscy nas traktują jak niewolników! Tu pójdziesz! To zrobisz! A jak nie, to oberwiesz! Mam już tego dosyć! Ucieknę!

– Ja z tobą – powiedział Marian.
Maria spojrzała na Bartka.

– Nie gadaj głupot. Wiesz, co za to grozi.
Nachyliła się do ucha Bartka i dodała szeptem.

– Tylko chłopakowi nadzieję robisz, a później coś mu do łba strzeli i będzie nieszczęście.
Bartek opuścił głowę.

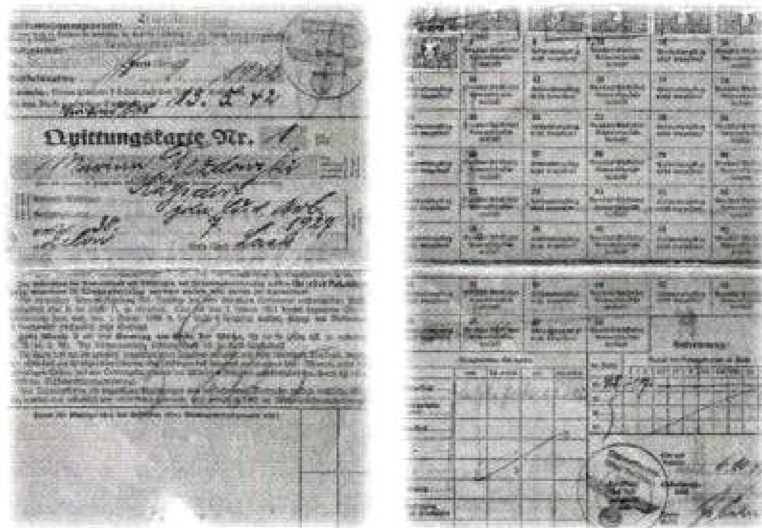
– Masz rację, Marysiu, damy radę.
Po chwili dodał uradowany.

– A słyszeliście, ile będzie żarcia?

– Taaak! Nareszcie się najem! – oblizał się Maniek.
Wszyscy roześmiali się wesoło i poszli do najbliższego baraku.

Pierwsze dni były o niebo lepsze – w porównaniu do pobytu w Karlsruhe. Mimo tylu zakazów, robotnicy traktowani byli dobrze. Gorzej było z radzieckimi jeńcami, których bito niemal na każdym kroku i za najmniejsze przewinienia.

Polacy pracowali głównie w polu – ciężko i długo, ale najadali się do syta. Tarte placki, naleśniki i zsiadłe mleko z kartoflami, przygotowywane przez dziewczęta, znikały w okamgnieniu.



Quittungskarte Nr. 1

Dokumenty ubezpieczeniowe Mariana Drożdżowskiego.

Niedziela, tak jak przedtem, była dniem odpoczynku. Chodzili więc na plażę, kąpali się w morzu, grali w zakazane karty – najczęściej w oczko, ale nie trwało to długo – zaledwie dwa tygodnie i zrobiło się wielkie zamieszanie. Na porannym apelu głos zabrał właściciel majątku – von Rude. Był to mężczyzna w średnim wieku, lekko szpakowaty, ale przystojny, ubrany w biały garnitur i wysokie czarne oficerki oraz czapkę z daszkiem.

Stanął pośrodku zebranych i rozpoczął donośnym, dźwięcznym głosem mowę, którą tłumaczył Schmidt.

– W pobliskim Rerik powstanie lotnisko. Będzie ono dumą III Rzeszy i jej wiernych synów i córek...– przerwał i powiódł okiem po zebranych.

Bez entuzjazmu przyjęli wiadomość. Czuli, że to ich karki i ręce ucierpią, że to ich pot i krew się poleje.

– Tak! – dodał. – Dumny jestem, że mogę przekazać część mojej ziemi na realizację tak nowoczesnego i tak potrzebnego ojczyźnie przedsięwzięcia. To będzie mój wkład w zwycięstwo narodu niemieckiego i powstanie Tysiącletniej Rzeszy. Część z was będzie pracować przy budowie. Pozostali przejmą ich dotychczasowe obowiązki. Musicie pracować jeszcze więcej i jeszcze wydajniej.

Po apelu zarządca wyznaczył nowe zadania. Do budowy baraków wysłał wszystkich Francuzów. Jugosłowian i dorosłych Polaków skierował do równania terenu pod płytę lotniska. Dziesięciu Polaków, w tym Bartek, trafili na kurs jazdy samochodem. Młode dziewczęta do kuchni, a Maria – z racji dobrej znajomości języka – do pałacu, gdzie miała trzymać nadzór nad służbą i zaopatrzeniem.

Budowa lotniska nie trwała długo. Już po dwóch miesiącach odbyło się jego uroczyste otwarcie, w którym uczestniczył sam wódz – Adolf Hitler oraz gość i sojusznik z południa Europy, twórca i przywódca włoskiego faszyzmu – Benito Mussolini.



Niemieckie lotnisko. (reprint)

Dogodna do obrony lokalizacja, latarnia morska, artyleria przeciwlotnicza i 10 radarów, jako wyposażenie lotniska, stawiało je w rzędzie najbardziej nowoczesnych i najbezpieczniejszych w Europie.

Wkrótce zaczęły się ćwiczenia. Samoloty latały w dzień i w nocy. Nieustanne lądowania i starty, pozorowane alarmy, a do tego strzelanie z działek i karabinów maszynowych do ciągniętego przez niewielki, sportowy samolot, rękawa.

Mimo tych zabezpieczeń baza lotnicza w Rerik stała się niemal natychmiast celem alianckich ataków.

***

W niedzielne popołudnie Bartosz i Maria poszli na spacer. Szli boso brzegiem morza, uciekając co rusz przed wpływającymi na plażę falami.

– Jakby nie było wojny – powiedziała Maria, patrząc na mieniące się wszystkimi odcieniami fale i lazurowe niebo na horyzoncie.

Bartek rzucał do wody zebrane kamienie. W pewnej chwili roześmiał się sam do siebie.

– Zrobimy zawody?

– Co? – spytała Maria, jakby wyrwana ze snu.

– Zawody. Kto zdąży odskoczyć zanim zaleje go woda – wygrywa.

Stanęli w jednej linii i obserwowali. Wkrótce nadeszła większa fala. Widać było, że sięgnie daleko. W ostatnim momencie Bartek przytrzymał Marię, odskoczył i schował się za nią. Woda zalała jej nogi.

– Wygrałem! – ucieszył się.

Maria spojrzała na stopy niknące w mokrym piasku. Uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie:

– Głupek!

Położyli się na piasku. Przez długi czas w ciszy obserwowali płynące obłoki. W końcu Bartek przerwał milczenie.

– Tak, masz rację. Przez chwilę zapomniałem, że jest wojna – podjął wątek wcześniejszej rozmowy. – Jak na razie...

Przerwał i delikatnie, nie patrząc na nią, dotknął jej dłoni.

– Nie jest tu źle – mówił dalej. – Powoli wszystko zaczyna się układać.

Dziewczyna cofnęła rękę.

– Nie mogę, Bartek. Nie mogę. Wierzę, że Stach żyje. Będę na niego czekała, choćby do końca moich dni. A ty... ty jeszcze kogoś spotkasz, kogoś, kto cię pokocha i kogo ty będziesz kochał.

Bartosz usiadł na piachu. Spojrzał na Marię.

– Tak, kiedyś będę miał rodzinę, ale najpierw niech skończy się ta cholerna wojna, a potem znajdę pracę i... najpierw muszę zapewnić mojej rodzinie...

W tej samej chwili zobaczył lecące znad lądu samoloty. Całą eskadrę bombowców i osłaniające je myśliwce. Zerwał się na równe nogi.

– Znad Rostoku wracają. Ale ich jest!

Nagle dwie lekkie maszyny odłączyły się i skręciły w kierunku widocznej w oddali latarni i radarów. Zbliżały się z każdą chwilą. Poszły serie z karabinów maszynowych. W odpowiedzi Niemcy ostrzelali je z działek przeciwlotniczych. Jeden zaczął dymić. Zniżył lot i wkrótce leciał tuż nad drzewami. Po chwili zarył w pole owsa, 150 metrów od nich.

Bartek pobiegł pierwszy. Maria za nim. Gdy dobiegli, zobaczyli 30. metrowy rów, wyorany nosem myśliwca, a na jego końcu palący się samolot, bez wysuniętego podwozia. Na skrzydłach i na kadłubie zobaczyli białą gwiazdę.

– Amerykański – krzyknął Bartek.

Z płonącego samolotu wyskoczył pilot. Był ranny w głowę i krwawił.

– Patrz! Co on robi? – krzyczał przejęty chłopak.

Lotnik wyciągnął z przewieszonej przez ramię aktówki, jakieś dokumenty. Zaczął je drzeć zębami i w pośpiechu zjadać.

Niemcy byli już blisko. Biegli i jechali ze wszystkich stron. Kiedy go złapali, rzucili na ziemię i obszukali dokładnie. Później wsadzili do auta i odjechali w kierunku bazy.

***

Lato było piękne i gorące, ale suche. Nie padało od wielu dni i wszystko wskazywało na to, że nadal tak będzie. Praca w polu, w piekącym słońcu, nie była więc łatwa i nie należała do przyjemnych. Mimo tego, każdy musiał zrobić to, co mu kazano.

– Drożdżowski i Siuta! Do buraków! – krzyknął zarządca.
Chłopcom zrzedły miny.
– Nie idę – mruknął pod nosem Adaś.
– Taaa... nie idziesz – powiedział Maniek.
Wziął dziabkę i ruszył pierwszy. Za nim poczłapał Adam.
Wkrótce dotarli na pole. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągały się zagony buraków. Gliniasta, o czerwonym zabarwieniu ziemia była spękana i sucha.
Maniek otarł pot z czoła.
– No, do roboty – westchnął i wziął się do pracy.
Adam stał ciągle i przyglądał się dwóm radzieckim jeńcom, którzy pielili buraki na sąsiednim zagonie.
– Ci to już chyba od świtu robią, że tyle zrobili.
– Nawykli – odpowiedział Maniek, nie przerywając pracy.
– Zresztą, gdzie my do nich. Zobacz, jakie to byki.
Nagle usłyszeli bicie zegara. Dobiegało z wieży pobliskiego kościoła.
– Siódma dopiero teraz – Adaś bez entuzjazmu rozpoczął pracę.
– Bierz się w końcu do roboty. Sam mam to opielić? – zdenerwował się Marian.

Nagle na polu pojawił się Wachtmann[77] – Eryk Przybylok, rodem z Górnego Śląska. Usiadł na ziemi, wyjął papierosa i zapalił. Przez chwilę przyglądał się pracującym chłopcom, w końcu powiedział:
– Jak pieruny nie dorobicie do tego miejsco, co Ruskie, to fajrantu nie bedzie.
Adam spojrzał na niego spode łba i odburknął:
– Za tyle, co nam płacicie, to nie będziemy tyrać jak woły.
Przybylok wstał zdenerwowany i podszedł do chłopaka.
– Czekoj pierunie, jo ci pokaża! Żreć nie dostaniecie i szefowi powiem, że pyskujesz.
Pod wieczór nadjechał konno właściciel. Wachtman podszedł do niego i chwilę rozmawiali. Potem podjechał do nich.
– Podobno nie chcecie pracować?
Stali z opuszczonymi głowami.
– Odpowiadać, jak pytam! – podniósł głos.
– Bo każą nam robić, jak dorosłym, a płacą tylko 8 marek, proszę pana – odpowiedział nieśmiało Marian, patrząc w ziemię.
– I... i... nie dostaliśmy obiadu – dodał Adam.
Niemiec podjechał bliżej i dwukrotnie uderzył chłopaka w plecy.
– To za to, że nie posłuchałeś.
Wykręcił konia, podjechał do wartownika i zdzielił go po grzbiecie.
– A tobie za to, że każesz im pracować bez obiadu.

Na drugi dzień przed pójściem do pracy wezwano ich do biura.

– To dla was – powiedział zarządca Schmidt. – Wyrównanie za ostatni miesiąc – podał im pieniądze. Przy następnych wypłatach będziecie dostawać tyle, co dorośli.
Przyjrzał się im uważnie i dodał:

---

[77] *Strażnik, wartownik, nadzorca.*

– Macie cholerne szczęście, gnojki! Mogliście za to do obozu trafić... Wiosną też był taki, jeden – szczęściarz – do domu pojechał. Przepukliny dostał i lekarz orzekł, że nie nadaje się do pracy. Jednak wkrótce znalazł się kolejny z taką samą przypadłością i już tylko do roboty w szklarni trafił. A po miesiącu kolejny, niejaki Goldanowski. Lekarz stwierdził, że symuluje i zapisał mu baty. Od tamtej pory był spokój, ale wczoraj znowu – niejaki Pawlak, ten miał najmniej szczęścia, bez lekarza omłoty dostał. Dziwne, że tylko wśród Polaków takie cwaniaki. Robić wam się nie chce, to sobie choroby wymyślacie. Was to trzeba krótko, za mordę trzymać! Polaczki! Nieroby!

Z każdym słowem robił się coraz bardziej nerwowy i czerwony na twarzy. Chłopcy stali cicho jak trusie. Wiedzieli, że jeśli powiedzą, choć jedno słowo, to może się to dla nich źle skończyć. W końcu Schmidt zadyszał się tak bardzo, że zaczął kaszleć. Machnął więc tylko ręką i już ciszej, zachrypłym głosem, dodał:

– Precz mi z oczu. Do roboty. A spróbujcie jeszcze teraz się obijać, to popamiętacie mnie do końca życia.

Dzień minął, a na wieczornym apelu okazało się, że jednego brakuje. Rozpoczęły się poszukiwania. Szukano Romka Pawlaka, który wyszedł rano do pracy w polu, ale nie wiadomo gdzie i kiedy zniknął. Dopiero po kilku dniach rozeszła się wiadomość, podana przez żandarmerię w Doberan, że uciekiniera złapano i przewieziono do nowo otwartego obozu w Rostock-Schwarzenforst, a żandarm, który nie dopełnił swoich obowiązków i pozwolił mu uciec, trafił do aresztu.

Po tym zdarzeniu Niemcy stali się bezwzględni. Wszystkim robotnikom zabrano dokumenty, wzmocniono ochronę majątku i rygorystycznie przestrzegano wszystkich zarządzeń. Za każde najmniejsze przewinienie groziła kara batów. Niektórzy żandarmi okazali się szczególnie gorliwi w wykonywaniu swoich obowiązków. Największą kanalią okazał się Ślązak, Przybylok, który bił za najmniejsze przewinienia kolbą od karabinu po nerkach i po

żebrach. Adaś Siuta też dostał – laską, od kulawego Niemca. Stłukł go na kwaśne jabłko za to, że chciał się napić, bo zaschło mu w gardle, kiedy młócili koniczynę.

***

Nadeszła zima, a wraz z nią święta Bożego Narodzenia. Kolejne, z dala od domów i rodzin. Wśród robotników nie było nikogo, kto by nie tęsknił za swoimi bliskimi i ciepłem domowego ogniska. Jednak czas robi swoje i wszyscy przywykli – do miejsca, do swoich obowiązków, codziennego rytmu życia, bo praca w majątku wymagała wykonywania stałych czynności: trzeba było nakarmić zwierzęta, rozwieźć zamówione produkty rolne, zadbać o wygodę i wyżywienie mieszkańców pałacu. Upał, deszcz czy zimny, północny wiatr, wdzierający się w każdą najmniejszą nawet szczelinę i przeszywający każde odzienie, nie mogły zakłócić ustalonego z góry porządku.

– Ale ziąb dzisiaj – powiedział Bartek, wchodząc do baraku i otrzepując się ze śniegu. – Przewiało mnie do kości. I jeszcze ten śnieg. Do wczoraj był spokój. I komu to przeszkadzało...? Jeździłem dzisiaj z zaopatrzeniem, do Doberan. Ledwie wyjechałem, a już utknąłem. Z godzinę mnie odkopywali, tak się zaryłem – zamyślił się. – No..., chyba, że ze względu na święta, aniołki w niebie porządki robią – uśmiechnął się pod nosem i rozejrzał dookoła. – Nie ma chłopaków?

– Nie – odpowiedziała Maria. – Po kolacji wzięli ich do odśnieżania.

– To dobrze. Niech odśnieżają. Co to ja miałem...? – podrapał się w głowę. – Aaa...! Listy przyszły! – podał jeden Marysi.

– Od Zosi? – Maria wzięła list i delikatnie otwierała kopertę.

– Od Zosi dla ciebie. Ja dostałem od Rozalki.

– A dla mnie nic nie ma? – wtrąciła się do rozmowy Tereska Fornal.

– Nie. Tylko te dwa były.

Dziewczyna opuściła głowę i poszła do kuchni. Maria odprowadziła ją wzrokiem i powiedziała:

– Tak mi jej szkoda. Już od dwóch lat nie ma żadnych wieści od rodziny. Rozumiem, co czuje, sama przez to przechodzę, ale przynajmniej wiem, co u rodziców i u przyjaciół, a ją na łapance wzięli i nawet nie zdążyła się pożegnać. Mimo że ciągle pisze, to żadnej odpowiedzi nie ma.

Maria otworzyła list i zaczęła po cichu czytać. Po chwili, nie przerywając, spytała:

– A co nowego u Rozy i u mojego chrześniaka? Ostatnio Rozalka pisała, że wszystko w porządku, ale wydaje mi się, że jednak nie bardzo.

Bartosz usiadł na stołku i rozcierał zmarznięte ręce.

– No, bo o Rudym dalej nic nie wiadomo, tylko to, co pisał jej Karol Niewieczerzał – że w więzieniu siedzi, w Waldenburgu. Ale od niego samego nic nie ma, nawet kartki, więc się martwi biedaczka.

– Pewnie, że się martwi. Biedny Rudy... A Maciuś?

– Maciek rośnie jak na drożdżach. Już dwa latka skończył. Wszędzie go pełno, taki jest żywy. W każdą dziurę musi zajrzeć, wszystkiego dotknąć, nieustannie trzeba go pilnować, żeby czegoś nie zwojował.

W tym momencie podeszła do nich Sabinka. Rzuciła ręcznik na łóżko i usiadła.

– O! Listy macie? Dla mnie pewnie znowu nic nie ma?

– Nie, tylko dwa były – odpowiedział Bartek. – A coś ty taka zła?

– Aaa! Bo czekam i czekam. Chciałam się umyć, a ciągle zajęte. Weszła jakaś i siedzi. Pukam, wołam, żeby się pośpieszyła, to tylko przez drzwi powiedziała, że właśnie się śpieszy i że już łostatnią noge myje – przedrzeźniała dziewczynę.

Maria skończyła czytać. Złożyła kartkę i schowała do koperty.

– Zosia pisze, że u niej wszystko po staremu. Tylko ma dwie, nowe koleżanki i wszystko razem robią. Naloty są nadal, ale teraz już za każdym razem chowają się do schronu, bo syrena wcześniej się włącza i wyje na alarm.

– To dobrze – wtrąciła Sabinka. – Zuch dziewczyna. Ja bym gorzej to zniosła, jakbym sama została.

– A w Zelowie, co nowego? – wypytywała dalej Maria.

– A nic. Z takich tam, zwykłych rzeczy, to pisze, że Niemcy, za pokwitowaniem, pobrali ludziom maszyny do szycia i do Recława na Kościuszki wzięli, do szwalni. Tam teraz nie tylko szyją, ale i mundury dla wojska naprawiają – takie prosto z frontu, zakrwawione i podarte. Najpierw je oczywiście piorą. Kobietom nawet nieźle płacą, bo 14 marek – na tydzień, ale za to dzieciom tylko 5. Pisze też, że w sklepach wszystko bardzo drogie i muszą na każdym kroku oszczędzać.

– Przed wojną też nie wszyscy mieli na chleb – wtrąciła się do rozmowy Sabina. – Zwłaszcza Polacy..., ale nawet i Żydzi.

– O, już nie gadaj o Żydach! – obruszył się Bartosz. – Wiadomo, że byli – i biedni, i bogaci, ale oszczędni zawsze – aż do przesady. Pamiętasz to powiedzenie: Jak Żyd je kurę, to albo Żyd jest chory, albo kura.

Maria wzruszyła ramionami i spytała:

– A nam, to tak tu dobrze?

Bartek spojrzał na nią zdziwiony.

– No..., lepiej niż w Karlsruhe – powiedział ostrożnie, obawiając się reakcji Marii, bo wiedział, że każde wspomnienie związane z zostawioną tam Zosią wywołuje u dziewczyny lekkie podenerwowanie. – Nie powiem, żebym był bardzo szczęśliwy, ale tak odrobinę... – patrzył ciągle na Marię. – Codziennie i we wszystkim można znaleźć szczyptę szczęścia – dodał.

– A co to jest szczęcie? – powiedziała rzeczywiście trochę zirytowana. – Bo ja już zapomniałam. Zresztą każdy odczuwa je na swój sposób. Jeden musi mieć pieniądze, drugi władzę, a trzeciemu wystarczy, że może żyć w spokoju i w ciszy.

– Tak, ale wielu nie docenia tego, co ma, dopiero, jak się coś straci – to dopiero wtedy – Bartek bronił swoich racji.

– No, tu akurat zgadzam się z tobą, ale teraz idź już spać, bo my też chcemy się położyć, prawda Sabinko – spojrzała na dziewczynę.

– Tak, tak. Ale ja będę szczęśliwa, jak się w końcu umyję – wzięła ręcznik i poszła w kierunku łazienki.

***

W maju 1944 nasiliły się naloty i bombardowania. Alianci zrzucali bomby zapalające na zakłady zbrojeniowe i fabrykę łodzi podwodnych w Rostoku. Tysiące ton bomb leciały na miasta, wsie i cele wojskowe na terenie całych Niemiec. W odwecie za miliony pomordowanych, za tysiące zburzonych miast i wsi, za pojmanych i zakatowanych w obozach i więzieniach, za powieszonych ojców, zabite matki i dzieci, i po to, aby zmusić hitlerowców do kapitulacji.

Naloty były co dzień – w dzień i w nocy, a podczas powrotów do baz, na teren odległej o niespełna 130 kilometrów Szwecji, nie omijano też lotniska w Rerik.

Tego dnia zwożono siano. Wszyscy śpieszyli się, bo zapowiadało się na burzę. Do tego jeden z wozów wywrócił się i trzeba było załadować go ponownie. Wdarła się nerwowa atmosfera. Nadzorujący pracę wartownicy i brygadziści krzyczeli i poganiali nahajem. Nagle zaczęły wyć syreny. Alarm! Nalot! Natychmiast wystartowały samoloty z czarnymi krzyżami na bokach i swastykami na ogonach.

Amerykańskie bombowce leciały od lądu. Dookoła nich eskortujące je myśliwce.

Pierwsza bomba spadła niedaleko pastwiska. Wyryła olbrzymi lej w ziemi, raniąc dwie krowy. Podmuch wybuchu był tak silny, że przewrócił uciekającą z pola, kobietę.

W majątku zaczęła się panika. Z racji tego, że nie było schronu, każdy chował się, gdzie mógł. Część ludzi pobiegło do pałacu, ale i tam nie było bezpiecznie. Zawaliła się granicząca z budynkiem stajnia. Kilka koni zginęło, a kilka uciekło w popłochu.

Na lotnisko poleciały bomby fosforowe i wszystko zaczęło się palić. Kłęby czarnego dymu unosiły się wysoko, a okropny smród palących się smarów i paliwa dławił gardło i łzawił oczy.

Tymczasem trwała walka w powietrzu. Serie z działek pokładowych, pikowania, wzloty i powietrzne szarże. Pociski z działek przeciwlotniczych wybuchały raz za razem.

Nagle walka przeniosła się nad morze. Jeden z alianckich myśliwców zaczął się palić. Wybuchł w powietrzu i spadł do wody. Po chwili palił się Messerschmitt. Naderwany kawałek skrzydła odpadł pierwszy. Za nim runęła do morza reszta – dzieląc los poprzednika.

Po kilkunastu minutach powietrznej bitwy alianci wycofali się. Polecieli na północ. Straty były po obu stronach.

Wtem jeden z bombowców zatoczył łuk i zawrócił. Leciał nisko, tuż nad wodą. Jeden z silników palił się – charczał przy tym i przerywał. Niemcy nie strzelali do niego. Przyglądali się, eskortując go z daleka. Samolot doleciał do płyty lotniska. Próbując wylądować zarył nosem w ziemię. Jego ogon wystawał pionowo w górę. Po chwili jeden po drugim, ośmiu ludzi, wyskoczyło na ziemię. Ostatni rzucił coś do środka. Wnętrze samolotu szybko stanęło w płomieniach, a po chwili wybuchły znajdujące się tam, resztki amunicji. Eksplozja nie była duża, ale płomienie rozprzestrzeniły się tak szybko, że mimo wysiłku obsługi lotniska, nie udało się go ugasić.

Załoga poddała się. Stali obok siebie, z podniesionymi rękami. Natychmiast zostali otoczeni i aresztowani.



Amerykański bombowiec. (reprint)

***

W drugiej połowie roku zaczęły dochodzić w listach pierwsze informacje o rychłym końcu wojny, o wyzwoleniu części ziem polskich, ale też o spalonej Warszawie i jej poległych obrońcach.

A pod koniec roku...

– Ale fuchę trafiliśmy! – powiedział Marian. – Taki gołębnik to nawet kilka dni można naprawiać – dodał. – Nie musimy się śpieszyć, odpocznijmy ździebko.

– Już się zmęczyłeś? – Bartek spojrzał na niego zdziwiony.

– Wczoraj się nanosiłem tych worów. No i zimno mi. Przemarzłem chyba.

– No, dobrze. Siądźmy chwilę.

Usiedli w szopie na jakichś deskach.

Nagle, tuż obok, dało się słyszeć odgłos kroków po śniegu, a po chwili rozmowę dwóch żandarmów.

– Daj ognia.

Słychać było trzask zapalanej zapałki, a po chwili...

– Jedyna nadzieja w Wunderwaffe.

– Ty jeszcze masz nadzieję? Bo ja nie. Hitler kaput.

– Ciii... nie mów tak głośno, bo cię ktoś usłyszy.

Zrobiło się cicho, ale po chwili mężczyzna dodał szeptem.

– Teraz pora, żeby o siebie zadbać.

– Co proponujesz?

– Mój plan jest... – głosy oddaliły się powoli.

Chłopcy siedzieli przez jakiś czas i nasłuchiwali, aż w końcu odezwał się, Maniek.

– Poszli. O czym oni mówili?

– Mówili o jakiejś cudownej broni, a później o tym, że Hitler przegrał. Coś mi się widzi, że koniec wojny już blisko.

Bartek uśmiechnął się, złapał Mańka za ręce i zaczął z nim tańczyć.

– Puszczaj! No, co ty! – śmiał się Maniek.

– Tak, Maniuś! Przeżyjemy! Wrócimy do domu! – Bartosz radośnie podskakiwał i wywijał nogami. – Wrócimy do domu!

***

W tym czasie Rudy ciągle siedział w zimnej celi wałbrzyskiego więzienia. Wartownik nie darował mu zniewagi. Oskarżył go o nieustanny brak posłuszeństwa, dokładając kilka nieprawdziwych zdarzeń, takich jak współudział w jego pobiciu. Nieszczęsne zdarzenie przyniosło śmierć Staszkowi, a Rudemu najgorszy okres w jego życiu, trwający już ponad dwa lata. Do końca kary został jeszcze rok, bo dołożyli mu za pobicie strażnika, który zmuszał go batem do katorżniczej pracy. Dzień od dnia nie różnił się wiele. Co prawda krążyły pogłoski o zbliżającym się końcu wojny i nadchodzącej ze wschodu Armii Radzieckiej, ale w żaden sposób nie wpływało to na więzienne życie, które było ciężkie, a praca w nim ponad siły.

Do tego zima była sroga. W styczniu 1945 roku były takie mrozy, że trzaskały pnie drzew i deski w płotach. „Rozgrzejecie się przy robocie" – mówili im wartownicy, kiedy narzekali, że

grabieją im ręce i odmarzają nogi. Wielu nie wytrzymało i zostało na zawsze pod więziennym murem. Ci, którzy chcieli przeżyć, musieli być twardzi i zawzięci, nieczuli na nieludzką postawę ciemięzców.

– Zbiórka na apel. Hej, Witczok! Słyszysz! Wstawaj, Rudy! – powiedział Bronek, człowiek niewielkiego wzrostu, ale dobrze zbudowany.

– Daj spokój! Przecież widzisz, że jeszcze nie doszedł do siebie – wtrącił Janek, trzeci mieszkaniec niewielkiej celi.

– I tak musi iść. Przez tydzień w lazarecie dosyć się wybyczył – odpowiedział mu opryskliwie.

– Czemu go tak nienawidzisz? Ty jakbyś tak oberwał, to usiadłbyś na pępku i płakał – Janek był wyraźnie poirytowany.

– Uważaj, co mówisz, bo też oberwiesz! To przez niego ciągle najgorszą robotę nam dają. Za dużo się stawia. Hardy jest. Jakby im nie odszczekiwał, to inaczej by go traktowali, i nas też.

Janek podszedł do chłopaka. Nachylił się i delikatnie dotykając jego ramienia, szepnął mu do ucha.

– Wstawaj. Musisz wstać, bo ci znowu przyłożą.

Chłopak podniósł się ociężale, usiadł na brzegu łóżka i spojrzał na Bronka. Z trudem odpowiedział, ledwie poruszając obolałymi, opuchniętymi wargami.

– Nazywam się Witczak. Jacek Witczak. Rudy tylko dla przyjaciół.

Janek przyjrzał mu się uważniej i zrobił kwaśną minę.

– Nie wyglądasz może najładniej, ale wyliżesz się. Twardy jesteś.

Rudy miał opuchniętą połowę twarzy, czerwone oko, zszyty i nabrzmiały łuk brwiowy, wiele sińców i zadrapań, także na całym ciele, a plecy tak poorane niewygojonymi jeszcze bliznami, że nie było mowy, aby poruszał się bez bólu. Mimo to więzienny lekarz stwierdził, że nadaje się do pracy.

Po chwili usłyszeli, jak kolejne drzwi od cel otwierają się i strażnik wzywa do wyjścia na korytarz.

Ustawili się razem z innymi pod ścianą. Po przeliczeniu stanu przeszli na jadalnię, a po śniadaniu pobrali ciepłą odzież i wyszli na podwórze, gdzie czekały na nich ciężarówki. Brama otworzyła się i jak co dzień wyjechali do pracy. W aucie nie wolno było rozmawiać – groził za to karcer. Siedzący z nimi wartownik miał wśród więźniów ksywę „Kat" i lepiej było mu się nie narażać.

Pracowali przy układaniu podkładów na nasypie kolejowym, ale czasem jeździli też po drewno, do lasu. Ładowali grube, ciężkie bale na samochody i wozili do tartaku.

– Witczak! Świąkalski! Wsiadać! – padł rozkaz nadzorcy.

Rudy i Janek usiedli na kłodach. Wartownik wskoczył do szoferki.

– Wir gehen[78] – powiedział rozcierając zmarznięte ręce.

Ciężki, gąsienicowy pojazd ruszył powoli w kierunku pobliskiego tartaku.

– Zimno jak cholera – zabluźnił Janek i spojrzał na kolegę. – Boli cię? – spytał.

– Nie bardzo. Szczypie tylko. Pewnie przez to zimno.

– Nie martw się, jakoś to będzie. Na miejscu dadzą nam kawy. Jak myślisz, Rudy, ile to jeszcze potrwa?

Jacek wzruszył ramionami.

– Bo ja myślę, że już niedługo. Strażnicy gadali między sobą, że Ruskie idą, że front radziecki już blisko. Zastanawiam się, co z nami zrobią, jak im przyjdzie uciekać?

Rudy spojrzał wymownie na kolegę, ale nic nie powiedział. Janek zgrabnie zeskoczył na ziemię.

– No. Jesteśmy na miejscu. Panie feldfebel![79] Można łyk kawy?

Wartownik skinął głową.

---

[78] *Jedziemy.*
[79] *Sierżant.*

– Ale zaraz przychodzić. Macie załadować deski na ciężarówki i pojedziemy na dworzec.

Po jakimś czasie wjeżdżali już na stację kolejową w Waldenburgu.

– Rozładować! – padł krótki rozkaz.



Rozładunek drewna na stacji kolejowej.

Kiedy skończyli, podeszli do kierowcy.

– Skąd jesteś?

– Z Warszawy – odpowiedział, przyglądając się Jackowi. – Nieźle – dodał. – Jednego z naszej celi też tak urządzili. A może nawet jeszcze gorzej, bo ty chodzisz, a jego po trzech dniach do ziemi...

Ze stojącego niedaleko parowozu buchnęła para.

– Na front jadą! – kierowca kiwnął głową w kierunku pociągu.

– Skąd wiesz?

– Codziennie tu jestem i codziennie jeżdżą. Teraz wszystko na front. Czytaliście te hasła – wskazał na transparent wywieszony na budynku dworca: „Dziś jedziemy z armatami, ty pojedziesz,

jak wygramy." Cywilne pociągi nie jeżdżą, tylko te z zaopatrzeniem: żywność, armaty, amunicja. Ten pewnie z prowiantem, bo wagony towarowe.

Janek przyglądał się z ciekawością dziesiątkom wagonów gotowych do odjazdu.

– Ciekawe, gdzie jedzie? – zastanawiał się.

– No mówiłem, że na front.

– Tak, ale gdzie?

– To nie wiecie? Ruskie już pod Częstochową.

Janek otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Coś tam słyszeliśmy, ale... do Częstochowy mówisz? Matko Boska!... Do Częstochowy... – był podekscytowany i przejęty. – Bo wiesz... – chciał coś powiedzieć, ale przemilczał i dodał:

– Nie wiedzieliśmy, że tak blisko. Daj, Boże, żeby to się jak najszybciej skończyło.

Pociągnął Jacka na bok.

– Słyszałeś? – spytał szeptem.

Rudy przytaknął.

– Wiejemy, jak mi Bóg miły. Taka okazja. Do Częstochowy. Do domu. Ja muszę, rozumiesz? Tam moja rodzina. Mogą mnie potrzebować.

Rudy tylko głową kiwał. Janek spojrzał mu prosto w oczy.

– Idziesz ze mną?

– Idę – odpowiedział bez zastanowienia. – Lepiej niech mnie ubiją gdzieś po drodze do domu, niżbym miał tam wrócić. Tylko jak? Gdzie się schowamy?

– Pod plandekę. Do wagonu z węglem wleziemy. Trzeba tylko..., żeby nie zauważyli.

Pomyślał chwilę.

– Wiem. Poproszę go o pomoc.

– Kogo?

– No, tego kierowcę.

– Myślisz, że można mu zaufać.

– Musimy zaryzykować.

Plan był dobry. Potrzeba było tylko trochę szczęścia i wszystko mogło się udać. Kierowca obiecał pomoc. W czasie, kiedy pociąg ruszał, cofnął autem z takim impetem, że wjechał w stojące na peronie skrzynie i zaczął trąbić klaksonem tak długo, że zrobiło się zbiegowisko i uwaga wszystkich skupiła się na pozorowanym wypadku. Janek i Rudy wykorzystali szansę i szybko schowali się w zaplanowanym miejscu. Kiedy pociąg ruszył, poczuli się bezpieczniej.

Szaleńczy to był pomysł. Przemarzli do szpiku kości, jedynie gruba plandeka i wola przetrwania uratowały ich przed niechybną śmiercią. Po kilku godzinach jazdy usłyszeli odgłosy walki – armatnie wystrzały i latające samoloty. Pociąg zwolnił. W końcu zatrzymał się.

Dookoła słyszeli biegających ludzi, rozkazy wydawane po niemiecku, jeżdżące auta. Bali się wyjść, czekali nocy.

Kiedy zrobiło się ciemno i wszystko ucichło, zdecydowali się opuścić kryjówkę. Na szczęście nikt ich nie zatrzymał. Pobiegli do pobliskich zabudowań i ukryli się w jakiejś piwnicy, a rano, kiedy wyszli, ujrzeli jadące szosą radzieckie wojska. Stanęli razem z cywilami i radośnie witali wyzwolicieli.

– I co dalej? – spytał Rudy.

– Chodź ze mną. Przebrać się musisz i przeczekasz, co najgorsze, a później coś wymyślę i... stąd masz już niedaleko, tylko z osiemdziesiąt kilometrów.

– Wolałbym od razu.

– Nie możesz. Zobacz, jaki zamęt na ulicach – wskazał na grupę ludzi, którzy właśnie zrzucili ze ściany budynku miejscowego NSDAP dwumetrową gapę, godło upadłej III Rzeszy, i rozbijali ją na kawałki.

Dookoła ludzie witali się z wybawcami, rozmawiali, przynosili jedzenie i wodę. Jedni płakali, inni się śmiali, jeszcze inni razem z żołnierzami pomagali chorym wsiadać na wozy przy pobliskim, zbombardowanym budynku.

– No właśnie, dlatego – Rudy wskazał na tłum. – Nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Janek machnął ręką.

– Wiem, że i tak cię nie przekonam. Już trochę cię znam. Drugiego takiego upartego osła jak ty, to nie ma. No, dobrze – westchnął. – Ale najpierw pójdziesz ze mną do klasztoru, na Jasną Górę, a później przeprowadzę cię do drogi, na Łódź. Na pewno będą jakieś wozy jechać. No i tam się pożegnamy, bo mi pilno do swoich.

– Po co? – zdziwił się Rudy.

– Co po co? Aaa!... Podziękować Najświętszej Panience za ratunek i prosić o to, abyśmy tych, których kochamy, zastali żywych i zdrowych w naszych domach.

Rudy nie odpowiedział. Poszedł za przyjacielem.

Kiedy dostali się na klasztorne wzgórze, zobaczyli sporo zniszczeń: okna pozbawione szyb, porozrzucane skrzynie i fruwające papiery, a na dziedzińcu niemal do szczętu spaloną ciężarówkę. Weszli do Bazyliki, a potem do kaplicy, w której wisiał cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

W środku było pusto. Padli na kolana i modlili się w ciszy i zadumie. Każdy po swojemu. Aż nagle usłyszeli hałasy i krzyki.

– Nu i gdje że twoj Bog? – krzyczał pijany radziecki oficer, wymachując pistoletem.

Obok niego szybkim krokiem szedł w białym habicie jeden z braci paulinów. Trzymał ręce złożone jak do modlitwy, zaklinając żołnierza na wszystko, co święte, by schował broń.

– Jeszcze się komuś krzywda stanie! Panie oficerze – błagał.

Janek i Rudy wbiegli do zakrystii i przyglądali się z ukrycia. Tymczasem oficer podszedł do ołtarza, krzyczał i bluźnił, a braciszek zasłaniał sobie uszy rękami i modlił się.

Młodszyj lejtnant skierował broń w kierunku obrazu i wystrzelił dwukrotnie, raniąc oblicze Matki Boskiej. Huk był olbrzymi. Zakonnik upadł na kolana i modlił się, a żołnierz na zmianę, śmiejąc się i mamrocząc coś pod nosem, wyszedł z kaplicy.

Na szczęście przezorność opiekunów klasztoru – ojców paulinów sprawiła, że już we wrześniu 1939 roku oryginalny obraz zastąpiono kopią, a oryginał ukryto – najpierw pod blatem stołu w klasztornej bibliotece, a później w specjalnie przygotowanej niszy, pod jej podłogą.

Rudy i Janek wycofali się tak, aby nikt ich nie widział. Po wyjściu z klasztoru bez przeszkód dotarli do północnych granic miasta, dyskutując po drodze o zdarzeniu, którego byli świadkami. Oburzeni zachowaniem radzieckiego żołnierza zrzucali winę na alkohol, bo nie potrafili znaleźć innej przyczyny. Wkrótce pożegnali się, obiecując sobie, że jeszcze się spotkają.

Jacek zabrał się furmanką z powracającymi z robót ludźmi. Okazało się, że aż do Zalesnej, wioski koło Bełchatowa. Dalej szedł na własnych nogach. Zmęczony i zziębnięty myślał o chwili, w której zapuka do drzwi i pojawi się w nich Rozalka – jego Rozalka. Radosna i roześmiana wpadnie mu w objęcia i będą szczęśliwi, i na zawsze razem.

Było już blisko, ale w Wygodzie, na rozstajach, natknął się na jadące sanie. Zdziwił się bardzo, kiedy zobaczył siedzących w nich czterech Niemców. Trzech, ubranych w oficerskie płaszcze i czapki. Chciał uciekać, ale skierowany w jego stronę pistolet zatrzymał go w miejscu. Siedzący z tyłu oficer trzymał na kolanach rozłożoną mapę i przeglądał ją, świecąc latarką. Rozmawiali chwilę, w końcu jeden z nich, okryty białą kurtką z kapturem, odezwał się łamaną polszczyzną:

– Prowadź na nocleg.

Rudy nie tłumaczył się, bo i cóż miałby im powiedzieć. Zastanowił się chwilę, stanął z boku na płozie, i pojechali w kierunku Grębocin. Po kilku minutach zatrzymali się przed zagrodą Leona Kasikowskiego. W domu wszyscy dawno spali, ale kiedy zaczęli pukać w okno, w środku zabłysło niewielkie światełko karbidówki.

– Aufmachen! – zabrzmiało złowrogo.

Kiedy drzwi uchyliły się, weszli do środka. Domownicy ze strachem przyglądali się nieproszonym gościom.

– Nagrzejcie wody, matko, będziemy się golić. I jeść dajcie – poprosił oficer.

Zdjął wierzchnie okrycie i rozłożył mapę na stole. Kamraci dołączyli do niego. Mierzyli coś na niej, dyskutowali, wskazywali palcami, to w jednym, to w drugim kierunku. Ostatecznie, najstarszy z nich, uderzył mocniej palcem w jeden punkt. Widać było, że podjęli decyzję.

Rudy wszedł razem z nimi. Stał z boku i przyglądał się z ciekawością. Z początku nie odzywał się, ale kiedy Niemcy zaczęli zrywać z mundurów dystynkcje podszedł do gospodarza i wyszeptał:

– Panie Kasikowski.

Pan Leon spojrzał na niego zdziwiony.

– A ty skąd mnie znasz?

– Trochę pana znam. Jestem Jacek Witczak z Łobudzic, mąż Rozalki Olszewskiej ze Sromutki.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej.

– Jezus Maria. Nigdy bym cię nie poznał, aleś oberwał.

– Z niemieckiego więzienia uciekłem i do domu wracam, a oni mnie tu na trakcie dorwali i kazali jakiegoś noclegu szukać. Przepraszam, że akurat do pana ich przyprowadziłem, ale pana znam. Wiem, że dobry z pana człowiek, a oni tylko chcą zjeść, wypocząć i ruszą dalej.

Gospodarz podszedł do kredensu i tak, żeby nikt nie zauważył, wyjął wielką pajdę chleba.

– Masz, schowaj za pazuchę i idź do sieni, a później po drabinie na stryszek. Dominik tam siedzi, siostrzeniec mojej żony, schował się, jak zaczęliście się dobijać. Czekaj tam i nie wychodź, póki nie powiem.

Rudy bez sprzeciwu wykonał polecenie gospodarza i razem z Dominikiem obserwowali przez szparę w suficie dalszy przebieg wydarzeń.

Kiedy zaczęło świtać, uciekinierzy zaczęli przygotowywać się do dalszej drogi. Założyli pasy i kabury z bronią, przygotowali granaty. Zabrali chleb, ser, kilka jajek i kazali prowadzić się w kierunku Janowa. Dominik pokazał im drogę, ale po chwili biegł już z powrotem, krzycząc i wymachując rękami.

– Ruskie, wujo! Ruskie idą!

W oddali widać było nadciągające oddziały Armii Radzieckiej – jezdni, zmotoryzowani i piechota. Szli i jechali grupami, po kilkunastu, kilkudziesięciu żołnierzy z końmi, wozami i bronią, w odstępach kilkudziesięciometrowych. Szli od Piotrkowa na zachód, wytyczonym przez inżynierów Napoleona szlakiem. Najkrótszą drogą, nie omijając wsi i osad, w których stawali na popas i uzupełniali zapasy. A brali, co chcieli.

Już po chwili obejścia i domy w Grębocinach i pobliskich wioskach wypełniły się głodnymi żołnierzami.

Jeden z nich podszedł do Kasikowskiej. Wystraszona kobieta przeżegnała się szybko.

– Nu szto ty djełajesz, chazjajka? – zdziwił się. – Kartoszka[80] u was jest? – dodał.

Gospodyni skinęła głową.

– Nu, dawaj! – uśmiechnął się, pokazując pożółkłe zęby, w tym jeden złoty.

Nagle rozległy się strzały, to jeden z żołnierzy strzelał z pepeszy do kur. Pozbierał je później i pourywał głowy. Drugi przyniósł snopek słomy i już po chwili, pośrodku podwórza, płonęło ognisko, na którym po nadzianiu na patyki opalali drób, z pierza. Kiedy się posilili, rozstawili warty, a pozostali zanieśli do domu słomę i położyli się spać – po piętnastu, w każdej izbie.

---

[80] *Kartofle.*

Rudy cały czas siedział na strychu, ale Dominik był na podwórzu. Z przejęciem i ze zdziwieniem obserwował poczynania czerwonoarmistów. Nagle jeden podszedł do niego.

– Uszaka majesz? – spytał.

Chłopak wzruszył ramionami. Nie bardzo wiedział, o co go pytają, zrozumiał dopiero, kiedy zobaczył wyprowadzanego ze stajni konia.

Żołnierz wziął wiszący na płocie drut i kilkoma sprawnymi ruchami skręcił z niego uprząż. Młody ogier bronił się przed jej założeniem, ale dostał kawałkiem rózgi i ustąpił, a on dosiadł go i pojechał.

Wszystko toczyło się bardzo szybko. Po dwóch, może trzech godzinach odpoczynku, zarządzili pobudkę i szykowali się do wymarszu. Stanęli w nieładzie, w dwuszeregu. Starszyna ustawił przed nimi beczkę bimbru i nalewał każdemu, po metalowym kubku. Podchodzili po kolei i pili jednym haustem.

– A ty szto? – spytał ze zdziwieniem wojaka, który udawał, że pije i ukradkiem chciał wylać resztę do bańki.

– Pjej![81]

Kiedy żołnierz odmówił, frontowiec nie powtórzył drugi raz, tylko przyłożył mu z pięści tak mocno, że poleciała krew z wargi i sprawdzał, czy ma wszystkie zęby.

– Budjesz wjesieł i zdarow – dodał. – Jeścio sjewodnja w Bierlinie budjesz i Gitjlera za jajca shwatisz.

Po kilku minutach wojsko wyszło, zostawiając bałagan, pustą oborę i kurnik, ale na szczęście żywych i zdrowych ludzi.

Rudy zmienił plany i poszedł w kierunku Łobudzic. Pomyślał, że stamtąd ma już tylko kawałek do rodzinnego domu, więc przywita się z rodzicami i pójdzie dalej.

– Czekaj! Idę z tobą – krzyknął za nim Dominik. – Pokażę drogę – chciał się do czegoś przydać.

Rudy uśmiechnął się.

---

[81] Pij.

– Nie trzeba – odpowiedział. – Znam te tereny jak własną kieszeń. Z Łobudzic jestem. Niedaleko jest dom moich rodziców – mały, kryty słomą, ale tam się urodziłem.

Szli na skróty przez las. Śniegu nie było dużo, ale w pięknym, zimowym słońcu iskrzył się i skrzypiał pod stopami.

Dominik starał się nawiązać rozmowę:

– Tu, za tym laskiem, mieszkała moja babcia Brygida – wskazał kierunek. – A tu, na tej łące, dostałem lanie od helmutów.

Rudy spojrzał na niego.

– U Kasikowskiego mieszkasz? – spytał.

– To mój wujo. A ciotka Kunegunda to mamy siostra. Za parobka tam robię, bo resztę rodziny do Rzeszy mi wywieźli, do Hanoweru.

– Ile ty masz lat?

– Siedemnaście.

– To już prawie dorosły jesteś. Mów mi Rudy – podał mu rękę.

Dominik uśmiechnął się i odwzajemnił uścisk.

– Ja jestem Dominik Grajnert, ale wołają na mnie Domin.

Umilkli na chwilę, bo przedzierali się przez gęsty zagajnik.

– To jak to było z tymi helmutami? – spytał Rudy, gdy już znaleźli się na otwartej przestrzeni.

– No właśnie tu, dokładnie w tym miejscu, na tej polanie, szedłem sobie i nagle widzę dwóch żandarmów konno jedzie – Zaber z Reichu i Hanke z Pawłowej. Chciałem przejść na drugą stronę i tak wyszło, że w ostatniej chwili przeciąłem im drogę. Zatrzymali się i jeden kazał mi podejść. No to podszedłem, a ten wyjął nogę ze strzemienia i kopnął mnie w twarz. Całe oko miałem spuchnięte, i taki krwiak – pokazał rękę złożoną w pięść.

Tak rozmawiając wyszli na szosę w pobliżu kościoła, ale kiedy zobaczyli, jak radzieccy żołnierze prowadzą jeńców, ukryli się na podwórzu, przy najbliższej chałupie.

– Schowaj się! – powiedział Rudy, kiedy Domin zaczął podglądać zza węgła.

– Tylko zerknę. Nie zobaczą mnie.

Patrzył i relacjonował:

– Dwunastu ich jest... Od Rochowskiego lasu ich prowadzą... Ciekawe, co z nimi zrobią?

Rudy pociągnął go za ubranie.

– Mówię ci, lepiej niech cię nie widzą. Nigdy nie wiadomo... Myślę, że... – zastanowił się i dodał. – Pewnie ich zbiorą w kupę i gdzieś dalej odstawią, może do Piotrkowa?

Dominik wyjrzał ponownie.

– Pod parkanem, przy kościele ich ustawili... Słyszysz, jak Ruskie się śmieją?

Nastała chwila ciszy, aż nagle rozległy się pojedyncze strzały z pistoletu. Chłopak przylgnął do ściany, oddychał szybko.

– Aleś zbladł – stwierdził Rudy. – Niezwyczajny jesteś. Ja to już się napatrzyłem na śmierć.

Domin spojrzał na niego przejęty, mówił szybko, ledwie przełykając ślinę przez zaschnięte gardło.

– Po kolei do każdego podchodził i w głowę strzelał – w jego oczach widać było strach.

Rudy spojrzał w tamtym kierunku.

– No i po kłopocie – stwierdził. – Nie ma co ich żałować. Mają za swoje. Oni nie takie rzeczy nam robili – zamyślił się. – Nawet nie podejrzewasz, do czego zdolni są ludzie.

Wyjrzał ponownie.

– Ciągle ich pełno. Idę dalej, ale nie będę im się przed nosem kręcił. Potem do rodziców zajrzę, a ty wracaj.

Dominik wrócił do Grębocin, a Rudy postanowił iść prosto ulicą Piotrkowską, nie kryjąc się po lasach, gdzie mógł być złapany i wzięty za Niemca. Bez przeszkód przeszedł od ulicy Wschodniej na tyły kamienicy w Rynku i zapukał do swojego mieszkania. Serce waliło mu jak młotem. I cieszył się, i obawiał, bo zmienił się przez te lata, ale... czy ona jeszcze będzie go chciała? Nie jest już tym samym człowiekiem, oprawcy pozbawili go wszelkich uczuć, no chyba z wyjątkiem miłości do żony i syna. A Maciuś? Maciuś jest już dużym chłopcem. Jak go przywita?

Nagle drzwi otworzyły się i w progu stanęła Rozalka. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, po czym rzuciła mu się na szyję. Łzy radości i szczęścia płynęły z obu par oczu. Stali tak długo, przeżywając bez słowa radość spotkania.

Po chwili Jacek dostrzegł jasnowłosego chłopca, który stał z boku i z ciekawością przyglądał się niecodziennej scenie. Schylił się i wyciągnął do niego ręce, ale chłopczyk podbiegł do mamy i schował się za spódnicę.

– Maciuś – powiedziała, ocierając łzy. – To twój tata.

Maciek wychylił głowę i patrzył na ojca, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości.

Roza spojrzała na męża.

– Może cię opatrzyć? – spytała, przyglądając się jego twarzy. Nie chciała go o nic wypytywać, czując, że to drażliwy temat.

– Czy może najpierw zjesz? – dodała.

– Tak. Głodny jestem – odpowiedział.

Wszedł i usiadł przy stole. Rozejrzał się dookoła. Dłuższy czas przyglądał się krzątającej się w kuchni żonie i Maćkowi.

– Urósł – powiedział w końcu.

– Pewnie, że urósł, już trzy latka skończył – uśmiechnęła się i dalej szykowała jedzenie.

– Miałem wejść do rodziców, ale trafiłem na Ruskich w Łobudzicach, koło kościoła. Niemców złapali i zabili ich przy parkanie.

Roza spojrzała na niego i dodała:

– Większość już uciekła, ale pojedynczych jeszcze wyłapują, jak te zające po lasach ich gonią. Na Rynek ich zwożą i sprawdzają. Sąsiad mówił, że SS-manów szukają.

Rudy jakby nie słyszał, mówił dalej.

– Bałem się, że mnie też za Szwaba wezmą, więc nie poszedłem. Jutro do matki i ojca zajrzę.

Rozalka podeszła do męża, usiadła przy nim i złapała go za rękę. Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, czując, że stało się coś złego.

– Twoi rodzice nie żyją – powiedziała, ledwie hamując łzy.

Jacek nie odezwał się, patrzył przed siebie.

– Ojciec już rok temu zmarł. Pił niemal codziennie. Znaleźli go zamarzniętego w sylwestra, na ulicy Wolności, a matka... ona niemal równo rok po nim. Będzie ze trzy tygodnie, jak ją pochowaliśmy. Też zamarzła.

Spojrzał na nią gwałtownie, widać było, że czeka na wyjaśnienia.

– Nie wiedziałam, jak mi Bóg miły, nie wiedziałam, a przyjść do nas nie chciała. Wiesz przecież, jaka była, ale gdybym wiedziała, to przecież bym coś zrobiła.

– Co zrobiła? Co się stało? – spytał ostro.

Żandarmi po wsiach ludziom torf kradli. W Bujnach, w Łobudzicach, u nas w Sromutce też – pan Józef Kałużny na zapalenie płuc zmarł, bo nie miał, czym palić.

Rudy zerwał się od stołu, spojrzał na żonę, potem na syna. Stał tak dłuższą chwilę, nie wiedząc, co robić. Jego zmęczone, zaczerwienione oczy i błędny wzrok wskazywały na wewnętrzną walkę, którą toczył. Co ma powiedzieć? Jak się zachować? Jego matka zmarła, bo nie było nikogo, kto by jej pomógł... Chciał wyjść, wyjść i nie wracać. Spojrzał jeszcze raz na syna, który przyglądał mu się jasnymi, niewinnymi oczkami... W końcu usiadł powoli i ukrył twarz w dłoniach.

Rozalka przytuliła Maćka i zalała się łzami.

***

Wojna toczyła się dalej. Codziennie wyzwalano nowe miasta, wsie i ludzi spod jarzma niemieckiej niewoli. Armia radziecka i polska parły na Zachód, na Berlin, aż do ostatecznego zwycięstwa. Tam, gdzie już się zakończyła, uczono się żyć od nowa. Od nowa kochać i budować szczęście, bo zostawiła po sobie wiele złego – zabrała życie milionom osób, zniszczyła przeszłość i przyszłość, wyzwoliła w ludziach najgorsze instynkty. W wielu domach przeżywano tragedie. Tylko wiara i czas mogły zabliźnić rany.

Mieszkańcy Zelowa powoli i niepewnie zaczęli wychodzić na ulicę i witać wyzwolicieli, machając biało-czerwonymi flagami. 19. stycznia 1945 roku był dla nich dniem radości i nadziei na lepszą przyszłość. Rosjanie przynieśli upragnioną wolność. Większość ludzi cieszyła się z tego, ale byli i tacy, którzy obawiali się nowego ładu, wiedzieli, że ich życie zmieni się wraz z nowym porządkiem. Jednak wszyscy cieszyli się, że nie ma już Niemców.

***

Kiedy do Kühlungsborn zawitała wiosna, widać było, że Niemcy już w „portki robią". Nerwowość i niepewność towarzyszyły im na każdym kroku. Psioczyli jeden na drugiego, odreagowując stres na grzbietach robotników.

Front był coraz bliżej. Ze wschodu nadciągały oddziały Armii Radzieckiej, na zachodzie – 40. kilometrów od nich, stacjonowały już jednostki angielskie.

Na trzy dni przed spodziewanym wkroczeniem wojsk nieprzyjaciela, w majątku i w jednostce, zarządzono ewakuację. Samoloty odleciały, a specjalistyczny sprzęt załadowano na ciężarówki i wywieziono. Właściciel, jaśnie pan von Rude, spakował się i wyjechał już kilka dni wcześniej. Niemcy niszczyli w pośpiechu to, czego nie mogli zabrać ze sobą – budynki wysadzali, a dokumenty palili – w tym wszystkie papiery robotników. Radzieckich jeńców rozstrzelali pod lasem.

A gdy 3. maja weszli Rosjanie...

Był piękny słoneczny poranek. Niemców nie było już w majątku. Robotnicy siedzieli w barakach i czekali – nie było porannego apelu i nikt nie gonił ich do pracy.

– Myślicie, że nas puszczą do domu? – spytała Tereska.

Nikt nie odpowiedział. Każdy zadawał sobie w duchu to samo pytanie, ale nie znał odpowiedzi.

Bartek chodził nerwowo od okna do drzwi. Maniek za nim.

– Nie łaź tak za mną – zbeształ chłopaka.

– To co mam robić? – stanął pośrodku izby.

Bartek wzruszył ramionami.

– Pluj i łap i po... – nie dokończył.

– Sam byś usiadł i się uspokoił – wtrąciła Maria.

Spojrzał na nią, potem na pozostałych.

– Jak mam się uspokoić? Jugosłowianie już uciekli. Nie czekali jak my, zresztą wielu naszych też już nie ma. Marysiu! Może my też. Nie wiadomo, co będzie dalej.

– Czekamy – powiedziała spokojnie Maria.

Siedzieli więc ubrani i spakowani, gotowi na każdą ewentualność. Nagle usłyszeli warkot motoru. Podbiegli do okna. Na plac wjechał motocykl, a na nim dwóch radzieckich żołnierzy. Zatoczyli koło i zatrzymali się. Tuż za nim, po kolei, wjeżdżały samochody, konne wozy, kolejne motocykle. Na końcu szła piechota. Dookoła piechurów żołnierze na koniach. Zrobił się szum i zamieszanie. Do baraku wpadło kilku żołnierzy z „pepeszami".

– Wychaditie – krzyknął jeden. – Nu, wychaditie – dodał. – My was aswobodili. Gitljer kaput.

Zaczęły się uściski i podziękowania. Radość, wiwaty. Kobiety przyniosły kwiaty. Jedni żołnierze świętowali, inni szybko rozstawili warty i zaczęli sprawdzać teren. Rozpoczęła się też kontrola ludzi. Mężczyzn sprawdzali dokładniej. Szukali ukrywających się Niemców.

– Oni uciekli – próbował tłumaczyć jeden z robotników. – Ostatni z godzinę temu. Tam ich szukajcie – wskazał na zachód.

– Nasze papiery? Nie mamy. Nikt nie ma. Spali nasze dokumenty – odpowiadał na pytania.

Kontrole trwały, ale w tym czasie ustawiono na placu prowizoryczne stoły, na których, nie wiadomo skąd, znalazło się mnóstwo jedzenia, a niemal wszystko amerykańskie, jedynie wino i szampan z pałacowej piwnicy.

Do ucztujących oficerów podjechał na oklep żołnierz.

– Tawariszcz lejtnant. Razreszitie mnje pajehat' w sjeło.[82]
Po krótkiej wymianie zdań dowódca machnął ręką.
– Nu, ujeżżaj – zezwolił.
Jeździec wrócił po godzinie i zameldował swój powrót. Lejtnant spojrzał na niego rozpromienioną, czerwoną od alkoholu, twarzą.
– Nu i szto? – spytał.
Po chwili dostrzegł na rękach żołnierza kilkanaście zegarków, przypiętych niemal jeden, na drugim.
– Nuuu!!! – krzyknął. – Maładiec![83]
Rozpoczęły się tańce i ucztowanie. W radosnej euforii dowódca wydał rozkazy dotyczące robotników.
– Dajcie im konie i wozy. Niech wracają do domów.
Radość była nieopisana. Wszyscy w pośpiechu ładowali się do wozów. Zezwolono im wziąć trochę jedzenia i niemieckie mundury z magazynu, który nie spalił się do końca. Bartek i Maniek wzięli po jednym.
– Tylko zedrzyj te gapy! – zdarli niemieckie naszywki.
– Patrz, saperki!
Maniek wyciągnął spod sterty mundurów buty.
Bartkowi aż oczy zaświeciły się na widok nowego obuwia.
– Pokaż! Nie ma drugich?
– Nie ma – odpowiedział Maniek.
Bartek przystawił je do nogi.
– Ale na mnie i tak za małe. Na ciebie będą w sam raz.
Marian założył buty. Zrobił kilka przysiadów i podskoków.
– No, teraz to mogę iść, choćby na kraj świata – powiedział uradowany.
– Starczy tego – zarządził Bartosz. – Idziemy, bo będą się pieklić.
Dziewczyny czekały już na wymoszczonym sianem wozie.
– Gdzie Bartek? – spytała Maria.

[82] *Pozwólcie mi pojechać do wsi.*
[83] *Zuch.*

– Dopiero co szedł ze mną – odpowiedział Maniek i rozejrzał się dookoła. – Tam! – wskazał na sąsiedni wóz, przy którym Bartek pomagał wsiąść kobiecie z zabandażowaną nogą.
– Bartek! Chodź już! – zawołała go Sabinka. – Czy on zawsze wszystkim musi pomagać?
– Taki już jest – powiedziała Maria i kiwnęła na chłopaka.
Przybiegł zdyszany, ale uśmiechnięty.
– No, już jestem – otarł pot z czoła. – Sama by nie poradziła – dodał.
Wskoczył na wóz, cmoknął i lekko machnął lejcami.
– Wio! Kasztanka! Wio! – krzyczał uradowany.
– W imię Ojca i Syna – przeżegnały się kobiety. – Jedziemy do domu!

Kiedy minęli nadmorskie tereny, krajobraz zmienił się. Ujrzeli pokryte soczystą zielenią pola żyta i pszenicy, obsypane kwiatem jabłonie i przydrożne grusze, i drogi pełne furmanek, ciągniętych przez konie lub ludzi, wózki zapchane walizami, kuframi i tobołkami, i szczęśliwych, wyzwolonych, wracających do ojczyzny ludzi.
Jechali całą noc. Nad ranem dotarli do miasta Teterow.

– Jakieś większe miasto przed nami – powiedziała, budząc się Maria.
Bartek spojrzał na siedzącą obok dziewczynę.
– Gorzej, że kontrola nas czeka.
Z daleka widać było zagrodzoną szosę i obstawiony workami z piaskiem karabin maszynowy.
– Obudź resztę – dodał.
Podjechali do punktu kontrolnego. Wyszedł do nich radziecki żołnierz i zażądał dokumentów.
– Nie mamy, towarzyszu żołnierzu – Maria uśmiechnęła się sztucznie, chcąc stworzyć miłą do rozmowy atmosferę, ale serce waliło jej jak młotem.

Czuła wewnętrzną niechęć i nienawiść do bolszewika, do człowieka, który być może zabrał jej Stacha. Wartownik przyjrzał się siedzącym na wozie. Spojrzał w wystraszone oczy Tereski i Sabiny i uśmiechnął się, ale kiedy spojrzał na Bartka, wycelował w niego automat.

– Dakumjenty – powtórzył.

Chłopak rozłożył ręce.

– Nie mam. Niemcy nam spalili. My z robót wracamy. Ponad trzy lata musieliśmy dla szkopów robić.

Żołnierz niby to słuchał, ale chyba nie rozumiał po polsku.

– Shodite s tjeljegi[84] – machnął bronią. – S tjeljegi! Wsje! – dodał ostrzej.

Zaprowadzili ich do wielkiego garażu, w którym było mnóstwo ludzi i niewiele maleńkich okien, i to tylko pod sufitem.

W środku panował półmrok. W słabym świetle żarówek ledwie widzieli swoje twarze. Było ciasno i duszno.

– I co teraz? – spytała Tereska z oczami pełnymi łez.

Innym też niewiele brakowało do płaczu. Nikt z siedzących razem z nimi ludzi nie potrafił powiedzieć, co będzie dalej. Nikt też nie miał dokumentów. Narzekali i wołali, żeby ich wypuszczono, ale ich prośby pozostawały bez echa. Nie pozwolono im wyjść nawet za potrzebą, więc wkrótce duchota i smród były nie do zniesienia.

– Ludzie! – krzyknęła jakaś kobieta. – Zróbmy coś. Przecież się tu podusimy!

– Niby co mamy zrobić? – spytał starszy mężczyzna.

– Wołajmy! Może w końcu się zlitują – zaczęła krzyczeć i uderzać pięściami w drzwi.

Dołączyło do niej kilka osób, ale szybko przestali, bo kobieta osunęła się na ziemię i zemdlała. Zaczęli ją cucić.

– Ludzie! Ona jest w ciąży – powiedział mężczyzna, który był przy niej. Zróbcie jej trochę miejsca.

---

[84] *Schodzić z wozu.*

– Otwierać skur...syny!!! – zaczął kopać w drzwi. – Ciężarna tu jest!

Jakaś kobieta usiadła przy niej i przetarła jej czoło chusteczką.

– Boże...! Jeszcze nam tu rodzić zacznie! – zaczęła uderzać ją po policzkach.

Dziewczyna ocknęła się. Była blada jak ściana.

– Już mi lepiej. Już lepiej – powoli dochodziła do siebie.

Mimo sprzeciwu współwięźniów Bartek zaczął przepychać się w kierunku niewielkiego okienka, pod którym leżał węgiel. Maniek szedł za nim, a tuż za jego plecami dziewczęta.

– No, tutaj można trochę odetchnąć – powiedziała Sabinka, łapczywie łapiąc powietrze. – Bo ja też bym zaraz fiknęła.

Późnym popołudniem wrota garażu uchyliły się. Ludzie zaczęli krzyczeć i napierać w kierunku wyjścia.

– Wypuście nas! Kacapy![85] Jesteście gorsi od hitlerowców! – padały różne epitety.

Ruscy zablokowali wyjście wartownikami. Jeden z nich wystrzelił serię w powietrze. W pierwszej chwili zwiększyło to tylko krzyki mężczyzn i lament kobiet, ale wkrótce przycichli. Wtedy kazano im przygotować miski i łyżki. Po kolei pojedynczo wychodzili z garażu. Podchodzili do wielkich, polowych kotłów, gdzie dawano im zupę, ale ci, którzy nie mieli naczyń, dostawali tylko suchy chleb. Po lichym posiłku znów wrócili do swojego więzienia.

Po czterech dniach męczarni, nocą z 8. na 9. maja 1945 roku, przetrzymywani w nieludzkich warunkach ludzie usłyszeli krzyki i strzały. Wszyscy zerwali się na równe nogi.

– Co się stało? – wyszeptała wystraszona Tereska.

---

[85] *Pogardliwe określenie Rosjanina.*

– Pewnie Niemcy front przerwali – odpowiedział Bartek, próbując wyłapać wśród okrzyków jakieś zrozumiałe słowa.

– To może nas wypuszczą i wrócimy do Kühlungsborn? – wtrąciła Sabina.

Maniek spojrzał na nią spode łba.

– Chcesz znowu do nich na Arbeit trafić?

– Wolę już do Niemców niż tutaj siedzieć! – odpowiedziała ostro, ale zaraz przeżegnała się i dodała: – O Boże! Co ja gadam!

Krzyki i odgłosy wystrzałów nasilały się z każdą chwilą.

– Oni chyba na wiwat strzelają? – odezwał się ktoś, kto był najbliżej drzwi. Hitler kaput krzyczą... Ludzie...! Ludzie...! Koniec wojny!

Wszyscy z niedowierzaniem odebrali te słowa, ale po chwili wrota otworzyły się na całą szerokość. W świetle ognisk, jakie płonęły dookoła, zobaczyli biegających ludzi, tańczących i strzelających w górę żołnierzy. Przed garażem stanął wysoki rangą oficer.

– Wychaditie! Kaniec wajny! Wy wsje swabodnyje!

Po wyjściu na powietrze Maria usiadła na ziemi i oparła się plecami o ścianę baraku. Przejechała ręką po miękkiej trawie. Po chwili urwała całą garść, przyłożyła do twarzy i wciągnęła jej zapach. Czuła się jakaś lżejsza, jakby spadł z niej jakiś ciężar. Wtem podbiegły do niej Tereska i Sabinka, śmiejąc się i szczebiocząc radośnie, ciągnęły ją do tańca. Nie chciała. Odsunęła je delikatnie, żartując, że jest już za stara. Patrzyła daleko przed siebie i myślała o Staszku. „Teraz do mnie wrócisz. Teraz na nareszcie do mnie wrócisz" – tylko ta jedna myśl przychodziła jej do głowy.

Nagle zobaczyła idącego w jej stronę Bartka. Podszedł, pochylił się i pocałował ją w czoło, później usiadł obok niej. Uśmiechnęła się i delikatnie puknęła go w ramię. Chłopak odwzajemnił uśmiech, ale nic nie powiedział. Wiedział, że musi uszanować tę chwilę, wiedział, że Maria jest teraz ze swoim narzeczonym.

Dopiero rano zdecydowali, że jak najszybciej wyruszą w dalszą drogę. Przepustek ani żadnych zaświadczeń się nie doprosili. Niestety, konia i wozu także nie odzyskali. Ruszyli więc dalej pieszo.

Szosa była pełna takich jak oni. Szli i jechali, młodzi i starzy, zmęczeni, schorowani, a mimo to uśmiechnięci. Przymusowi wyrobnicy i tułacze wracali do Polski, do rodzin, do nowego życia. Bagaży nie mieli wiele – zaledwie liche, zdarte walizeczki i każdy po tobołku. Bez majątku, bez dokumentów, a jednak szczęśliwi. Niestety, już po godzinie, ponownie trafili na radziecki patrol. Ustawili się w długiej kolejce oczekujących na kontrolę. Wartownicy sprawdzali dokumenty i bagaże. Każdy był dokładnie obszukany. Jednemu zabrali pieniądze, innemu zegarek. Starali się, aby każdy zostawił im coś „na pamiątkę".

– Dakumjenty – padło znajome słowo.

– Nie mamy – odpowiedzieli, rozkładając ręce.

– Jakbyście nam wystawili jakiś papier, to w końcu moglibyśmy się nim okazać – powiedział odważnie Marian.

Wartownik spojrzał na chłopaka. Zmierzył go wzrokiem.

– Ot, charoszyje saposzki. Ano, snimaj![86]

Maniek cofnął się, ale żołnierz przytrzymał go za ramię.

– Ty idiosz damoj – dodał. – Ja tjebja aswobadił, tjebje nje nada.[87]

Maniek stał i udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

– Nu, snimaj! – powtórzył lekko zdenerwowany.

W końcu zdjął swoje brudne, zdarte buciory, złapał chłopaka za nogi, przewrócił na ziemię i na siłę ściągnął mu buty.

– Nu charaszo! Iditje – powiedział i popchnął ich, żeby przechodzili dalej.

[86] *Ot, ładne butki. Zdejmuj!*

[87] *Ty idziesz do domu – dodał. – Ja ciebie wyzwoliłem. Tobie nie są potrzebne.*

– No i po saperkach – powiedział smutno Maniuś, zerkając na swój duży palec u nogi, wychodzący z ruskiego buta.

– Co tam buty – odpowiedział Bartek. – W domu ojciec zrobi ci nowe. Ciesz się, że nas przepuścił.

Około południa zatrzymali się, aby odpocząć. Dołączyli do napotkanej grupy Polaków, którzy stali na poboczu. Już z daleka widać było, że są lepiej zorganizowani. Jechali w cztery wozy, każdy z przymocowaną biało-czerwoną flagą. Mieli też dwa rowery i własny prowiant.

– Chodźcie do nas – zaprosili ich przyjaznymi gestami.

– Skąd jesteście? – spytał wychudzony starszy pan w wypłowiałym garniturze.

Maria odpowiedziała na pytanie, po czym przedstawiła wszystkich po kolei.

– A my z Lublina. Jeżeli chcecie, to możecie jechać z nami. Będzie nam raźniej razem. Możecie też wracać pociągiem, tylko trzeba odbić z drogi, żeby dojść na stację. Może będzie szybciej, a może nie, bo pociągi to teraz „w cały świat" jeżdżą, dzień jedziesz, dwa dni stoisz.

Rozłożył mapę.

– My jesteśmy tutaj – wskazał palcem miejsce postoju – a tu kolej. Niedaleko, tą drogą ze trzy kilometry – dodał.

– A stamtąd gdzie?

– Stamtąd? Do Szczecina. A dalej to już trzeba na miejscu pytać.

Bartek i Maria spojrzeli na siebie, to wystarczyło, byli tej samej myśli. Spojrzeli na Mańka – on tylko głową kiwnął.

– To my bardzo dziękujemy za propozycję, ale wolelibyśmy jak najszybciej – powiedziała Maria. – Rozumiecie?

– Rozumiemy, rozumiemy – odpowiedzieli. – Szczęść wam, Boże!

Pożegnali się i poszli. Wkrótce dotarli na stację, w Stavenhagen. Pociąg właśnie ruszał. Sapał ciężko i dyszał, z przeładowania.

– Dawać! Dawać! – wołał do nich z pociągu jakiś mężczyzna, widząc, jak biegną peronem. – Zdążycie!

– Dokąd jedziecie? – krzyknął Maniek.

– Do Polski, chłopcze! Do Polski!

Biegli wszyscy, ile sił w nogach, a najszybciej Marian. Bartek zwlekał. Oglądał się za dziewczętami. Czy zdążą? Pierwsza wskoczyła do wagonu Sabinka i Teresa, później Maria i Maniek.

– Bartek! Bartek!

Pociąg jechał, coraz szybciej. Bartek był już blisko, już niemal chwytał poręczy, ale pociąg przyśpieszał, a on zostawał w tyle. Nagle ktoś chwycił go za rękę, niemal wyrwał z peronu i wciągnął do środka. Zdyszany chłopak patrzył na człowieka, który mu pomógł, a teraz nachylał się nad nim.

– Żyjesz? Eee! Żyjesz – stwierdził mężczyzna, patrząc na spoconego i czerwonego z wysiłku chłopaka.

Z początku Bartek nie mógł wydusić słowa, ale po chwili złapał oddech i wyszeptał cicho.

– Dziękuję... Zostałbym..., gdyby nie pan, to... to zostałbym.

Mężczyzna odszedł, a on oddychał już swobodniej, ale leżał jeszcze dłuższą chwilę i mówił do siebie:

– O mały włos... Boże, o mały włos... Chcę już do domu.

W pociągu siedzieli na korytarzu – w przejściu, w tłoku i zaduchu, wśród porozrzucanych gazet, walizek i tobołów, ale cieszyli się, że w ogóle jadą. Jednak nie była to szybka jazda, jak na początku mogłoby się wydawać. Pociąg zwalniał na każdym zakręcie, niemal do zera, zatrzymywał się, szarpał, jakby rzeczywiście praca, którą ma do wykonania, była ponad jego siły.

Wreszcie, nad ranem następnego dnia, dojechali do Szczecina.

Wolno wjechali na dworzec.

Tereska przykleiła nos do szyby i przyglądając się zabudowaniom i ludziom na peronie, spytała:

– Co teraz? Zapytamy kogoś?

– Pewnie nikt nic nie wie – wtrącił Marian.



Dworzec kolejowy w Szczecinie. „Dekawka" – auto koncernu DKW. (reprint)

– Pożyjemy, zobaczymy, bądźmy dobrej myśli – poważnie powiedziała Maria. – Zobaczcie, co dzień to bliżej jesteśmy – dodała.

Była pełna optymizmu, a nawet, jeśli czasem miała jakieś wątpliwości, to starała się ich nie okazywać i nadrabiała miną.

Nagle do wagonów zaczęli wskakiwać radzieccy żołnierze. Kazali wysiadać. Ustawili wszystkich wzdłuż pociągu.

Przed szereg wyszedł „starszyj kamandir".

– Priwijet, tawariszczi. Nam nużna pomoszć[88] – powiedział krótko i kiwnął ręką na wartowników.

– Desjat' ćeławiek paszli na kuchnju, dwadcat' ćeławiek k uglju i najditje mnje szafjora.[89] – wydał zwięzłe, ostre rozkazy, po czym odszedł, usiadł w samochodzie i czekał.

[88] *Witajcie towarzysze. Potrzebna nam pomoc.*

[89] *Dziesięciu ludzi do kuchni, dwudziestu ludzi do węgla i znajdźcie mi kierowcę.*

Wśród ogólnego zamieszania Rosjanie wybrali trzydzieści osób, oddzielili ich od pozostałych, nie pytając o zgodę.

– Bierite ciemadany i pajdjom. Drugije mogut jechat' dalsze[90] – zarządzili.

Marię wysłali do kuchni, Mariana do ekipy, która miała rozładować wagon z węglem. Tereska i Sabina zostały na dworcu.


Rzeczpospolita Polska

Przepustka

Przepustka Zofii Grabarczyk uprawniająca do wjazdu na teren Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

Ludzie byli oburzeni. Sypały się oskarżenia i epitety. Ktoś spytał:

– To po to nas od Niemca wyzwoliliście, żebyśmy teraz dla was robili? Mówiliście, że pójdziemy, gdzie będziemy chcieli, a teraz, co?

Sowieci nie zważali na protesty. Szukali jeszcze kierowcy.

Jeden z radzieckich żołnierzy chodził i po kolei wskazywał palcem kolejnych mężczyzn.

[90] *Bierzcie bagaże i chodźcie. Pozostali mogą jechać dalej.*

– Szafjor? Szafjor? – pytał.
Zatrzymał się przy Bartku.
– Pakaży dakumjenty.
Bartosz lekko spanikował. Obawiał się, że brak dokumentów może być powodem, że znowu go gdzieś zamkną i rozdzielą z przyjaciółmi.
– Jestem kierowcą – powiedział szybko. – Ja szafjor – powtórzył.
Żołnierz pociągnął go za koszulę.
– Bieri swoj ciemadan i pojditie k majoru[91] – wskazał na „Dekawkę", w której czekał oficer.
Bartosz opierał się chwilę, żal mu było zostawić przyjaciół, ale nie mógł nic innego zrobić.
– Czekajcie tu na mnie, niedługo wrócę! – krzyknął w ich stronę i wsiadł do samochodu.
Major kiwnął jeszcze na stojących w pobliżu dwóch lejtnantów, żeby wsiadali, po czym wskazał ręką kierunek jazdy i rzekł:
– Pajechali!
– Gdzie jedziemy, tawariszcz major?
– Na Breslau![92] – spokojnie odpowiedział wojskowy.
Bartek chwycił się za głowę.
– Ja muszę do domu!
– Pajedjesz, pajedjesz. Nu tjepier,[93] na Breslau.
Jechali wolno, omijając przemieszczające się w różne strony kolumny radzieckiego i polskiego wojska, widzieli domy, na których wisiały czerwone i biało-czerwone flagi. Mijali porzucone, stojące na poboczu ciężarówki i sprzęt wojskowy. Powywracane wozy i meble.
W mieście nie było większych walk, więc nie było zniszczeń, jedynie w porcie widać było wraki zatopionych do połowy statków oraz zburzone przez samych Niemców: dźwigi, mosty i nabrzeżne magazyny, ale kiedy minęli miejskie zabudowania, zobaczyli przerażający widok.

[91] *Bierz swój bagaż i idź do majora.*
[92] *Wrocław.*
[93] *Teraz.*


Zniszczony most kolejowy.

W drodze i dookoła niej widać było ślady wojny – sterczące kikuty drzew, głębokie leje po bombach, a wszędzie leżały trupy – napęczniałe, nadpalone ciała cywili i niemieckich żołnierzy oraz padłe konie i krowy – rozdęte, nabrzmiałe, pokryte chmarami much i gzów.
Mijali spalone miasta i wsie, i wędrujących wszędzie ludzi, wśród których widzieli zatroskane, zmęczone twarze, słyszeli płacz dzieci i modlitwę dorosłych. Spotkali też pierwszych osadników – repatriantów, Polaków, którzy postanowili od nowa, w nowym miejscu rozpocząć drugie życie.
Jechali długo, a stawali rzadko. Tylko, żeby coś zjeść, załatwić osobiste potrzeby i rozprostować kości.
Po dwóch dniach dotarli na miejsce.

Wrocław poddał się 6 maja 1945 roku, ale zanim to nastąpiło, bronił się zaciekle. Aby przeszkodzić wojskom radzieckim w zdobyciu miasta, Niemcy wyburzyli starówkę i niektóre budynki,

które mogły utrudnić obronę. Zbudowali barykady i zniszczyli większość mostów na Odrze, robiąc z miasta fortecę. Ogłosili je twierdzą – Festung Breslau. Mieszkańcy podpalali nawet własne mieszkania. Miasto płonęło. Było bez prądu i wody, ograbione i ogołocone.

Kiedy Bartek i jego pasażerowie dotarli na miejsce, pożary już wygasły. Powoli przywracano łączność, oczyszczano studnie, sprzątano ulice i świętowano.



Zdobycie Wrocławia przez Armię Czerwoną. (reprint).

Major Bieługow wskazywał drogę. Zerkał, co chwilę – raz na plan miasta, a raz do jakichś notatek.

W końcu wjechali w odpowiednią ulicę.

– Job twaju...! – zaklął szpetnie, kiedy ujrzał przed starą, trzypiętrową kamienicą dwie ciężarówki, a dookoła nich radzieckich żołnierzy z bronią gotową do strzału.

Pilnowali niemieckich jeńców, którzy ustawieni jeden za drugim, podawali sobie jakieś skrzynie, zegary i tobołki, ładując je na auta.

– Astanawitjes' tam![94] – rozkazał Bartkowi, wskazując miejsce pod wyniosłym drzewem.

Chłopak pojechał jeszcze kawałek i zatrzymał się.

Oficerowie przyglądali się chwilę zdarzeniu, oceniając sytuację i dyskutując nerwowo. W końcu major trzepnął ręką w kolano i znów zaczął kląć, na czym świat stoi.

– Job twaju...! Wazwraścjajemsja![95] – dodał przez zęby.

– Tą samą drogą? – spytał Bartek.

– Dawaj! – ryknął major.

Po drodze mijali grupy jeńców prowadzonych pod bronią, kolumny samochodów i wojska, a dalej, na obszernym polu pokrytym trawą, dziesiątki leżących obok siebie niemieckich żołnierzy i cywilów, z rękami związanymi z tyłu, pilnowanych przez żołnierzy i psy.

Zbliżała się noc. Miasto pozostało w tyle, ciemne i niemal niewidoczne. Widać było tylko jego zarysy na tle dogasającego nieba i gdzieniegdzie jasne punkciki ognisk.

Nagle Bieługow krzyknął:

– Stoi!

Bartek spojrzał na niego zaskoczony.

– Ja skazał, stoi! – wrzasnął.

Zapalił latarkę i zaczął przeglądać mapę, a po chwili zakomenderował:

– Na bliżajszem perekrostkie, na ljewo.[96]

Patrzył na zdziwionego Bartka.

– Nu, pajechali – powiedział już łagodniej, dodając niewielki, tajemniczy uśmieszek.

Po około pół godzinie dotarli do niewielkiego majątku.

---

[94] *Zatrzymaj się tam.*
[95] *Wracamy.*
[96] *Na najbliższym skrzyżowaniu w lewo.*

Na podjeździe, przed dworem, płonęły ogniska, a dookoła nich spali radzieccy żołnierze. Tuż przy wjeździe zagrodził im drogę patrol. Zatrzymali się. Major wysiadł z auta, wyjął jakiś dokument i okazał go wartownikowi. Po krótkiej rozmowie zezwolono im na wjazd i nocny postój.

O świcie rozległy się wezwania na zbiórkę. Bartek wyjrzał na podwórze przez szparę w stodole, w której spał. Żołnierze ubierali się szybko, zakładali pasy i buty, ustawiali się w dwuszeregu. Dyżurni ustawili przed nimi wiadra z wodą i metalowe kubki. Stanęli obok nich i czekali.

– Dawaj! A nuże! – wydał rozkaz dowódca oddziału, dodając ręką ponaglające gesty.

Każdy z dyżurnych wyciągnął zza pazuchy papierową saszetkę z jakimś proszkiem i wsypali go do wiader. Zamieszali patykiem. Żołnierze podchodzili po kolei i pili, każdy po kubku mikstury.[97] Otrząsali się przy tym i kasłali. Bartosz zastanawiał się, co robią, ale po chwili, widząc ich zadowolone, roześmiane twarze i zaróżowione policzki, zrozumiał, choć dziwił się, bo pierwszy raz widział coś takiego.

Żołnierze wsiedli do ciężarówek i odjechali. Dookoła zrobiło się cicho i pusto. Bartek wyszedł na podwórze. Zaglądał to tu, to tam, zastanawiając się, gdzie mógłby coś zjeść, ale natknął się na majora, który też go dostrzegł z daleka i kiwnął na niego, żeby podszedł.

– Tawariszcz major. Niech mnie pan zwolni, ja muszę... do domu, muszę do rodziny, tyle lat na mnie czekają. Dajcie, tawariszcz major, przepustkę i pojadę – błagał.

Stał przed sowieckim oficerem, który siedział, a właściwe niemal leżał na wystawionym z dworku fotelu. Nogi miał oparte na krześle, mundur rozpięty. Przyglądał się chłopakowi przez dłuższą chwilę, ogryzając kawałek pieczonej kury. W końcu skończył,

[97] *Płyn sporządzony z kilku składników. Tu – opis alkoholu w proszku.*

rzucił kość wałęsającemu się psu, otarł usta kawałkiem szmaty i powiedział przeciągle:

– Nu, szafjor! Snaćała zdjełasz szto ja tjebja skażu.[98]

Rozejrzał się dookoła i cichym głosem powiedział:

– Wazmjosz naszu maszynu, wjedjosz w owin, zakryjesz trjapkami i tściatelna zasypjesz mjakinoj. Poslje etawa dałażysz mnje o wypolniennoj zadaći.[99]

Sięgnął po drugi kawałek kurczaka i rzucił Barkowi.

– Tolko nikamu ty nie gawari ab etam, w pratiwnom slucjaje...[100] – skierował w jego stronę wyciągnięte dwa palce i wydał dźwięk podobny do wystrzału.

– Wsjo jasna? – spytał.

– Jasne – odpowiedział mu bez entuzjazmu Bartosz.

Odszedł powoli i zajął się wykonaniem rozkazu.

Ledwie skończył robotę, a już na podwórzu zjawili się kolejni żołnierze. Nauczony ostrożności chłopak najpierw przyjrzał się z ukrycia przyjezdnym, ale kiedy zobaczył, kto to, niemalże wyskoczył ze stodoły.

Na dziedzińcu i pod budynkami gospodarczymi lokowali się Polacy – oddział Wojska Polskiego. Podbiegł do nich roześmiany i szczęśliwy.

– Panowie, jak dobrze was widzieć – krzyczał.

Biegał od żołnierza do żołnierza, opowiadając, że jest Polakiem, że był wywieziony na roboty do Niemiec, że wracał, że Ruskie każą mu się wozić, a on chciał do Polski...

Po jakimś czasie zauważył, że tak naprawdę nikt nie interesował się jego osobą, każdy tylko przytakiwał i poklepywał go po ramieniu. Ale i on dostrzegł zmęczonych, głodnych ludzi, którzy marzyli tylko o odpoczynku i śnie, usiadł więc pod drzewem i opuścił głowę. W oczach pojawiły się łzy. Gdyby nie liczył na to,

[98] *No, szofer! Najpierw zrobisz, to co ci powiem.*

[99] *Weźmiesz nasze auto, wjedziesz do stodoły, zakryjesz szmatami i dokładnie zasypiesz plewami. Później zameldujesz mi wykonanie zadania.*

[100] *Tylko masz nikomu nie gadać, bo...*

że major go zwolni, że wystawi mu papier, który będzie jego przepustką do domu, to uciekłby w tym momencie, w tej chwili, nawet na boso, ale... złapią go, na pewno go złapią, bez dokumentów znów daleko nie zajdzie. Pomyślał o Marii i Mańku. „Czy ciągle są w Szczecinie? Czy dla Ruskich teraz robią jak on? A może są już w domu? Co robić? Co robić?" W głowie kołatały się sprzeczne myśli. „Uciekać? Nie uciekać? A gdzie major?" – przypomniał sobie, że miał mu zameldować, kiedy ukryje auto. Wstał i rozejrzał się dookoła. Major siedział nadal w tym samym miejscu, tylko nie sam. Towarzyszył mu polski kapitan. Śmiali się i wesoło o czymś rozmawiali. Podszedł do nich.

– Tawariszcz major – mówił, ale patrzył błagalnym wzrokiem na polskiego oficera. – Gotowe. Niech mnie tawariszcz major puści.

Dowódca polskiego oddziału badawczo przyglądał się chłopcu, chciał coś powiedzieć, może pomóc, ale w końcu wstał i rzekł flegmatycznie:

– Nie będę przeszkadzał, towarzyszu majorze – odszedł, pogwizdując wesoło.

Major uśmiechnął się lekko.

– Nu, szafjor. Pajedjem.

– Ale, panie majorze, przecież kazał pan auto... – major przerwał mu wypowiedź głośnym:

– Pssyt!

Wskazał ręką na stojący przy bramie łazik.

– Tepier eta maszyna nasza. Pajedjem... – zastanowił się chwilę – pajedjem gitljerowcow ławit. Na ahotu[101] pajedjem – dodał z entuzjazmem.

Wyruszyli niemal natychmiast, a po kilku godzinach jeżdżenia po ulicach, chodzenia po domach i łapaniu ukrywających się jeszcze gdzieniegdzie Niemców wrócili, głodni i zmęczeni.

[101] *Polowanie.*

Na miejscu okazało się, że polskie wojsko opuściło już miejsce postoju i ponownie stacjonuje tam wojsko radzieckie. Majora zaniepokoiły jednak otwarte do stodoły wrota. Zajrzał do środka. Po chwili wybiegł, wyciągnął z kabury pistolet i zaczął nim wymachiwać w powietrzu. Wrzeszczał tak głośno, że natychmiast przybiegli wartownicy.

– Gdje szafjor! Dawajtje wy mnie jewo!

Po chwili przyprowadzili, a właściwie niemal przywlekli wystraszonego i zdezorientowanego Bartka.

Jeden z żołnierzy uderzył go kolbą karabinu w brzuch tak mocno, że ten upadł na kolana, a wściekły oficer przystawił mu pistolet do czoła.

– Gdje awtamabil? Ty jewo pradał! Widjel ja kak ty s nimi baltajesz! Ja tjebja ubiju![102]

Bartek nie mógł wydusić z siebie ani słowa, był w szoku, zrozumiał tylko tyle, że zaraz zginie. Major wciąż celował w głowę chłopca.

– Ty słyszał, ja tjebja ubiju! Gdje awtamabil? – wrzeszczał i czekał na odpowiedzieć.

Ale on był jak sparaliżowany. Patrzył przed siebie, jakby nie widział broni, jakby był nieobecny, choć w tej chwili ważył się jego los.

Bielugow czekał, zastanawiał się, w końcu energicznie opuścił pistolet.

– Dawajte jewo w padwał![103] – wydał rozkaz i odszedł nie patrząc, co stanie się dalej.

Zamknęli go w ciemnej, wilgotnej piwnicy z jednym małym zakratowanym okienkiem. Wyprowadzali tylko za potrzebą, i to pod bronią. Jedzenie dostawał raz dziennie i niewiele, ale czasu miał pod dostatkiem i nie mógł przestać myśleć, że już po nim, że zginie. Teraz, po tym wszystkim, co przeszedł, tak głupio zginie.

[102] *Gdzie samochód? Sprzedałeś go! Widziałem, jak z nimi gadałeś!*
[103] *Do piwnicy z nim.*

Myślał o przyjaciołach, tak bardzo chciałby się z nimi spotkać i tak bardzo chciałby do rodziców, do Rozalki, Maciusia, dziadka... Czy ich jeszcze zobaczy? Ale z drugiej strony, gdyby chcieli go zabić, to już by to zrobili. Może boją się, że zdąży powiedzieć o samochodzie? Tak. W tym jego nadzieja. Major właśnie tego się boi, bo przecież jak się wyda, że chciał ukryć samochód, ukraść po prostu, to oni go pod sąd dadzą.

Na rozterkach i rozmyślaniach mijały długie godziny, aż nagle trzeciego dnia usłyszał głuchy dźwięk ciężkiej zasuwy. Drzwi otworzyły się i do środka wepchnięto człowieka. Przewrócił się, ale zaraz wstał i rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu, a widząc Bartka, zapytał:

– Polak?

– Tak – odpowiedział mu krótko, przyglądając się uważnie mężczyźnie w sile wieku, lekko szpakowatemu, ubranemu w garnitur i stare wytarte lakierki.

– Od dawna tu jesteś? – pytał dalej elegant.

– Od trzech dni.

– Za co?

– Major Bieługow posądził mnie, że sprzedałem „Dekawkę", którą jeździliśmy, ale to nieprawda, polskie wojsko ją zabrało.

Mężczyzna w garniturze usiadł na podłodze pod ścianą.

– Niezbyt tu wygodnie.

– Nie bardzo – przytaknął Bartek. – A pan? – Za co tu pana zamknęli?

– Mnie? – wytarł nos rękawem, odsapnął i zaczął opowiadać:

– Aż trudno uwierzyć. Ci nasi wybawcy! Wyzwoliciele! – dodał z pogardą. – Całą grupą wracaliśmy z robót – sześciu mężczyzn i dziesięć kobiet – w lagrze pod Dreznem byliśmy. No i zatrzymaliśmy się na noc w jakiejś stodole, tu gdzieś niedaleko. Słoma była, to nawet wygodnie było. Kobiety mówią: „Panowie, jakby tu Ruskie przyszły, to my jesteśmy waszymi żonami". No i niestety przylazł jeden – wypity był. Złapał za rękę taką znajomą Zośkę i ciągnie. Ta krzyku narobiła, że ona ma męża i żeby ją

puścił. A on od razu pyta, który to. No, to ona na mnie wskazała, a ja przytaknąłem i mówię mu, żeby zostawił moją kobitę, bo ona już od Niemca wiele wycierpiała. I wiesz, co to bydle zrobiło? Przystawił mi spluwę do głowy. „Charaszo?" – spytał. No i najpierw ją zabrał, a za pół godziny przyszedł po mnie i tu mnie przywieźli. Oni są gorsi niż Niemcy. Trzeba uciekać. Chłopak, jak tylko będziesz miał okazję, to uciekaj. Nie czekaj, bo może być za późno.

Bartek nie spał całą noc. Wziął sobie do serca słowa mężczyzny i postanowił, że ucieknie. Obmyślił plan. Rano, kiedy wyprowadzili go za potrzebą, poluzował deskę w tylnej ścianie starego wychodka i wydostał się niezauważony przez nikogo na zewnątrz. Przebiegł do pobliskiego lasu i ukrył się w wysokich trawach, ale niestety, kiedy chciał ruszyć dalej, natknął się na lejtnanta, który nocował pod pobliskim drzewem.

Tamten, widząc podejrzane ruchy chłopaka, krzyknął:

– Stoj! Budu strjeljat – wyciągnął z kabury pistolet i wycelował w pechowego uciekiniera. – Nu wsjo, ty daigrałsja – dodał.

Bartosz zatrzymał się zrezygnowany, ale po chwili odwrócił się i powiedział:

– Ja nic nie zrobiłem. To major Bieługow mi kazał. On kazał ukryć „Dekawkę", on mnie zamknął i trzymał w piwnicy o głodzie i chłodzie, to on...

Lejtnant opuścił broń, uważnie wysłuchał, co ma do powiedzenia, a później kazał iść do kuchni, po jedzenie.

– To mnie nie zastrzelicie? – spytał zdziwiony Bartosz.

– Njet – uśmiechnął się młody oficer.

– No, to major mnie zastrzeli – nie dowierzał.

– Tożе njet. Nje bojsja. Idi kuszat.[104]

Nie minęło pół godziny, a przez środek podwórza wartownicy prowadzili majora Bieługowa, na boso i bez pasa. Po uwolnieniu

[104] *Też nie. Nie bój się. Idź jeść.*

eleganckiego pana zamknęli go w tej samej piwnicy, w której wcześniej siedział Bartek.

„Znowu mi się upiekło" – pomyślał Bartosz i dziękował Bogu za nową, kolejną szansę.

Po śniadaniu odszukał znajomego oficera.

– Tawariszcz lejtnant. Dajcie mi przepustkę.

Żołnierz spojrzał na niego spode łba.

– Prijdi ka mnie zawtra[105] – powiedział i odszedł.

W chłopcu zabłysła iskierka nadziei, więc postanowił, że poczeka jeszcze ten jeden, ostatni dzień. Ukrył się w stodole i zasnął.

Obudziło go dopiero szarpanie za ramię. Zerwał się wystraszony. Nad nim stał wartownik.

– Idi – rozkazał.

Bartek przeciągnął się.

– Co znowu? – spytał. – Dajcie mi spokój! Nigdzie nie idę! – oburzył się. – Możecie mnie zastrzelić! Nie idę i już!

Ale kiedy Rusek przystawił mu lufę do brzucha – poszedł. Był jednak pełen obaw, czy wszystko dobrze się skończy.

Na dworze było już ciemno i niemal wszyscy spali. Tylko w łaziku siedział znajomy lejtnant i trzech innych ruskich żołnierzy – chłopów jak dęby. Pojechali niedaleko, do pobliskiej wsi. Zatrzymali się przed starą, murowaną stodołą, krytą gontem.

– Zdjes padażditje[106] – powiedział jeden. – Tolka spakojna – wysiadł i wszedł do środka.

Po niedługim czasie przyprowadził młodą dziewczynę. Szarpała się, kopała i próbowała krzyczeć, ale tłumił jej głos, zatykając usta ręką. Wepchnął ją do auta i rozkazał jechać. Kobieta nieustannie wyrywała się z rąk oprawców. Krzyczała stłamszonym głosem, wzywając pomocy. Bartek siedział zesztywniały z grozy i strachu. Tak bardzo jej współczuł, tak bardzo chciał jej pomóc, ale bał się, że go zastrzelą, ubiją jak psa i wyrzucą gdzieś przy

[105] *Przyjdź do mnie jutro.*
[106] *Poczekajcie tu.*

drodze. „Tylko to samo mogą zrobić później" – przeszło mu przez głowę. „Będą chcieli pozbyć się świadka swoich nieprawości. Co robić?"

– Pajezżaj! – oficer ponowił rozkaz.

Bartosz drżał na całym ciele, ale odważył się i powiedział:

– Towariszcz lejtnant, nie róbcie tego, ja błagam.

– Zakroj krużku, durak![107] – oficer przyłożył mu pistolet do skroni.

Chłopak włączył silnik i ruszył przed siebie. Zatrzymali się po chwili w pobliskim lesie. Bandyci zanieśli biedną dziewczynę między drzewa, niedaleko od drogi. Bartek został sam. Siedział skulony i kiwał się nerwowo.

– Nie mogłem jej pomoc! Nie mogłem jej pomóc! – powtarzał w kółko jak w transie.

Otrząsnął się, kiedy zobaczył, jak wracają bez dziewczyny.

– Zabili ją – pomyślał. – Teraz pozbędą się mnie.

Był gotowy na śmierć. Przeżegnał się i czekał.

Tymczasem Sowieci wsiedli do łazika i kazali wracać do obozu. Po drodze milczeli, ale kiedy wrócili, lejtnant spojrzał na Bartka takim wzrokiem, że aż ciarki przeszły mu po plecach.

– Nu szafjor, krużka na... – powiedział, po czym przyłożył palec do ust na znak, że ma milczeć. – Pridi zawtra. Ja tjebja dam prapustku – dodał.

Ale Bartek nie czekał na nic więcej. Niczego już nie chciał od tego człowieka, nawet upragnionej przepustki. Gardził nim, nienawidził, nie mógłby nawet na niego patrzeć. Postanowił ukryć się w stojącej na podwórzu ciężarówce za skrzyniami po amunicji i zdać się na los. Czuwał do rana, wsłuchując się w każdy szmer, każdą rozmowę, a kiedy słońce było już wysoko na niebie, samochód ruszył. Bartosz przeżegnał się. „Spraw, dobry panie Boże, aby była to już ostania droga, do domu".

[107] *Zamknij mordę, durniu!*

Po godzinie jazdy auto zatrzymało się i kierowca wysiadł. Słychać było, że z kimś rozmawia.

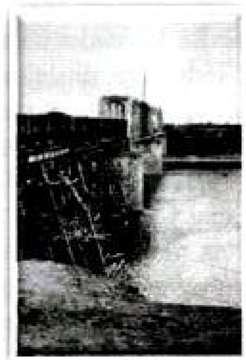
– Gdie jediesz? – spytał ktoś grubym, nieco ochrypłym głosem.

– Jeljenija Góra sjewodnja. Dolgij put'. Wazwraścjajus zawtra, kak tolka my zagrużym...[108]

Mężczyźni oddalili się i rozmowa ucichła.

„Nie w tym kierunku" – pomyślał Bartek i wyskoczył z auta. „Jeszcze dalej by mnie wywieźli... Tylko, co teraz robić?"

Nagle usłyszał gwizd lokomotywy. Przez uszkodzony most kolejowy na Odrze przejeżdżał pociąg. Ciągnął powoli niewielki skład wagonów, przechylając się niebezpiecznie – raz w jedną, a raz w drugą stronę. Bartosz przyglądał mu się dłuższą chwilę, myśląc, że most się zawali i wszystko runie do rzeki. Na szczęście przejechał, ale on patrzył dalej, zadumany, nieobecny, na nurt rzeki, na most, na domy. I nadal miał wątpliwości.



Pociąg towarowy na zniszczonym moście.

– A może...? Może wyjdę do drogi i dołączę do kogoś, kto wraca z robót? – nie był pewny, czy to dobre rozwiązanie.

Lecz nagle.

[108] *Jelenia Góra dzisiaj. Kawał drogi. Wracam jutro, kiedy tylko załadujemy...*

– Eureka! – twarz mu się roześmiała, bo wpadł na świetny pomysł, a właściwie dotarło do niego, że... – Dziękuję, Boże, za te wskazówki! – niemal krzyknął z radości. – Ta Jelenia Góra! Ten gwizd parowozu! Wskazałeś mi drogę! Tak! Tak zrobię! Pójdę na dworzec we Wrocławiu, a stamtąd... – do domu!

Szedł po torach z nadzieją, że dojdzie na stację, że tym razem mu się uda. Po około dwóch godzinach dotarł na miejsce.

Na dworcu było mnóstwo ludzi – przede wszystkim robotnicy wracający do domów, ale też sowieccy i polscy żołnierze.

Przemieszczali się w różne strony, przepychając się z tobołami i walizami pomiędzy tymi, którzy siedzieli i leżeli na peronie, ściskając swój niewielki majątek. Jedni rozmawiali, inni spali, jeszcze inni kłócili się o jakąś walizkę, ale wszyscy czekali.

W ogólnym hałasie i zamieszaniu Bartek wyłapał jedną, ważną dla niego rozmowę:

– Panie! Będzie jakiś pociąg? – spytała starsza kobieta.

– A kto to wie? – odpowiedział jej stojący najbliżej chłopak.

– Jakiś... to będzie – wtrącił ktoś inny z uśmiechem. – Ale jaki i kiedy, to nie wiadomo – dodał.

– Podobno ma być jeden. Podobno już jedzie – dodała kobieta trzymająca na rękach małe dziecko.

– Skąd pani wiesz?

– No, podobno jakiś kolejarz mówił.

– A dokąd ten pociąg?

– Podobno do Łodzi.

– Podobno, podobno! – przedrzeźniał ją mężczyzna, wzruszając śmiesznie ramionami. – Podobno to Hitlerowi wąsy ogolili dla niepoznaki, żeby chociaż w piekle go chcieli.

Roześmiali się wszyscy serdecznie.

Kiedy Bartek usłyszał o Łodzi, serce mu drgnęło. „Trzeba poczekać" – pomyślał. Usiadł z boku przy murze i obserwował ludzi. Patrzył na nich i rozmyślał: „Ilu ich jest... i każdy inny, i niemal każdy gdzie indziej jedzie. Kto i co czeka na nich w do-

mu? Co przeszli na wygnaniu? Jakie złe i jakie dobre chwile przeżyli?"

Spojrzał na sowiecki patrol, który właśnie przechadzał się wolno wzdłuż torów, od czasu do czasu sprawdzając dokumenty.

– Jak mnie znowu przyuważą, to będzie kicha – pomyślał.

Nagle środkiem peronu zaczęła przedzierać się jakaś kobieta z niewielkim, drewnianym kuferkiem i węzełkiem w ręku. Kiedy wyprzedzała wartowników, potrąciła lekko jednego z nich, ale nie zauważyła tego i szła dalej. Żołnierz natychmiast zareagował, kopnął w jej kuferek tak, że ten otworzył się i zawartość wysypała się na ziemię. Kobieta zatrzymała się i zaczęła zbierać swoje rzeczy, a żołnierze jej pomagali. Nie była to jednak pomoc płynąca z serca, znaleziony w walizce zegarek i łańcuszek natychmiast zmieniły właściciela. Nie pomogły protesty i lament. Kazali jej się zabierać, dając do wyboru areszt. Kobieta odeszła z płaczem.

Bartek postanowił uważniej przyjrzeć się „dzielnym" sowieckim żołnierzom, podejrzewając, że zrobili to specjalnie i nadal mają niecne zamiary. I miał rację. Już po kilku minutach zawartość kolejnej walizki leżała na peronie, a usłużni czerwonoarmiści zręcznie pomagali zbierać ciuchy i ciuszki. Kiedy po pół godzinie historia powtórzyła się, Bartosz postanowił podjąć jakieś kroki, aby przerwać ten niecny proceder. Zdawał sobie sprawę z tego, że może się to dla niego źle skończyć, mimo to, kiedy zauważył, że wybrali sobie kolejną ofiarę i zbliżali się do niej, podbiegł i udając, że się potknął, wyrżnął jak długi pomiędzy nimi a kobietą dźwigającą wielką walizę, niwecząc plany pazernego patrolu. Spojrzeli na niego wkurzeni. Jeden z nich skierował broń w jego stronę.

– Dakumjenty! – krzyknął.

Bartosz podniósł się i już miał się odezwać, kiedy usłyszeli daleki gwizd lokomotywy. Oczekujący na stacji ludzie zerwali się na równe nogi.

– Jedzie! Jedzie! – podniosła się radosna wrzawa.

Zrobiło się zamieszanie. Każdy chciał stać jak najbliżej torów, żeby zająć dogodne dla siebie miejsce, kiedy przyjdzie pora wsiadania.

Pociąg był już blisko. Z lokomotywy buchała para. Gwizd za gwizdem ogłaszał niemal tryumfalny wjazd. Widać było biało-czerwone flagi wywieszone z okien wagonów, słychać było zgrzyt hamulców, iskry sypały się spod żelaznych kół. Wszyscy patrzyli w jego stronę, ciesząc się i wiwatując. Bartek uniósł ręce wysoko i machał nimi, witając go jak przyjaciela.

Ale Sowieci nie odpuścili. Mówili coś do niego, jednak w ogłuszającym zgiełku i euforii nie było nic słychać, a on śmiał się spontanicznym, radosnym śmiechem i nie zwracał na nich uwagi.

W tym momencie poczuł z obydwu stron mocny chwyt. Obejrzał się i zdrętwiał. Radzieccy żołnierze trzymali go za ramiona i ciągnęli w tył.

– Pajdjosz s nami – powiedział ostro jeden z nich.

Bartek zaczął się wyrywać i protestować, ale Sowieci siłą wyciągali go z tłumu.

– Puszczajcie! Nic nie zrobiłem! Ludzie, pomóżcie! – krzyczał.

W ogólnym zamieszaniu tylko kilka osób zwróciło uwagę na szarpiącego się chłopaka.

– Zostawcie go! – odezwały się pojedyncze głosy. – Co wam zawinił?

– Zakroj krużku! – wrzasnął sołdat do protestującego mężczyzny, kierując w jego stronę pepeszę.

W tej chwili Bartek zrozumiał, że jeśli sam nic nie zrobi, znowu straci okazję na powrót do domu i na pewno będzie miał spore kłopoty. Szarpnął z całych sił i wyrwał się prześladowcom. Zaczął uciekać.

– Stoj! Stoj! – wycelowali do niego z broni. – Stoj! Budu strieljat'!

Bartosz czuł się jak zaszczute zwierzę. Rozejrzał się na boki, nie wiedząc gdzie uciekać. Nagle kątem oka zobaczył niewielki

lasek znajdujący się tuż za nasypem. Skręcił raptownie i skoczył z peronu na tory... Niestety wprost pod nadjeżdżający parowóz. Ludzie podnieśli alarm.

– Stać! Stać! – krzyczeli.

Pociąg zatrzymał się. Ale było już za późno. Między żelaznymi kołami widać było krew i zmasakrowane, martwe ciało chłopaka.

Kilku mężczyzn weszło na tory. Z największą ostrożnością wyciągnęli go i przenieśli na peron. Położyli pod murem. Wokół natychmiast pojawił się tłum gapiów.

Niektórzy żałowali młodego chłopca, którego widzieli jeszcze przed chwilą żywego, cieszącego się wraz z nimi z rychłego powrotu do domu.

– Tak, panie – powiedziała starsza kobieta. – Niezbadane są wyroki Boskie. Jeszcze przed chwilą go widziałam, jak śmiał się i cieszył... Szkoda, taki był młody... i ładny chłopak. Całe życie miał przed sobą.

– Pewnie, że szkoda – odpowiedział jej mężczyzna. – Ale jak coś jest przeznaczone, to spełnić się musi. Tylko, że... wojnę przeżyć i teraz zginąć? A w domu pewnie na niego czekają.

– Tak... – przytaknęła kobieta. – Matka już nie przywita syna, ni żona czy dziewczyna. Widocznie go tam w niebie chcieli aniołowie... Tak. Niezbadane są wyroki Boskie.

Po chwili rozeszli się. Nawykli do okropności wojny, zobojętniali na śmierć, wsiadali do wagonów.

Podobnie Sowiecki patrol, po przeszukaniu jego ubrania w poszukiwaniu dokumentów, wycofał się i odszedł.

Bartek został na peronie sam. Przykryty przyniesionym przez kogoś starym kocem... Nie wróci już domu. Nie zazna więcej miłości. Nie poczuje już zapachu świeżej majowej trawy ani nie usłyszy wiatru poruszającego liśćmi w koronach drzew. Jego martwe ciało nie poczuje już nic. Nigdy.

*

Część czwarta

Nowy ład

Skończyła się wojna. Najgorsza w historii Europy. Wojna, która pochłonęła miliony istnień, zostawiła po sobie spalone miasta i wsie, zniszczone i ograbione kościoły i pałace, płacz i mogiły.

Ale nie wszystko udało jej się zniszczyć – nie zabiła ducha narodów i wiary w zwycięstwo dobra nad złem. To dzięki temu ludzie, którzy ponad wszystko cenią pokój, zjednoczeni we wspólnym celu, pokonali niemieckiego potwora, otwierając nową drogę życia tym, którzy przeżyli.

Maj był piękny tego roku, jedyny, niepowtarzalny, pełen radości, miłości i szczęścia. Każdy rozkwitający kwiat, każdy zielony listek, nawet zapach roznoszący się w powietrzu był jakby nie z tego świata, jakby zaczarowany. Śpiew słowika czy kukanie kukułki, rechot żab i klekot bocianów wydawały się czymś nieznanym, tajemniczym, odkrywanym na nowo.

Maria siedziała na ławce przed swoim rodzinnym domem. Zamknęła oczy i nasłuchiwała odgłosów wieczoru. Oczarował ją zapach kwitnących opodal bzów i jaśminów niesiony przez delikatny powiew wiatru. Nabrała głęboko powierza i odetchnęła z ulgą. Czuła się wolna i bezpieczna. Czuła, że teraz wszystko się ułoży, że i dla niej zaświeci słońce.

Minęły dopiero trzy dni od jej powrotu z tułaczki. Trzy dni, w czasie których nabierała sił. Dopiero tu zrozumiała, że to naprawdę koniec wojny. Dawno nie czuła się tak dobrze, nie chciała nawet wyjść dalej niż na przyległe do domu podwórze, jakby bała się, że czar pryśnie, że sen minie. Była szczęśliwa i podekscytowana. Teraz jak nigdy wierzyła, że Stach do niej wróci. Tylko co go patrzeć, tylko dzień, dwa, może tydzień i znów go ujrzy. Wie-

rzyła w to całym sercem, całą duszą. Na pewno wróci. No, może zajmie mu to nieco więcej czasu, ale ona będzie czekała...

Do Rozalki przekazała przez ojca wiadomość, że jest i że wkrótce ją odwiedzi. Dowiedziała się też, że Zosia jeszcze nie wróciła, ale wszystko u niej w porządku. Odetchnęła z ulgą na tę wiadomość, bo cały czas obwiniała się, że ją zostawiła. Nie wiedziała tylko, co z Bartkiem, ale wierzyła, że wkrótce i on stanie przed nią cały i zdrowy. I zobaczy jego szczery uśmiech, i usłyszy jego serdeczny śmiech.

Tymczasem jest tu, wśród kochających ją ludzi – jakże rzadko docenia się takie rzeczy. Człowiek całe życie zmaga się ze strachem, bólem, a lekarstwo na to jest tuż obok – proste, spokojne życie wśród kochających się osób. Wybacz! Zapomnij! Żyj dalej! To recepta na zdrowie, na wewnętrzny spokój i ukojenie, bo i tak to nie człowiek decyduje o tym, co ma się wydarzyć.

Po kilku dniach wypoczynku, rozkoszowania się zapachem rodzinnego domu, wspomnieniami młodości i radością z przebywania wśród bliskich, Nowotarska postanowiła w końcu wyjść poza ten wewnętrzny świat, poza kapliczkę na rozdrożu, i odwiedzić przyjaciół i znajomych.

Wyszła z domu wczesnym rankiem, zaraz po śniadaniu. Mijając sąsiednią chałupę, spojrzała w górę.

– Wisisz jeszcze – powiedziała na głos i uśmiechnęła się do starej znajomej. – Trochę się zestarzałaś – dodała. – Nawet po tobie widać, jak ten czas leci.

Zatrzymała się na chwilę. Zastanawiała się.

– Nie, nie będziemy dzisiaj wróżyć – powiedziała stanowczo, odkręciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w kierunku Sromutki. Postanowiła najpierw odwiedzić Olszewskich.

W domu zastała tylko panią Małgorzatę, bo okazało się, że ojciec Bartka nie wrócił jeszcze z Niemiec, gdzie był wywieziony w 43, a dziadzio... dziadzio zmarł rok wcześniej.

Nie był to już ten sam dom, który zapamiętała z tamtego zimowego wieczoru, pełnego magii świąt, radości i szczęścia. Gospodyni popłakiwała co chwilę, wypytując o wszystko, co związane było z synem, jego pobytem na robotach i szczególnie ostatnim dniem, w którym go widzieli.

Marysia starała się, jak tylko mogła, aby opowiadane historie były wesołe i podtrzymały biedną kobietę na duchu. Po godzinie rozstały się jak serdeczne przyjaciółki i poszła do domu Owczarków.

Sklep, jak dawniej, był otwarty, a kiedy dzwoneczek oznajmił, że ktoś wchodzi, pani Apolonia uniosła wzrok znad kartki, na której właśnie spisywała jakieś rachunki, i spojrzała w stronę wejścia.

– Jezus! Maria! Bogu niech będą dzięki! – krzyknęła. Wyskoczyła zza lady i rozkładając szeroko ręce, wzięła dziewczynę w objęcia.

– Pan Bóg wysłuchał moich modlitw – na zmianę śmiała się i płakała ze szczęścia, co udzieliło się też Nowotarskiej. – Odkąd cię aresztowali nie było dnia, żebym o tobie nie myślała. Moja ty kochana. Jak ci tam było? Ciężko pewnie? – odsunęła ją od siebie na odległość ramion i spojrzała na nią badawczo. – Trochę zmizerniałaś, ale... Kiedy wróciłaś? Siadaj, opowiadaj – posadziła ją na podstawionym stołku.

– Kilka dni temu, pani Apolonio, ale długo by opowiadać. Tyle dni jechaliśmy.

– Prawda, wszyscy tak mówią, a sporo ludzi wraca. I dzięki Bogu. Nowe władze sprawdzają ich, wydają zaświadczenia, że to porządny Polak czy Polka, że nie kolaborowali z Niemcami i mogą żyć dalej wśród swoich. No, a powiedz. Ciężko było? – zmieniła temat.

– Różnie bywało. I tak, i tak. Ale byliśmy razem – z Bartkiem Olszewskim i Mańkiem Drożdżowskim, a z początku też z taką

Zośką z Zelowa, tylko, że ona później... No, ale wszystko tak ogólnie dobrze. Bartek tylko się zgubił, myślę jednak, że lada chwila zjedzie.

– Tak, tak. Wiem od Rozalki, że byliście razem. Jak do matki zagląda, to czasem tu u mnie zakupy robi, ale że Bartek się zgubił? Co znaczy się zgubił?

– Rozdzielili nas, już jak wracaliśmy. Jakieś Ruskie kazali mu gdzieś się zawieźć samochodem i tyle go widziałam.

– To psie juchy! Jak tylko słyszę Ruskie, to mi się zaraz nogi jak z waty robią. Ty wiesz, co oni tu wyprawiali? Prawda, że wygonili Niemca, i prawda, że im zawdzięczmy wiele, bo wojna się skończyła i powoli jest coraz to lepiej, ale jak w styczniu do Zelowa weszli, to... Chociaż mój mówi, że wojna swoimi prawami się rządzi i nie ma, co się dziwić, że wojsko chce jeść i łupów szuka. A Dominik mi opowiadał... Pamiętasz Dominika? Tego, co z Irkiem...?

– Tak, pani Apolonio, pamiętam.

– No... No, to on mi opowiadał, że jak szedł z Rozalki chłopem, mężem znaczy się...

– To Rudy wrócił?

– Tak, wrócił. Jeszcze w styczniu. Podobno z więzienia uciekł. Ale cały był poobijany i jakby nie on, tak się podobno zmienił. Rozalka nie za bardzo chce mówić, ale widać po niej, że coś tam u nich jest nie tak... Więc jak Ruskie weszły – kontynuowała pani Apolonia – to wyłapywali Niemców i folksdojczów. Po lasach łapali, po domach, a później ich rozstrzeliwali lub prowadzili gdzieś dalej – bo i takich ludzie widzieli, ale najwięcej to ich ubili pod lasem, na końcu Piotrkowskiej, i w Łobudzicach. Dominik mówił, że widział, jak rozstrzelali ich pod kościołem, przy parkanie, a później widział też, jak w rogu cmentarza łobudzickiego dół wykopali. Wcześniej stała tam sterta starej słomy i zaczęli do niej strzelać, aż się zapaliło. Pewnie wiedzieli, że tam się w niej ukrywają, bo jak zaczęło się palić, to kilku z niej wykurzyli i ich zabili, a w miejscu, gdzie się sterta spaliła, wykopali dół, bo ziemia odmarzła i łatwiej było kopać. Później tam ich zakopali, razem z tymi spod kościoła – Owczarkowa z przejęciem opowiadała i kiwała głową, wspominając niecodzienne wydarzenia.

W końcu przerwała i spojrzała na zasłuchaną, ale niezwykle spokojną Marię:

– Dla mnie to okropieństwa, a ty pewnie nie takie rzeczy widziałaś? – dodała.

Maria uśmiechnęła się smutno.

– Wszystkim ta wojna dała się we znaki, pani Apolonio. Chyba nie ma człowieka ani domu, którego by jakieś nieszczęście nie dotknęło. A niestety, tak to jest, że w czasie wojny cnotą jest to, co jest grzechem w czasie pokoju...

A w szkole to kto teraz mieszka? – spytała nagle, zmieniając temat.

– A właśnie – podłapała Owczarkowa. – Nie wrócisz do szkoły? Jest tam co prawda nowa nauczycielka, ale przecież ty masz niejako pierwszeństwo, no i.... Aaa!!!... O panu Stanisławie coś wiadomo? – przypomniała sobie nagle.

– Nie, nic nie wiem, ale wierzę, że teraz wróci.

– Tak, trzeba wierzyć. Tylu wraca, nawet tacy, co to rodzina myślała, że już na dobre przepadli. Nawet nasz wójt – Maksymowicz wrócił z obozu, tylko że podobno chory, ale da Bóg, to wyliże się z tego.

– To mówi pani, że jest nowa nauczycielka?

– Tak. Kaźmierczak się nazywa. Dopiero co się sprowadziła. Ale szkoła to pewnie na dobre od września ruszy, a na razie to kursy wieczorowe dla dorosłych zrobili, żeby analfabetyzmu w narodzie nie było. Tacy chodzą, co wojna im nie pozwoliła się uczyć czytać, pisać i rachować. Zresztą sama wejdź, porozmawiasz. Całkiem sympatyczna kobieta. Czasem tu wchodzi po zakupy. Z Warszawy przyjechała, bo ona całkiem zniszczona. Pewnie słyszałaś?

Nagle podniosła głos.

– A rzeczy? Twoje rzeczy to gdzie?

– Ojciec zabrał. Zaraz po tym, jak mnie wywieźli. W domu są, u rodziców.
Owczarkowa kiwnęła głową ze zrozumieniem.
– No, tak. Nie pomyślałam. Przecież to już tyle lat... A u nas wszystko dobrze – dodała po chwili. – Mój na krosnach robi, jak dawniej. Ula teraz w domu szyje, ale mają spółdzielnię otworzyć, to tam chce robić, a Irek – to tu, to tam trochę pomaga, trochę do roboty się najmuje, ale tak po prawdzie to bąki zbija, jak to on. No, ale jeśli jaką robotę podłapie, to chociaż dla Polaka robi, nie dla Niemca. We wojnę to kazali mu gdzieś jechać i jechał, tylko nie wiadomo było, czy wróci. Jak na ten przykład, zanim jeszcze Szwaby uciekły, to woził jakieś beczki z chemikaliami i pod „Patrolką"[109] zakopywali. Bał się później, że ich zastrzelą, żeby świadków nie mieli.
Maria podeszła do Owczarkowej. Ucałowała ją w policzek.
– Cieszę się, pani Apolonio, że zdrową panią widzę. No i proszę też pozdrowić męża i dzieci. Oj! Zapomniałabym. A nie wie pani, co z moją psinką, co z Pestką?
Kobieta zastanowiła się chwilę.
– No..., nie wiem. Pewnie znalazła sobie jakieś nowe miejsce.
Maria odwróciła się w kierunku wyjścia.
– Idę teraz do Zelowa, do Rozalki, ale będę panią odwiedzać.
Pożegnała się i wyszła.
Tymczasem Maniek Drożdżowski nie miał zbyt wiele czasu na wypoczynek. Już trzeciego dnia po powrocie najął się do pomocy we młynie, na Mickiewicza. Nie była to lekka praca i zaledwie dorywcza, ale mógł zarobić trochę grosza i wesprzeć rodzinę, w której się nie przelewało, zwłaszcza że jeszcze jedna gęba do stołu przybyła. Miał też własne plany – uskładać sumkę i kupić sobie rower. Jednak ojciec miał wobec niego inne zamiary.
– Maniek. Wstawaj – pan Teofil Drożdżowski potrząsnął syna za ramię.

---

[109] *Wieża do obserwacji lasów pod kątem zagrożenia pożarowego.*

Chłopak odwrócił się na drugi bok.
– Jeszcze wcześnie! Tata! Dzisiaj mam wolne. Wczoraj do samego wieczora robiłem.
– Nie ma czasu na spanie. Ładnie się ubierz i idziemy.
– Niby gdzie? – zdziwił się.
– Do szkoły cię trzeba zapisać.
Maniek zerwał się na równe nogi.
– Jakiej szkoły? Tata! Przecież ja mam już 18 lat!
– I co z tego? Myślisz, że wszystkie rozumy zjadłeś?
– I do pracy muszę chodzić – chłopak opierał się jeszcze, starając się znaleźć jakiś argument potwierdzający jego rację. – A w ogóle to już działa ta szkoła? – spytał.
Ojciec nie odpowiedział, tylko spojrzał na syna takim wzrokiem, że ten już bez słowa zaczął się szybko ubierać.

Po godzinie pukali do pokoju kierownika zelowskiej „jedynki" – pana Tomasza Masteja.
Mężczyzna siedział za starym dębowym stołem, na którym stał kałamarz i leżały teczki związane sznurkami, pełne dokumentów.
Kierownik wskazał im krzesła na wprost siebie i spytał:
– Czym mogę panom służyć?
– Chciałbym zapisać syna do szkoły. Do szóstej klasy – panie kierowniku – powiedział pan Teofil, ściskając w rękach czapkę. – Bo on już skończył pięć klas przed wojną – dodał.
Mastej spojrzał na nich, zsuwając okulary na koniec nosa.
– Macie świadectwo ukończenia klasy piątej i promocji do szóstej?
– No, właśnie tu jest problem, panie kierowniku, bo papiery poginęły. Dwa razy Niemcy nas wyrzucali z mieszkania. Brało się tylko to, co najważniejsze. Wie pan, jak to było. Byleby tylko coś z przyodziewku złapać i trochę jedzenia. No, ale przecież skończył pięć klas. I to piątą tu, w tej szkole.
Mastej zastanowił się chwilę.

– Tak na słowo, to mnie nie wolno, ale jak pan wpłaci kaucję, to mogę mu zrobić egzamin i sprawdzimy, jakie ma wiadomości.
Drożdżowski podrapał się w głowę i sięgnął do kieszeni.
– Tyle starczy? – spytał.
Mężczyzna schował pieniądze do biurka.
– Później wypiszę pokwitowanie, a teraz proszę zaczekać – wyszedł z pokoju.
Maniek spojrzał na ojca.
– Tata! Przecież... Jaki egzamin? Ja już nic nie pamiętam. Na pewno nie zdam.
– Postarasz się i zdasz. Nie bój się. Na doktora cię nie kieruję. Nie będą cię aż tak wałkować. Tylko...
Nagle wrócił Mastej, a wraz z nim schludnie ubrana kobieta.
– To pani Szymańska – przedstawił ją kierownik. – Uczy języka polskiego. I od tego zaczniemy.
Nauczycielka uśmiechnęła się. Położyła przed chłopakiem kartkę. Podała obsadkę ze stalówką i kartkę papieru.
– Napiszesz tylko jedno zdanie – powiedziała łagodnie, patrząc na chłopaka, który był blady jak wybielona wapnem ściana. – Nie martw się. Nie będzie trudne. Przysuń się i pisz.
Maniek podsunął krzesło. Drżącą ręką sięgnął po pióro i zanurzył jego koniec w kałamarzu.
– „Zaśpiewajmy chórem skautowską pieśń" – podyktowała.
Chłopak zagryzł koniec obsadki. Zastanowił się i zaczął powoli i starannie pisać. Nauczycielka bacznie obserwowała każdą, nowo powstałą literkę.
– Bardzo dobrze! – pochwaliła, kiedy skończył. – Ani jednego błędu nie zrobiłeś!
Marian odetchnął z ulgą.
– Chyba z tego strachu tak się spiąłem – szepnął ojcu do ucha.
W tej chwili do izby wszedł mężczyzna w nieco wytartym garniturze.
– To pan Władysław Hauzer – kierownik przedstawił kolejnego nauczyciela.

– Pan Hauzer uczy w naszej szkole niemieckiego i łaciny.
– Sprechen Sie Deutsch?[110] – spytał, nawet nie siadając.
– Ja. Naturlich. – odpowiedział Maniek i dodał jeszcze kilka zdań po niemiecku.
– Mnie to wystarczy. I tobie pewnie też – powiedział Hauzer do Masteja i wyszedł.
– Dobrze ci idzie – kierownik pochwalił chłopaka, a ojciec poklepał go po plecach.
– Mówiłem, że sobie poradzisz. W końcu jesteś Drożdżowski.
Maniek uśmiechnął się delikatnie, dumny z wyrażanych o nim opinii.
– Jeszcze tylko rachunki i będziesz przyjęty.
Mańkowi ponownie zrzedła mina. – No! To już po mnie – pomyślał. – Z rachunków to już nic nie pamiętam.
Po chwili padło pytanie.
– Masz jedną całość i dzielisz ją na osiem części. Ile części musisz zabrać, żeby została jedna czwarta z tej całości?
Mańkowi siódme poty wyszły na czoło. W głowie poczuł zupełną pustkę i rozbolał go brzuch. Siedział tak dłuższą chwilę, nie mogąc skupić uwagi na niczym, poza myślą, że zaraz narobi w portki, ale nie bardzo pasowało mu w tej chwili prosić o pozwolenie wyjścia do ubikacji.
– Widzę, że intensywnie myślisz – powiedział Mastej. – Trochę ci podpowiem. Masz kartofla i dzielisz go na osiem części. Ile musisz zjeść części, żeby została ci jedna czwarta, czyli ćwiartka kartofla?
Maniek wyobraził sobie talerz, a na nim dużego ziemniaka, gęsto okraszonego skwarkami. Potem pokroił go w myślach nożem i „zaczął zajadać". – Sześć! Panie kierowniku! Muszę zjeść sześć kawałków!
– I dobrze! – skwitował Mastej. – Zdałeś celująco – wstał, pogratulował najpierw ojcu, a następnie chłopakowi. – Od września

[110] *Mówisz po niemiecku?*

jesteś przyjęty do szóstej klasy, a po roku pójdziesz do gimnazjum. Tam już zrobisz dwa lata w jeden rok.

Po wyjściu ze szkoły Maniek rozstał się z ojcem, twierdząc, że musi się przejść, aby ochłonąć i odpocząć, bo jest gorzej zmęczony niż po pracy przy żniwach. Poszedł przed siebie zamyślony, ale zadowolony i dumny, że tak dobrze zdał egzamin i że tak go wszyscy wychwalili.

Maria szła do Zelowa przez Trytwę. Po obu stronach drogi pośród trzcin, krzewów i torfowych rozlewisk słychać było śpiewy słowików, kwakanie dzikich kaczek i zapowiadający deszcz, śpiew wilgi. Z daleka widać było gniazdo remiza, przepięknie i misternie skonstruowane przez niewielkiego, zwinnego ptaszka. Zwisało na końcu wierzbowej witki, tuż nad wodą. Brzęczały owady, a w górze krążyły dwa bociany. Uśmiechnęła się do siebie. „Pewnie zwiastują komuś dobrą nowinę. Przyniosły w chuście małego bobasa. Szkoda, że..." Oczy zaszły jej łzami, jednak szybko otarła je końcem rękawa. „Nie ma co się rozczulać nad sobą. Co mi przeznaczone, to mnie nie minie".

Tak rozmyślając, szła powoli, napawając się widokami okolicznej przyrody.

Droga minęła szybko i wkrótce pukała już do drzwi swojej najlepszej przyjaciółki, a po chwili ją ujrzała.

– Marysia!!! – krzyknęła Rozalka i rzuciła się jej na szyję.

Po dłuższej chwili uścisków i całusów weszły do środka.

– Siadaj. Siadaj. Już mi twój ojciec mówił, że jesteś, więc czekałam na ciebie, ale sama też chciałam jechać, odwiedzić cię, tylko twój tata mówił, że musisz sił nabrać. Mówię ci, ledwie się powstrzymałam. Nareszcie jakaś radosna chwila w moim życiu – dodała. – Mów, mów, opowiadaj – zmieniła szybko temat, bo wymsknęło jej się coś, o czym nie chciała rozmawiać, a przynajmniej nie w tej chwili.

Maria jednak wychwyciła ten wątek. Spojrzała na nią zaniepokojona i spytała poważnie.

– Co się dzieje, Rozalko. Jakieś kłopoty? – rozejrzała się dookoła. – A gdzie Maciuś? Gdzie mój chrześniak? A Rudy?

– Z Maćkiem wszystko w porządku – uspokoiła ją Roza. – Czasem zostaje u sąsiadki, jak do sklepu idę, albo coś załatwić. A Jacek w robocie. Sama jestem.

– No, to mów! – powiedziała stanowczo. – I niczego przede mną nie ukrywaj.

Rozalka usiadła przy niej.

– A może herbaty ci zrobię? – odwlekała rozmowę.

– Najpierw porozmawiamy. Herbaty napijemy się później.

– No, co mam mówić? – westchnęła. – Jacek, jak wrócił, to... to jest... jakby inny, nie ten sam, którego poślubiłam, a najgorzej, że to moja wina i... pewnie tego, co przeszedł. Mówić nie chce, ale nocami ma koszmary i płacze przez sen, i gada, i krzyczy, żeby go nie bili, i o litość błaga... i ja płaczę, jak to widzę. Nieraz całe noce nie śpię... Pić zaczął. A jak jest wypity, to jest jeszcze gorzej, bo... na każdym kroku mi dogaduje, a to, że źle Maćkiem się zajmuję, a to, że nie mam pracy i że do niczego się nie nadaję.

Zapadła dłuższa chwila ciszy.

– No, a gdzie tu twoja wina? – spytała Maria.

– Bo widzisz, jego rodzice... Najpierw ojciec zamarzł na ulicy w noc sylwestrową, a pół roku temu jego matka, w domu. Niemcy jej opał zabrali i zamarzła, a ja nie wiedziałam, nie miałam pojęcia, że nie ma czym palić. On nic nie mówi, ale wiem, że mnie obwinia – ponownie zapadła cisza. – Chciałam, żeby z nami zamieszkała po śmieci jej męża, ale wiesz, jaka była. Tylko się modliła, pościła i w kościele siedziała, a ludzi to jak wilków się bała. Z Maćkiem to nigdy się nie pobawiła, nigdy go nie wzięła na kolana czy... Zresztą o zmarłych nie powinno się źle mówić – skwitowała.

Maria spojrzała w czerwone, zapłakane oczy przyjaciółki.

– Nie twoja wina, nie twoja – szepnęła jej do ucha.

W końcu Rozalka otarła łzy i podeszła do pieca.

– Nastawię wodę, to się herbaty napijemy. Powiedz lepiej, co u ciebie i przede wszystkim powiedz, co z tym moim bratem? Czemu z wami nie wrócił?

Maria powoli i dokładnie opowiedziała wydarzenia – od wyjazdu z Zelowa aż do powrotu.

– ... i tak, to było – zakończyła niemal po dwóch godzinach. – Pewnie inni mieli jeszcze gorzej – dodała. – Ważne, że jestem cała i zdrowa. I Marian..., i Zośka podobno też, a Bartek się znajdzie, tylko w tej całej powojennej zawierusze, w tym bałaganie, to nie takie proste, ale wszystko będzie dobrze, tylko powoli. Nie od razu Kraków zbudowano. Tyle zła nie da się w kilka dni naprawić.

– Prawda – odpowiedziała jej Roza. – Każdego dnia widać zmiany na lepsze. Choć do dobrego to jeszcze daleko. Pracy nie ma, fabryki poniszczone, domy porujnowane, te poniemieckie i te po Żydach, ale mają je komisyjnie przydzielać, jak i ten cały majątek, co po nich został. Pierwszeństwo mają robotnicy i działacze społeczni, ale innym też będą dawać, tylko że to, co najlepsze, najpierw między siebie rozdzielą. Chyba, że... wiesz... Nadal znajomości i pieniądze się liczą. A spółdzielnia „Zgoda" otworzyła w Rynku restaurację, tam gdzie była przed wojną i za Niemca, na rogu. Chciałam tam iść do pracy, ale na taką pracę to Jacek się nie zgodził.

– Jaką? Dlaczego?

– Powiedział, że już lepiej, żebym domem i dzieckiem się zajmowała, niż zęby do wypitych, obcych chłopów szczerzyła.

– A nie myślałaś w swoim zawodzie?

– Pewnie, że myślałam. Mamy już ośrodek zdrowia – doktor Włodzimierz Łuczyński nim kieruje. Powiedzieli, że tak, że każda fachowa pomoc potrzebna, ale... chyba na razie zajmę się dzieckiem, niech trochę podrośnie, a później zobaczymy. A ty nie szukasz pracy? Przecież jesteś nauczycielką, a szkoła „jedynka" już od lutego ruszyła. Rudy mówił, że to dzięki naszemu wójtowi

Millerowi i nowym władzom, że nareszcie dbają o zwykłego człowieka, że go zna i wie, że ten człowiek jest na właściwym miejscu. Ale on był tylko tymczasowo i kiedy zmienili go na Busiakiewicza, to Jacek klął, na czym świat stoi. A komendantem milicji zrobili Perlicjusza, choć ostatnio słyszałam, że też mają go zmienić i chcą jakiegoś Stefańczyka. Kto tam będzie, to będzie, ale milicji to teraz sporo trzeba, bo wieczorem czy w nocy to strach wyjść. Łażą jakieś bandy. Zwłaszcza młodzi ludzie się włóczą – pijani i hałaśliwi. Kamieniami w samochody rzucają. Tak że uważaj, Marysiu, wieczorami nie chodź sama. Na szczęście już robią z tym porządek, bo nawet do kina ludzie się bali iść, wiesz, wieczorem po filmie to już ciemno.

– To kino otwarte?

– Tak, tylko teraz nazywa się kino „Wolność". Co rusz, to coś się otwiera. Powoli, ale widać, że idzie ku lepszemu, bo pod koniec wojny, to bieda była i na początku po wyzwoleniu też. Nieraz nie było, co do garnka włożyć i gdyby nie rodzice na wsi, to byłoby bardzo ciężko. Jak Ruskie przyszli, to mieliśmy wszyscy wielkie obawy, no, może nie wszyscy, bo wielu w Zelowie cieszyło się z tego, ale nikt nie wiedział, jaka ta przyszłość będzie. Jak zaczęli robić porządki, to... Oni się tam nie cackali ani z Niemcami, ani z folksdojczami. Pod mur i już. Tu w Rynku to przez kilka dni trzymali folksdojczkę w piwnicy i używali na niej, ile chcieli, fakt, że we wojnę wydała kilku Polaków na roboty, no ale... Sąsiadki się nad nią zlitowały i wysłały chłopów na ratunek. Wykupili ją od Ruskich za beczkę bimbru.

Maria słuchała uważnie i tylko głową od czasu do czasu przytakiwała ze zrozumieniem.

– Tak. Miejmy nadzieję, że te czasy już nie wrócą – powiedziała i wstała od stołu. – Pójdę już – dodała. – Chciałam jeszcze wejść do Barów. Nie wiesz, co u nich?

– Chyba dobrze... On to w straży robi. A ona? Ona chyba nigdzie. Dziećmi się zajmuje. Podobno choruje.

– To idę. Zajrzę niedługo, bo muszę się rozejrzeć za pracą i mieszkaniem. A właśnie! A może wiesz, co u Marylki? – dodała.

– Jakiej Marylki?

– Marylki Bistułówny.

– A tak! Pamiętam. Opowiadałaś mi o niej. Chyba dobrze, bo nic nie było słychać, żeby coś złego się stało. Jeszcze nie wróciła, ale żyje.

– Skąd nie wróciła?

– Ją też wywieźli do Reichu. Niedługo po tobie. Do Bitterfeld czy jakoś tam. Kiedyś rozmawiałam z jej ciotką – tu naprzeciwko mieszka. Podobno pisała, że nie jest jej tam tak źle i jakoś sobie radzi.



Lagier w Bitterfeld. Maria Bistuła (z prawej).

Maria uśmiechnęła się.

– Ta spryciula to zawsze z wiatrem umiała się ustawić. No, ale dość gadania. Chcę, nie chcę, muszę już iść.

– Zajrzyj jutro przed południem. Koniecznie. Maciusia zobaczysz i Rudy będzie.

– A gdzie robi?

– W fabryce, na Herbertowie. Na razie krosna czyszczą. Część zakładów już ruszyła, ale jeszcze więcej chcą uruchomić. Herbertów już działa i fabryka po Jersaku, na Żeromskiego i na Piotrkowskiej u Słamy też już produkcja idzie. Mówię Piotrkowskiej z przyzwyczajenia, ale teraz to Armii Czerwonej, wyobraź sobie – uśmiechnęła się delikatnie. – Zobacz, najpierw Piotrkowska, później Śmigłego-Rydza, za Niemca Kopernikuss Strasse, a teraz Armii Czerwonej..., a Rynek to Plac Stalingradzki – dodała. – Jacek to teraz rzadko w domu bywa. Ma nowe towarzystwo. Do kościoła przestał chodzić. Woli pochód pierwszomajowy. A ja wolę iść się pomodlić i na jarmark się wybrać. Niedawno, 2 maja było oficjalne otwarcie pierwszego, powojennego targu.



Zelów, ul. Kościuszki. Pochód 1 maja 1945 r.

Kiedy Maria wyszła, skierowała się przez środek placu wprost do kamienicy, gdzie mieszkali Barowie. Rozglądała się dookoła, wspominając dawne czasy. Tu był sklep, a tu pomnik, a tu wszędzie były stragany – przypomniała sobie, jaki panował tu ruch w targową środę. Jaka była różnorodność strojów i mowy. To była zupełnie inna epoka – pomyślała – inny świat, kolorowy i szczęśliwy, który już nie wróci. Lecz nie można o nim zapomnieć, bo to nasza historia, nasze dziedzictwo. Choć teraz..., może jej się wydaje, ale wszystko jakoś zszarzało. Wszystko wygląda inaczej. Inni ludzie chodzą ulicami. Tak, po wojnie nic nie jest już takie samo. Co nie znaczy, że będzie źle – pomyślała po chwili z optymizmem. Załatwię pracę, znajdę mieszkanie, wróci Stach...

Nagle zobaczyła dziwnie ubraną, starszą kobietę, która szła powoli w jej kierunku. Mimo ciepłego, majowego dnia miała na sobie futro, ale całe pocięte w pasy, zniszczone. Na szyi, na długim, grubym sznurze, wisiał duży, żelazny krzyż. W rękach niosła metalowe widelce i łyżki. Zatrzymała się przy niej i spojrzała jej w oczy. Maria nie odzywała się, czekała, co będzie dalej.

– Na prezent niosę, kochanieńka – powiedziała łagodnym głosem kobieta. – Na prezent.

Wyciągnęła przed siebie sztućce, uśmiechając się, ale jakby nie do niej. Po chwili odeszła. Słychać było tylko, jak powtarza w kółko to samo. – Na prezent niosę, na prezent.

„Jakie to smutne" – pomyślała Maria, przyglądając się kobiecie, która zatrzymała się teraz przy kimś innym i powtarzała swoją kwestię.

W tej chwili dało się słyszeć.

– Dzień dobry, proszę pani!

Maria spojrzała za siebie. Obok mleczarni stała dziewczynka w błękitnej sukience przed kolana i uśmiechała się do niej.

– Dzień dobry – powtórzyła i dygnęła, uginając lekko kolanko.

Maria odwzajemniła uśmiech.

– Poznaję cię, ale wyrosłaś. Prawdziwa pannica z ciebie. Lucynka, tak?

– Tak, proszę pani.

– A mamusia gdzie?

– W sklepie proszę pani, po mleko weszła.

Maria zbliżyła się do niej.

– Co u was słychać? Wszystko dobrze? Zdrowi jesteście?

– Tak, proszę pani. Tylko tatuś jeszcze z robót nie wrócił, ale z listów wiemy, że żyje i niedługo wróci.

Nagle tuż obok usłyszały podniesione głosy. Starszy mężczyzna tłumaczył coś kobiecie, mniej więcej w jego wieku, machając przy tym rękami. Po chwili głośna rozmowa przeszła w kłótnię, a wokół nich zebrali się przypadkowi ludzie.

– Tłumaczę pani i tłumaczę. Postawiłem tę butelkę na posadzce, bo musiałem wyjąć pieniądze, żeby zapłacić, a pani w nią wlazła i rozlała mi mleko. Trzeba trochę patrzeć pod nogi.

– A ja mówię panu jeszcze raz, jak było. Ktoś z tyłu kolejki mnie popchnął.

– Przecież pani stała ostatnia, to jak mógł panią ktoś popchnąć? Zresztą dajmy już pokój. Stało się. Nie będziemy więcej na ten temat gadać, bo pani to zaraz taka... „fi, fa, rafa – żyrafa", nie da pani sobie nic powiedzieć i myśli, że taka cwana, że krzykiem mnie weźmie.

– Jaka znowu żyrafa? Panie! Czy ja wyglądam na żyrafę? Ludzie! Co to za człowiek? Nie rozumie, jak się mówi po polsku.

– To pani nie rozumie. Ja wyraźnie mówiłem, a że pani głucha, no to może inaczej zrozumiała. Trzeba przeprosić i sprawa będzie załatwiona.

– Ja? Ja mam pana przepraszać? To pan mnie powinien!

– Ja? Przecież to pani mi stłukła butelkę!

Chłop zrobił się czerwony ze zdenerwowania i miał jeszcze coś dodać, ale w końcu zamknął usta i machnął ręką z rezygnacją.

– A, tam...! Z babą i tak nie wygrasz! Myśli, że wszystkie rozumy zjadła, to co się dziwić... A chociaż się najadła? – roześmiał się.

To rozeźliło kobietę jeszcze bardziej i zaczęła okładać go torebką, aż musiał zakryć się rękami.

– Ty dziadzie, ty! – wrzasnęła. – Nie pozwolę się ze mnie wyśmiewać.

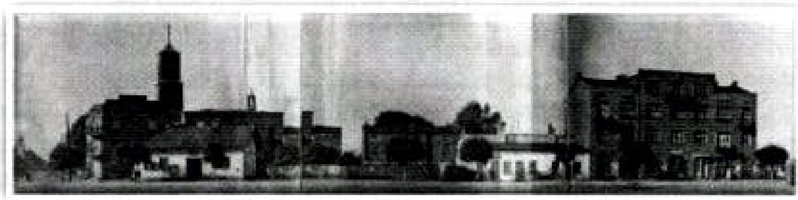
Mężczyzna odwrócił się do niej plecami i ciągle zasłaniając głowę, uciekł krzycząc:

– Wariatka! Ludzie, wariatka!

Stojący wokół ludzie śmiali się i żywo rozmawiali o zdarzeniu, którego byli przypadkowymi świadkami.

– Ale cyrk! Taki, jak przed wojną przyjeżdżał – śmiał się jeden z nich.

– Tak – potwierdził inny. – Tylko Ralfa brakuje, żeby tu jakieś sztuczki pokazał i cyrk za darmo.



Zelów. Rynek – strona południowa. Lata 50. XX w.
Mleczarnia – biały budek z prawej.

W końcu jednak tłum gapiów zaczął się rozchodzić, a do nich podeszła pani Stanisława, matka Lucynki.

– A co tacy weseli wszyscy? – spytała. – O! Pani Maria! Żyje pani! Jak się cieszę! – przywitały się serdecznie.

– Witaj, Stasiu. Właśnie rozmawiałam z Lucynką, a tu nagle jakaś kłótnia. Poszło o jakieś bzdury. Powiedz, Stasiu. Co u ciebie? Co u was?

– No, po prawdzie to lekko nie jest. Praca – dom, dom – praca i tak w kółko. U Słamy, w fabryce robię, a po pracy piorę i sprzątam na Poznańskiej, u dentysty Niewieczerzała. Dostaję za to trochę pieniędzy i jedzenie. Mieszkamy z mamą w Pożdżenicach, to do roboty też mam kawałek. Do tej pory rowerem jeździłam,

co go miałam po Niemcu, któremu dom oprzątałam, ale mi zabrali ci, co to teraz poniemieckimi majątkami rządzą, no i na nogach muszę chodzić. Nawet pierzynę mi zabrali, bo też po nim była, a przecież jej nie ukradłam, bo jak wyjeżdżał, to sam mi ją dał. Dużo rzeczy mogłam wziąć, a chciałam tylko ten rower i pierzynę, ale oni nie chcieli słuchać, choć sama z dzieckiem i z matką jestem, zabrali i już – żaliła się kobieta.

Nowotarska objęła ją ramieniem i starała się pocieszyć, lecz kobieta żaliła się dalej.

– Zawsze musiałam ciężko pracować i służyć u obcych, cały czas pod górkę, znikąd wsparcia. Moja mama też musi u obcych do pracy się najmować, żeby na chleb było. Mienie poniemieckie – mówią... przejmują je zgodnie z prawem – mówią... Może i prawda. Tylko słyszałam, że już co do podziału tego mienia, to nie jest to tak do końca zgodnie z prawem. Kto im da w łapę, to lepsze dostaje i więcej.

– Tak – zamyśliła się Nowotarska. – Masz rację, biednemu to zawsze wiatr w oczy wieje, ale zobacz, jaką masz śliczną córeczkę – odwróciła się w stronę dziewczynki i uśmiechnęła się do niej. – A grzeczna. Po prostu aniołek.

Lucynka zaczerwieniła się lekko i dygnęła kolejny raz kolankiem.

– Dziękuję pani. Mamusia mówi, że jestem jej słoneczko.

– Pewnie, że słoneczko – matka przytuliła ją do siebie. – Bo dajesz mi radość i siły, i jak słoneczko rozświetlasz moje życie – ucałowała ją w głowę. – Pożegnaj się już. Musimy iść, bo do pracy się spóźnię.

Pożegnały się i odeszły, ale Lucynka odwróciła się jeszcze i z daleka pomachała ręką na do widzenia. Maria także jej pomachała i już miała iść dalej, kiedy minął ją Marian.

– Maniuś! – krzyknęła za nim. – No, co ty! Ludzi nie poznajesz? – zawołała.

– Dzień dobry, pani Mario. Tak idę i myślę, bo wie pani... Człowiek rano wstaje i cieszy się, że piękny dzień, że słoneczko świeci, że zdrowy i że w domu, i... parę groszy w kieszeni, bo akurat poprzedniego dnia zarobił. A tu nagle ojciec mówi. Ubierz się odświętnie. Idziemy. Gdzie? – pytam. Do jedynki – mówi. Jakiej jedynki? – pytam dalej. – A ojciec mówi – Do szkoły cię trzeba zapisać.

Marysia uśmiechnęła się.

– I to cię tak zmartwiło?

– Ano, zmartwiło. Znowu się uczyć. Po tylu latach. Już prawie nic nie pamiętam, no i przecież mam już 18 lat i z dziećmi do szkoły mam chodzić? No, ale wie pani, ojciec jak się uprze...

Poszliśmy do kierownika szkoły, pana Masteja. Zaprosił nas żebyśmy usiedli, a jakże, wszystko grzecznie i kulturalnie, ale jak dowiedział się, że nie mam żadnych świadectw, to mi egzaminy robił.

Maniek opowiedział przebieg wydarzeń z najdrobniejszymi szczegółami.

– Najwięcej kłopotów miałem z rachunkami, ale jak mi powiedział, że mam zjeść kawałek ziemniaka z jednego całego, to od razu zrozumiałem.

Maria znów się uśmiechnęła.

– Zawsze był z ciebie żarłok – powiedziała. – Nie martw się. Dasz sobie radę. Nie jesteś głupi. I sprytny jesteś. A jeśli będziesz chciał, to ci pomogę.

Marian westchnął ciężko.

– Dziękuję, pani. Jakoś to będzie. Ma pani rację. W końcu niejedną biedę już się przeszło. A u pani, co słychać?

– Dziękuję. Nie najgorzej. Chociaż ostatnio spać nie mogę. Ciągle jakieś koszmary mi się śnią. O naszej Zosi myślę i o Bartku... Zobacz Zośka nie wraca i nie wraca, po Bartku też słuch zaginął...

– Ja też nie mogę spać, ale powiem pani – zniżył głos i dodał szeptem – to przez duchy...

Maria spojrzała na niego zdziwiona.

– Jakie duchy?

– No, zwyczajne. Takie od straszenia. Niedaleko od domu, w którym teraz mieszkamy, stoi dom mojego kolegi, to u niego je widziałem. Ja je widziałem, on je widział i jeszcze jego rodzice. I to nie raz! Jak Boga kocham, pani Mario! Fakt autentyczny!

– Maniuś! Może są duchy, a może nie, ale fakty to zawsze są autentyczne.

Maria rozejrzała się dookoła. Prawie nie było ludzi, a na dworze było jeszcze widno.

– Siądźmy tu chwilę. Powiesz, co się dzieje.

Przysiedli na pobliskiej ławeczce niedaleko pompy.

– Duchy tam straszą, bo to zastrzeleni Niemcy, słyszała pani.

– Noo... może i słyszałam, mów dalej.

– Ruskie ich w ziemiance zastrzelili.

– Ja słyszałam, że przy stercie i przy kościele w Łobudzicach.

– Przy stercie? – spojrzał na nią zdziwiony. – Nie! Tu na Piotrkowskiej – dodał.

– Maniek, uspokój się i opowiedz wszystko po kolei.

– Łatwo powiedzieć: „uspokój się", jakby pani je zobaczyła...

Marian rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Odetchnął głęboko i zaczął opowiadać:

– My teraz na Piotrkowskiej mieszkamy, pod dwudziestym, a niedaleko, pod dziesiątym, Rogutowie. Mój ojciec i pan Rogut znają się jeszcze sprzed wojny, bo Rogutowie mieszkali na Sienkiewicza, a tata miał tu na Piotrkowskiej zakład. No i teraz często się spotykają. Wieczorami przychodzi do nas i gadają do późna. I inni sąsiedzi też się schodzą, i różne dzieciaki z sąsiedztwa. Pan Rogut to zawsze z synem przychodzi, takim Stefkiem. Opowiadają przeróżne historie – o Niemcach w Zelowie i o pobycie w Reichu, no i o Ruskich, jak weszli w styczniu do Zelowa.

– Maniek, do rzeczy – wtrąciła Maria.

– No, już właśnie o tym wyzwoleniu chcę mówić, bo na kilka dni przed dziewiętnastym stycznia pan Rogut wrócił z Niemiec.

Mówił, że wtedy, jak Ruscy Łódź bombardowali. Widać było aż z Zelowa. Całe niebo nad Łodzią było w takich rozświetlonych choinkach. A następnego dnia patrzą przez okno w kierunku Łobudzic, bo oni mieszkają na piętrze, a szczytowe okno na tamtą stronę wychodzi... A więc patrzą, a tu jedzie dwóch Ruskich na koniach, a za nimi słychać warkot motorów i widać wojsko. Szli takimi małymi grupami. Zatrzymali się na polu, przy ich domu – tak od strony czeskiego kościoła. Przyprowadzili ze sobą dwie świnie i krowę, i rozbili obóz. Ci ważniejsi zajęli mieszkania na dole i zaczęli ucztować, ale prawdziwa uczta to była wieczorem. Wynieśli meble, przynieśli skądś pianino i pan Engel na nim grał, a oni jeszcze na harmonijkach. Tańcowali, aż się dom trząsł. A taki najważniejszy oficer – był w skórzanej kurtce i czapce – poszedł spać do nich, na górę. Pani Rogutowa naszykowała mu łóżko w jednym mieszkaniu, a Rogutowie spali w drugim. Jeden wartownik pilnował go na dole, przy schodach, a drugi u góry, przed drzwiami. Kiedy rano wstali, to oficera już nie było, ale na podwórku żołnierze myli się i szykowali śniadanie, a mróz był jak cholera.

– Maniek! – skarciła go łagodnie.

– Przepraszam, pani Mario, ja tylko powtarzam, co mówił pan Rogut. Więc patrzyli przez okno z korytarza, z drugiej strony domu, przez wychuchane dziurki na zamarzniętych szybach. Taki był mróz, a oni rozebrali się do połowy i polewali wodą. Ale później było najciekawsze. Jedno okno Rogutów wychodzi na ulicę, więc z ciekawości obserwowali zza firany, co się tam dzieje. Patrzą, a tu ruski patrol prowadzi dwóch Niemców. Szli z rękami nad głową, na boso i w kalesonach. Nieco dalej, po drugiej stronie ulicy była ziemianka – jeszcze tam jest. Kazali im tam wejść i Ruski też wszedł i zastrzelił ich z pepeszy. Pani Rogutowa to podobno ich żałowała, że niby tacy młodzi, że matka pewnie w domu na nich czeka, a oni tu już martwi leżą, no, ale mniejsza z tym. Za jakiś czas patrzą, a następnych prowadzą, ale już w butach i mundurach byli, tylko bez pasów, i znów kazali im

tam wejść. Ten pierwszy, jak zobaczył tych zastrzelonych, to się cofnął, zaparł się i nie chciał iść, bo wiedział, co go czeka, ale dostał kilka razy kolbą i wszedł. Kiedy do niego strzelali, to ten drugi zaczął uciekać, w kierunku Trytwy. Wartownik strzelał do niego, ale padły podobno tylko dwa strzały i brakło mu naboi. Wyjął więc pistolet i strzelał. Nie trafił i Niemiec zwiał. Wcale go nie gonili. Pewnie myśleli, że inni go złapią. Jemu się upiekło, ale tych trzech tam zabili w tym schronie i teraz, pani Mario, w tym domu obok tego schronu pojawiają się ich duchy. Poszedłem tam, bo nie chciałem temu mojemu koledze wierzyć, ale na własne oczy widziałem. Siedzieliśmy wieczorem w korytarzu, przy schodach, i czekaliśmy. Tak z godzinę siedzieliśmy i już miałem iść do domu, kiedy nagle, tak jakby ze ściany, wyszła taka... taka mgielna postać i... i weszła na schody. Szła koło nas, ale na nas nie patrzyła. A nas to tak zamurowało, że... włosy to mi na całym ciele dęba stanęły, a w gardle to tak mi zaschło, że... powietrza nie mogłem złapać. Kolega tak samo. Duch wszedł na górę i dopiero wtedy odwrócił się i spojrzał na nas. Widać było wyraźnie jego twarz. Na pewno był to mężczyzna... I był taki blady, taki... taki przezroczysty, i patrzył tak smutno, tak smutno, pani Mario, i nagle zniknął.

Nastała głęboka cisza. Dopiero po dłuższej chwili Maria otrząsnęła się, jakby nią wstrząsnęły dreszcze.

– To ci historia. Sama gęsiej skórki dostałam.

– No... I jak tu się nie bać. Niech pani sama powie.

– Chyba też kiedyś widziałam ducha. Pewnie jest coś tam po śmierci, że te biedne dusze błąkają się po ziemi, zanim zaznają spokoju. Ludzie mówią, że mają tu jakieś niedokończone sprawy, albo pokutują za swoje grzechy. Ale nie martw się – poklepała go w ramię. – Duchy nikomu nie robią krzywdy.

Uśmiechnęła się i wstała.

– Maniuś, muszę już iść. Miałam iść do znajomych, ale teraz to już za późno, do domu muszę wracać. A o szkołę się nie martw, pomogę – poklepała go delikatnie w ramię. – I pamiętaj – nauka

to potęgi klucz. Będziesz się uczył, to lepszą pracę dostaniesz, a nie dźwigał worki z mąką czy przy budowie drogi kamienie układał.

– Do widzenia, pani Mario.

– Do widzenia. Spotkamy się następnym razem, to się pośmiejemy dla odmiany, bo w życiu są chwile wesołe i smutne, teraz w końcu czas na te wesołe.

Minęło kilka dni. Maria nie miała czasu wybrać się do Zelowa, ponieważ zaczęły się sianokosy. Należało wykorzystać sprzyjającą pogodę, bo ustały codzienne majowe burze i można było bez obaw wysuszyć i zwieźć siano. Ale jak tylko znalazło się w stodole i zabezpieczone płachtami w wysokich na trzy metry stogach, wybrała się do Rozy. Miała nadzieję, że tym razem spotka chrześniaka, któremu chciała podarować drewnianego, odpustowego motylka na kijku, pamiątkę jej dziecięcych lat.

Kiedy zapukała do drzwi Witczaków, nikt nie odpowiedział. Powtórzyła czynność kilkakrotnie, ale bez echa. Miała już odejść, jednak chwyciła jeszcze klamkę i nacisnęła. Było otwarte, więc weszła do środka.

– Jest tam kto?

Lekko zaniepokojona powtórzyła pytanie, ale kiedy nikt nie odpowiedział, przeszła dalej, do następnego pomieszczenia. Na łóżku leżała Rozalka z synkiem i spali. Podeszła do nich, skradając się na palcach.

– A wy śpiochy! – powiedziała głośno i uśmiechnęła się. – Taki piękny dzień, a wy śpicie?

Rozalka otworzyła oczy. Maciek też się obudził i usiadł szybko na łóżku.

– Mama, jakaś pani przyszła – powiedział dziecięcym głosem.

– Cześć, Maciuś! – przywitała go wesoło Maria. – Nie pani, tylko ciocia. No, ale ty przecież mnie nie znasz. Ja jestem twoją chrzestną, mam na imię Marysia, ciocia Marysia.

Patrzyła na niego, nie mogąc opanować wzruszenia i radości, że w końcu go widzi. Roza usiadła na brzegu łóżka, ale nie patrzyła na gościa ani na syna, tylko w okno.

– A ty co? Nie przywitasz się?

– Witaj, Marysiu. Już wstaję. Zaraz się ogarnę. Już, już.

Maria przyjrzała się jej dokładniej, bo było coś dziwnego w jej zachowaniu i w tonie głosu.

– Stało się coś? Rozalka spójrz na mnie.

Złapała ją pod brodę, lekko uniosła jej głowę i przeraziła się.

– Jezus! Maria! Co się stało?

Dziewczyna miała sińca wokół oka.

– A nic. Przewróciłam się – odpowiedziała jej od niechcenia. Podeszła szybko do toaletki i zaczęła się czesać przed lustrem.

– Gdzie się przewróciłaś? – dopytywała ją nadal przerażona Maria. – Może do doktora trzeba z tym iść albo zaraz ci jakieś kompresy zrobię. Surowa kapusta jest na to dobra. Trzeba liścia przyłożyć. Masz kapustę w domu? Jak nie, to pójdę i kupię.

– Nie. Dziękuję. Samo przejdzie – odpowiedziała jej Roza.

Maria zastanowiła się.

– Jak mogłaś się tak uderzyć? – zaczęła mieć wątpliwości. – Mów mi zaraz, jak to się stało – dodała ostrzej i usiadła na brzegu łóżka, wskazując ręką miejsce obok siebie. – Chodź, siadaj!

Rozalka zaczęła płakać, ale usiadła posłusznie obok niej i już miała coś powiedzieć, lecz Maria jej przerwała.

– Czekaj. Chwilę. To dla ciebie Maciuś – podała mu prezent. – Pobaw się trochę, ja porozmawiam z mamusią, a później się pobawimy.

– Zobacz, Maciuś, co ci ciocia przyniosła – Rozalia nachyliła się nad dzieckiem, oglądając motylka. – Idź i pobaw się w kuchni – dodała, hamując płacz i wymuszając uśmiech.

Dziecko, zachwycone nową zabawką, poszło do sąsiedniego pomieszczenia, wtedy Maria złapała ją za rękę i spojrzała głęboko w oczy.

– No! Teraz porozmawiamy. Nie płacz! Masz, wytrzyj nos! – podała jej chusteczkę. – Wszystko mi opowiedz, jak na świętej spowiedzi. Kto ci to zrobił? Rudy?
Rozalka kiwnęła głową, potwierdzając przypuszczenia przyjaciółki.
– Jezus! Maria! To łotr! Ręką cię uderzył?
Roza tylko wzruszyła ramionami.
– Nieee... Tylko mnie popchnął. Przewróciłam się i... o róg stołu.
– Popchnął, nie popchnął! Nie wolno mu! Trzeba coś z tym zrobić.
Roza chwyciła ją za rękę.
– Nie! – niemal krzyknęła. – Nie trzeba – dodała łagodniej. – Zagoi się i... Raz mu się tylko zdarzyło.
– Raz?
– No, może dwa razy, ale obiecał, że już tego nie zrobi. Po prostu brakło chleba na kolację. To moja wina, naszykowałam już kartkę na chleb i pieniądze i miałam iść do sklepu, ale pomyślałam, że rano kupię mu świeży, a on zje obiad, bo zostawiłam mu tarte kluski z marchwią, okraszane słoniną. Tylko że wrócił z pracy trochę wypity i głodny, no i się zdenerwował. Miał prawo, w końcu to on pracuje i powinnam mu choć tę kolację naszykować.
– I to ma być powód? Co chcesz z tym zrobić? Chyba nie dasz się tak traktować? Nie pozwól na to, Rozalko. Nie daj sobą tak pomiatać. Jesteś młodą, mądrą dziewczyną. Porozmawiaj z nim. Postaw się. Postrasz go. Sama już nie wiem. A może ja z nim porozmawiam?
Roza ponownie wzruszyła ramionami. Zdawała sobie sprawę z tego, że źle się u nich dzieje. W końcu cichutko powiedziała:
– No, dobrze.
– Co mówisz? – spytała Maria – nie dosłyszałam.
Roza odchrząknęła i powtórzyła głośniej.

– Dobrze, porozmawiam z nim, ale ty się nie wtrącaj i broń Boże, nie mów mu, że ci powiedziałam. Obiecaj mi, Marysiu! Obiecaj! – zaczęła niemal błagać.
Maria chciała jej wytłumaczyć, że nie powinno się takich rzeczy ukrywać, ale kiedy spojrzała w jej czerwone od łez, wystraszone oczy powiedziała:
– Obiecuję, że jeśli to się nie powtórzy, będę milczała, ale... – przerwała, bo Roza położyła jej palec na usta, prosząc w ten sposób, aby nie kontynuowała tego tematu.
– Jak uważasz – dodała po chwili Maria. – Ale pamiętaj, że na mnie zawsze możesz liczyć, daj znać w razie czego. Albo do mamy się wyprowadź na jakiś czas, może da mu to do myślenia.
– Jak znajdę pracę, to będzie lepiej – odpowiedziała jej z optymizmem. – Tyko Maćka nie mam z kim zostawić.
– Wiesz, co? – Maria spojrzała na przyjaciółkę. – Mam pomysł. Nie wiem jeszcze, czy coś z tego będzie, ale zobaczymy. Idę zaraz do Prezydium, do Wydziału Oświaty w sprawie pracy, bo słyszałam, że na Poznańskiej mają otworzyć ochronkę dla dzieci. Wiesz, taką, jak przed wojną Czesi prowadzili. Wtedy możesz Maćka zostawiać pod moją opieką.
Roza zapaliła się do przedstawionego planu.
– Pod twoją opieką to go zostawię – powiedziała. – Bo tak, to bym się trochę bała, on jest jeszcze taki mały.
Maria wstała z łóżka.
– To ja się zbieram. Jak będę wracała, to dam ci znać, co załatwiłam, a ty zrób ten kompres. Mówię ci, liść kapusty przyłóż, tylko najpierw go stłucz, żeby soki puściły.
Już po godzinie Nowotarska wróciła z wiadomością.

– Myślałam, że Urząd Gminy jest tu, w Rynku, jak dawniej – powiedziała wchodząc – a okazało się, że już na początku kwietnia przenieśli go na Żeromskiego, przy Szkolnej – dodała.
Nagle spostrzegła siedzącego w kuchni, przy stole, Jacka. Wstał, kiedy ją usłyszał i podszedł, uśmiechając się szczerze.

– Witaj, Marysiu! Cieszę się, że w zdrowiu cię widzę.
Maria przywitała się, ale mając świeżo w pamięci opowieść Rozalki, jakoś tak dość chłodno, bez entuzjazmu.
– Witaj, Rudy. Dobrze wyglądasz.
Witczak uśmiechnął się ponownie.
– Szkoda, że nie widziałaś mnie, kiedy wróciłem.
– Tak – wtrąciła Roza.
Podeszła do męża, objęła go w pół i przytuliła.
– To był obraz nędzy i rozpaczy – powiedziała, uśmiechając się wesoło. – Ale dbamy o niego razem z Maciusiem, jak tylko możemy.
Rudy spojrzał na nią dziwnie, delikatnie wyswobodził się z objęcia i dość oschle powiedział:
– Gościa mamy. Nie widzisz. Zrób herbaty. Zaproś do stołu.
– Maciuś! Maciek! Ciocia przyszła! – zawołała Roza do syna, który bawił się w sąsiednim pokoju.
Kiedy Maciek przybiegł, ojciec podszedł do niego i wziął na ręce.
– Patrz, jak mi syn wyrósł – uniósł go kilkakrotnie, a później posadził na kolanach, ale chłopiec zeskoczył i uciekł do matki.
– Wstydzi się – Rudy zmieszał się lekko. – A co u ciebie? – szybko zmienił temat.
– Dobrze! Nie ma, co narzekać. Z gminy właśnie wracam, z dobrą wiadomością, bo pracę dostałam.
– To dobrze. Wszyscy teraz powinniśmy pracować – spojrzał na żonę, która właśnie parzyła herbatę – dla dobra ojczyzny – dodał.
– To bardzo dobrze – wtrąciła Roza. – Gdzie? W szkole? Tak, jak chciałaś?
Maria spojrzała na Rozalkę. Zastanowiło ją to, co powiedziała. Przecież mówiła jej, że chce pracować w ochronce. Po chwili jednak zrozumiała, o co jej chodzi.
– Byłam tu chwilę ze dwie godziny temu...
Rudy spojrzał na żonę.
– Taaak. Nic mi Rozalka nie mówiła, że byłaś u nas dzisiaj.

– No, bo ledwie zdążyłam się przywitać i musiałam iść. Śpieszyłam się do gminy, właśnie tę pracę załatwiać, ale obiecałam jej, że wejdę, idąc z powrotem, no i jestem.
– No, chyba, że tak – powiedział Rudy bez przekonania. – No, to opowiadaj. W szkole będziesz jak dawniej?
– No, właśnie, że nie. Chcieli co prawda. Mówią, że brakuje im wykwalifikowanej kadry. Zresztą wszystkiego im brakuje – podręczników, zeszytów, sprzętu, a najbardziej pomieszczeń. Klasy są przeludnione, po pięćdziesiąt – sześćdziesiąt dzieci w jednej, a szkoła „dwójka" dopiero pod koniec roku ma ruszyć. Ale są kursy wieczorowe, bo dużo jest analfabetów i półanalfabetów, a niektórzy nawet podpisać się nie potrafią. Pokazali mi cały spis z nazwiskami. Kilkadziesiąt zapisanych kartek. Ale ja nie chciałam z dorosłymi. Ta wojna i w ogóle... Wiecie, że ja kocham dzieci. No to zaproponowali mi od września pracę opiekunki i wychowawczyni w ochronce na Poznańskiej, ale mam się jeszcze zastanowić. Jakbym zmieniła zdanie, to chętnie by mnie w szkole widzieli. Wolę jednak w ochronce. Przynajmniej na razie.
– Zbieram się, bo jeszcze o mieszkanie muszę popytać.
– Złóż pismo do gminy o przydział mieszkania – powiedział Rudy, wstając od stołu. – Mienie pożydowskie i poniemieckie będą dzielić.
Żegnając się z Rozą i Maćkiem, Maria ucałowała ich i dodała:
– Rób na to oko okłady z kapusty. Mówię ci, przyniesie ci ulgę. A ty – zwróciła się do Rudego – mógłbyś naprawić ten schodek, bo znowu ktoś się wywróci.

Mijał dzień za dniem, a relacje pomiędzy Rozalką a Jackiem nie tylko się nie poprawiły, ale wręcz pogorszyły. On stał się opryskliwy dla niej i dla dziecka. Wychodził gdzieś wieczorami, znikał na wiele godzin, a po powrocie śmierdział wódką. Ona przyjmowała to z pokorą. Nie odzywała się, bo czuła się winna. Chciała tylko, żeby choć Maciusia kochał, a on coraz częściej go odtrącał i krzyczał, a dziecko się go bało.

Częste sprzeczki i awantury, płacz Maćka i krzyki słychać było dookoła, ale sąsiedzi nie chcieli się wtrącać, a Rozalka dawała mężowi co dzień nową szansę na poprawę, wierząc, że zrozumie, że przestanie pić i znów jak dawniej pokocha ją i syna.

Na taki właśnie moment trafił Karol Niewieczerzał, dawny towarzysz niedoli Jacka, który postanowił, po powrocie z robót, odwiedzić znajomego i zapytać go o zdrowie. Stał przed drzwiami państwa Witczaków i zastanawiał się, czy zapukać, bo słychać było krzyk i wyzwiska.

– W więzieniu lepsze żarcie miałem niż we własnym domu! – usłyszał męski głos. – Nie będę tego jadł!
Odgłos spadającej na podłogę metalowej miski był bardzo wyraźny. Po chwili rozległ się płacz kobiety i małego dziecka. Nagle drzwi otworzyły się tak raptownie, że niewiele brakowało, a uderzyłyby go w głowę. Zdążył jednak odskoczyć. W drzwiach stał zaskoczony Rudy i patrzył na chłopaka. Dopiero po chwili odwrócił się i krzyknął niegrzecznym tonem w kierunku mieszkania.
– Do łaźni idę!
Wychodząc trzasnął drzwiami.
– Żyjesz – dodał łagodniej, wyciągając rękę na przywitanie.
– Ano, żyję.
– Dawno wróciłeś?
– Jakiś czas temu – odpowiedział mu krótko i zamilkł, ale patrzył na niego przenikliwym, pytającym wzrokiem.
Rudy wiedział, o czym myśli, więc sam odpowiedział:
– Na nerwy mi działa.
Wyszli na ulicę. Po długim milczeniu Karol spytał:
– Do łaźni idziesz? Bez ręcznika?
Jacek uśmiechnął się.
– Do pracy idę. Pod kotłem palę, jak mam wolne w fabryce. Dorabiam, bo na razie to tylko trzy dni w tygodniu robimy i płacą

raz kiedyś, a najczęściej to dziesięć metrów tkaniny i kilo mięsa dają – raz na dwa tygodnie. Ale to chwilowe, bo nie ma przędzy i krosien mało. Wszystko rozgrabili, zniszczyli. Ale my naprawimy i wyczyścimy to, co zostało, choć strasznie są zardzewiałe. Na koniec roku mają być dostawy bawełny ze Związku Radzieckiego, wtedy pełną parą ruszymy. Będziemy pracować więcej i wydajniej, żeby podniósł się byt mas pracujących. A druga robota, póki co, się przyda. Tym bardziej że daleko nie mam, a i narobić się zbytnio nie trzeba.
– To gdzie idziemy? Gdzie jest ta łaźnia?
– Tam gdzie była we wojnę, na Kilińskiego 19, u Wejmana w podwórku. W marcu ją otworzyli, ale może długo nie być, bo Wejman wrócił z robót i domaga się zwrotu budynku, że niby Niemcy go zabrali. Nie chcą mu dać, ale w końcu dadzą. Posmaruje gdzie trzeba i dadzą. Stać go. Mówią, że miał zakopaną beczkę srebra.
Karol spojrzał na niego i uśmiechnął się.
– Całą beczkę! – podrapał się w głowę – taki skarb znaleźć, to by było coś.
Tym razem uśmiechnął się Rudy.
– No to, szukaj. Pewnie niejeden zakopał swoje kosztowności. Takie czasy były. Na szczęście się skończyły. Według mnie to wszystko, co w ziemi, powinno iść dla państwa. Zakopał, nie zakopał, jak ktoś to znajdzie, to powinien oddać państwu. Wszystkim nam się to należy. Koniec z kułakami. Nie będzie już żadnych panów, hrabiów i książąt. Teraz jesteśmy my, ludzie pracy, sól tej ziemi, naszą krwią i potem każda jej garść jest nasiąknięta.
– Tak jest, jak mówisz – wtrącił Karol. – Mój ojciec poszedł niedawno do Bełchatowa, jakieś sprawy załatwiać i po drodze w Woli Mikorskiej patrzy, a tu jakiś kosmaty niedźwiedź naprzeciw niego idzie. Dopiero z bliska zorientował się, że to człowiek. Wyglądał jak dziad. Zarośnięty na twarzy, że tylko nos i oczy widać było, ale barczysty jeszcze i znacznej postury. Ubrany w

stary, wytarty kożuch wywrócony na drugą stronę, a w pasie powrozem przewiązany. Szedł tak przed siebie prosto w pola, nie patrzył na nikogo, aż zniknął w oddali. Później ojciec się dowiedział, że to dawny dziedzic z dworu w Mikorzycach. Wszystko mu zabrali, cały majątek rozparcelowali, a rodzina gdzieś na wojnie przepadła i sam został, aż zwariował z tego wszystkiego.

Rudy spojrzał na chłopaka.

– Ja nie mówię, żeby aż do tego się posuwać, żeby człowieka tak zgnoić, ale może się opierał i nie chciał dobrowolnie zdać na państwo. Kto wie, jak było? Mógł oddać i choćby do przytułku iść. Nawet tu w Zelowie taki jest, na Waryńskiego, a w Bełchatowie pewnie też. W Polsce trzeba zaprowadzić ład i porządek, i sprawiedliwość społeczną, i my tego dokonamy. Zobaczysz! A teraz mów, co u ciebie słychać – Rudy zmienił temat. – Gdzie cię powieźli, jak wtedy nas rozdzielili, bo ja w Waldenburgu w więzieniu siedziałem, aż w końcu w styczniu tego roku zwiałem i wróciłem... do kochanej żoneczki wróciłem – dodał cynicznie, akcentując każdy wyraz.

– Ja... – zaczął Karol. – Ja to dopiero co wróciłem, w samo Boże Ciało, 8 czerwca. A niełatwo było. A wtedy, jak nas rozdzielili, to trafiłem aż nad Łabę, ale nie było mi tam źle. W gospodarstwie robiłem, a gospodarz i jego żona byli dla mnie dobrzy. Dla nas wszystkich, bo kilku nas tam było. Fajne chłopaki – Józek Koza i Stasiu Dachowicz. A jak się wojna skończyła, to gospodarz powiedział, że Hitler wojnę przegrał i możemy wracać do domu. Dał nam konia i wóz, jedzenie i trochę ubrań. I byłoby dobrze, gdyby po drodze Ruscy nam wszystkiego nie zabrali. W zamian dali nam lichy wóz i starą, kulawą szkapinę, która padła już następnego dnia. Więc dalej szliśmy pieszo, aż pod Tarnowskie Góry, ale nie mieliśmy żadnych papierów, więc na granicy polskie władze nie chciały nas wpuścić. Kazali zawrócić i iść do Legnicy, do biura repatriacyjnego. Próbowaliśmy w różnych miejscach przejść punkty kontrolne, ale się nie udało. W końcu doszliśmy do jakiegoś gospodarstwa, a tam Ruskie zbierali ludzi

do wybierania kartofli z kopców. No i nas też zabrali. Dopiero po kilku dniach udaliśmy się w dalszą drogę. Tyle tylko, że dali nam zaświadczenia i potem już pociągiem do Katowic, a stamtąd do Łasku. Do Zelowa to już na pieszo przyszedłem, z małą przerwą, bo byłem tak zmęczony, że jak w środku nocy dotarłem do Buczku, to już mnie nogi nie chciały nieść. Zapukałem więc do jednego okna, gdzie paliło się światło. Okazało się, że był to posterunek milicji. Wytłumaczyłem, kim jestem. Dali mi jeść, pić i położyłem się na ławie, żeby odpocząć, ale zasnąłem. Spałem tak, że dopiero późnym popołudniem się przebudziłem. No, ale do Zelowa było już blisko, a w domu prawie wszystko w porządku.

– Prawie? – spytał Rudy.

– No, tak. Mówię prawie, bo swoje przeszli. Niejedno nieszczęście. Ojca wywieźli do Reichu w czerwcu 42., a matkę niedługo po tym Niemcy aresztowali za to, że za dużo mąki w domu miała, bo mama piekła chleb i sprzedawała, a przecież nie wolno było. No i moi młodsi bracia sami zostali. Golke mamę parę razy ostrzegał, że przyjdą sprawdzać, to się wtedy chowała, ale jednego razu nie zdążyła wyjść z domu. Dzieci wysłała na podwórko, a sama zamknęła się i schowała się pod pierzyną. Żandarmi pytali mojego dwunastoletniego brata Józka, gdzie mama. To on im powiedział, że poszła do sklepu, więc zabrali ze sobą młodszego, pięcioletniego. No i mama sama do nich poszła. Od października do marca 43. siedziała w więzieniu w Koźminie k. Poznania, a braćmi opiekowała się babka. Ale najgorsze jest to, że Józek już nie żyje, zabili go, tylko nie wiadomo, czy Niemcy, czy Ruskie, bo to było tak... Na początku stycznia Józek złamał rękę. Pośliznął się, upadł i złamał. Więc mama poszła z nim do szpitala, do Łasku. Tam mu założyli gips i został, bo to jakieś poważne złamanie było. Niedługo po tym Niemcy zaczęli uciekać, a szpital ewakuowano. Weszły Ruskie, przeszły i poszły. Akurat tata wrócił z robót. Poszedł jeszcze tego samego dnia po Józka i znalazł go w szpitalnym łóżku z przestrzeloną głową. Prosto w oko mu strzelili, ale nie wiemy kto. I pewnie już nigdy się nie dowiemy.

Ojciec niósł go na rękach przez cały Łask. Do swojego brata, a jego chrzestnego, który tam mieszka. Kupili trumnę i tam Józia pochowali na cmentarzu. Tata nie chciał, żeby mama go zobaczyła... – zamyślił się. – Musiał strasznie wyglądać... – dodał przejęty. – Mój kochany braciszek...

– Niemcy! Na pewno Niemcy to zrobili! – powiedział poirytowany Rudy. – Szwaby pieprzone! – dodał.

Szli dalej w milczeniu, rozpatrując w myślach minione okropności wojny.

– A pamiętasz piekarnię Bajnisza? – Karol wskazał ręką na dwupiętrowy budynek, przy Żeromskiego i Kilińskiego. – Jak z mamą do Rynku chodziliśmy, to mi po drodze bajgle[111] kupowała.

– Co mam nie pamiętać? Pamiętam. Ale też pamiętam, że moją matkę nie było na nie stać. Tylko w święta słodką bułkę jadłem. No, dobra, idę już. Teraz przyszły inne czasy, sprawiedliwe. Dla wszystkich bułek starczy.

Rozstali się przed budynkiem łaźni.

– Trzymaj się, Karol – krzyknął Rudy, odchodząc. – Jakbyś chciał porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie szukać. Przydaliby się nam nowi, żeby zasilić nasze szeregi we wspólnej walce dla dobra naszej ojczyzny.

Karol uniósł rękę na pożegnanie.

– Zastanowię się – krzyknął w kierunku Rudego, ale on wszedł już do środka i nie słyszał odpowiedzi.

Lato szybko dobiegło końca i dookoła pojawiły się pierwsze oznaki jesieni. Liście na drzewach pożółkły, w dzień padało, a nocami pojawiły się pierwsze przymrozki.

Maria stała pośrodku niewielkiego pomieszczenia na poddaszu i patrzyła przez okno wychodzące na podwórze. Wspominała swoją pierwszą zimę w szkole, w Sromutce. Pierwszą bez Staszka. „Ile to już minęło...? A tu już następna idzie, a jego ciągle nie

[111] *Żydowskie pieczywo podobne do obwarzanka.*

ma. I o Bartku żadnych wieści. Jak ten czas leci. Kolejna zima za pasem. Trzeba o tym pomyśleć, przygotować się. Nigdy nie wiadomo, jaka będzie i jak długo potrwa. Muszę utkać te szpary – spojrzała na framugę[112] – To przez nie taki ziąb wieje, tylko waty nie mam".

Zaczęła się ubierać i szykować do pracy. Już od września pracowała w ochronce i wynajmowała niewielki, ale przytulny pokój w narożnym domu przy Kościuszki i Waryńskiego.

Nagle ktoś zapukał.

– A któż to tak wcześnie? – powiedziała do siebie zdziwiona.
Podeszła do drzwi i otworzyła.
W niewielkim, ciemnym korytarzyku stał jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry. Pani Maria Nowotarska?

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Tak. Nowotarska. O co chodzi? – była lekko wystraszona.
Mam dla pani pismo z gminy. Proszę pokwitować odbiór.
Po chwili Maria zbliżyła się do okna i czytała:

„W odpowiedzi na pismo z dnia 27 sierpnia 1945 roku w sprawie przydziału mieszkania informujemy, że obywatelce Marii Nowotarskiej zam. .... został przydzielony lokal w Zelowie przy ul. Kościuszki ...".
Maria szybko przebiegła wzrokiem pozostałą treść listu. Oczy błyszczały jej ze szczęścia.
„W dniu... o godz..."

– To już dzisiaj! – niemal krzyknęła.
„Proszę stawić się pod wskazany adres, gdzie Komisja przekaże obywatelce klucze". Niżej była pieczęć gminy i podpis: Wójt Gminy Zelów – Lucjan Busiakiewicz.
Marysia jeszcze raz wróciła do słów – „został przydzielony lokal".

[112] *Wnęka w murze w której osadzone jest okno.*

– Nareszcie będę miała swoje mieszkanie – podskoczyła z radości. – Jednak Stasia nie do końca miała rację, że tylko swoim przydzielają.

***

Maria lubiła swoją nową pracę. Przebywanie wśród małych dzieci dawało jej dużo radości i satysfakcji. Kochała je wszystkie – te wesołe i te smutne, płaczliwe, i takie, które niczego się nie bały. W pracy zapominała o troskach i zmartwieniach. Uciekała od czarnych myśli, które coraz częściej nachodziły ją podczas samotnych wieczorów w domu. Towarzystwo dzieci było dla niej lekarstwem, a rozmowy z nimi o wiele łatwiejsze niż rozmowy z dorosłymi. Małe dzieci nie ukrywają swoich uczuć, jasno wyrażają swoje sympatie i antypatie. Marysia bawiła się z nimi, uczyła je i pielęgnowała, wkładając w to całe swoje serce, a one odwdzięczały się uśmiechem, sympatią. Niemal na każdym kroku obejmowały ją za szyję i przytulały mówiąc: „Kocham cię, ciociu". Ich proste, logiczne, myślenie niejednokrotnie wprowadzało ją w zdumienie:

– Ciocia! – powiedział mały Mateuszek, kiedy postawiono przed nim miskę z wodą i kazano umyć ręce do posiłku. – Ja chcę być cysty jak lybka.
– Dlaczego jak rybka? – dopytywała Maria.
Chłopczyk spojrzał na nią zdziwiony.
– Jak to, dlacego? – spytał. – Bo lybka cały cas pływa w wodzie, to musi być cysta.

Dzień przebiegał jak co dzień. Uczyli się piosenek i bawili, jedli i spali, ale Maria nie mogła doczekać się końca zajęć. Kiedy odebrano ostatnie dziecko, ubrała się i poszła pod wskazany w piśmie adres. Idąc zastanawiała się, który to dom i jakie będzie to nowe mieszkanie. Rozglądała się, szukając odpowiedniego numeru, w końcu znalazła i weszła po schodach na piętro. Zapukała do mieszkania numer pięć. Drzwi otworzył mężczyzna w krótkiej skórzanej kurtce i czapce z daszkiem.

– Obywatelka Maria Nowotarska? – spytał.
Kiedy potwierdziła, zaprosił ją do środka, gdzie było jeszcze dwóch biuralistów. Mężczyźni rozmawiali żywo, nie zwracając na nią uwagi. Jednak w końcu jeden z nich podszedł i podał jej jakiś dokument.
– Proszę tu podpisać, a tu są klucze – powiedział. – Ten od mieszkania, a ten od komórki – dodał. – Z naszej strony to wszystko. Do widzenia. Życzymy zdrowia.
Ukłonili się i wyszli. Maria została sama. Powoli rozglądała się po dość dużym mieszkaniu znajdującym się w kamienicy, tuż przed ulicą Szkolną. Pokój, kuchnia, komórka. Czego więcej trzeba? No, może małego remontu. Podeszła do ściany, oklejonej starą, papierową tapetą. Oderwała odstający kawałek i odskoczyła z niesmakiem, bo pod tapetą, w kolejnej, wcześniejszej warstwie, odkryła szereg dziur i korytarzy, a w nich poruszające się we wszystkie strony karaluchy. Po chwili zaskoczenia opanowała się. – Nie takie rzeczy się widziało – powiedziała do siebie, a później dodała do „domowników": – Zrobię z wami porządek, bo z pewnością razem mieszkać nie będziemy.
Postanowiła, że zaopatrzy się w odpowiednie narzędzia i dopiero wtedy weźmie się za porządki. Zamknęła mieszkanie i wyszła. Zatrzymała się jednak w bramie, bo zaczęło intensywnie padać. Obok niej, pewnie z tego samego powodu, stał jakiś mężczyzna.
Niespodzianie podeszła do niej znajoma Stasia.

– Dzień dobry, pani Mario. Przed deszczem się pani schowała?
– Dzień dobry, Stasiu. A co ty tu robisz?
– A mieszkam tu od niedawna. Na górze. Od podwórka się wchodzi.

– Naprawdę? – ucieszyła się Maria. – To będziemy sąsiadkami – dodała. – Będę mieszkać pod piątką.

– Bardzo się cieszę, pani Mario, bo zastanawialiśmy się – kto dostanie to mieszkanie? Wie pani, ważne, żeby sąsiedzi byli porządni. A mieszkanie to po Żydach. Oni już nie wrócą, zamordowali ich w obozie, całą rodzinę.

– A ty też z przydziału dostałaś? – spytała Nowotarska.

– Nie. Pozwoliła mi tu zamieszkać taka jedna Czeszka, co u niej robiłam. Napisała mi papier, że mogę tu mieszkać z rodziną, póki ona nie wróci z Czechosłowacji. Wie pani, że teraz to tyle Czechów wyjeżdża. Mówią, że do ojczyzny ojców wracają. Pewnie i tak, ale gdyby im tu było dobrze, toby nie wyjeżdżali. Póki Zelów był czeski, to siedzieli, a teraz... Bo pewnie słyszała pani, jaka tu na nich nagonka i jak ich gnębią. Nie dziwota, że wyjeżdżają. Boją się o zdrowie i życie, bo niektórzy im nie mogą darować, że mieli lepiej za Niemca niż my, ale czy to do końca ich wina? Ludzie są mściwi, swoich krzywd nie darują. Nawet na budynkach się mszczą. Arbeitsamt przy Północnej zniszczyli, a w niemieckim kościele szyby powybijali. Ale gorzej, że nawet ci, co we wojnę Polakom pomagali, też obrywają i to tylko dlatego, że to Niemiec czy Czech. Jedna moja znajoma, co mieszka na końcu Kościuszki, opowiadała mi, że ich sąsiad, spokojny, samotnie mieszkający starszy pan, przyszedł kiedyś do nich i powiedział, że musi wyjechać, bo ciągle jacyś go nachodzą, po nocach w okna walą i straszą go, że jak nie wyjedzie to przyjdą i go spalą. Więc choć tu się urodził i ponad sześćdziesiąt lat żyje, musi wyjechać, obawiając się o własne życie. Pożegnał się z nimi i następnego dnia wyjechał z niewielkim swoim dobytkiem, podstawioną furmanką. Na drugi dzień znaleźli go ci sąsiedzi na progu swojego domu, w samej bieliźnie. Ledwie się do nich dowlókł, tak był zbity. Opiekują się nim teraz, a choć miesiąc już minął, jeszcze do zdrowia nie doszedł i wszystko stracił, bo bandyty go napadli i ograbili.

Maria słuchała z przerażeniem opowieści kobiety.

– Ludzie to gorzej niż zwierzęta – powiedziała.

– No tak, pani Mario. Na szczęście nie wszyscy. W każdym narodzie i dobrzy, i źli się trafią.

– A jak wy teraz sobie radzicie? – spytała Maria, zmieniając temat.

– Dziękuję, lepiej. Jak mówiłam, mamy gdzie mieszkać i w dawnej fabryce Jersaka robotę dostałam, na dyżurce. Chodzimy też na zmianę z mamą do Pożdżenic. U gospodarzy w polu lub w gospodarstwie robimy. Mamy za to jedzenie i parę groszy. Dam sobie radę, pani Mario. Całe życie musiałam pracować, a jak mąż wróci, to już na pewno lżej nam będzie.

Stasia spojrzała w kierunku ulicy.

– Już prawie nie pada. Idę do Pożdżenic. Wrócę dopiero późną nocą. Do widzenia.

– Do widzenia, Stasiu.

Rozstały się przed bramą domu, który od tego dnia był też domem Marii.

***

Czas płynął szybko. Minęła słotna, lecz ciepła jesień. Łagodna, jak na ostatnie lata zima. I znów zakwitły pierwsze wiosenne kwiaty – przebiśniegi, krokusy i leśne zawilce. Ptaki zbudowały gniazda i wyprowadzały legi. Świat przyrody jak zwykle nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół niego i żył swoim własnym życiem.

Od Stacha nie było żadnej wiadomości. Od Bartka również. Ale ludzie ciągle wracali. Jedni wracali, inni wyjeżdżali, szukając własnego miejsca, rodziny i domu, który niejednokrotnie musieli budować od nowa.

Z początkiem kwietnia wróciła Zosia. Cały tydzień jechała przez Niemcy, Czechosłowację do Polski. Kiedy spotkała się z Marią, płakały obie ze szczęścia, jak małe dzieci.



Удостоверение

Сим удостоверяется, что [illegible] рожд. дн. 28.11.1903 [illegible] чехословацкий гражданин, по национальности чех, и по этому находится, согласно договора между

СССР и ЧСР

под охраной Красной Армии

Теплице-Шанов, 10.[illegible].46

Zezwolenie Karola Kupeca na powrót do Polski przez teren ZSRR i CSR (Czechosłowackiej Sosjalistycznej Republiki) pod ochroną Armii Czerwonej.

Zosia dorosła, nie była już dzieckiem, a piękną, młodą kobietą. Pierwsze dni pobytu w kraju zaskoczyły ją niezwykłą drożyzną. Za wynajęcie dorożki z dworca z Łasku do Zelowa liczono sobie 1200 zł. A oni dostali w punkcie repatriacyjnym po 100 zł. Zabrała się więc ciężarówką, która wiozła mleko do zelowskiej mleczarni, prowadzonej przez Józefa Kluka.

Po dwudniowym wypoczynku rozpoczęła pracę w handlu jako sklepowa, ucząc się jednocześnie na kursie wieczorowym.

W szkole w Sromutce zwolniło się miejsce. Nauczycielka, pani Kaźmierczak, wróciła do Warszawy. Wyjechała, bo skonfiskowano jej poniemieckie meble, które przywiozła z sobą. Na stanowisku zatrudniono byłego oficera, Józefa Krawczyka, który przyjechał z żoną i matką z Łodzi.

W rodzinie Witczaków sytuacja uległa poprawie. Rozalka podjęła pracę w ośrodku zdrowia, a Rudy zajął się swoimi sprawami i nie pił już tak często. Wydawało się, że wszystko jakoś się ułoży.

Maciek chodził teraz razem z ciocią do ochronki. Zabierała go po drodze, idąc do pracy, a później razem z nią wracał. Kiedy tego dnia weszła po niego, właśnie zakładał buty.

– Jak się macie w ten piękny, słoneczny dzień? – spytała już od progu. – Zdrowy już jesteś? – zwróciła się do Maćka.

– Tak, ciocia! Ale zobacz! Mam pieska! – krzyczał uradowany. – Wyblyk, chodź! – zawołał.

Maria przykucnęła i zaczęła głaskać niedużego psa, który przybiegł i kręcił się przy nogach domowników.

– Jaki śliczny! Skąd go macie?

– Sąsiad wczoraj przyniósł – odpowiedziała Rozalka. – Nie bardzo chciałam, bo nie wiedziałam, co na to Jacek, ale Maciuś tak prosił... A Jacek tylko popatrzył na niego i nic nie powiedział. A Maciek zdrowy, tylko ciekawe jak długo, bo co rusz to przeziębienie. W tym miesiącu już drugi raz.

Maria jakby nie słyszała. Przytulała i całowała mordkę sympatycznego, brązowo umaszczonego pieska.

– Śliczny! A moja Pestka przepadła. Ale skąd takie imię?

– Zobacz, ciocia, jakie on ma śmieszne oczy.

Marysia przyjrzała się bliżej.

– No, rzeczywiście! – powiedziała zdziwiona. – Jedno brązowe, a drugie zielone.

– Ładne, co? – dodała uśmiechając się Roza. – Jak to zobaczyliśmy, to Maciek mnie spytał: „Dlaczego on tak ma?" A ja mu na to, że nie wiem. Po prostu taki wybryk natury. To on od razu zaczął go wołać: „wyblyk, wyblyk". No i został Wybryk.

Rozalka spojrzała na syna. Była szczęśliwa, widząc go radosnego

– No! Wychodzimy! – przypomniała sobie, że nie czas teraz na zabawy. – Pożegnaj się z pieskiem, bo i cioci się spieszy i ja muszę być za 10 minut w ośrodku – dodała.

Dzień minął szybko. Gdy odebrano ostatnie dziecko, Maria zaczęła szykować się do wyjścia.

– Maciuś! Maciuś! – zawołała. – Chodź, idziemy do domu.
– Ide. Tylko sie jeszcze pobawie – odpowiedział.
– No, chodź. Mama już na pewno wróciła z pracy i z obiadem czeka – była bardziej stanowcza.
Chłopiec odłożył pluszowego misia i przybiegł do szatni.
– A co dzisiaj bedzie do jedzenia? – spytał.
– Nie wiem. A co byś chciał?
– No... no... może... Nie wiem.
– Zobaczymy, może mamusia szykuje jakąś niespodziankę – powiedziała tajemniczo. – Ale się spociłeś od tego biegania. Strasznie tu duszno – uchyliła okno. – Wrzesień, a tak gorąco – dodała.
Widząc rozgrzaną twarz dziecka, dotknęła jego pleców.
– Ściągaj koszulkę. Zmienimy na drugą – zaczęła mu pomagać. W pewnym momencie Maciek syknął i nienaturalnie skręcił tułów. Maria była zaskoczona.
– Co się stało? – spytała. – Boli cię coś?
– Troche – odpowiedział cicho.
– Chodź no tu, bliżej.
Delikatnie zdjęła mu koszulkę i przeraziła się.
– Jezus Maria! Uderzyłeś się? – krzyknęła, widząc wielkiego sińca na dole pleców. – Pewnie o tę wystającą półkę? A może...? Zastanowiła się.
– Maciuś – spojrzała mu prosto w oczy. – Powiedz cioci, jak to się stało?
– Bo byłem niegrzeczny.
– Kiedy byłeś niegrzeczny?
– No w domu. Tata powiedział, że jak bede hałasował, to dostane pasem. A ja zapomniałem, bo bawiłem sie w wojsko i ciągle strzelałem.
Maria przytuliła go mocno. Nie pytała już o nic, ale postanowiła sobie jedno. – Nie daruję mu! Jak mi Bóg miły, nie daruję!

Przez całą drogę Maciek podskakiwał, śmiał się i gadał jak najęty, najwięcej o swoim piesku. Wydawało się, że to, co tak bardzo poruszyło Marię, dla chłopca było czymś normalnym. Jednak były to tylko pozory. Gdy byli już blisko domu, spoważniał i delikatnie pociągnął ją za rękaw. Kiedy nachyliła się ku niemu, widząc, że chce jej coś powiedzieć, spytał cicho.
– A tata jest w domu?
Maria ucałowała go w czoło i przytuliła.
– Nie bój się, kochanie. Jestem przy tobie i mamusia też. Nie damy cię skrzywdzić.

***

– Gdzie Rudy? – zapytała ostro, kiedy weszli do mieszkania Witczaków.
– W robocie – odpowiedziała jej nieco zdziwiona Rozalka.
Maciek podbiegł do psa, który szczekając i machając radośnie ogonem, wyrażał swoje zadowolenie z powrotu chłopca.
Po chwili Roza domyśliła się, o czym Maria chce rozmawiać z jej mężem. Nachyliła się do synka i całując go w głowę, powiedziała:
– Weź pieska i idźcie do drugiego pokoju. Mamusia porozmawia z ciocią i zaraz będzie obiad.
Marysia usiadła przy stole. Wskazała na krzesło obok i nie zmieniając tonu głosu, powiedziała:
– Siadaj i mów! Dlaczego na to pozwalasz!?
Rozalka opuściła głowę.
– Znowu zaczął – powiedziała szeptem. – Przez kilka miesięcy był spokój i teraz znowu. Myślałam... Miałam nadzieję, że już będzie dobrze, że... – rozpłakała się. – Wszystkiemu ta gorzałka winna. Bimber na stryszku robi. Buraki na melasę przerabia i pędzi. Wieczorami to co chwilę wymyka się na górę. A nawet i w dzień mu się zdarza.

Maria patrzyła na przyjaciółkę ze współczuciem, ale starała się przekonać ją do bardziej stanowczych działań.

– Masz jak najszybciej z nim porozmawiać i zagrozić, że na milicję go podasz! A jeśli nie, to ja sama to zrobię! Jak nie w domu, to gdzie indziej go dorwę! U nas w podwórku często go widzę. W tej oficynie PPR-owcy się spotykają. Nie pozwolę, żeby bił Maćka!

– To przez to, co przeszedł – Roza próbowała go tłumaczyć.

– Ty go nie broń. Co mu dziecko zawiniło?

– Proszę cię, Marysiu, daj spokój. Obiecał mi, że już tego nie zrobi.

Maria spojrzała na przyjaciółkę.

– Rozmawiałaś z nim?

– Rozmawiałam – odpowiedziała, ale wstała, aby uniknąć jej wzroku. – Zrobię ci herbaty – zmieniła temat. – Albo może zjesz z nami?

Maria odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Nie. Dziękuję. Mam jeszcze kilka spraw. Wiem dobrze, że to, co się teraz dzieje, to przeżycia z przeszłości, ale...

– No właśnie – Rozalka szybko podłapała temat. – To, co przeszedł, nie zawsze było miłe.

Maria wstała i podeszła do drzwi. Zatrzymała się jednak w progu i dodała:

– Trzeba go postraszyć. Może to otworzy mu oczy, bo gniew rodzi się ze ślepoty, a on zwyczajnie nie widzi, co ma i co może stracić. Niestety, na niektóre rzeczy nie mamy wpływu, ale to nie znaczy, że nie trzeba próbować go ratować. Całą waszą rodzinę. Bo rodzina jest najważniejsza. I jest wieczna. Tak jak Bóg.

Po chwili dodała.

– Idę, ale pamiętaj, jeżeli nic z tym nie zrobisz, to ja się za to wezmę.

Późnym popołudniem wrócił Rudy. Już od progu czuć było, w jakim jest stanie. Widząc pijanego męża, Roza postanowiła na razie nie zaczynać tematu. Wiedziała, że rozmowa z nim w takich

okolicznościach nie ma sensu. Podała więc obiad i wymuszając uśmiech, spokojnie spytała:

– Jaka to znowu okazja była?

– Nie będę jadł – odsunął talerz, ale po chwili dodał z uśmiechem.

– Jaka okazja? – mówił nienaturalnie, co chwilę przymykając oczy. – Jak to jaka? Referendum po naszej myśli przeszło – PPR górą. Mieszkańcy Zelowa 3 razy „tak" powiedzieli. Aż 80 %.

Nagle roześmiał się.

– A PSL był za senatem... Ha! Ha! Ha!... A po drugie, to wszystkie nasze fabryki zjednoczyły się pod jednym szyldem. Jedno przedsiębiorstwo teraz będzie – Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Teraz to dopiero będziemy produkować. Dzięki przyjaciołom nasze wyroby mają zbyt. To najważniejsze. Bo żeby produkcja szła, musi być zbyt. Świetlana przyszłość to wynik dokonania właściwego wyboru – dodał zadowolony, że użył tak mądrego zdania. – I Busiakiewicza chyba wywalą. Podobno łapówki brał przy rozdziale mieszkań poniemieckich. Jak był Miller, to go nie chcieli – no to teraz mają.

Nagle wstał i skierował się do wyjścia. Maria patrzyła na niego z obawą, czując, że wróci jeszcze bardziej pijany.

– Gdzie idziesz? Zjedz obiad.

– Nie twoja sprawa, gdzie idę – odpowiedział opryskliwie.

Trzasnął za sobą drzwiami, ale słychać go było, jak wyśpiewuje mocno fałszując: „Kochać nie warto, całować nie warto, bo po co? Jedno co warto, to upić się warto i..."

Zapomniał słów, więc dodał od siebie.

– Na czczo jest warto i do obiadu warto i po jedzeniu też.

Wrócił po dwóch godzinach, hałasując i słaniając się na nogach. Maria właśnie szykowała Maćka do snu.

– Trochę ciszej – powiedziała spokojnie, ale dobitnie – Słychać cię dookoła. O tej porze ludzie chcą spać.

– No to niech śpią! – krzyknął poirytowany. – Kto im nie każe. We własnym domu mogę robić, co chcę – usiadł na krześle.

Nagle spod stołu wyszedł Wybryk. Podszedł do niego, merdając przyjaźnie ogonem. Rudy spojrzał na psa i wrzasnął:

– A ten kundel, co tu robi!? – kopnął go nogą. – Miejsce psa jest na łańcuchu, przy budzie!

Pies zaskomlał, podwinął ogon i wszedł z powrotem pod stół. Witczak zerwał się i zaczął nerwowo wyciągać pasek ze spodni.

– Ja ci...! Ja ci, kundlu, pokażę! Pokażę... gdzie twoje miejsce! I wam też. Pies w domu? Jeszcze pewnie żreć będzie za darmo! Wynocha mi stąd!

Schylił się i sięgając ręką pod stół, zaczął bić paskiem jak popadnie, trafiając raz psa, a raz obok niego. W końcu wpadł w taką furię, że potknął się i przewrócił się na kolana, ale nie przestawał. A Wybryk skomlał, piszczał i kulił się, jak tylko mógł, zamykając oczy za każdym razem, kiedy pas sięgał jego ciała. Maciek przybiegł do kuchni. Płacząc i krzycząc, żeby przestał, podbiegł do ojca. Uwiesił mu się na ramieniu.

– Tata! Tata!

Wszystko działo się tak szybko, że Roza zareagowała dopiero w chwili, gdy pies brał już cięgi.

– Rudy! Nie bij! – krzyczała.

Ale on nie reagował. Podbiegła więc do drzwi i otwierając je na oścież, krzyknęła.

– Uciekaj, piesku! Uciekaj!

Wybryk wyskoczył spod stołu, jak z procy, i zniknął za drzwiami. Zasapany mężczyzna położył pas na stole i usiadł na kozetce. Pokiwał się przez chwilę w przód i w tył, mamrocząc coś pod nosem. Potem położył się w ubraniu i zasnął. Po chwili rozległo się jego donośne chrapanie.

***

Lato dobiegało końca. Po odprowadzeniu Maćka Maria kupiła świeżych grzybów od jednej z kobiet handlujących w Rynku owocami lasu i weszła do Barów.

– Miałam ci kupić, jak zobaczę takie ładne – powiedziała, wyjmując je z koszyka. – Zobacz! Przepiękne! Sobie też kupiłam. Władzia wzięła grzyby, ale niespecjalnie zwróciła na nie uwagi. Widać było, że jest zaaferowana czymś innym.

– Wejdź dalej, Marysiu. Mam do ciebie sprawę.

– Trochę się spieszę – rzekła, wchodząc do kuchni. – A gdzie dzieci? – rozejrzała się po mieszkaniu.

– Staszek śpi, a Włodek gdzieś po podwórku cieka... Usiądź, moja droga.

– Ale muszę jeszcze zakupy zrobić i obiad... I Maniek ma przyjść się pożegnać, bo wyjeżdżają z Zelowa. Aż na Dolny Śląsk się wyprowadzają – wymigiwała się.

– No, siadaj! To ważne!

– Coś się stało? – spytała lekko wystraszona.

– Siadaj! – usłyszała ponownie. – Zaraz ci wszystko powiem.

Usiadły przy stole. Władysława przystawiła krzesło jak najbliżej przyjaciółki i powiedziała:

– Jest taki jasnowidz – ksiądz i zakonnik, Czesław Klimuszko. W swoich wizjach widzi to, co było i co będzie. Z całej Polski ludzie do niego jeżdżą, bo odszukuje ze zdjęć tych, co zaginęli. Patrzy na zdjęcie, dotyka go i widzi różne rzeczy.

– I co? Chcesz do niego jechać? – spytała Maria.

– Tak, ale chcę, żebyś pojechała ze mną. Tylko to dość daleko, bo aż na Pomorze, do takiego miasteczka... – spojrzała na kartkę. – Prabuty. Adres mam od sąsiadki. Pomógł jej rodzinie odnaleźć grób ich syna.

Maria zastanowiła się chwilę.

– A jak nam powie, że Stach nie żyje?

– A jeśli powie, że żyje i powie, gdzie go szukać? – odpowiedziała jej dobitnie. – Zresztą najgorsza jest ta niepewność. To czekanie. Każdy list, każda kartka, nawet jak tylko listonosza na ulicy widzę, to zaraz mi serce wali, jakby chciało z piersi wyskoczyć.

– Masz rację, Władziu. Moje serce też już wiele wycierpiało, a ostatnio jest z nim coraz gorzej. Zaczęłam nawet leki brać. Ale jak jest szansa, jak jest nowa nadzieja, to trzeba spróbować. Później człowiek by sobie w brodę pluł, że nic nie zrobił. Jedziemy! Ale najpierw napiszemy list, żeby nie jeździć na próżno.



Zelów – Rynek. Lata 50. XX w. Włodzimierz Bara (chłopiec w czapce).

Jak postanowiły, tak zrobiły, a po około miesiącu przyszła odpowiedź z wyznaczoną datą wizyty.

W drogę wyruszyły dzień wcześniej. Na dworzec w Łasku – autobusem. Jadąc milczały. Zastanawiały się, czego mogą się po tej wyprawie spodziewać. W zadumie patrzyły na migające za oknami lasy i wioski.

Na polach zbierano kartofle, a wzdłuż niedokończonych torów kolejowych biegnących w kierunku Herbertowa zakładano nową linię energetyczną, która pod koniec roku miała dotrzeć do Zelowa.

Kiedy późnym wieczorem dotarły na miejsce, przenocowały w wynajętej kwaterze, a następnego dnia, wcześnie rano, stanęły pośród oczekujących na wizytę ludzi.

Po godzinie weszły do niewielkiego pomieszczenia. Pośrodku, przy dużym, dębowym stole, na którym stał stary krucyfiks, siedział niewiele od nich starszy ksiądz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziały, podchodząc bliżej.

– Na wieki wieków – zaprosił je, aby zajęły wskazane miejsca. – Proszę o nazwisko zaginionego – dodał.

– Mędrzycki. Stanisław Mędrzycki – powiedziała Maria.

Ojciec Klimuszko odszukał ich list i przeczytał. Później spojrzał na nie i odezwał się łagodnym, pięknym głosem.

– Drogie panie. Na początku muszę wam oświadczyć, że to, co powiem, może być jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, albo złudzeniem – starał się nie dawać im przesadnej nadziei, biorąc pod uwagę ich uczucia i głęboką wiarę w jego słowa. – Nie jestem nieomylny – dodał.

Kobiety przytaknęły głowami na znak, że rozumieją i czekały przejęte, co będzie dalej.

– Macie coś, co należało do zaginionego? – spytał.

Władzia podała zdjęcie Staszka w mundurze oficera Wojska Polskiego. Franciszkanin położył obie ręce na fotografii i zamknął oczy, a po dłuższej chwili powiedział spokojnym głosem.

– Widzę brudną wodę i rów. Ta woda jest w tym rowie, ale piach jest świeży dookoła.

Nastała dłuższa chwila ciszy. Słychać było tylko szybkie oddechy kobiet. W końcu ksiądz Klimuszko otworzył oczy.

– Nie mogę nic więcej powiedzieć. Niestety, tylko tę brudną wodę ciągle widzę.

Maria przełknęła ślinę przez zaschnięte gardło.

– A co to znaczy, proszę księdza?

– Wiele to może znaczyć – odpowiedział. – Chociaż... Raczej nie najlepiej. Wielu zginęło poza granicami kraju, ale nie można tracić nadziei. Jak już powiedziałem, mogę się mylić. A na dziś, to wszystko.

Kiedy wyszły, miały „gęsią skórkę" i drżały na całym ciele. Obie milczały. Żadna nie chciała powiedzieć, jaka straszna myśl nasuwała się po tym, co usłyszały. I żadna nie powiedziała.
W końcu pierwsza odezwała się Maria.
– Mówił, że nie można tracić nadziei – wybrała te słowa księdza, które pragnęła usłyszeć.
– Tak. Musimy wierzyć – dodała Władzia i spojrzała na przyjaciółkę wdzięczna za dodanie otuchy. – Sam mówił, że może się mylić.
– Zaufam moim przeczuciom – oświadczyła Maria. – Wierzę, że Stach wróci i będę na niego czekała choćby do końca moich dni.
Władzi już zupełnie ulżyło. Odetchnęła głęboko.
– No, to wracamy – powiedziała.
– Tak. Wracamy – przytaknęła Maria.

***

Ostra, śnieżna zima nadeszła wcześnie. Już na początku grudnia mróz skuł lodem stawy, rzeki i jeziora. A nowy, 1947 rok sprowadził wręcz syberyjskie mrozy i śniegi. Takiej zimy nie było od dziesięcioleci. Pękały pnie drzew i sztachety w płotach. Śniegu było tyle, że w miastach przemieszczano się tunelami, a poza nimi – saniami, bo dróg w ogóle nie było widać.
Z wyziębienia zmarło wielu ludzi. Wielu też chorowało. Szpital w Łasku był przepełniony, a w ośrodku zdrowia w Zelowie pracowano od świtu do nocy. Obawiano się epidemii grypy i związanych z nią powikłań. W warunkach domowych stosowano przede wszystkim cięte bańki i nacierania z ziół zalanych octem, a przy bólu głowy okłady z gorących kartofli.
Szkoły i inne miejsca użyteczności publicznej były zamknięte do odwołania. W fabrykach także były przestoje, z braku opału do ogrzania hal produkcyjnych.

Maciek nie poszedł do ochronki, a jego ojciec do pracy. Za to Rozalka spędzała w niej o wiele więcej czasu.

– Jedz! Masz to zjeść i już! – krzyczał Witczak.
Maciek siedział przy stole z pochyloną nad talerzem głową. Łzy ciekły mu po policzkach i kapały do zimnej już zupy.
– Matki nie ma i nikt się z tobą nie będzie cackał! Jak nie zjesz, to oberwiesz i tyle! Co!? Chcesz dostać lanie!? – krzyczał mu prosto do ucha.
Chłopiec drżał cały jak w febrze.
– Zresztą nie chcesz, to nie żryj! – wrzasnął ponownie i pchnął gwałtownie talerz, aż spadł ze stołu i rozbił się na podłodze.
Maciek podskoczył ze strachu. Zaczął głośniej płakać, a po chwili zwymiotował na stół. Ojciec podniósł rękę i już miał go uderzyć, ale pohamował się i odszedł. Po chwili dodał:
– Posprzątasz to wszystko! Jęzorem zliżesz! A jak ci się nie podoba, to wynoś się i szukaj sobie innego domu!
W tej chwili wróciła Rozalka.
– Maciuś! Co się stało? – podeszła do synka i przytuliła.
– A to się stało – wrzasnął Rudy – że żreć nie chce!
Maciek wtulił się w ramiona matki.
– Bo, mamo... mnie było niedobrze – rozpłakał się.
Roza dotknęła jego czoła i policzków.
– Ma gorączkę! Cały jest rozpalony! – powiedziała i spojrzała z wyrzutem na męża. – Jest chory! Już ci rano mówiłam! Już wczoraj miał lekką temperaturę i był taki jakiś nieswój. Tylko że ty oczywiście nie słyszysz, co się do ciebie mówi.
– Dobrze, że ty słyszysz! – żachnął się Jacek.
Matka dotknęła ustami do czoła chłopca.
– Wysoka temperatura. Boli cię gardło?
Maciek kiwnął głową.
– I głowa... i tu też – powiedział cichym, ledwie słyszalnym głosem, dotykając karku.

– Kładziesz się pod pierzynę – powiedziała z uśmiechem, starając się nie pokazać przed synkiem lęku o jego zdrowie. – Postawię ci bańki, wysmaruję, wypocisz się i od razu poczujesz się lepiej – mówiła ciągle z uśmiechem.

– Mamo. Tylko nie bańki. Prosze. Spać mi sie chce. I nóżki mnie bolą i oczy, i głowa, i wszystko mnie boli.

– Nie bój się. Jesteś dużym, dzielnym chłopcem. Tylko kilka postawimy. I nie tak, jak mnie kiedyś ciocia stawiała. Pamiętasz? Tylko takie normalne. Same bańki. Nic a nic nie będzie bolało.

Wkrótce było już po zabiegu. Ale Maciek nie poczuł się lepiej. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Matka co chwilę sprawdzała stan jego zdrowia, przykładając rękę do czoła. Zmieniając kompresy z octu na głowie i stopach, z narastającą obawą stwierdzała, że gorączka nie spada, a na białej jak papier skórze pojawiła się czerwona, plamista wysypka.

Sięgnęła po stojący obok kubek i podała dziecku.

– Napij się troszkę.

Maciek pokręcił przecząco głową.

– Chociaż łyczek. Kompocik z malin. Taki jak lubisz.

Próbowała unieść mu głowę i pomóc, ale nie mogła – kark był sztywny.

– Trzeba wezwać doktora. Może nawet do szpitala trzeba – stwierdziła przerażona.

– Mamo, ja nie chce.

Ucałowała go i przytuliła.

– Mamo.

– Tak, synku? – nachyliła się do niego.

– Mamo. Czy ja umrę?

– Co ty wygadujesz! – ofuknęła go delikatnie. – Nie umrzesz!

– Ale mamo – mówił bardzo cicho. – Bo jakbym umarł, to nie płacz. Ciocia mi mówiła, że jak ktoś umrze, to idzie do nieba, do aniołków, a tam jest lepiej niż na ziemi.

Rozalka słuchała syna, a łzy wielkie jak ziarna grochu kapały na pościel.

– I wiesz, mamo... bede sie tam mógł cały czas bawić, w tym niebie. I tatuś już nie bedzie na mnie zły i już mnie nie bedzie bił... – mówił coraz ciszej.

Nagle opuścił powieki i zemdlał.

– Maciek! Maciuś – wystraszyła się.

Przyłożyła mu ucho do serca, a po chwili próbowała zbadać tętno, dotykając palcami szyi.

– Maciek! – krzyknęła. – Maciuś! – zaczęła nim potrząsać i ponownie przyłożyła ucho do klatki piersiowej.

– Maciuś!!! – krzyczała coraz głośniej. – Rudy!!!

Słysząc tak przeraźliwe krzyki, Jacek wpadł do pokoju. Ujrzał siedzącą na łóżku żonę, która kołysząc się, tuliła syna w ramionach.

– Maciek! Maciuś! – krzyczała i rozpaczliwie szlochała.

Jacek stał pośrodku pokoju, jak sparaliżowany. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi, nie chciał w to uwierzyć. Ramiona dziecka zwisały bezwładnie, a głowa opadła w tył. Widział to już wiele razy. Znał ten obraz. A choć Maciek wyglądał, jakby spał, to on wiedział, że z tego snu nigdy już się nie obudzi.

Minęło kilka dni. Po skromnym pogrzebie nastał czas smutku i żałoby. Rozalka nie chodziła do pracy. Całe dnie spędzała w zaciemnionym pokoju. Płacząc i tuląc do siebie ubrania syna, szukała jego zapachu. Nie jadła i prawie nie piła, a codzienne wizyty i prośby Marii na nic się zdawały, choć za bardzo na nią nie naciskała, bo sama czuła, że nie ma po co żyć. Już nie ma. Do tej pory to właśnie Maciuś, jej chrześniak, dawał jej siłę i jedyną radość z życia. A teraz? Teraz go nie ma. A jeśli Stach nie wróci? To po co ona ma żyć? Dla kogo?

Jacek też nie pracował. Przesiadywał najczęściej w kuchni. Od śmierci syna nie wypił ani kieliszka. Czuł się okropnie. Czuł się winny. Teraz tak bardzo chciałby przytulić Maćka. Wziąć go na

kolana i pobawić się z nim, powygłupiać, zapytać, kim chciałby zostać, kiedy dorośnie. Nagle wstał. Wszedł do pokoju i stanął przy łóżku. Długo przyglądał się śpiącej Rozalce, aż w końcu odwrócił się i wyszedł z domu.

Kiedy przez kilka dni nie wracał, zaczęli go szukać. Znaleźli go na skraju lasu. Siedział oparty o pień leśnej brzozy z butelką w ręku, do połowy zasypany śniegiem.

Za ojcem poszedł – mówili. Za synem poszedł...

***

Po srogiej zimie przyszło gwałtowne ocieplenie, które spowodowało niewidzianą od wielu dziesięcioleci powódź. Natura nie oszczędziła Polaków i zaledwie w dwa lata po wyniszczającej wojnie zniszczyła kraj dźwigający się z wielkim trudem ze zgliszcz. Ale i te przeciwności losu zatwardziali, doświadczeni niejedną biedą, ludzie pokonali pracą i wysiłkiem. Budowali i remontowali, produkowali w fabrykach i w spółdzielniach rzemieślniczych, orali i siali. Zmiany na lepsze widoczne były na każdym kroku.

Dnia 1. lipca 1946 roku Państwowym Zakładom Przemysłu Bawełnianego nadano nazwę Zelowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Fanar". Dynamicznie rosła liczba krosien, a więc także zatrudnienia.

Komisariat milicji obywatelskiej przeniesiono z budynku przy ulicy Kościuszki 16, zajętym podczas okupacji przez Niemców na potrzeby Schutzpolizei, do domu przy Kościuszki 33, którego dawnym właścicielem był Adolf Lewinson.



Milicjanci przed Komisariatem. Zelów – 1945 r.

Od lutego 1945 roku działała poczta, którą przeniesiono nieco później do wyremontowanego budynku przy ulicy Kościuszki, budowanego przed wojną przez Żydów z przeznaczeniem na synagogę.

W 1948 roku powstała Włókiennicza Spółdzielnia Pracy w Maurycowie, zatrudniająca rzemieślników produkujących kapy narzutowe, a rok wcześniej – rzemieślnicza Spółdzielnia Pracy „Krosno" w Zelowie skupiająca tkaczy chałupników, którzy na swych niewielkich warsztatach kontynuowali wielopokoleniową tradycję, wytwarzając różnego rodzaju materiały.

W sferze oświaty i kultury także nastąpiły zmiany.

1 września 1947 roku to pierwszy dzień pracy Publicznej Średniej Szkoły Zawodowej w Zelowie – przeznaczonej, między innymi, dla absolwentów zelowskiego gimnazjum. Na potrzeby szkoły przeznaczono byłą fabrykę Jakuba Lewiego przy ulicy Kilińskiego 5. Dwa lata później otwarto tam dwuletnią Zasadniczą Szkołę Metalową o specjalności ślusarz maszynowy.

Wznowiono też działalność biblioteki publicznej. Niewielkie z początku zbiory, spadek po zelowskim Towarzystwie Miłośników Sztuki założonym na początku lat trzydziestych przez Paulinę i Władysława Gąsiorowskich, powiększały się z roku na rok. Pierwszym powojennym bibliotekarzem został pan Tadeusz Chruścielski.

Otworzono też bursy szkolne. Dla dziewcząt – w budynku, wynajętym od wdowy po zmarłym wójcie gminy Bujny Szlacheckie – Adamie Maksymowiczu, przy ulicy Północnej 2. To tam, w późniejszym okresie okupacji, mieściły się biura Arbeitsamtu. Dla chłopców – przy Żeromskiego 39, w domu należącym dawniej do Niemca Ignacego Balda.

Pierwsze zespoły teatralne i muzyczne powstały w Zelowie zaraz po wyzwoleniu. Chętni do rozwoju swoich umiejętności i zainteresowań spotykali się w świetlicy fabrycznej zakładów włókienniczych przy ulicy Kilińskiego 4.



Zelów. Zespół muzyczny – lata 50. XX w.
Czesława Kluk (z mandoliną). Zdzisław Brożyna (skrzypce)

W kolejnych latach, wychodząc naprzeciw zainteresowaniom mieszkańców, otwierano nowe organizacje i kółka zainteresowań. Szczególnie aktywnie działały: Polski Czerwony Krzyż, Koło Sportowe Włókniarz i Liga Kobiet prowadzona przez panią Marię Perlicjusz.

Dzięki wsparciu Hufca Harcerzy z Łasku i kierownika Szkoły Podstawowej nr 1 w Zelowie – Tomasza Masteja oraz zaangażowaniu młodzieży szkolnej powstały pierwsze zelowskie drużyny harcerskie. Wiodącą rolę w organizacji tego przedsięwzięcia odegrał Karol Niewieczerzał.

Ochronka, w której pracowała Maria, przeniesiona została na czas remontu do Szkoły Podstawowej nr 2, na Kościuszki 84, kierowanej przez Antoniego Kozarzewskiego. 1. marca 1946 roku dzięki zaangażowaniu grupy społecznej oraz władz otworzono tam pierwszy Punkt Przedszkolny. 1 września 1946 roku już jako podopieczne Publicznego Przedszkola nr 1 dzieci wróciły do budynku przy ulicy Poznańskiej, a w 1949 roku przedszkole przeniesiono do domu przy ulicy Armii Czerwonej 12 (Piotrkowska 12). Kierowniczką została pani Stanisława Skała.

W związku z ciągłym napływem ludności ze wsi Prezydium Gminnej Rady Narodowej uznało potrzebę utworzenia drugiego przedszkola. Wiosną 1951 roku przeniesiono szkołę „dwójkę" z budynku przy ulicy Szkolnej do budynku na Kościuszki 42, a w domu przy ulicy Szkolnej otworzono Publiczne Przedszkole nr 2. Dnia 1. lipca 1953 roku ze względu na trudne warunki lokalowe i brak ogrodzenia przyległego placu przedszkole przeniesione zostało do budynku przy ulicy Kościuszki 41.

Maria pracowała teraz w przedszkolu na Piotrkowskiej. Razem z koleżanką – Ireną Grzelak,[113] opiekowały się i uczyły grupy „starszaków". Irenka prowadziła zabawy ruchowe oraz z racji uzdolnień plastycznych, zajęcia artystyczno-techniczne, takie jak

---

[113] *Irena Grzelak (z męża Sikorska).*

układanie obrazków z patyczków i wyklejanki. Marysia uczyła wierszy i piosenek, które zgodnie z programem nawiązywały treścią do pracy i poświęcenia na rzecz nowej ojczyzny oraz podkreślały miłość i pomoc ZSRR dla Polski.

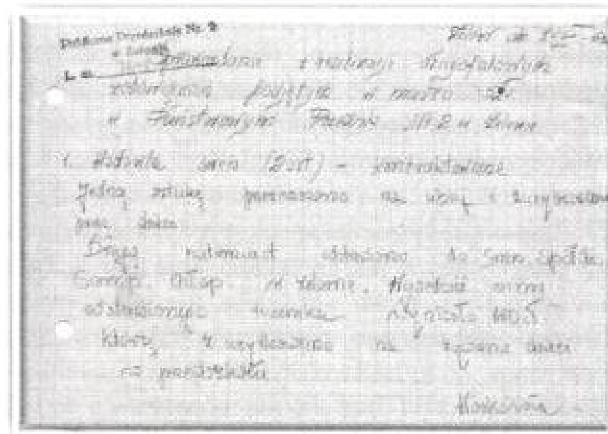


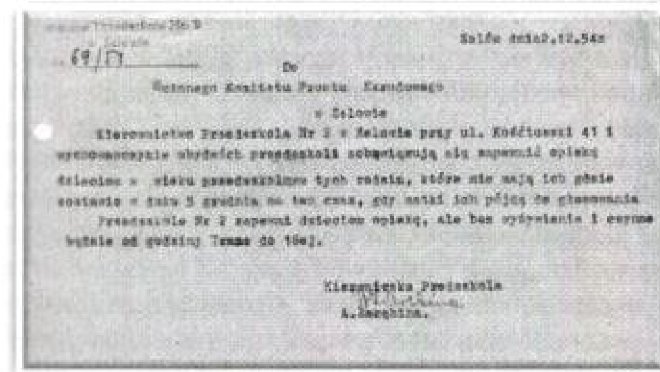
Publiczne Przedszkole nr 1 w Zelowie – 01.06.1951 r.
Wychowawczyni – Irena Grzelak.

Do dyspozycji dzieci były nie tylko sale, ale także ogrodzony plac zabaw z drewnianym domkiem i huśtawkami.

Racjonalne gospodarowanie placówki prowadziło niemal do samowystarczalności w żywieniu dzieci. Duży ogród zapewniał świeże warzywa, a hodowane w chlewiku świnie – świeże mięso.

Czas pracy dostosowany był do potrzeb pracujących rodziców, a wychodząc naprzeciw oczekiwaniom władz starano się zapewnić podopiecznym opiekę nawet w niedzielę, podczas wyborów do Rad Narodowych.





69/[illegible]

Zelów dnia 2.12.54 r.

Do
Gminnego Komitetu Frontu Narodowego
w Zelowie

Kierownictwo Przedszkola Nr 2 w Zelowie przy ul. Kościuszki 41 i [illegible] przedszkoli zobowiązują się zapewnić opiekę dzieciom w wieku przedszkolnym tych rodzin, które nie mają lub gdzie [illegible] w dniu 5 grudnia na ten czas, gdy [illegible] ich pójdą do głosowania.

Przedszkole Nr 2 zapewni dzieciom opiekę, ale bez wyżywienia i czynne będzie od godziny 7-mej do 10-ej.

Kierowniczka Przedszkola
A. [illegible]

Dokumenty z Publicznego Przedszkola nr 2 w Zelowie.

***

Upłynęło kilka lat. Roza rozpoczęła pracę w nowym miejscu. Pracowała teraz w Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem. A po pracy pomagała ludziom znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej. Organizując zbiórki żywności i odzieży, wspierała sieroty i półsieroty – ofiary wojny. Jednak po stracie rodziny zamknęła

się w sobie. Nie była już jak dawniej radosna i uśmiechnięta. Kiedy przebywała między ludźmi, wydawało się, że jakoś sobie radzi, ale gdy wieczorami siedziała sama w domu, popadała w stan odrętwienia i nostalgię. Czasami wydawało jej się, że słyszy Maćka bawiącego się w pokoju. Biegła tam szybko, wierząc, że to, co usłyszała, było rzeczywiste. Czasem słyszała tuż za drzwiami kroki i hałasy – dokładnie takie jak wtedy, kiedy Jacek wracał z pracy. Nie mogła spać, a jak już usnęła, śniło jej się tylko jedno – radosna i szczęśliwa twarz jej synka, kiedy po raz pierwszy zobaczył swego ukochanego pieska. Jednak następnego dnia znów szła do pracy, do ludzi i to trzymało ją przy życiu.

***

Zelów rozwijał się w szybkim tempie. W 1954 uzyskał prawa osiedla, a 28 stycznia 1957 roku – prawa miejskie. Z roku na rok powiększała się liczba mieszkańców, ale Maria coraz częściej myślała o wyjeździe, o rozpoczęciu nowego życia i całkowitym zerwaniu z przeszłością, bo choć od wojny minęło już dwanaście lat i żywe niegdyś wspomnienia powoli zaczęły blednąć i przygasać wobec codziennych trosk i obowiązków, to jednak to jedno, bolesne przeżycie, nie miało końca. Ciągłe czekanie na kogoś, kto najprawdopodobniej już nie wróci, nie pozwalało jej na normalne życie.

– Dzień dobry, Władziu – powiedziała, wchodząc do mieszkania Barów.

– Witaj! – Władysława aż pokręciła głową ze zdziwienia. – Już myślałam, że się na nas obraziłaś. Żeby tyle czasu nie zajrzeć.
Maria usiadła w kuchni przy stole.

– Zrób mi, Władziu, gorącej herbaty, jeśli możesz. Zmarzłam. Niby mrozu nie ma, ale ten wiatr to do szpiku kości człowieka przewieje... Gdzie masz dzieci?

– Włodek i Staszek gdzieś u kolegów. A dziewczynki w pokoju. Bawią się lalkami.

– Mam dla nich czekoladę, ale później się z nimi przywitam. Niech się bawią, a my porozmawiajmy w spokoju.
Gospodyni usiadła i spojrzała w poważną, niemal smutną twarz przyjaciółki.

– Coś mi się widzi, że coś się stało – powiedziała.

– Nie, nic się nie stało. Ale w końcu podjęłam decyzję.

– Czyli, co?

– Za miesiąc, dwa, wyjeżdżam z Zelowa. Na Śląsk jadę.
Władysława spojrzała na nią zaskoczona.

– Tylko mi nie mów, że tak jak inni, bo co rusz się słyszy – ten na Śląsk, tamten na Śląsk. A co? U nas tak źle?

– No, właśnie, na stałe się wyprowadzam.

– Marysiu! – złapała ją za rękę i spojrzała w oczy. – Masz dobrą pracę i na miejscu. Jak nie chcesz już w przedszkolu robić, to idź do szkoły uczyć. Do każdej z otwartymi ramionami cię przyjmą. W styczniu nową podstawówkę otworzyli na Waryńskiego – po tym domu starców. Blok dla nauczycieli budują na Wąskiej. I w ogóle... Po co po świecie szczęścia szukać?

– Nie, Władziu. Już zdecydowałam. Po śmierci rodziców nic mnie tu już nie trzyma, a na Stacha tam też mogę czekać.

– Właśnie! – Barowa podchwyciła temat. – W sprawie Staszka napisałam do Czerwonego Krzyża i czekam na odpowiedź. Tylko ciekawe, ile to potrwa? A wracając do ciebie. Wiem, że samej ci ciężko, ale przecież tyle lat tu mieszkasz i masz tu przyjaciół, i znajomych, i poważanie, i pracę. Tylko czasu trzeba. Tylko on goi takie rany. Wiesz przecież, że po tym, jak ciebie na roboty wywieźli i umarł mój Grzesiu, długo rozpaczałam. Nie mogłam dojść do siebie. Nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Było mi tak ciężko, że z początku to ani tobie, ani Stasiowi o tym nie pisałam. Ale kiedy urodził się Włodek, a później kolejne dzieci, to zrozumiałam, że trzeba żyć dalej – dla nich, dla rodziny.

– Tak – powiedziała Maria. – Wilgoć niszczy mury, a rozpacz człowieka. Ale ty masz dzieci i to prawie odchowane. Włodek i Staszek to już niemal mężczyźni. Jadzia w tym roku do szkoły idzie, a Ala za dwa lata. I wszystko jakoś ci się ułożyło. A u mnie? U mnie nic się nie zmieniło. Ty masz dla kogo żyć. A ja?

Władysława przytuliła przyjaciółkę:

– Zawsze jest po co i dla kogo żyć. My wszyscy cię kochamy, a ty chcesz nas zostawić?

– Będę was odwiedzać i pisać. A jak się tam urządzę, to wy do mnie przyjedziecie.

– Z moją gromadką? – roześmiała się szczerze. – Jak ty to sobie wyobrażasz?

– No, to sama przyjedziesz.

– Może? Gdyby to choróbsko mnie nie gnębiło? Przemyśl to jeszcze, Marysiu. Proszę cię.

– Nie. Podjęłam już decyzję. Uporządkuję tylko swoje sprawy i wyjeżdżam. Muszę zacząć od nowa. To jedyne wyjście.



Pismo do Władysławy Bary z Polskiego Czerwonego Krzyża.

Epilog

Maria Nowotarska leżała na szpitalnym łóżku Oddziału Kardiologii Górnośląskiego Centrum Medycznego. Obok pielęgniarka szykowała lekarstwa. Po chwili podała je chorej.

– Tak, pani Mario. Takie jest życie – kontynuowała przypadkowo rozpoczętą rozmowę. – Na naszym oddziale często się tak zdarza, ale przecież gdyby tak wszyscy zaraz mieli umierać, jak pani mówi... Jesteśmy tu po to, żeby pani pomóc. A pani po to, żeby wyzdrowieć. I tego trzeba się trzymać. I przede wszystkim w to wierzyć.

Maria uśmiechnęła się.

– Ma siostra całkowitą rację. Wiara dana jest nam po to, by łatwiej się żyło. Ale wie siostra? Myślałam, że będę się bała śmierci. Lecz nie czuję strachu. Wiem, że kiedyś przyjdzie. Wyjdzie z cienia – tak to sobie wyobrażam. Ale cień świadczy o tym, że gdzieś obok jest światło. Tylko, że... Kiedyś lubiłam sobie wróżyć. Z liści koniczyny, z płatków kwiatów... U sąsiada na dachu wisiała metalowa kawka odstraszająca wróble. Wiatr nią poruszał i bujała się do przodu i do tyłu. Z niej też wróżyłam. Człowiek jest jak ta kawka – raz w przód, raz w tył. Tik, tak. Tik, tak. Wahadło życia pchane przez wiatr przeznaczenia. Śmierć przyjdzie po każdego z nas. A ja muszę się przygotować i podziękować Bogu za to, co było mi dane, za to, że mogłam choć krótko, ale doświadczyć miłości i radości z bycia z drugą osobą. Bo kochać i być kochanym to jakby z obu stron grzało nas słońce. Dziękuję Mu też za przeżytą przyjaźń, za ojca i matkę, i za to, co w życiu osiągnęłam. Bo zrozumiałam, że to, co można uczynić, nie jest jedynie kroplą w morzu, ale tym wszystkim, co nadaje życiu sens. Zawsze starałam się żyć, pokonując przeciwności losu z podniesioną głową. Ojciec ciągle powtarzał: „Nie płacz, dziewucha, nad rozlanym mlekiem, tylko rękawy zakasz i do

roboty. Pamiętaj, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej". Ale czasami było naprawdę ciężko. Brak Staszka, zaginięcie Bartka, śmierć Maciusia – trudne to były chwile. Ale nie mogę tylko narzekać, bo były też szczęśliwe. Pamiętam jak dziś, kiedy Stach uklęknął przede mną i poprosił mnie o rękę. To była najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Widziałam też uśmiech i radość na twarzach ludzi ocalałych z wojennej pożogi. Słyszałam beztroski śmiech dzieci mogących bawić się i uczyć w wolnej Polsce. Z początku myślałam, że nie będę mogła żyć w tej nowej ojczyźnie, że nie przywyknę. Ale czas, moja kochana. Czas. On wszystko leczy. No, a teraz? Teraz jestem jak to stare, uschłe drzewo, jednym tylko korzeniem trzymające się ziemi. Jak ten jesienny liść czekający na zew wiatru, by udać się w swą ostatnią drogę i spocząć między pełnymi niegdyś życia siostrami i braćmi. Ale to tylko ciało. A dusza? Moja dusza połączy się na wieki z tym, na którego całe życie czekałam, którego kochałam i nadal kocham. Miałam okresy zwątpienia, jak wszyscy. W końcu jestem tylko człowiekiem. Szukałam wtedy samotności, stroniłam od ludzi, ale to jeszcze bardziej wprowadzało mnie w przygnębiający nastrój. Lecz nadzieja nigdy we mnie nie umarła. Iskierka nadziei, że Stach żyje, nigdy nie zgasła. Może tylko z jakiegoś niezależnego od niego powodu nie mógł do mnie wrócić. Ludzie na przykład tracą pamięć i żyją gdzieś nieświadomi swego prawdziwego imienia, ni pochodzenia. Nawet kiedy usłyszałam o pomordowanych na wschodzie polskich oficerach. Nawet wtedy nie uwierzyłam. Ale...? Jeśli jest inaczej...? Jeśli zginął? To teraz w końcu się spotkamy. Czekałam na to tyle lat.

Pielęgniarka dotknęła jej ręki.

– Pani Mario. Na pewno. Na pewno tak będzie. Ale jeszcze na to nie pora. Wyzdrowieje pani.

Maria pokręciła głową bez przekonania, ale dodała.

– Pewnie. Każdy chce żyć. Tylko moje serce nie chce o tym słyszeć. Zmęczyło się już i ani myśli dalej pracować. W końcu tyle już przeszło, że nie ma co się dziwić.

W tej chwili do sali weszło dwoje młodych ludzi. Mężczyzna trzymał w ręku duży bukiet kwiatów.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna. – Można?

Pielęgniarka spojrzała w stronę drzwi i uśmiechnęła się. Po chwili zwróciła się do Nowotarskiej.

– Gości pani ma, pani Mario. Później do pani zajrzę.

Wychodząc powiedziała do odwiedzających:

– Tylko proszę, nie za długo.

Podeszli bliżej. Chłopak podał bukiet.

– To od nas wszystkich. Od całej grupy z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia.

Maria wzięła kwiaty i powąchała.

– Róże. Skąd wiedzieliście, że kocham róże. Dziękuję.

Położyła je na stoliku.

– Siadajcie, proszę – wskazała dwa niewielkie stołki stojące pod ścianą.

– Cieszę się, że o mnie pamiętacie.

– O pani profesor mielibyśmy zapomnieć? – wtrąciła dziewczyna.

– Ty jesteś Ewa, a ty... – spojrzała na chłopca.

Starała się przypomnieć sobie jego imię.

– Jestem Staszek – podpowiedział chłopak.

– Tak. Staszek. Prawda.

Zamyśliła się, ale po chwili spytała.

– No, a co u was? Co na uczelni?

– U nas bez zmian – powiedziała Ewa. – Nauka i jeszcze raz nauka. Tylko pani nam brakuje.

– Mnie też was brakuje. I pracy. A tutaj nudno. Nieprzyzwyczajona jestem do bezczynności. Zawsze lubiłam pracę. Lubiłam uczyć. „A, b, c" – powtarzała dziatwa. A ja byłam szczęśliwa, gdy widziałam ich uśmiechnięte buźki, rozpromienione twarze, błyszczące z radości oczy, kiedy otrzymywały dobre oceny. Miałam wtedy poczucie dobrze spełnionego obowiązku. I teraz, kiedy was tu widzę, wiem, że przekazałam moim studentom nie tylko

wiedzę i moje doświadczenie, ale także zrobiłam to w odpowiedni sposób. A życie człowieka jest tyle warte, ile wspomnienia po nim. Może, kiedy mnie już nie będzie, to jednak zostanę w czyjejś pamięci, bo życie dobiega końca, a pamięć pozostaje na wieki.

W tej chwili w Londynie wypłynęła sprawa Katynia – pomnika [illegible] poległych tam Bohaterów i [illegible] [illegible] się są w posiadaniu dokumentów i nazwisk poległych. Pragnę raz jeszcze sprawdzić czy nie ma tam nazwiska Stacha.

Niestety! Nie wrócił. Trudno mi pisać o tym. Życie dobiega końca. Pamięć pozostaje na wieki. –

Fragmenty listów Marii Nowotarskiej do Władysławy Bary.

Nagle uśmiechnęła się i dodała.

– Chyba, że przydzieli wam w zastępstwie jakąś straszną piłę.

– Ależ pani profesor! – uśmiechnęła się dziewczyna, udając lekkie oburzenie. – Pani przecież wie. My naprawdę...

– Dobrze już, dobrze – przerwała jej z uśmiechem. – To żarty.

– Pójdziemy już – powiedział Staszek. – Proszę wypoczywać i szybko do nas wracać – dodał wstając.

– Życzymy szybkiego powrotu do zdrowia – dodała Ewa i ucałowała Nowotarską w policzek.

– Dziękuję – odpowiedziała jej, siadając na brzegu łóżka. Jak Bóg da, to wyzdrowieję. A nie, to... W końcu trzeba zrobić miejsce nowemu pokoleniu. Oby mu się bardziej poszczęściło, bo to nasze jest przeklęte – dodała jakby do siebie.

– Pani profesor to ciągle żartuje.

– Nie żartuję, dziecko. Tym razem nie żartuję. Przeżyłam już swoje chwile szczęścia i smutku.

Wstała i zaczęła obwiązywać szlafrok, który miała na sobie.

– Odprowadzę was – powiedziała.

– Bardzo dziękujemy, ale proszę zostać. Musi pani wypoczywać. Jeszcze raz życzenia powrotu do zdrowia.

– Od całej grupy – dodał już z korytarza chłopak.

Kiedy wyszli, podeszła do okna. Po chwili zobaczyła wychodzących ze szpitala – Ewę i Staszka. Złapali się za ręce, pocałowali i zniknęli za rogiem budynku.

Maria uśmiechnęła się delikatnie.

– Tak. Nowemu pokoleniu – powiedziała cicho pod nosem.

Nagle poczuła rozdzierający ból w piersiach. Dotknęła ręką klatki piersiowej i wstrzymała oddech. Na czole pojawił się zimny pot, a usta posiniały. Powoli wróciła na łóżko. Leżała tak dłuższą chwilę, bojąc się ruszyć, ale kiedy ból zelżał, uniosła rękę, aby za pomocą dzwonka wezwać pielęgniarkę. Cofnęła ją jednak i uśmiechnęła się do siebie. Wtedy nastąpił kolejny atak. Na twarzy pojawił się grymas bólu.

– Staszku! Stach! – powiedziała szeptem.

Uśmiechnęła się jednym ze swoich najładniejszych uśmiechów i powoli zamknęła oczy.

Zelów, dn. 16. marca 2016 roku.

Autor składa serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do napisania tej książki.

Są to:

Pani Aleksandra Baczmaga z d. Bara
Pani Maria Banaszkiewicz
Pani Jadwiga Brzozowska z d. Tosik
Pan Marian Drożdżowski
Pan Dominik Grajnert
Pani Stanisława Gasińska z d. Chaciatur
Pani Julia Gawron
Pani Zofia Grabarczyk z d. Kilańczyk
Pani Barbara Łuczyńska z d. Grodkiewicz
Pan Stanisław Kaczmarek
Pani Krystyna Kaliska-Kaczmarek
Pan Jan Kałużny
Pan Włodzimierz Łuczyński
Pani Agnieszka Mielczarek
Pani Zofia Mielczarek
Pan Karol Niewieczerzał
Pan Ireneusz Owczarek
Pan Marian Ornaf
Pani Maria Pawlik z d. Figura
Pani Maria Pierzynka z d. Bistuła
Pan Stefan Rogut
Pani Zofia Skiba z d. Graczyk

Bibliografia i teksty źródłowe

Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim
Archiwum Państwowe w Łodzi Oddział zamiejscowy w Sieradzu
Czapski Józef, *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa 1990.
Gramsz Andrzej, Papuga Sławomir, *Zelów Wspólnota nacji, wyznań, kultur*, Łódź 2003.
J. Góral, R. Kotewicz, Z. Tobjański, *Zarys Dziejów Zelowa*, Urząd Miasta i Gminy Zelów, 1987.
Kamiński Dariusz, Dzieje *25 Pułku Piechoty Wojska Polskiego w latach 1918-1939*, Piotrków Trybunalski, Urząd Miasta 2004.
Kopka Sławoj, *Szare miasto*, Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski. Zelów 2014.
Kopka Sławoj, *Wszyscy się nas boją*, Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski. Zelów 2012.
Politański Łukasz, *Kluki, Parzno*, Wydawnictwo Muzealne, Bełchatów 2014.
http://www.deon.pl/inteligentne-zycie/obiektyw/art,132,przezylem-starobielsk-html -Przeżyłem Starobielsk...
http://www.katolickie.media.pl/katyn-1940-2010/katyn-pamietamy/1300-polscy-jency-w-obozie-w-starobielsku-4-oparli-sie-propagandzie
http://archiwumcaw.wp.mil.pl/biuletyn/b16/b16_5.pdf
http://www.muzeumpiotrkow.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=294:dziaalno-zwizku-strzeleckiego-w-piotrkowie-w-przededniu-ii-wojny-wiatowej&catid=70:nasze-publikacje&Itemid=129
http://www.konstantynowicz.info/Druga_bitwa_pod_Tomaszowem_Lubelskim_wrzesien_1939/index.html
http://roberthorbaczewski.pl/aktualnosc34,5,19,rok-1939---czerwony-wrzesien.html
http://generalgouvernement.pl/historia-generalnego-gubernatorstwa/13-kwietnia-niemcy-informuja-o-mordzie-katynskim
Nie Zabijaj (1991) - [Katyń, Miednoje, Charków]
https://www.youtube.com/watch?v=1Dh3lYSIzXI
https://www.deutsche-digitale-bibliothek.de/searchresults? isThumbnailFiltered=false&query=Schloss+Augustenburg+Karlsruhe



Dariusz Kaczmarek -
mieszka i pracuje w Zelowie
Z wykształcenia jest fizjoterapeutą
i pedagogiem. Od wielu lat jest prezesem
Stowarzyszenia Przyjaciół Osób
Niepełnosprawnych w Zelowie.
Od 2006 roku jest radnym
Rady Miejskiej w Zelowie.

Kawka na huśtawce to powieść historyczno-obyczajowa
ukazująca losy mieszkańców Zelowa i okolicznych wsi
w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu.
Opisywane wydarzenia autor opiera na wspomnieniach osób,
które przeżyły tamte burzliwe czasy.

To już druga książka o tej tematyce.
Tak, jak poprzednia - **Obok nas 1933-1945**,
powstała z myślą o zachowaniu i przekazaniu następnym
pokoleniom naszej historii.
Opisując losy bohaterów, autor wskazuje,
jak niewielki wpływ mamy na nasze życie
i jak ważna jest w życiu miłość, wiara i nadzieja.

Zelów 2016

978-83-939552-1-3